

TREVANIAN

SANKCJA NA EIGERZE

THE EIGER SANCTION

Przełożyła

AGNIESZKA NOWORYTA-WALUŚ



Mary Read

MONTREAL

16 maja

Na bulwarze St Laurent padało wczesnym wieczorem i wciąż jeszcze na nierównym chodniku widniały kałuże. Deszcz wprawdzie już przeszedł, ale było dostatecznie chłodno, by jasnobrązowy płaszcz przeciwdeszczowy, który miał na sobie agent CII Wormwood, wyglądał zupełnie naturalnie. Co prawda gustował bardziej w trenczach, ale obawiał się je nosić, a to z powodu kpin innych agentów. Poszedł więc na kompromis - podniósł kołnierz płaszcza, a ręce wsadził głęboko w kieszenie. Zacisnął dłoń wokół gumy do żucia, którą dostał dwadzieścia minut wcześniej od cuchnącego człowieka na ponurym terenie szpitala Ste Justine. Typ ów wyszedł nagle zza krzaków na Wormwooda, a ten uskokczył przerażony, ale zaraz postarał się nadać temu odruchowi cechy charakterystyczne dla obronnych walk wschodnich. Te pozory kociej czujności mogłyby nawet kogoś zmylić, gdyby pechowo nie wpadł plecami na krzaki róż.

Wormwood przemierzał pewnymi krokami pustoszejącą ulicę. Czuł się podniesiony na duchu - nie z powodu wielkości zadania, lecz że tak udatnie je wykonał. Przynajmniej raz nie spartaczył roboty. Dostrzegał swe odbicie w ciemnych szybach sklepowych i nie sprawiło mu ono przykrości. Pewne siebie spojrzenie i zdecydowany krok kompensowały z nawiązką zgarbione plecy i łysiejącą głowę. Wormwood odwrócił dłonie na zewnątrz, by wyprostować opadnięte ramiona, przypomniał sobie bowiem, jak ktoś mu kiedyś powiedział, że najlepszą metodą na to, by mężnie wyglądać, jest chodzić z dłońmi skierowanymi do przodu. Prawdę powiedziawszy było to nader niewygodne i sprawiało, że kroczył nieco jak pingwin, mimo to chodził tak zawsze, jeśli tylko o tym pamiętał.

Wciąż jeszcze boleśnie odczuwał niedawne spotkanie z krzakami róż, odkrył jednak, że przynosi mu ulgę chwytnie za kant spodni kciukiem i palcem wskazującym i odciąganie ich od pośladków. Toteż wykonywał ten ruch od czasu do czasu, nie zważając na żywe zainteresowanie przechodniów.

Był zadowolony. „To tylko kwestia pewności siebie - stwierdził w duchu. - Wiedziałem, że mi się uda, to i mi się udało!”. Wyznawał teorię, że szczęście odwraca się od tych, którzy z góry zakładają, że im się nie powiedzie, a wyniki jego ostatnich kilku zadań jakby to potwierdzały. Niestety, większość teorii, które wyznawał, się nie sprawdzała. „Przycinaj regularnie włosy, to nie będziesz ich tracił” - postanowił wprowadzić w życie tę

zasadę, jako że łysiał, i zawsze chodził krótko ostrzyżony, przez co wyglądał mniej poważnie, a włosy i tak mu wypadaly. Przez jakiś czas wyznawał teorię, że wczesna łysina świadczy o niezwyklej męskości, ale osobiste doświadczenia zmusiły go ostatecznie do jej porzucenia. „No, tym razem będziesz mógł spokojnie odetchnąć w domu. Jutro o szóstej rano jesteś z powrotem w Stanach!” - pomyślał.

Zacisnął pięść na gumie do żucia. Nie mógł sobie pozwolić na kolejną porażkę. Ludzie w firmie zaczęli go już określać mianem nieudacznika.

Skręcił w lewo, w Lessage Lane, zupełnie cichy i pusty, co zauważył dopiero po chwili. Skręcił znowu w kierunku południowym na ulicę St Dominique; było tak cicho, że odgłos jego kroków zdawał się odbijać od nie oświetlonych, ponurych budynków z cegły. Cisza go nie niepokoiła; pogwizdywał nawet sobie.

„To pozytywne myślenie naprawdę daje wyniki - stwierdził w duchu, ożywiony. - Zwycięzcy wygrywają, taka jest prawda”. Jego okrągła chłopięca twarz przybrała naraz wyraz troski; zastanowił się, czy jest także prawdą, iż pokonani przegrywają. Próbował przypomnieć sobie co nieco ze szkolnych zajęć z logiki. „Nie - stwierdził wreszcie - niekoniecznie tak musi być. Pokonani nie zawsze przegrywają. Ale zwycięzcy zawsze wygrywają”. Poczuł się od razu lepiej, kiedy doszedł do tego wniosku.

Dzieliła go tylko jedna ulica od jego hotelu trzeciej kategorii. Widział już uszkodzony czerwony pionowy neon. H TEL. „No, prawie w domu”.

Przypomniał sobie instrukcje z Centrum Szkolenia CII: zawsze zbliżać się do celu z przeciwległej strony ulicy, i tak też zrobił. Nigdy nie rozumiał w pełni zasadności znaczenia tej reguły, wykraczającej poza zwykły wymóg poruszania się niepostrzeżenie, ale też zawsze jej przestrzegał; nie przyszło mu nigdy na myśl żądać wyjaśnienia czy też naruszyć przepisy.

Zrobione z kutego żelaza latarnie uliczne na St Dominique nie padły jeszcze ofiarą na ołtarzu miejskiej szpetoty i nie zastąpiono ich czarnymi rtęciowymi lampami, dzięki czemu Wormwood mógł zabawiać się, patrząc, jak jego cień wymyka się spod jego własnych stóp i wydłuża się aż do chwili, gdy nie skróci go następna latarnia. Oglądając się przez ramię i podziwiając to świetlne zjawisko wpadł na latarnię. Przychodząc do siebie rozejrzał się wokół z obawą, czy przypadkiem ktoś tego nie dostrzegł.

A jednak, choć Wormwood nie wiedział o tym, ktoś go obserwował.

Agent spiorunował spojrzeniem winną wszystkiemu latarnię, wyprostował ramiona, odwracając dłonie na zewnątrz, i przeszedł na drugą stronę ulicy do hotelu.

Hol pachniał tą charakterystyczną dla hoteli znajdujących się w stanie ruiny mieszaniną pleśni, lizolu i moczu. Zgodnie z późniejszymi meldunkami Wormwood wszedł do hotelu

między 11.55 a 11.57. Jakakolwiek zresztą by to była godzina, z całą pewnością sprawdził ją, zachwycając się, jak zwykle, świecąca tarczą zegarka. Słyszał, że fosforyzujący materiał używany w zegarkach może powodować raka skóry, ale wydawało mu się, że przecież zmniejsza to ryzyko nie paląc papierosów. Nabył zwyczaju sprawdzania czasu zawsze, gdy znajdował się w ciemnym miejscu. Inaczej bowiem, jaki miałoby sens posiadanie zegarka ze świecąca tarczą? Prawdopodobnie moment, który poświęcił na rozważenie tej sprawy, spowodował różnicę czasu: była to więc 11.55 lub 11.57.

Gdy wchodził po słabo oświetlonych schodach, pokrytych zawilgoconym, wytartym dywanem, powtórzył sobie, że „zwycięzcy wygrywają”. Ogarnęło go jednak przygnębienie, gdy usłyszał kaszel dochodzący z sąsiedniego pokoju. Męczący, tłumiony kaszel, danina płacona bogom choroby, który przeszedł w niosący się wśród nocy charkot. Nigdy nie widział starego człowieka mieszkającego obok, ale nienawidził tych nie pozwalających mu spać odgłosów.

Stojąc przed swoimi drzwiami wyciągnął z kieszeni gumę do żucia i zaczął ją oglądać. „Prawdopodobnie mikrofilm. I prawdopodobnie jest między opaską a gumą, gdzie zazwyczaj umieszczają rysunkowe historyjki”.

Przekręcił klucze w ledwo trzymającym się zamku. Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, odetchnął z ulgą. „Nie da się ukryć - pomyślał. - Zwycięzcy...”

Myśl urwała się w połowie. Nie był sam w pokoju. Zareagował w sposób, z którego Centrum Szkolenia byłoby zadowolone: włożył gumę wraz z opakowaniem i tym, co mogła zawierać, do ust i połknął ją. W tym samym momencie ktoś zmiażdżył mu tył czaszki. Ból był zaiste przeszywający, ale dochodzący odgłos jeszcze potworniejszy. Przypominał miażdżenie dłońmi chrupkiego selera tuż przy uszach, ale wydawał się jeszcze bliższy.

Dosyć wyraźnie usłyszał odgłos drugiego uderzenia, ale - o dziwo - nie sprawiło mu ono bólu.

Po chwili jednak zabołało go. Nie widział tego, ale czuł, że rozcinają mu gardło. Myśl o tym przyprawiła go o dreszcz zgrozy, miał jednak nadzieję, że nie zwymiotuje. Następnie zaczęli dobierać się do jego brzucha. Poczł, jak coś zimnego wnika i wysuwa się z jego ciała. Starzec z sąsiedniego pokoju zakasłał i zamilkł. Napłynęła wypłoszona z jego mózgu przez ogarniający go strach sentencja:

„Zwycięzcy wygrywają” - pomyślał Wormwood i umarł.

NOWY JORK

2 czerwca

...i jeśli już niczego innego, to semestr ten powinien przynajmniej nauczyć was, że nie ma żadnych istotnych powiązań między sztuką a społeczeństwem - na przekór ambitnym manifestom uznanych twórców kultury masowej i psychologii, zdolnych jedynie do złośliwego wymądrzania się w obliczu zjawisk, które wymykają się ich wiedzy. Pojęcia „społeczeństwo” i „sztuka” są bowiem same w sobie sprzeczne. Jakiegokolwiek przepisy i zastrzeżenia...

Doktor Jonathan Hemlock, profesor historii sztuki, poświęcił swój ostatni wykład problemowi kultury masowej w sztuce i społeczeństwie - czuł wstręt do tego tematu, cóż, kiedy był jednym z podstawowych dla jego działu. Wykłady Hemlocka - niedwuznacznie ironiczne, nawet obraźliwe - cieszyły się ogromną popularnością wśród studentów. Każdy z nich bowiem wyobrażał sobie, jak pozostali skręcają się na krzesłach, słuchając tych pełnych chłodnej wzgardy słów. Interpretowali jego pełną dystansu cierpkość jako atrakcyjną ciętość wobec pozbawionego uczuć burżuazyjnego świata i egzemplifikację *Weltschmerzu*, który tak ceni molodramatyczna dusza studenta.

Popularność Hemlocka wśród studentów wynikała z kilku nie powiązanych ze sobą spraw. Po pierwsze, liczył trzydzieści siedem lat i był najmłodszym profesorem zwyczajnym na Wydziale Historii Sztuki. Studenci zakładali więc, że jest liberałem. Nie był liberałem ani konserwatystą, torysem, przeciwnikiem prohibicji, izolacjonistą czy fabianinem. Interesował się jedynie sztuką; obojętne mu były i nudziły go takie sprawy, jak polityka, swobody studenckie, walka z biedą, położenie Murzynów, wojna w Indochinach lub ekologia. Mimo to nie zdołał uniknąć opinii „równego gościa”. I tak, gdy wznowił zajęcia po przerwie spowodowanej studenckim buntem, otwarcie ośmieszył administrację za brak umiejętności, odwagi i opanowania tak drobnej rewolty. Studenci odebrali to jako krytykę władz, zaczęli go zatem jeszcze bardziej podziwiać.

...ostatecznie istnieje tylko Sztuka i to, co nią nie jest. Nie ma takich rzeczy jak sztuka murzyńska, sztuka społeczna, sztuka młodych, pop-art, sztuka masowa. Te fikcyjne podziały mają na celu pocieszenie - poprzez klasyfikujące etykiety - podrzędnych pacykarzy...

Studenci płci męskiej, którzy przeczytali coś o międzynarodowych wyczynach Hemlocka jako wspinacza, pozostawali pod wrażeniem wizerunku sportowca-naukowca, pomimo że nie uprawiał wspinaczki już od kilku lat. Młode panny zaś przyciągała arktyczna powściągliwość, ukrywająca, jak podejrzewały, porywczą i tajemniczą naturę. Fizycznie nie ucieleśniał, co prawda, romantycznego bohatera. Był szczupły, średniego wzrostu; to jego precyzyjne, sprężyste ruchy i błyskające spod powiek szarzielone oczy rozpały ich seksualne fantazje.

Hemlock nie był oczywiście popularny na całym wydziale. Wykładowcy czuli się osobiście dotknięci jego akademicką reputacją, jego odmową uczestniczenia w komitetach, obojętnością wobec ich różnorodnych projektów i propozycji, a jego charyzmę, tak przyciągającą studentów, traktowali li tylko jako czynnik rozbijający szkolną wspólnotę. Tarczą obronną przed pełną fałszu zawiścią innych była Hemlockowi pogłoska o jego całkowitej niezależności majątkowej i o jego rezydencji na Long Island. Typowi liberałowie akademicy, stanowiący ogół wykładowców, reagowali na bogactwo oszołomieniem i zażenowaniem, nawet jeśli o owym bogactwie świadczyły tylko plotki. Nie można było zresztą ani zaprzeczyć, ani potwierdzić tych szeptanych wieści, ponieważ nikt nigdy nie został zaproszony do Hemlocka, co więcej: nikt nie mógł na to liczyć.

...zrozumienia sztuki nie sposób się nauczyć. Wymaga ono bowiem specjalnego daru - daru, w posiadanie którego oczywiście nie wątpicie, ponieważ wychowano was w wierze, że wszyscy są sobie równi. Nie zdajecie sobie sprawy, że w istocie jesteście jedynie podobni do siebie...

Hemlock mówił, automatycznie błędząc oczyma wzdłuż pierwszego rzędu audytorium. Zapępiały go jak zwykle uśmiechnięte kiwające główki, bezmyślne dziewczątka; ich spódniczki podciągnięte były zbyt wysoko, a kolana bezwiednie rozchylone. Przyszło mu na myśl, że z tymi ich uśmieszkami i okrągłymi, pustymi oczyma, wyglądały jak rząd liter „ü”. Nie zadawał się ze studentkami: studentki, dziewice, libacje - zupełnie go to nie kusiło. Okazji byłoby aż nadto, ale nie pociągała go rozwiązłość, a wrażenie, jakie wywierały te olśniewające idiotki, było według niego równe temu, jakie wywierają figlujące sarny albo... ryby podskakujące u podnóża tamy po wybuchu dynamitu.

Dzwonek zadźwięczał jak zawsze wraz z ostatnim słowem wykładu Hemlocka, więc zakończył zgrabnie zajęcia życząc studentom udanych wakacji, nie zakłóconych twórczymi

myślami. Zabrzmiały oklaski, jak zwykle ostatniego dnia, a on szybko wyszedł.

Gdy skręcił za rogiem korytarza, natknął się na ubraną w minispódniczkę studentkę o długich czarnych włosach i oczach wymalowanych jak na scenę. Podekscytowana, niemal z zapartym tchem powiedziała mu, jak bardzo była zadowolona z wykładów i jak bardzo dzięki nim zbliżyła się do sztuki.

- To świetnie.

- Doktorze Hemlock, chodzi o to, że muszę mieć dobrą średnią, bo inaczej stracę stypendium.

Sięgnął do kieszeni po klucze do gabinetu.

- Niestety, obawiam się, że nie wypadnę wystarczająco dobrze na pańskim egzaminie końcowym. To znaczy... ja bardzo polubiłam sztukę, no ale nie zawsze można wyrazić swe uczucia na papierze. - Spojrzała na niego i zebrawszy się na odwagę, spróbowała z całych sił nadać swemu spojrzeniu wiele znaczący wyraz. - Więc jeżeli mogłabym coś zrobić, by uzyskać lepszy stopień... to znaczy, jestem w stanie zrobić wszystko. Naprawdę.

- Wzięła pani pod uwagę, co może znaczyć ta propozycja? - zapytał Hemlock z powagą.

Przytaknęła i przełknęła ślinę, a jej oczy patrzyły wyczekująco.

- Czy ma pani jakieś plany na dzisiejszy wieczór? - wypowiedział ściszym poufnie głosem.

Odchrząknęła i odparła, że nie.

Hemlock kiwnął głową.

- Mieszka pani sama?

- Moja współlokatorka wyjechała na tydzień.

- Dobrze. W takim razie radzę pani przysiąc fałdów i pouczyć się. To najpewniejszy sposób, jaki znam, by zapewnić sobie dobrą ocenę.

- Ale...

- Tak?

Pochyliła głowę.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Odeszła wolno korytarzem, Hemlock zaś wszedł do swojego gabinetu, pomrukując. Podobał mu się sposób, w jaki to załatwił. Ale jego zadowolenie trwało tylko chwilę. Natknął się na notki na biurku, które napisał sam do siebie gwoli przypomnienia o rachunkach, tych do zapłacenia wkrótce oraz tych, których termin płatności już minął. Uniwersyteckie plotki o jego zamożności były bezpodstawne, choć trzeba stwierdzić, że Hemlock co roku wydawał

troszkę więcej, niż wynosiła trzykrotność jego dochodów z wykładów, książek i udziału w komisjach kwalifikacyjnych. Większość pieniędzy - około czterdziestu tysięcy rocznie - pochodziła z aktów przemocy. Jonathan Hemlock pracował dla Wydziału Ścigania i Likwidacji CII. Był mordercą.

Zabrzączał telefon, Hemlock nacisnął świecący przycisk i podniósł słuchawkę.

- Tak?

- Hemlock, czy może pan mówić? - To był głos Clementa Pope'a, pierwszego zastępcy Dragona. Nie można było nie rozpoznać tego przemęczonego, spokojnego głosu. Pope wprost uwielbiał udawać szpiega.

- Pope? Czym mogę panu służyć?

- Pan Dragon chce się z panem zobaczyć.

- Domyślam się jak bardzo.

- Może pan być tu za dwadzieścia minut?

- Nie. - Prawdę mówiąc, dwadzieścia minut to kupa czasu, ale Jonathan nienawidził pracowników Wydziału Ścigania i Likwidacji. - Ale może jutro?

- Ani chwili później! Chce się z panem spotkać zaraz.

- W takim razie będę za godzinę.

- Wiesz co, przyjacielu, na twoim miejscu wziąłbym tyłek w troki i zjawił się tu w te pędy...

Jonathan odłożył słuchawkę.

Przez następne pół godziny miotał się po gabinecie. Gdy już był pewny, że przybędzie do Dragona mniej więcej o czasie, który zapowiedział, zadzwonił po taksówkę i opuścił teren uniwersytetu.

Kiedy brudna, stara winda wiozła go na najwyższe piętro niczym nie wyróżniającego się biurowca przy Trzeciej Alei, Jonathan automatycznie rejestrował w myślach dobrze znane mu szczegóły: łuszczącą się szarą farbę na ścianach, pieczętki po corocznej kontroli przybite na chybił trafił jedno na drugich, zalecenie Otisa co do obciążenia dźwigu, dwa razy skreślane i zmniejszane z szacunku dla starzejącego się urządzenia. Wyobrażał sobie co też czeka go w ciągu najbliższej godziny i spekulacje te niepokoiły go.

Winda zatrzymała się i zakołysała lekko, a drzwi otworzyły się z hałasem. Wysiadł na ostatnim piętrze biurowca, skręcił w lewo i otworzył ciężkie przeciwpożarowe drzwi z napisem „nie wchodzić”, prowadzące na klatkę schodową. Potężny czarny robotnik w kombinezonie siedział obok skrzynki z narzędziami na ociekających wilgocią cementowych

schodach. Jonathan skinął mu głową i minawszy go, wspiął się w górę. Schody kończyły się na następnej kondygnacji i teraz przeszedł przez kolejne drzwi przeciwpożarowe, za którymi kiedyś znajdowało się poddasze budynku, dopóki CII nie zainstalował tam swych biur. Zapach szpitala, który tak dobrze pamiętał, unosił się w korytarzu, a podstarzała sprzątaczką wymachiwała stale w tym samym miejscu powolutku szczotką tam i z powrotem. Na ławie przy drzwiach z napisem „Yurasis Dragon: Usługi Konsultacyjne” siedział muskularny człowiek w roboczym garniturze, z teczką na kolanach. Mężczyzna powstał na spotkanie Jonathana; Hemlock wprost nie znosił kontaktu fizycznego z tymi ludźmi. Wszyscy oni: czarny robotnik, sprzątaczką, biznesmen, stanowili ochronę CII, a w skrzynce na narzędzia, kiju od szczotki i w teczce znajdowała się broń.

Jonathan stał w rozkroku, z rękami opartymi o ścianę, zażenowany, a zarazem zły na siebie, że doznaje takich uczuć, podczas gdy wprawne ręce biznesmena obmacywały jego ciało i ubranie.

- To coś nowego - powiedział ochroniarz, wyciągając pióro z kieszeni Hemlocka. - Zazwyczaj nosi pan długopis marki francuskiej, ciemnozielony ze złotymi elementami.

- Zgubiłem go.

- Aha. Czy jest w środku atrament?

- Tak. To przecież pióro.

- Wobec tego przykro mi. Ale albo będę musiał zatrzymać je, dopóki pan nie wyjdzie, albo sprawdzić. Jeżeli sprawdzę, straci pan atrament.

- Proszę więc je zatrzymać.

Biznesmen odsunął się na bok i pozwolił Jonathanowi wejść do biura.

- Spóźnił się pan osiemnaście minut, panie Hemlock - rzuciła mu oskarżycielsko panna Cerberus, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi.

- Mniej więcej.

Przytłaczający zapach szpitala uderzał w nozdrza w tym lśniąącym biurze. Panna Cerberus, przysadzista i muskularna w wykrochmalonym białym kitlu pielęgniarki, miała krótko obcięte grube siwe włosy, zimne oczy zwężone do szparek przez worki tłuszczu, skórę tak szorstką, jakby szorowała ją codziennie sodą i zgrzeblem, wąską górną wargę ocieniał agresywny wąsik.

- Wygląda pani dzisiaj bardzo ponętnie, panno Cerberus.

- Pan Dragon nie lubi, gdy mu się każe czekać - burknęła.

- A kto lubi?

- Jest pan zdrowy? - zapytała głosem całkowicie pozbawionym troski.

- W miarę.

- Żadnego przeziębienia? Żadnego kontaktu z jakąkolwiek infekcją, o którym by pan wiedział?

- Jedynie to, co zawsze: podagra, syfilis, elephantiasis.

Popatrzyła na niego ze złością.

- W porządku, niech pan wchodzi. - Przycisnęła guzik, który otworzył znajdujące się za nią drzwi, po czym wróciła do papierów leżących na biurku.

Wszedł do przyległego pokoju i drzwi zamknęły się za nim z hałasem. Stał w przyćmionym czerwonym świetle, które - jak mniemał Dragon - miało ułatwić przejście od błyszczącej bieli zewnętrznego biura do całkowitej ciemności jego gabinetu. Jonathan wiedział, że przyzwyczai się szybciej do ciemności, gdy po prostu zamknie oczy. Natychmiast też ściągnął marynarkę. Temperatura w pokoju i gabinecie Dragona była utrzymywana na stałym poziomie 40° C. Najłżejszy chłód, cudze przeziębienie lub kontakt z wirusem grypy mogłyby unieruchomić go na wiele miesięcy. Pozbawiony był bowiem niemal całkowicie wrodzonej odporności na choroby.

Drzwi do gabinetu Dragona szczęknięły i rozwarły się na oścież - automatycznie, gdy tylko chłodniejsze powietrze, które wdarło się wraz z Jonathanem do pomieszczenia, osiągnęło poziom 40° C.

- Proszę wejść, Hemlock - zapraszał metaliczny głos z ciemności.

Jonathan wyciągnął ręce i zaczął kroczyć po omacku w kierunku dużego skórzanego krzesła, które jak wiedział, stało naprzeciwko biurka Dragona.

- Troszkę bardziej na lewo, Hemlock.

Kiedy wreszcie usiadł, był w stanie rozróżnić majaczący mgliście rękaw swej białej koszuli. Jego oczy przyzwyczajały się powoli do ciemności.

- Co pan porabiał przez te ostatnie miesiące?

- Retoryczne pytanie.

Dragon zaśmiał się charakterystycznie - trzy sucho brzmiące, wyraźne „cha”.

- Fakt. Mieliśmy baczenie na to, co pan robi. Zostałem poinformowany, że jest na czarnym rynku obraz, który pan sobie upodobał.

- Tak. Pissarra.

- Zatem potrzebuje pan pieniędzy. Dziesięć tysięcy dolarów, jeśli się nie mylę. Trochę drogo jak na to, by się wewnątrznie łaskotać.

- Obraz jest bezcenny.

- Nic nie jest bezcenne, Hemlock. Ceną tego obrazu będzie życie pewnego mężczyzny

w Montrealu. Nigdy nie rozumiałem pana fascynacji płótnem i zaskorupiałymi barwnikami. Kiedyś musi mnie pan tego nauczyć.

- Tego nie można się nauczyć.

- Albo to masz w sobie, albo nie, tak?

- Właśnie.

Dragon westchnął.

- Jak się domyślam, są sprawy wrodzone. - Nie tyle akcent, co przesadna dokładność dykcji zdradzała jego obce pochodzenie. - Cóż, nie powinienem jednak drwić z pana pasji kolekcjonowania obrazów. Gdyby nie ona, nie potrzebowałby pan tak często pieniędzy, a tym samym pozbawiłby nas swoich usług.

W miarę jak źrenice Jonathana się rozszerzały, z ciemności - powoli niczym fotografia leżąca na dnie kuwety z wywoływaczem - począł wypełzać wizerunek Dragona. Hemlock czekał na gwałtowny odpływ krwi, którego miał doświadczyć.

- Proszę uważać, bym nie zmarnował zbyt wiele pańskiego czasu, panie Dragon.

- Co ma znaczyć: przejdźmy od razu do sedna sprawy. - W jego głosie dało się słyszeć rozczarowanie. Czuł przewrotną sympatię do Hemlocka i z przyjemnością uciałyby sobie pogawędkę z tym człowiekiem spoza zamkniętego świata międzynarodowych morderców. - Dobrze więc. Jeden z naszych ludzi, zwany Wormwood, został zabity w Montrealu. Napastników było dwóch. Wydział Ścigania zlokalizował jednego z nich. Pan go zlikwiduje.

Jonathan uśmiechnął się na ten sekretny żargon CII, w którym „maksymalne obniżenie stopnia służbowego” znaczyło przeprowadzenie czystki poprzez morderstwo, „poprawienie biografii” - szantaż, „mokra robota” - zabójstwo, „sankcja” albo „likwidacja” zaś - wzięcie odwetu poprzez pozbawienie życia. Jego oczy przystosowały się już do ciemności i widział teraz niewyraźnie twarz Dragona. Okalały ją białe jak jedwabne nitki i kręcone jak u owcy włosy. Rysy twarzy, rozplywające się w ciemności, miały odcień spieczonego alabastru. Dragon stanowił jeden z najdziwniejszych genealogicznych fenomenów natury: był całkowitym albinosem. To tłumaczyło niesłychaną wrażliwość na światło - jego oczy i powieki były pozbawione ochronnego pigmentu. Urodził się także niezdolny do wytwarzania wystarczającej liczby białych ciałek. W wyniku tego musiał się odizolować od nosicieli jakichkolwiek chorób. Konieczne było też przeprowadzenie co sześć miesięcy transfuzji krwi. Przez pół wieku Dragon wiódł życie w ciemnościach, bez ludzi i z krwią innych w żyłach. Taka egzystencja nie mogła nie wpłynąć na jego osobowość.

Jonathan patrzył mu w twarz, przygotowany na ukazanie się odrażających w istocie rysów.

- Powiedział pan, że Wydział Ścigania zlokalizował tylko jeden z celów?

- Pracują nad drugim. Mam nadzieję, że zidentyfikują go do czasu, gdy pan przybędzie do Montrealu.

- Nie zajmę się nimi oboma. Pan wie o tym. - Jonathan zawarł coś na kształt duchowej umowy sam ze sobą, by pracować dla CII jedynie w razie finansowej potrzeby. Musiał się mieć na baczności, by nie przyjmować wszystkich zadań przeprowadzenia likwidacji, które mu narzucano.

- Może się okazać konieczne, by wypełnił pan oba te zlecenia, Hemlock.

- Nie ma mowy! - Jonathan poczuł, jak jego dłonie zaciskają się na poręczach fotela. Mógł dojrzeć oczy Dragona. Całkowicie pozbawione barwy, o króliczo różowej tęczę i krwistoczerwonej źrenicy. Odwrócił wzrok w odruchu obrzydzenia.

Uraziło to Dragona.

- No dobrze, dobrze, porozmawiamy o drugiej likwidacji, gdy przyjdzie na to pora. - Uśmiechnął się leciutko. - Ludzie rzadko mają dla mnie dobre wiadomości.

- Ta likwidacja będzie pana kosztować dwadzieścia tysięcy.

- Dwa razy więcej niż pana zwykła stawka? No coś takiego, Hemlock!

- Muszę mieć dziesięć tysięcy na Pissarra. I dziesięć na mój dom.

- Nie interesują mnie pana wydatki domowe. Potrzebuje pan dwudziestu tysięcy dolarów. Za likwidację płacimy normalnie dziesięć. Tu wchodzi w grę dwa zadania. Wydaje się, że to dobra kalkulacja.

- Powiedziałem, że nie zamierzam wykonać obu. Chcę dwudziestu tysięcy za jedno.

- A ja mówię, że dwadzieścia tysięcy to dużo za dużo jak na tę robotę.

- W takim razie niech pan wyśle kogoś innego! - Przez chwilę Jonathan stracił panowanie nad sobą.

Dragon poczuł nagły niepokój. Płatni mordercy mieli osobliwą skłonność do ulegania emocjonalnym naciskom związanym z ich pracą i ciągłym niebezpieczeństwem, był więc wyczulony na oznaki tego, co nazywał „chorobą napięcia”. Pewne jej symptomy wystąpiły poprzedniego roku u Jonathana.

- Bądź rozsądny, Hemlock. Akurat teraz nie mamy nikogo innego do dyspozycji. Mieliśmy w wydziale małe... starcie.

Jonathan uśmiechnął się.

- Rozumiem. - Po krótkim milczeniu dodał: - Cóż, jeśli nie macie nikogo innego, to naprawdę nie ma pan wyboru. Dwadzieścia tysięcy.

- Zupełnie nie masz sumienia, Hemlock.

- No tak, ale o tym zawsze wiedzieliśmy. - Zrobił aluzję do wyników testu psychologicznego przeprowadzonego podczas jego służby w wywiadzie w czasie wojny koreańskiej. Naczelný psycholog armii powtórzywszy test, by upewnić się co do niezwykłości odpowiedzi Hemlocka, podsumował swoje wnioski osobliwie nienaukowym językiem:

Wziąwszy pod uwagę, że jego dzieciństwo naznaczone było skrajną biedą i przemocą (skazany trzy razy przez sąd dla nieletnich za napady, do których popchnął go fakt dręczenia przez inne dzieci, uraźone jego wybitną inteligencją i pochwałami ze strony nauczycieli) i wzięwszy pod uwagę upokorzenia, których doznawał od zobojętniałych krewnych po śmierci matki (nie ma żadnej wzmianki o ojcu), niektóre jego antyspołeczne, nieprzyjazne, irytująco wyniosłe zachowania są zrozumiałe, nawet przewidywalne.

Jedna cecha wyróżnia się bezdyskusyjnie. Osobnik ma nadzwyczaj surowe poglądy na temat przyjaźni. Szczytem moralności jest - według niego - lojalność, a największym grzechem jej brak. Żadna kara nie byłaby wystarczająca dla odpłacenia osobie, która nadużyła jego przyjaźni. Utrzymuje też, że inni podlegają jego własnym zasadom w tym samym stopniu co on. Naukowe teorie pozwalają sugerować, że jego cechy stanowią reakcję na poczucie opuszczenia przez rodziców. Jest to wypaczona indywidualność, wyjątkowa w praktyce zawodowej mojej i moich współpracowników, co skłania nas do ostrzeżenia przed tym osobnikiem. Nie znane mu jest normalne poczucie winy. Jest całkowicie pozbawiony sumienia. Nie udało nam się u niego dostrzec jakiegokolwiek śladu negatywnej reakcji na grzech, zbrodnię, seks lub przemoc. Nie oznacza to jednak, że jest niezrównoważony. Wprost przeciwnie, jeśli już, jest właśnie zbyt zrównoważony, jak też zbyt opanowany. A więc typ odbiegający od normy.

Może zostanie postrzeżony jako osobnik idealny dla realizacji zadań wywiadowczych, ale czuję się w obowiązku poinformować, że jest to moim zdaniem, indywidualność w pewnym sensie niedoskonała. I społecznie bardzo niebezpieczna.

- Więc odmawia pan dokonania obu likwidacji, Hemlock, i nalega na dwadzieścia tysięcy tylko za jedną?

- Zgadza się.

Przez chwilę różowo-czerwone oczy zatrzymały się zamyślane na Jonathanie, a dłonie Dragona obracały w tę i w tę ołówek. Wreszcie zaśmiał się swymi trzema suchymi, wyraźnymi „cha”.

- W porządku. Na razie pan wygrał.

Jonathan wstał.

- Domyślam się, że mam nawiązać kontakt z Wydziałem Ścigania w Montrealu?

- Tak. Z sekcją „Liść Klonu”, kierowaną przez pannę Felicity Arce¹... przypuszczam, że tak to się wymawia. Przekaze panu wszelkie instrukcje.

Jonathan włożył marynarkę.

- Co do drugiego zabójcy, Hemlock, to gdy Wydział Ścigania go zlokalizuje...

- Nie będę potrzebował pieniędzy przez następne sześć miesięcy.

- A co, gdybyśmy my potrzebowali pana?

Jonathan nie odpowiedział. Otworzył drzwi do przedpokoju i Dragon skrzywił się na widok przyćmionego czerwonego światła.

Znowu zamigotało jasne światło zewnętrznego pomieszczenia i Jonathan poprosił pannę Cerberus o adres Sekcji Ścigania „Liść Klonu”.

- Proszę. - Machnęła mu przed oczyma małą białą kartką, dając tylko pięć sekund na zapamiętanie treści, zanim włożyła fiszkę z powrotem do kartoteki. - Pańskim łącznikiem będzie panna Felicity Arce.

- A więc naprawdę to się tak wymawia. Patrzcie, patrzcie...

¹ Arce - hiszp. klon (przyp. tłum.).

LONG ISLAND

2 czerwca

Jonathan wziął na koszt CII taksówkę spod biura Dragona do swego domu na północnym brzegu Long Island.

Ogarnęło go uczucie spokoju i bezpieczeństwa, kiedy tylko zamknął za sobą ciężkie dębowe drzwi prowadzące do przedsionka, który pozostawił nie zmieniony, przeistaczając swego czasu kościół w mieszkanie. Wszedł po krętych schodach z gotyckimi łukami na górę, do chóru, teraz podzielonego na obszerną sypialnię z widokiem na główną część budynku i łazienkę o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, na środku której znajdował się głęboki rzymski basen, używany przez Hemlocka jako wanna. Podczas gdy z czterech kranów płynęła do basenu gorąca woda, wypełniając pomieszczenie parą, rozebrał się, starannie otrzepał i złożył ubranie, i spakował walizkę przeznaczoną na podróż do Montrealu. Potem zanurzył się ostrożnie w bardzo gorącej kąpeli. Unosił się na wodzie, nie dopuszczając ani chwili myśli o Montrealu. Nie miał wyrzutów sumienia, ale odczuwał strach. Wyznaczonych mu zadań likwidacji dokonywał - tak jak kiedyś trudnych wspinaczek górskich - na skraju wytrzymałości nerwowej. Luksus posiadania tej rzymskiej wanny, która niegdyś pochłonęła cały dochód z likwidacji, nie był li tylko sybarycką reakcją na niedostatki w dzieciństwie - raczej koniecznym dodatkiem do jego niezwykłego fachu.

Odziany w japoński szlafrok zszedł z chóru i przez ciężkie podwójne drzwi udał się do głównej części swego domu. Kościół został zaprojektowany w klasycznym kształcie krzyża i Hemlock przeznaczył całą nawę główną na przestronny salon. Jedno ramię nawy poprzecznej zostało przekształcone w oranżerię; witraże zastąpiono zwykłym szkłem, a umieszczony pośrodku kamienny basen z fontanną otaczał gąszcz tropikalnego listowia. Drugie ramię, wypełnione półkami na książki, służyło jako biblioteka.

Szedł bosy po kamiennej podłodze nawy o wysokim sklepieniu. Światło padało z rzędu okien w nawie głównej ponad nawą boczną, co mu bardzo odpowiadało, jako że żywił zamiłowanie do przyćmionych zimnych wnętrz i ogromnej bezbrzeżnej przestrzeni. W nocy wystarczyło przekręcić kontakt, by oświetlić witraże od zewnątrz - natychmiast tworzyły się kolorowe kolaże na ścianach. Szczególnie lubił ten efekt, kiedy padał deszcz i kolorowe cienie tańczyły i falowały na powierzchni ścian.

Odsunął barierkę i wszedł po dwóch schodkach do baru, gdzie przygotował sobie

martini; popijał je ze smakiem, podpierając się z tyłu łokciami o bar i przyglądając swemu domowi z ukontentowaniem i dumą.

Po jakimś czasie doznał przemożnej potrzeby obcowania ze swoimi obrazami, zszedł więc po krętej kamiennej klatce schodowej do sutereny, gdzie je porozmieszczał. Przez pół roku pracował wieczorami rozkładając na podłodze i wieszając na ścianach pomieszczenia kasetony pochodzące z włoskiego pałacu z okresu odrodzenia, które przez jakiś czas zdobiły główny hol posiadłości pewnego księcia nafty. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światła. Na ścianach mieniły się barwami dzieła Moneta, Cezanne'a, Utrilla, van Gogha, Maneta, Seurata, Degasa, Renoira i Cassatta. Powoli obchodził pomieszczenia dookoła, pozdrawiając swych ukochanych impresjonistów, wielbiąc każdego za niepowtarzalny wdzięk i moc i przypominając sobie przez cały czas trudności - często niebezpieczeństwo - jakie napotykał, kiedy je zdobywał.

W sali znajdowały się małe w stosunku do jej rozmiarów meble: wygodna kanapa z nieokreślonej epoki, skórzany puf z rzemiennymi uchwytami, dzięki którym mógł ciągnąć go ze sobą, by usiąść przed tym czy innym obrazem, czynny piec typu Franklin, zapas suchych kłód cedrowych umieszczonych w rzymskim kufrze oraz fortepian „Bartolomeo Cristofore”, na którym grywał z dużym kunsztem, choć niewielkim uczuciem. Na podłodze leżał kashan z 1914 roku - prawdziwy i tak bardzo orientalny. A w rogu, nie opodal pieca, stało małe biurko, przy którym wykonywał większość swojej pracy. Nad biurkiem, zupełnie nie idąc w parze z wystrojem wnętrza, wisiało tuzin fotografii przyczepionych na chybił trafił do ściany. Były to nie upozowane zdjęcia z górskich epizodów, przedstawiające niezdarnych alpinistów lub chłopięco błazeńskie twarze - odważnych mężczyzn, którzy nie potrafili stanąć przed obiektywem bez skrzepowania i musieli się ukryć za nedorzecznymi minami. Na większości fotografii widniał Jonathan i jego towarzysz wspinaczek z całego życia, Big Ben Bowman, który - przed wypadkiem - zaliczył większość najwyższych szczytów świata z charakterystycznym dla niego brakiem finezji. Ben po prostu atakował skałę ze zwierzęcą siłą i nieprzewyciężoną wolą. Tworzyli osobliwy, lecz szczęśliwie dobrany zespół: Jonathan był przebiegłym taktykiem, a Big Ben rozsadzającym góry zwierzęciem.

Tylko jedna fotografia przedstawiała mężczyznę z nizin. Na pamiątkę swej wielkiej przyjaźni z jednym z członków międzynarodowej kliki szpiegowskiej Hemlock zrobił zdjęcie, na którym późniejszy Henri Baq zmusza się do uśmiechu do aparatu. Henri Baq, którego śmierć Jonathan pewnego dnia pomści.

Usiadł przy biurku i dokończył martini. Następnie wyciągnął małą paczkę z szuflady, napełnił ozdobną czarę nargili i postawił ją na dywanie przed Cassattem. Usiadł na

skórzanym pufie i palił, pieszcząc płótna odprężonym wzrokiem. Nagle, ni z tego, ni z owego, jak to czasami bywa, przyszło mu na myśl, że cały swój styl życia - karierę naukową, sztukę, dom - zawdzięcza biednej pannie Ophel.

Biedna panna Ophel. Wyszuszone, nerwowa, słabowita stara panna. Ophel z szorstkim kroczem. Zawsze tak o niej myślał, aczkolwiek miał na tyle rozumu, by udawać nieśmiałość i wdzięczność, gdy odwiedzała go w domu dziecka. Panna Ophel mieszkała samotnie na peryferiach Albany w rezydencji, przypominającej o braku smaku w epoce wiktoriańskiej. Była ostatnią z rodziny, która dorobiła się majątku na nawozie sprowadzanym kanałem Erie. Ale nie miało już być więcej Ophelów. Ograniczone uczucia macierzyńskie, jakie jej jeszcze pozostały, przelała na koty, ptaki i szczeniaki, obdarzane cukierkowymi imionami. Pewnego dnia przyszło jej do głowy, że praca społeczna może stanowić rozrywkę - tak jak jest pożyteczna. A że temperament nie skłaniał jej do odwiedzania cuchnących moczem slumsów i do głaskania po głowie dzieci, które mogły mieć gnidy, poprosiła swego adwokata, by dowiedział się o kogoś, kto znajduje się w potrzebie, ale kogo by cechowała jednocześnie pewna ogłada. I mecenas znalazł Jonathana.

W tym czasie Jonathan przebywał w areszcie, odsiadując karę za usiłowanie zmniejszenia nadmiaru ludności na ulicy North Pearl o dwóch drwiących z niego irlandzkich chłopców, którzy uznali, że skoro zdumiewa nauczycieli Szkoły Podstawowej numer 5 wiedzą i bystrością umysłu - to musi być podejrzany. Jonathan był niższy, wymierzył jednak cios, w momencie gdy tamci wciąż jeszcze mówili kpiąco: „Ach tak?”, nie przeoczył też półmetrowej ołowianej rury, którą dostrzegł leżącą w alei. Naoczni świadkowie interweniowali, powstrzymując Irlandczyków od dalszych kpin; nigdy już jednak chłopcy ci nie mieli zostać przystojnymi mężczyznami.

Gdy panna Ophel przyszła odwiedzić Jonathana, wydał jej się delikatny i dobrze wychowany, inteligentny i niezwykle atrakcyjny ze swoimi łagodnymi oczyma i wrażliwą twarzą i zdecydowanie godny opieki. A gdy odkryła, że nie ma domu - jak jej szczeniaczki i ptaki - podjęła decyzję. Tuż po swoich czternastych urodzinach zamieszkał w domu Ophelów i po serii testów badających jego inteligencję i zdolności, odbywał lekcje z wieloma nauczycielami, którzy przygotowywali go do studiów uniwersyteckich.

Każdego lata, w celu poszerzenia jego wiedzy, zabierała go do Europy, gdzie zauważył, iż ma wrodzoną zdolność do języków i co ważniejsze dla niego, odkrył miłość do Alp i do wspinaczki. W wieczór jego szesnastych urodzin odbyło się małe przyjęcie; tylko ich dwoje, szampan i kruche ciasteczka. Panna Ophel lekko się upiła i zapłakała nad swym pustym życiem, była też bardzo czuła w stosunku do Jonathana. Wzięła go w objęcia i pocałowała

suchymi ustami. Potem przytuliła go mocniej.

Nazajutrz rano znalazła miłe określenie na to, co się stało, i od tej chwili niemal każdego wieczoru nieśmiało prosiła go, by jej to robił.

Następnego roku Jonathan, w wieku siedemnastu lat, po serii testów, wstąpił do Harvardu. Na krótko nim ukończył wyższe studia, a liczył sobie wówczas dziewiętnaście lat, zmarła spokojnie podczas snu panna Ophel. Korzystając z zadziwiająco małych resztek majątku Ophelów Jonathan kontynuował naukę, w sezonie letnim zaś wyjeżdżał do Szwajcarii, gdzie zdołał wyrobić sobie opinię jako wspinacz.

Zdał egzamin końcowy z lingwistyki porównawczej wykorzystując swoje zamiłowanie do logiki i wrodzoną łatwość do nauki języków. Nie zajął się jednak tą dziedziną, z powodu zbiegu okoliczności, który tak często układa nasze życie wbrew naszym planom.

Powodowany kaprysem, zatrudnił się latem u profesora historii sztuki; miał pomagać przy katalogowaniu skonfiskowanych hitlerowcom po wojnie łupów. Najcenniejsza część tych odzyskanych dóbr przeszła w ręce amerykańskiego magnata prasowego, natomiast resztki подарowano uniwersytetowi, by ułagodzić narodowe sumienie Ameryki - zupełnie skądinąd zdrowe, sądząc po tym, jak zniosło bez żadnego widocznego uszczerbku gwałt zadany Hiroszynie.

W trakcie owego katalogowania Jonathan zarejestrował mały obraz olejny jako „nieznanego artysty”, choć na karteczce z tyłu malowidła zaznaczono, że wyszedł spod pędzla drugorzędnego malarza włoskiego z okresu renesansu. Profesor skarcił go za omyłkę, Jonathan jednak oświadczył, że nie popełnił błędu.

- Skąd możesz mieć tę pewność? - zapytał profesor ubawiony.

Jonathana zaskoczyło to pytanie. Był na tyle jeszcze młody, by uważać, że nauczyciele znają się na swojej dziedzinie.

- No, to oczywiste. W zeszłym tygodniu widzieliśmy obraz tego samego artysty. Ten zaś malowała inna ręka. Proszę tylko spojrzeć.

Profesor poczuł się nieswojo.

- Skąd wiesz?

- Proszę tylko spojrzeć! Oczywiście, możliwe, że tamten został mylnie oznaczony. Ale jak mam to sprawdzić?

Wszczęto małe dochodzenie, które wykazało, że Jonathan miał rację. Jeden z obrazów został namalowany przez ucznia podrzędnego mistrza. Było to zresztą poświadczane i przez trzysta lat ogólnie znane, niemniej teraz przeleciało po prostu przez sito pamięci historii sztuki.

Profesora mniej zainteresowało autorstwo stosunkowo mało ważnego obrazu niż tajemnicza zdolność, dzięki której Jonathan to wykrył. Ale nawet sam Jonathan nie był w stanie wytłumaczyć, jak to się działo, że po obejrzeniu pracy danego autora mógł rozpoznać każdy inny obraz malowany tą samą ręką. Wnioski wyciągał natychmiast i intuicyjnie, mimo to były one całkowicie niepodważalne. Zawsze miał problemy z Rubensem i jego fabryką obrazów, van Gogha zaś był zmuszony traktować jako dwie odrębne indywidualności - jedną przed rozstrojem nerwowym i pobytem w St Remy, drugą po - niemniej jego sądy były przeważnie nieomyłne i wkrótce ważniejsze muzea i poważni kolekcjonerzy nie mogli się bez niego obejść.

Po zakończeniu nauki objął posadę nauczyciela w Nowym Jorku i rozpoczął karierę publicysty. Artykuły ukazywały się jeden po drugim, kobiety przewijały się przez jego mieszkanie na Dwunastej Ulicy, miesiące mijały na przyjemnej i banalnej egzystencji. Wreszcie, tydzień po zejściu z prasy jego pierwszej książki, przyjaciele i współobywatele stwierdzili, że będzie szczególnie przydatny na pierwszej linii w Korei.

Na szczęście, nie stawiano go często na pierwszej linii, a te nieliczne pociski, które koło niego przeleciały, zostały wysłane przez jego własnych rodaków. Ponieważ był inteligentny, wcielono go do wywiadu do Dywizji „Sfinks”. Zmarnował cztery lata, broniąc swego narodu przed agresją lewicowego imperializmu oraz demaskując próby przedsiębiorczych amerykańskich żołnierzy zmierzające do powiększenia ich dochodów, a to poprzez dzielenie się zasobami armii z japońskim i niemieckim czarnym rynkiem. Jego praca wymagała nieustannego podróżowania i zdołał roztrwonić chwalebny ilość rządowego czasu i pieniędzy, wspinając się po górach i gromadząc dane, tak by utrzymać swą błyskotliwą akademicką reputację za pomocą artykułów, które pisywał.

Po tym jak naród dał nauczkę Korei Północnej, Jonathan został przeniesiony do cywila i powrócił mniej więcej do tego samego punktu, z którego wyrwała go wojna. Wiódł przyjemne, ale i pozbawione celu życie. Nauczanie stało się czynnością łatwą i automatyczną, zamówienia na artykuły były rzadkie i oddawał je bez ulepszającej tekst korekty, a jego życie towarzyskie sprowadzało się do próżnowania w domu i podrywania przypadkowo spotykanych kobiet pod warunkiem wszakże, że uwiedzenie nie wymagało nawet tego najmniejszego wysiłku, jaki na ogół jest potrzebny. To spokojne życie rozpadło się w gruzy z powodu narastającej pasji do kolekcjonowania obrazów. Dzięki pracy w „Sfinksie” znalazło się w jego rękach pół tuzina skradzionych obrazów z okresu impresjonizmu. Te pierwsze nabytki rozbudziły w nim niepohamowany zapal kolekcjonerski. Patrzenie i podziwianie już mu nie wystarczało - musiał je mieć. Kontakty ze „Sfinksem” otworzyły mu drogę do

podziemnego i czarnorynkowego handlu obrazami, a jego nieomyłne oko chroniło go przed oszustami. Niestety, jego dochody były niewspółmierne do potrzeb.

Po raz pierwszy w życiu pieniądze stały się dla niego ważne. Na domiar, właśnie wtedy pojawił się następny powód, dla którego potrzebował ich naprawdę dużo. Odkrył na Long Island wspaniałą opuszczony kościół, który od razu wyobraził sobie jako idealny dom dla siebie i swoich obrazów.

Nagła potrzeba posiadania pieniędzy, praktyka w „Sfinksie” i ta jego szczególna struktura psychiczna, sprawiająca, że nie znał poczucia winy - oto czemu dojrzał do kontaktu z Dragonem.

Jonathan siedział jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, gdzie mógłby powiesić Pissarra, którego kupi za pieniądze otrzymane za likwidację w Montrealu. Następnie wstał leniwie, wyczyścił i odstawił czarę, usiadł przy fortepianie i zagrał kawałek Haendla, po czym poszedł spać.

MONTREAL

5 czerwca

Wieżowiec był typowym produktem demokratycznej architektury klasy średniej. Każdy z mieszkańców miał możliwość zerknąć na park La Fontaine'a - choć niektórzy jedynie po akrobatycznych wyczynach na swoich ciasnych balkonach ze wspornikiem - ale żaden nie był w stanie dobrze go zobaczyć. Drzwi wejściowe do holu został zrobione z ciężkich płyt ze szkła i wisiały na zawiasach umocowanych w odległości dwudziestu centymetrów od ich krawędzi; w holu był czerwony dywan od ściany do ściany, plastikowe paprocie, samoobsługowa, wyściełana w środku winda i bezwartościowe tarcze herbowe, rozmieszczone bezładnie na ścianach.

Jonathan stał w sterylnym holu, czekając, by ktoś zareagował na dzwonek, i spoglądając z niesmakiem na wypukłą szwajcarską reprodukcję Cezanne'a, która miała przydać luksusu temu pomieszczeniu. Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi.

Panna Arce była nieźle wyposażona w fizyczne przymioty, wręcz hojnie, cóż z tego, gdy całkowicie zakryte. W uszytym przez krawca tweedowym kostiumie wyglądała jak szczelnie opakowana przesyłka pocztowa. Jasna gęsta grzywka, szerokie kości policzkowe, pełne usta, biust, wytrzymujący ucisk zakietu, płaski brzuch, wąska talia, szerokie biodra, długie nogi i cienkie kostki. Miała na sobie buty, ale przypuszczał, że palce stóp są również takie, jakie być powinny.

- Pani jest...? - Uniósł brwi, by zmusić ją do wypowiedzenia nazwiska, ponieważ w dalszym ciągu nie był pewien jego wymowy.

- Felicity Arce - powiedziała, wyciągając rękę w geście zaproszenia. - Proszę wejść. Cieszyłam się na myśl o poznaniu pana, panie Hemlock. Jest pan dobrze notowany w naszej branży.

Odsunęła się na bok, by go przepuścić. Mieszkanie harmonizowało z budynkiem: drogie i bez klasy. Gdy podali sobie ręce, zauważył, że jej przedramię pokrywają lśniące miękkie złote włoski. Wiedział, że to dobry znak.

- Sherry? - zaproponowała.

- O tej porze?

- To może whisky?

- Proszę.

- Szkocką czy bourbona?

- Czy ma pani laphroaig?

- Obawiam się, że nie.

- W takim razie wszystko jedno.

- Proszę usiąść, a ja napełnię szklaneczki. - Podeszła do wbudowanego barku o przykurzonej bieli, spod której ledwo, ledwo przebierało sosnowe drewno. Poruszała się energicznie, ale też kołysała czym trzeba w okolicach talii. Usiadł w rogu kanapy i odwrócił się w kierunku drugiego w ten sposób, że byłoby całkowicie niegrzecznie z jej strony usiąść gdzie indziej.

- Wie pani - skomentował - to mieszkanie jest okropnie brzydkie. Ale wyczuwam, że pani będzie bardzo dobra.

- Bardzo dobra? - zapytała, zerkając przez ramię i nalewając szczerze whisky.

- Gdy będziemy się kochać. Poproszę więcej wody.

- Tyle?

- Wystarczy.

Wracając ze szklankami, uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Mamy inne rzeczy do załatwienia niż kochanie się, Hemlock.

Ale usiadła na kanapie tam, gdzie wskazał jej ręką. Pociągnął łyk.

- Możemy znaleźć czas na jedno i drugie. Ale oczywiście to zależy od ciebie. Rozważ to przez chwilę. A w tym czasie powiedz mi, co powinienem wiedzieć o tej likwidacji.

Panna Arce podniosła wzrok do sufitu i na sekundę zamknęła oczy w skupieniu.

- Facet, którego zabito, nosił pseudonim Wormwood, i to wszystko, co wiemy.

- Co robił w Kanadzie?

- Nie mam pojęcia. Coś dla CII. No, ale to na pewno nie nasza sprawa.

- Nie, chyba nie. - Wyciągnął rękę, a ona ujęła ją i poczęła lekko uciskać palcami. - Co dalej?

Wormwooda zaatakowano w małym hotelu w alei Casgran... mmm, to przyjemne... Znasz tę część miasta?

- Nie. - Dalej głaskał wewnętrzną stronę jej nadgarstka.

- Na szczęście szefostwo z CII dało mu obstawę. Facet znajdował się w sąsiednim pokoju i usłyszał uderzenie. Jak tylko obaj zabójcy uciekli, wszedł do pokoju Wormwooda i zrobił, co do niego należało. Zaraz potem skontaktował się z Wydziałem Ścigania i Likwidacji. Dragon mi to powiedział.

Jonathan pocałował ją delikatnie.

- Czy to znaczy, że facet, który go obstawiał, po prostu siedział sobie w sąsiednim pokoju i nie ruszył palcem, by mu pomóc?

- Jeszcze whisky?

- Nie, dziękuję. - Wstał, pociągając ją za sobą. - Gdzie jest? Tam?

- Sypialnia? Tak. - Poszła za nim. - Chyba wiesz, na czym polega ich praca, Hemlock. Zadaniem tego rodzaju obstawy jest obserwowanie i informowanie, a nie wtrącanie się. Poza tym, wygląda, jakby wypróbowywali nowy pomysł.

- Tak? Jaki pomysł? Nie gniewaj się, kochanie. Te haftki zawsze wprawiają mnie w zakłopotanie.

- Daj, ja to zrobię... Zawsze mieli problem z wyciszeniem ruchów i odgłosów obstawy, kiedy już zakotwiczyli ją w sąsiednim pomieszczeniu. Teraz wpadli na pomysł, by zachowywali się hałaśliwie, a nie starali wyciszać...

- Dobry Boże! Trzymasz tę pościel w lodówce?

- To jedwab na twoją cześć. Przeprowadzali eksperyment z taśmą, na której był nagrany kaszel starego człowieka. Odtwarzali ją dzień i noc, ostrzegając przed obecnością lokatora w sąsiednim pokoju, tak by nikomu nie mogło przyjść do głowy, że to agent... Och! To moje wrażliwe miejsce. Na początku mnie tu łaskocze, potem już nie... Nie jest to sprytne?

- Kaszlący stary człowiek? O tak, sprytne.

- A więc, jak tylko Dragon przysłał mi formularz B-3611, przystąpiłam do pracy. Było to zresztą dosyć łatwe... Lubię zwłaszcza zewnętrzną stronę.

- Tak, zauważyłem to.

- Wydaje się, że ten Wormwood nie był tak całkiem nieudolny. Zranił jednego z tych dwóch facetów. Agent widział, jak opuszczali hotel, i nawet z okna zauważył, że jeden z nich utyka. Drugi, ten, który nie został zraniony, najwyraźniej uległ panice. Podbiegł... och, och, cudownie!... podbiegł w kierunku latarni po drugiej stronie hotelu. Gdy zatrzymał się, by zaczerpnąć powietrza, agent go rozpoznał. Reszta była... aj! ajaj!... reszta była łatwa.

- Jak się nazywa cel?

- Kruger. Garcia Kruger. Bardzo niebezpieczny typ.

- Bujasz z tym nazwiskiem.

- Nigdy nie bujam jeśli chodzi o nazwiska... Ooch! Aj!

- Co masz na myśli, mówiąc, że to niebezpieczny typ?

- Sposób, w jaki załatwił Wormwooda. On... och, Boże! On... On...

- Przyj stopami!

- Dobrze... Wormwood połknął jakąś kulkę, którą miał ze sobą. Kruger przyszedł po to

z nożem. Gardło i brzuch... Och! O tak! Och, tak... tak...

- Czytałaś dużo Joyce'a?

Wypowiadała słowa z wysiłkiem, przez zaciśnięte zęby, a z jej skurczonego gardła wydobywały się krótkie piski.

- Nie, aj! Czemu pytasz?

- Nic takiego. Co z drugim mężczyzną?

- Z tym, co kulał? Nic jeszcze nie wiadomo. Ale nie zawodowiec, tego jesteśmy pewni.

- Skąd wiecie, że nie jest zawodowcem?

- Źle się poczuł, gdy Kruger załatwiał Wormwooda. Zwymiotował na podłogę... Uhm...

Aha... Ajajajajaj! - Wygięła swoje silne plecy i oderwała go od łóżka. Osiągnęli orgazm w tym samym czasie.

Jeszcze przez chwilę delikatnie pieścili się i łagodnie poruszali biodrami.

- Wiesz, Hemlock - powiedziała łagodnym, zrelaksowanym, choć nieco ciężkim z wysiłku głosem. - Masz naprawdę wspaniałe oczy. Choć właściwie są trochę tragicomiczne.

Spodziewał się tego. Zawsze mówiły o jego oczach, gdy było już po wszystkim.

Nieco później siedział na brzegu wanny i napełniał prezerwatywę wodą. Część jego uroku stanowiły takie drobne, wyrażające troskę gesty.

- Myślałam o twojej broni, Hemlock.

- Co z nią?

- Według informacji przysłanych przez Dragona używasz dużego kalibru.

- Zgadza się. Muszę. Nie znam się za bardzo na strzelaniu. Skończyłaś?

- Uhm.

Ubrali się i nalali sobie ponownie whisky, zasiadając w urządzonym zupełnie bez polotu pokoju dziennym. Panna Arce poinformowała go szczegółowo o nawykach i rozkładzie dnia Garcii Krugera, odpowiedziała też na stawiane przez Jonathana pytania. Na koniec powiedziała:

- To wszystko, co zgromadziliśmy. Powinieneś to przestudiować, a potem zniszczyć. A to twoja broń. - Podała mu gruby brązowy pakunek. - Zobaczmy się jeszcze?

- A czy to rozsądne?

- Myślę, że nie. Mogę ci coś powiedzieć? Bo wiesz... tak naprawdę, pewnie domyślasz się, o co mi chodzi?

- Nie.

- Przypomniałam sobie, że jesteś mordercą.

- I to cię dręczy?

- Och, nie! Wprost przeciwnie. Ale nie jest to zastanawiające?

- Ja wiem, raczej normalne. - Wziął pakunek i broń i ruszył w stronę drzwi.

Poszła za nim, oczekując pożegnalnego pocałunku i zupełnie nie zwracając uwagi na chłód, który ogarnął go jak zwykle po spółkowaniu.

- Dziękuję - powiedziała cicho - za radę, aby przeć stopami. To naprawdę pomaga.

- Lubię wiedzieć, że wzbogaciłem ludzi o coś nowego.

Wyciągnęła rękę, którą ujął.

- Masz naprawdę wspaniałe oczy, Hemlock. Cieszę się, że przyszedłeś.

- To miłe z twojej strony, że mnie tak ładnie przyjąłeś.

Gdy czekał na windę w korytarzu, uzmysłowił sobie, że jest zadowolony z wieczoru. Coś tak nieskomplikowanego, normalnego i zaspokajającego na pewien czas - jak oddanie moczu. Chciał, by tak właśnie wyglądało jego życie erotyczne.

Ogólnie rzecz biorąc, jego wyczyny seksualne nie były bardziej szumne niż, powiedzmy, fantazje przeciętnego kawalera. Ale ta miłosna aktywność miała tendencję zwykłą, gdy zlecano mu wykonanie wyroku. Z jednej strony było wtedy pełno okazji. Z drugiej, jego apetyt seksualny zaostrzał się w obliczu niebezpieczeństwa; może grała tu rolę ta sama perwersyjna siła natury, która napędza liczbę urodzin w czasach wojny.

W łóżku był naprawdę dobry. Jego sprawność nie była czymś wyuczonym, i to go odróżniało nieco od olbrzymiej większości mężczyzn. Nie wynikała również ze sztuki uwodzenia ani ze specjalnego przygotowania. Była po prostu następstwem niespotykanej wytrzymałości i bogatych doświadczeń.

Jeśli chodzi o doświadczenie, wystarczy powiedzieć, że rzadko tracił kontrolę powodowany ciekawością. Po Ankarze, Osace i Neapolu żadne pozy, żadne wyrafinowane poruszenia nie były mu obce. Istniały jedynie dwa typy kobiet, z którymi nigdy nie miał do czynienia: australijskie aborygenki i Eskimoski. Nie palił się zresztą do tego, by wypełnić którąś z tych etnicznych luk, a to z powodu wrażliwości węchowej.

Najważniejszym jednak powodem tej bohaterskiej wytrzymałości był jego zmysł dotyku. Podczas stosunku Jonathan najzwyczajniej nic nie czuł. To znaczy, nigdy nie doświadczył tej miejscowej fizycznej ekstazy, którą kojarzymy ze szczytem. Oczywiście, jego biologiczna maszyna produkowała regularnie spermę, a jej nadmiar przeszkadzał mu, dokuczał we śnie, odrywał od pracy. Czuł więc wielką ulgę w momencie rozładowania. Ale oznaczało to tylko koniec niewygody, a nie osiągnięcie przyjemności.

Tak więc raczej należało mu współczuć z powodu owej nadzwyczajnej kontroli, niż zazdrościć posiadanej dzięki niej znajomości rzeczy.

MONTREAL

9 czerwca

Wypalił papierosa, po czym wyrzucił zawartość popielniczki do toalety. Usiadł w ubraniu na łóżku i wykonał kilka uspokajających ćwiczeń; oddychając głęboko i regularnie, rozluźniał po kolei każdy mięsień swego ciała, przyciskając przy tym opuszki palców do siebie i koncentrując całą uwagę na skrzyżowanych kciukach. Ciemny hotelowy pokój rozjaśniały promienie słońca wpadające przez zasłonięte story. W snopie światła unosiły się pyłki kurzu.

Ranek spędził na przepowiedzeniu sobie po raz ostatni, jak wyglądają codzienne zajęcia Garcii Krugera, po czym zniszczył informację Wydziału Ścigania. Odwiedził też dwie galerie sztuki; przechadzał się po nich wolnym krokiem, starając się przyspieszyć przemianę materii, by przygotować się do stojącego przed nim zadania.

Gdy uznał, że jest już fizycznie i psychicznie przygotowany, podniósł się powoli z łóżka i otworzył górną szufladę komody, skąd wyciągnął brązową torbę, zawiniętą u góry, przypominającą paczuszkę ze śniadaniem, tyle że znajdował się w niej rewolwer z tłumikiem, który wręczyła mu panna Arce. Wsunął identyczną torbę, pustą i złożoną, do kieszeni płaszcza i opuścił pokój.

Biuro Krugera mieściło się przy wąskiej, brudnej ulicy tuż za St Jacques, blisko stacji Bonaventure Freight. „Eksport-Import z Kuby - Garcia Kruger”. Ostentacyjna wywieszka jak na towarzystwo, które nie dostawało ani nie wysyłało żadnych przesyłek, i śmieszne nazwisko jak na człowieka, który zrodził się w wyniku przypadkowego pozostawienia na przechowanie spermy jakiegoś niemieckiego marynarza w macicy jakiejś latynoskiej kobiety. Naprzeciwko budynku, między tarasami, bawiło się w berka kilkoro dzieci. Uciekający przed berkiem obdarty ulicznik z wygłodniałą twarzą i ogromnymi uszami potracił Jonathana i byłby upadł, gdyby ten go nie podtrzymał. Zaskoczony i speszony chłopak, rzucił groźne spojrzenie, by ukryć swoje skrępowanie.

- Obawiam się, że wpadłeś, dziecino - odezwał się Jonathan po francusku. - Atak na protestanckiego obywatela jest aktem terroryzmu. Jak masz na imię?

Chłopiec poznał po głosie Jonathana imitującego bandytę, że żartuje, więc zrobił to samo.

- Jacques - powiedział typowym żargonem z Quebecu.

Jonathan udał, że jego ręka to notatnik i że coś w nim zapisuje.

- J-a-c-q-u-e-s. Dobra! Jeśli to się powtórzy, przekażę cię w ręce Elliota.

Po chwili niezdecydowania ulicznik uśmiechnął się szeroko do Jonathana i pobiegł, by się dalej bawić.

Na drugim piętrze oprócz Garcii Krugera urzędowali dentysta i instruktor tańca. Okna zajmowanych przez nich pomieszczeń były do połowy zamalowane reklamami. Tuż przy wejściu Jonathan znalazł karton, który polecił pannie Arce tam dla niego zostawić. Zabrał go idąc na górę po zniszczonych drewnianych schodach, a obluzowane metalowe listwy pobrzękiwały pod jego stopami. Korytarz wydawał się chłodny i cichy po pełnej koloru, hałaśliwej ulicy. Zarówno dentysta jak i instruktor tańca byli nieobecni w ciągu dnia, ale Jonathan wiedział, że zgodnie z informacją, Krugera znajdzie w mieszkaniu.

Na swoje pukanie usłyszał z wnętrza wypowiedzianą zirytowanym głosem odpowiedź:

- Kto tam?

- Szukam doktora Foucheta - powiedział Jonathan, imitując dość przekonująco głupkowato śmiechotliwy głos komiwojażera.

Drzwi otworzyły się na kilka centymetrów i znad łańcucha wyjrzał Kruger. Był wysoki, blade i łysy, z jednodniowym zarostem na policzkach i kropkami białawego śluzu w kąciach oczu. Nosił wygniecioną koszulę w niebiesko-białe paski, pod pachami której widniały ślady wilgoci w kształcie nieregularnych półkoli. Na czole miał pokrytą strupem ranę, nabytą bez wątpienia w wyniku zderzenia z latarnią.

Jonathan, trzymając w rękach karton i przytrzymując brodą leżącą na nim brązową papierową torbę, wyglądał na typowego safandulę.

- Cześć. Jestem Ed Benson z „Arlingtona”.

Kruger, oznajmiwszy mu, że dentysta wyszedł na cały dzień, zaczął zamykać drzwi. Jonathan szybko wyjaśnił, że obiecał przynieść doktorowi Fouchetowi próbną partię nowych nitok dentystycznych, ale się spóźnił.

- Nie tylko z powodu pracy - dodał mrugając.

Kruger łypnął ze zrozumieniem okiem, ale jego ton nie był uprzejmy.

- Powiedziałem panu, że go nie ma.

Jonathan wzruszył ramionami.

- No dobra, jak go nie ma, to go nie ma. - Zaczął się odwracać, ale nagle powiedział, jak gdyby ta myśl właśnie przysła mu do głowy: - Proszę pana! A czy mógłbym zostawić te próbki panu? A pan byłby uprzejmy przekażać je doktorowi Fouchetowi rano. - Uśmiechnął się swym najbardziej rozbajającym uśmiechem. - I już mnie tu nie ma!

Kruger zgodził się niechętnie. Jonathan zaczął podawać mu karton, ale przeszkodził im łańcuch. Kruger zatrzasnął drzwi z gniewem, odpiął łańcuch i otworzył je ponownie. Wchodząc Jonathan paplał o tym, jak gorąco jest na ulicy i jak to nie upał, ale wilgoć dobija człowieka. Kruger chrząknął i odwrócił się, by spojrzeć przez okno, przyzwalając Jonathanowi, by położył paczkę gdziekolwiek w zaśmieconym biurze.

Trach. To był trzask z pistoletu kaliber trzydzieści osiem z tłumikiem, który wystrzelił przez papierową torbę.

Krugerem szarpnęło i zatoczył się w kąt między oknami, na których było z zewnątrz napisane: „Import z Kuby”. Wytrzeszczył pełne zdziwienia oczy na Jonathana.

Hemlock przyglądał mu się bacznie, spodziewając się ruchu w swoją stronę.

Kruger podniósł ręce, odwracając wewnętrzną część dłoni na zewnątrz we wzruszającym geście, jakby pytał: „Dlaczego?”.

Jonathan postanowił ponownie wystrzelić.

Przez dwie cholernie długie sekundy Kruger wydawał się jak Przygwożdżony do ściany.

Jonathan zaczął czuć się nieswojo.

- No, dalej.

I Kruger ześlizgnął się powoli po ścianie, a śmierć przesłoniła mu patrzące gdzieś w nieskończoność oczy, w których pozostawały wciąż widoczne obrzydliwe białe kropki śluzu. Jonathan nie obawiał się identyfikacji - nie znał przecież Krugera aż do tego dnia, nie miał też żadnego motywu. Złożył pękniętą torbę i schował ją wraz z rewolwerem do nowej, którą ze sobą przyniósł.

Ludzie nigdy nie noszą broni w brązowych papierowych torbach.

Na zewnątrz, w oślepiającym świetle ulicy, nadal bawiły się dzieci wokół tarasów. Mały Jacques zobaczył wychodzącego z budynku, gdzie miał biuro Kruger, Jonathana i pomachał mu z drugiej strony ulicy. Jonathan złożył palce w kształt pistoletu i strzelił w stronę chłopca, który podniósł ręce i upadł na chodnik z wyrazem udawanego bólu. Potem obydwaj się roześmiali.

MONTREAL /NOWY JORK/ LONG ISLAND

10 czerwca

Czekając, aż samolot zacznie kołować, Jonathan rozłożył teczkę i papiery na siedzeniu obok siebie i zaczął sporządzać notatki do zaległego od dawna artykułu pod tytułem „Toulouse-Lautrec: sumienie społeczne”. Obiecał go wydawcom magazynu o sztuce o liberalnych poglądach. Mógł się rozsiąść wygodnie, miał bowiem w zwyczaju kupować dwa sąsiadujące ze sobą miejsca; koszty i tak ponosił CII, a on zabezpieczał się w ten sposób przed niepożądaną rozmową. Tym razem nie groziło mu to zupełnie, gdyż przedział pierwszej klasy był prawie pusty.

Tok myślenia przerwał mu ojcowski, nieciekawy głos pilota, zapewniającego, że znany mu jest cel podróży i wysokość, na jakiej będą lecieć. Ponieważ artykuł nie interesował go na tyle, by wrócić do pracy po tej przerwie, zaczął kartkować książkę, którą obiecał sobie przejrzeć. Była to rozprawa naukowa Tilmana-Riemanschnaidera „Człowiek i jego czasy”. Jonathan znał autora i wiedział, że książka została napisana językiem mającym dotrzeć zarówno do akademików, jak i przeciętnych odbiorców, a jej styl z pewnością stanowi kompromis między uczonością i lekkością. Pomimo to zamierzał okazać wielkoduszność i przejrzeć ją, wyznawał bowiem teorię, że najpewniejszym sposobem utrzymania wysokiej pozycji na swym polu jest promowanie i popieranie ludzi wyraźnie mniej zdolnych.

Poczuł woń jej perfum; intensywny, ale świeży zapach; miał mu się przypominać i później, nagle i w najmniej odpowiednich chwilach.

- Oba miejsca są pańskie? - zapytała.

Przytaknął, nie odwracając wzroku od pracy. Ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu dojrzał rzucając przelotne spojrzenie kąciem oczu mundur, zignorował ją więc, uprzytomniwszy sobie, że stewardesy, podobnie jak pielęgniarki, to istoty, z którymi mężczyzna, znajdując się w obcym mieście, robi to i owo jeśli nie ma czasu, by poszukać innej kobiety.

- U Veblena jest na to określenie.

Jej głos brzmiał jak rzeka ciepłego miodu.

Zaskoczony erudycją stewardesy, zamknął książkę, którą trzymał na kolanach, i spojrzał do góry w spokojne, rozbawione oczy. Były jasnobrązowe ze złotymi plamkami.

- Zdanie można by równie dobrze przypisać Mimi w ostatnim akcie.

Uśmiechnęła się beztrąsko: miała mocne białe zęby i drobne delikatne wargi. Postawiła znaczek przy jego nazwisku na liście i poszła w stronę dziobu, by zająć się pozostałymi pasażerami. Z nie skrywaną ciekawością przyjrzał się jej jędrnym pośladkom o charakterystycznym afrykańskim kształcie, dzięki którym czarne kobiety mogą unieść się pod dogodnym kątem. Następnie westchnął i pokiwał głową. Wrócił do pracy Riemanschneidera jego wzrok wędrował po stronach, ale nie starał się obciążać treścią mózgu. Później zrobił notatki, po czym się zdrzemnął.

- Gówno? - zapytała, zbliżając usta do jego uszu.

Obudził się i odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Słucham?

Poruszyła się tak, że jej biust znalazł się niecałe dziesięć centymetrów od jego nosa, ale on patrzył uparcie na jej twarz. Uśmiechnęła się - znowu te złote plamki w brązowych oczach - i usiadła na poręczu.

- Zaczęła pani rozmowę mówiąc „gówno”, zgadza się? - zapytał.

- Nie. Ja nie powiedziałam tego. Zapytałam o to.

- Podajecie to wraz z kawą, herbatą i mlekiem?

- Och, raczej linie konkurencyjne. Spojrzałam przez pańskie ramię i zobaczyłam w notesie słowo „gówno” z dwoma wykrzyknikami. Dlatego zapytałam.

- Aha. To komentarz do książki, którą przeglądam.

- Praca naukowa na temat ekskrementów?

- Nie. Tandetny kawałek badań zagmatwany mroczną logiką i zawiłym stylem.

Uśmiechnęła się.

- Mogę znieść mroczną logikę, ale zawiły styl naprawdę mnie męczy.

Jonathanowi podobały się podniesione kąćki jej oczu o orientalnym kształcie, w których czał się cień drwiny.

- Nie wierzę, że jest pani stewardesą.

- Tak jak w zdaniu: Co taka dziewczyna jak ty robi w...? Rzeczywiście, nie jestem stewardesą. Jestem porywaczką w przebraniu.

- To uspokajające. Jak ma pani na imię?

- Jemima.

- Niemożliwe!

- Nie bujam. To naprawdę moje imię. Jemima Brown. Moja matka miała bzika na punkcie etnicznym.

- Niech będzie! Ale chyba oboje przyznamy, że to przesada, by czarna dziewczyna

nosiła takie imię.

- No, nie wiem. Ludzie nie zapominają o tobie, jeżeli masz na imię Jemima.

Kiedy sadowiła się wygodnie na poręczu, jej spódniczka uniosła się do góry.

Jonathan starał się tego nie widzieć.

- Wątpię, aby mężczyźni zapominali o pani łatwo, nawet jeśli miałyby pani na imię Fred.

- O mój Boże, doktorze Hemlock! Czy jest pan tym typem mężczyzny, który próbuje podrywać stewardesy?

- Zazwyczaj nie, ale w tej chwili jestem tego bliski. O, zna pani moje nazwisko.

Przybrała ton serio i wyznała.

- To taka mistyczna rzecz, jaką mam z imionami. Pewien dar. Przyglądam się dokładnie osobie. Potem się koncentruję. Potem sprawdzam na liście pasażerów. I *voilà!* Nazwisko po prostu samo przychodzi.

- No, już dobrze. Jak mówią na panią ludzie, którzy nie mają bzika na punkcie etnicznym?

- Jem. Tyle że wymawiają to jak klejnot². - Na odgłos cichego gongu podniosła wzrok. - Dolatujemy. Musi pan zapiąć pasy bezpieczeństwa. - Poszła w stronę dziobu, by zająć się mniej interesującymi pasażerami.

Chciał ją zaprosić, na przykład, na kolację. Ale stracił tę szansę, a nie ma gorszego towarzyskiego grzechu od złej synchronizacji. Westchnął więc i skierował uwagę na pochylony ukośnie i przywodzący na myśl dziecięcą zabawkę widok Nowego Jorku za oknem.

Na lotnisku Kennedy'ego widział ją przez chwilę. Kiedy łąpał taksówkę, przeszła z dwiema innymi stewardesami; wszystkie trzy szły szybko i w tym samym rytmie i przypomniał sobie, że generalnie czuje awersję do tego gatunku. Nie byłoby ściśle stwierdzenie, że usunął ją ze swoich myśli podczas długiej drogi do domu na Północnym Brzegu, ale udało mu się zepchnąć ją gdzieś w zakamarki świadomości. Myśl, że gdzieś tam jest, niezwykle podnosiła go na duchu. To tak, jakby mieć małe co nieco, przechowane w ciepłe piecyka.

Jonathan moczył się w parującej wodzie w swej rzymskiej wannie; napięcie ostatnich kilku dni powoli zniknęło, kręgi szyjne rozluźniały się, nawet ucisk między oczyma i w mięśniach szczękowych zelżał, choć opornie. Ale żołądek wciąż miał ściśnięty ze strachu.

² Gem - ang. kamień szlachetny, klejnot, też przenośnie: perła (przyp. tłum.).

Wypił martini przy barku, wypalił fajkę w podziemnej galerii, wreszcie trafił do kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Znalazł kilka sucharków, słoik masła orzechowego, małą puszkę pikli i połowę butelki szampana. Ograbiwszy kuchnię z resztek zapasów poszedł do skrzydła nawy poprzecznej, którą przekształcił w oranżerię, i przysiadł obok pluszczącej sadzawki, a plusk wody i ciepłe muśnięcia słonecznego światła uspokajały go.

Zapadając w drzemkę, czuł małe krople potu, łaskoczące go po plecach i rozlewający się w nim ogromny spokój.

Nagle poderwał się - obraz zaskoczonych oczu z białymi kropkami śluzu wyrwał go ze snu. Poczł mdłości.

„Robię się na to za stary - rozżalił się. - W jaki sposób ja się kiedyś w to wplątałem?”

Trzy tygodnie po tym jak odkrył opuszczony kościół, co wzmogło jego potrzebę posiadania pieniędzy, znalazł się w Brukseli, biorąc udział w jakimś zjeździe i trwoniąc pieniądze Fundacji Forda. U schyłku dnia, pewnego deszczowego i burzliwego wieczoru, wpadł do jego hotelowego pokoju agent CII; zrazu nie mówił wprost o co chodzi, wreszcie spytał go, czy nie zrobiłby czegoś dla swojego kraju. Opanowując wesołość Jonathan poprosił o pełniejsze wyjaśnienie. Zadanie było niezwykle proste dla człowieka, który odbył praktykę w „Sfinksie”: miał wsunąć kopertę do teczki włoskiego delegata na zjazd. Trudno powiedzieć, dlaczego się zgodził. Owszem, był znudzony, a napomknięcie o finansowej gratyfikacji padło akurat w czasie, gdy namierzył swego pierwszego Moneta. A na dodatek ów Włoch miał czelność nie tak dawno wyznać, że jego wiedza o impresjonistach jest niemal równa wiedzy Jonathana. Tak czy owak, wykonał zadanie. Nigdy nie dowiedział się, co było w kopercie, ale później doszły go wieści, że Włoch został złapany przez agentów swego własnego rządu i wtrącony do więzienia za spisek.

Kiedy wrócił do Nowego Jorku, czekała na niego koperta z dwoma tysiącami dolarów. Za wydatki, jak napisano na karteczce.

W następnych miesiącach wykonał trzy podobne zlecenia dla CII i otrzymał równie hojną zapłatę. Mógł kupić jeden obraz i kilka szkiców, ale kościół nadal pozostawał poza zasięgiem jego możliwości finansowych. Bał się, że ktoś inny kupi jego dom - bo tak już o nim myślał, jak o własnym. Co prawda, takie niebezpieczeństwo raczej nie istniało. Większość religijnych sekt z Long Island opuszczała tradycyjne kościoły, przenosząc się do szałasów z sekwoi w kształcie litery A, bardziej stosownych według nich dla pełnienia służby bożej.

Punkt zwrotny w tej pracy - okres próbny, jak później doszedł do wniosku, nastąpił w

Paryżu, gdzie spędzał urlop bożonarodzeniowy, przy okazji doradzając dyrekcji muzeum z Teksasu w zakupach - próbował przekonać ich, że małe obrazy mogą być tak samo wiele warte, jak duże. CII zlecił mu proste zadanie, polegające na wsunięciu kompromitującego materiału do notatnika francuskiego oficjela rządowego. Na nieszczęście, w chwili gdy Jonathan wykonywał zadanie, pojawił się cel. Wywiązała się walka, która na początku nie wróżyła dobrze. Gdy obaj mocowali się i zmagali miotając po pokoju, Jonathan miał rozproszoną uwagę, gdyż usiłował ocalić nadzwyczaj piękną figurkę pasterki z Limoges, której groziło strącenie z kruchego stolika, gdzie stała. Dwa razy puścił Francuza, by złapać ją, gdy już-już się przewracała, i dwa razy jego przeciwnik wykorzystał okazję, by uderzyć go w plecy i ramiona swoją laską. Walka ciągnęła się przez wiele minut. Nieoczekiwanie Francuz złapał statuetkę w dłoń i cisnął nią w Jonathana. Z niedowierzaniem i wściekłością z powodu bezsensownego zniszczenia czegoś tak pięknego, Jonathan ujrzał, jak figurka roztrzaskuje się o marmurowy kominek. Z pełnym furii wrzaskiem uderzył pięścią w żebro tuż poniżej serca. Śmierć była natychmiastowa.

Później, tegoż wieczoru, Jonathan siedział w kafejce przy oknie na placu St Georges i patrzył, jak śnieg wiruje wokół spieszących przechodniów. Zaskoczyło go odkrycie, że jedynym, co czuł po tym zajściu - poza stłuczeniami - było głębokie ubolewanie z powodu pasterki z Limoges. Podjął nieodwołalną decyzję: nigdy więcej nie będzie pracował dla CII.

Wkrótce po rozpoczęciu drugiego semestru, późnym popołudniem, gdy pracował w swoim gabinecie, odwiedził go Clement Pope. Jonathan natychmiast poczuł awersję do tego nadmiernie gorliwego pacholka i nie miało się to już zmienić.

Pope ostrożnie zamknął drzwi do gabinetu, zajrzał do pomieszczenia zarezerwowanego dla asystentów Jonathana, spojrzawszy przez okna na pocętkowany śniegiem teren uniwersytetu, po czym powiedział znacząco:

- Jestem z CII.

Jonathan ledwie uniósł wzrok znad papierów.

- Przykro mi, panie Pope. Praca dla was już mnie nie bawi.

- Wydział Ścigania i Likwidacji. Słyszał pan o nas?

- Nie.

Pope był ukontentowany.

- Mamy najszczelniejsze zabezpieczenia. Dlatego nikt o nas nie słyszał.

- Żywię pewność, że zapracowaliście na swoją reputację... Jestem w tej chwili zajęty.

- Bracie, nie musisz się przejmować tym żabojadem. Nasi ludzie w Paryżu ukryli to. -

Usiadł na brzegu biurka i przeleciał wzrokiem po papierach leżących na wierzchu.

Żołądek Jonathana skurczył się.

- Proszę stąd wyjść.

Pope uśmiechnął się.

- Naprawdę oczekujesz, że wyjdę tymi drzwiami, przyjacielu?

Jonathan ocenił dzielącą ich odległość.

- Albo drzwiami, albo oknem. A jesteśmy na czwartym piętrze. - Automatycznie pojawił się na jego twarzy łagodny, rozbijający uśmiech.

- Słuchaj, przyjacielu...

- Weź pan swój tyłek z mojego biurka.

- Słuchaj, bracie...

- I proszę nie tytułować mnie „bratem” czy „przyjacielem”.

- Człowieku, gdybym nie był na służbie... - Pope zgarbił się i przez chwilę rozważał sytuację, po czym zszedł z biurka. - Pan Dragon chce z panem rozmawiać. - Po czym, chcąc zachować twarz, dodał: - I to już!

Jonathan przeszedł w kąt gabinetu i nalał sobie kawy z dzbanka.

- Któż to jest, ów pan Dragon?

- Mój przełożony.

- Niewiele mi to mówi.

- Chce z panem rozmawiać.

- To już pan powiedział. - Jonathan postawił kubek. - Dobrze. Wyznaczę mu termin spotkania.

- Żeby przyszedł tutaj?! To zabawne!

- Tak?

- A tak. - Pope zmarszczył brwi i podjął decyzję. - Proszę, przeczytaj to, przyjacielu. - Wyciągnął kopertę z kieszeni płaszcza i podał ją Jonathanowi.

Szanowny doktorze Hemlock, jeżeli pan to czyta, to znaczy, że mojemu człowiekowi nie udało się przekonać pana li tylko siłą swej osobowości. Nie jestem tym zaskoczony. Oczywiście to ja powinienem przyjść do pana, ale nie czuję się na siłach, naglą mnie też terminy.

Miałbym dla pana propozycję, która nie pochłonie zbyt dużo pańskiego czasu, a na której może pan zarobić na czysto powyżej trzydziestu tysięcy dolarów rocznie, bez opodatkowania. Wierzę, że takie wynagrodzenie pozwoli panu kupić kościół na Long Island,

o którym pan marzy, i może nawet przyczyni się do powiększenia pańskiej nielegalnej kolekcji obrazów.

Najwyraźniej próbuję na panu wywrzeć wrażenie, wykazując się wiedzą na temat pańskiego życia i pańskich tajemnic, i żywię nadzieję, że mi się to uda.

Jeśli jest pan zainteresowany, proszę towarzyszyć panu Pope'owi do mego biura, gdzie spotka pan

łączącego wyrazy szacunku
Yurasisa Dragona

Jonathan skończył czytać list i zamyślony włożył go z powrotem do koperty.

- I jak? - zapytał Pope. - Co powiesz, przyjacielu?

Jonathan wstał, uśmiechnął się do niego i przeszedł na drugą stronę pokoju. Pope odwzajemnił uśmiech i w tej samej chwili sierpowy pozbawił go równowagi.

- Powiedziałem, by nie nazywał mnie pan „przyjacielem”. Doktorze Hemlock będzie w sam raz.

W oczach Pope'a pojawiły się łzy złości i bólu, ale opanował się.

- Idzie pan ze mną?

Jonathan rzucił list na biurko.

- Tak, myślę, że tak.

Zanim wyszli, Pope wziął list i schował do kieszeni.

- Nazwiska pana Dragona nie znalazłbyś nigdzie na żadnym papierze w Stanach Zjednoczonych - wyjaśnił. - Praktycznie, nie przypominam sobie, by wcześniej do kogoś pisał.

- I?

- To powinno wywrzeć na panu wrażenie.

- Najwyraźniej to ja wywarłem na panu Dragonie wrażenie.

Jonathan jęknął i ocknął się. Słońce już zaszło i oranżeria spowita była szarym, zimnym światłem. Wstał i wyprostował zdrętwiałe plecy. Wieczór nadchodził, niosąc ze sobą znad oceanu ołowiane chmury. Na zewnątrz bladezielone spody liści połyskiwały słabo w stojącym powietrzu. Odgłosy grzmotów wróżyły rześisty deszcz.

Poszedł do kuchni. Zawsze z radością oczekiwał na deszcz i przygotowywał się na jego przyjście. Gdy kilka minut później burza rozszalała się nad kościołem, siedział na ogromnym wyciętanym krześle, trzymając na kolanach ciężką książkę, a na stole przed nim stał dzbanek

czekolady. Poza strumieniem światła, w którym czytał, na ścianach falowały, w miarę jak deszcz słuwał po witrażach okien, nikiłe wzory w żółci, czerwieni i zieleni. Czasami kształty przedmiotów w pokoju rozświetlały się i tańczyły w błyskawicach. Ulewny deszcz walił o dach pokryty ołowianą blachą, a wiatr gwizdał po kątach.

I znowu, jak kiedyś, przechodził po raz pierwszy w biurowcu przy Trzeciej Alei przez rytuał starej windy, zamaskowanej ochrony, pilnującej biura Dragona, szkaradnej i nieskazitelnie higienicznej panny Cerberus, przymglonego czerwonego światła, przegrzanego, zamykanego za pomocą blokady pokoju.

Otwierał powoli powieki i spostrzegał mgliste kształty. I po raz pierwszy ukazały mu się czerwone jak krew oczy Dragona, wywołując w nim wstrząs i obrzydzenie.

- Przeraził pana mój wygląd, Hemlock? - zapytał Dragon swym atonicznym i metalicznym głosem. - Jeśli o mnie chodzi, przyzwyczailem się do tego. Moje schorzenie jest nadzwyczaj rzadkie, a więc stanowi coś w rodzaju wyróżnienia. Genetyczna przypadłość, taka jak ta, wskazuje na raczej specjalne okoliczności zapłodnienia. Mam wrażenie, że Habsburgowie szczycą się podobnie swą hemofilią. - Sucha skóra wokół oczu Dragona zmarszczyła się od uśmiechu, po czym zaśmiał się swymi trzema suchymi „cha”.

Ochryply, metaliczny głos, nierzeczywiste otoczenie i pewne siebie spojrzenie tych purpurowych oczu spowodowały, że Jonathan zapragnął, by spotkanie dobiegło wreszcie końca.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, by przejść do meritum sprawy?

- Nie chciałbym przeciągać zbytnio tej rozmowy, by nie stała się nudna, ale mam tak mało okazji do rozmów z inteligentnymi ludźmi.

- A tak, poznałem pańskiego Pope'a.

- Jest wierny i posłuszny.

- A jaki jeszcze mógłby być?

Przez chwilę Dragon nie odzywał się.

- No dobrze, przejdźmy do rzeczy! Złożyliśmy ofertę na zakup opuszczonego kościoła gotyckiego na Long Island. Wie pan, o który mi chodzi? Mamy zamiar go zburzyć, a teren zagospodarować tak, by można było szkolić tam nasz personel. Co pan na to, Hemlock?

- Proszę mówić dalej.

- Jeżeli pan do nas dołączy, możemy wycofać naszą ofertę, a pan otrzyma wystarczającą zaliczkę, by zapłacić gotówką. Ale zanim przejdę dalej, proszę mi coś powiedzieć. Co pan czuł, zabijając tego francuskiego typa, który rozbił statuetkę?

Prawdę mówiąc, Jonathan nawet nie pomyślał o sprawie już następnego ranka po tym wydarzeniu. Powiedział to Dragonowi.

- Świetnie! Po prostu świetnie! To by potwierdzało opis pańskich cech psychicznych dokonany przez „Sfinksa”. Żadnego poczucia winy! Pozazdrościć.

- Skąd pan wiedział o figurce?

- Zrobiliśmy teleobiektywem film z dachu sąsiedniego budynku. - Zaśmiał się trzykrotnie swoimi suchymi „cha”. - Chyba nie sądzi pan, że Francuz natknął się na pana przypadkiem?

- Mógł mnie zabić!

- Zgadza się. Byłoby to godne ubolewania. Ale musieliśmy sprawdzić, jak pan reaguje w chwilach napięcia, by upewnić się, że możemy przedstawić panu tę hojną ofertę.

- Co dokładnie chcielibyście, żebym robił?

- Nazywamy to „likwidacją” albo „sankcją”.

- A jak to nazywają inni?

- Morderstwem. - Dragon był rozczarowany, widząc że słowo nie wywołało żadnej widocznej reakcji u Jonathana. - W rzeczywistości, Hemlock, nie jest to tak niebezpieczne, jak się wydaje nie wtajemniczonym. Zabijamy tylko tych, którzy zamordowali agentów CII podczas wykonywania obowiązków. Nasza zemsta jest jedyną ochroną, jaką te biedaczyska otrzymują. Proszę pozwolić, bym przedstawił panu historię naszej organizacji, podczas gdy pan będzie się zastanawiał nad przyłączeniem do nas. Wydział Ścigania i Likwidacji... CII powołano do życia po drugiej wojnie światowej jako organizację, która miała skupiać ogromną liczbę biur, agencji, wydziałów i komórek, zajmujących się wywiadem i kontrwywiadem podczas tejże wojny. Właściwie nie było żadnych oznak, wskazujących, by instytucje te przyczyniły się do takiego, a nie innego wyniku wojny, niemniej przyznawano, że jako mniej sprawne, ingerowały rzadziej niż ich niemiecki odpowiednik, a przez to ich błędy były mniej spektakularne.

Rząd zdawał sobie sprawę, że penetrowanie ludności cywilnej przez osoby wyobcowane z otoczenia i przez psychologicznych mutantów, zjednoczonych w paramilitarnym bloku wywiadu i kontrwywiadu, jest pozbawione sensu, ale coś trzeba było zrobić z tymi stu dwiema organizacjami, wykwitłymi w czasie wojny niczym grzyby po deszczu. Komuniści najwyraźniej poświęcili się grze „skradnij-papiery-i-zrób-zdjęcie”, wobec czego wybrani przedstawiciele narodu amerykańskiego, powodowani swoistą ambicją „niegorsizmu” powołali do życia duży administracyjny bezmózgi twór - CII.

Środki masowego przekazu rozwijają skrót CII jako: „Central Intelligence Institute” -

„Centralny Instytut Wywiadowczy”. W rzeczywistości CII to nie inicjały; to liczba, rzymski odpowiednik na arabską liczbę 102, oznaczającą liczbę mniejszych organizacji, z których powstał wydział.

W ciągu dwóch lat CII stał się politycznym organem o alarmujących rozmiarach. Jego macki sięgały głęboko, zarówno w kraju, jak i poza nim, zgromadził tyle informacji na temat seksualnych dziwactw i machinacji finansowych tylu ważnych osobistości życia politycznego, że przekształcił się w twór całkowicie nietykalny i autonomiczny. Z czasem upowszechnił się w CII zwyczaj informowania prezydenta już po faktach.

W ciągu czterech lat CII sprawił, że amerykański system szpiegowski stał się pośmiewiskiem Europy, co pogorszyło za granicą obraz Amerykanów i trzykrotnie doprowadziło Stany Zjednoczone na krawędź wojny. CII zebrał tak ogromną kolekcję błahych i zbyt osobistych informacji, że w podziemiach głównej kwatery w Waszyngtonie trzeba było zainstalować dwa systemy komputerowe - jeden do odnajdywania fragmentów danych, a drugi do obsługi pierwszego.

Pozostawiona bez kontroli biurokratyczna machina obrastała w siłę i personel. A jednak jej rozwój nieoczekiwanie się zatrzymał. Komputery CII poinformowały szefów o godnym uwagi fakcie: wyraźnym zmniejszeniu personelu za granicą, i to mimo ambitnych operacji werbunkowych. Specjalny zespół analityków miał zbadać przyczynę tych zadziwiających ubytków. Odkrył on, że trzydzieści sześć procent strat spowodowanych zostało dezercją; dwadzieścia siedem wynikało po prostu z nieumiejętnego obchodzenia się z kartami komputerowymi (radzono zresztą CII, by się z tym pogodził, gdyż łatwiej spisać ludzi na straty, niż zreorganizować Wydział Płac i Personelu); cztery procent przypisano nieumiejętnemu obchodzeniu się agentów z materiałami wybuchowymi; dwa procent wreszcie po prostu zaginęło - były to ofiary omyłek, wynikających z bałaganu w powojennej Europie.

Pozostałe trzydzieści jeden procent agentów zostało zamordowanych. Starty spowodowane zabójstwami stanowiły bardzo specyficzny problem. Ludzie CII pracowali za granicą bez zaproszenia i często na szkodę istniejących rządów, nie mieli zatem prawa do urzędowej ochrony. Szefostwo CII, organizacji rdzennie męskiej, zdecydowało, że trzeba utworzyć dodatkowy wydział, by rozwiązać tę sprawę. W pełni polegając na swych komputerach, zlecieli im, by wyszukały człowieka zdolnego stanąć na czele nowego tworu; na karcie, którą wytypował komputer, widniało nazwisko Yurasisa Dragona. W celu sprowadzenia pana Dragona do Stanów Zjednoczonych, trzeba było uwolnić go od zarzutów wniesionych do Trybunału Zbrodni Wojennych, dotyczących Pewnych „drobnych

grzeszków” ludobójstwa; CII uznał, że warto.

Nowy wydział nazwano Wydziałem Ścigania i Likwidacji. Wydział Ścigania odnajdywał ludzi odpowiedzialnych za zabójstwo agentów CII, Wydział Likwidacji karał sprawców śmiercią.

Poczucie dramatyzmu Dragona wyrażało się tym, że pracownicy Wydziału Likwidacji nosili przydomki pochodzące od trucizn. Wormwood³ był kurierem. Pięknej Eurazjatce, która przed zabiciem zawsze odbywała stosunek seksualny z ofiarą - niezależnie od jej płci - nadał przydomek Belladonna. Jonathan nie otrzymał żadnego pseudonimu: Dragon poczytał bowiem za sprawę opatrności to, że nosił on już nazwisko stosowne dla uczonego: Hemlock⁴ czyli trucizna Sokratesa.

Dragon przedstawivszy Jonathanowi upiękzoną i romantyczną wersję tych faktów, zapytał:

- A więc, przyłącza się pan do nas, Hemlock?

- A jeśli odmówię?

- Nie poprosiłbym pana tutaj, gdybym tego oczekiwał. Cóż, jeśli pan odmówi, kościół, który zawładnął pańskim sercem, zostanie zburzony, a pańska osobista wolność będzie zagrożona.

- A to w jaki sposób?

- Wiemy o obrazach, które pan zebrał. Powinność wprost nakazuje donieść o ich istnieniu, choć rzecz jasna, nie zrobimy tego, jeśli miałyby to pozbawić nas zaufanego i zdolnego współpracownika. - Karminowe oczy mrugały pod krzaczastymi białymi brwiami.

Jonathan poczuł silny zawrót głowy, gdy tak kiwał się nad książką, którą trzymał na kolanach. Wstrzymał oddech i spojrzał na zapomnianą stronicę. Czekolada wystygła i zrobił się na niej ciemny kożuszek. Ucichły pioruny i wiatr, tylko miarowy, usypiający deszcz stukał o witraże. Hemlock wstał, zgasił lampę i przeszedł pewnym krokiem przez ciemną znajomą nawę. Czując się nadal zmęczony mimo całego dnia próżnowania, położył się do obszernego szesnastowiecznego łóża i patrzył przez balustradę chóru na lekko poruszające się cienie kolorowych okien, zabawiając się na przemian dopuszczaniem do świadomości i gubieniem odgłosu deszczu.

Napięcie, w jakim działał w Montrealu nadal ścisnęło mu żołądek. Wszedł w pierwszą

³ Ang. piołun

⁴ Ang. cykuta

fazę snu łagodnie, ale zaraz podskoczył ze strachu. Próbował wywołać w swojej głowie jakikolwiek obraz, by przysłonił białe kropelki śluzu. I przyłapał się na myśleniu o cętkach w ciepłych brązowych oczach.

Nagle obudził się; czuł mdłości. Walczył z nimi przez cały dzień, ale dłużej już nie mógł. Zwymiotował, a potem leżał, prawie całkiem nagi, ponad godzinę na zimnych kafelkach w łazience, zbierając myśli.

Wreszcie wrócił do łóżka i do wizerunku cętek w brązowych oczach.

LONG ISLAND

11 czerwca

Wydobycie się z nieświadomości nie było ani rześkie, ani klarowne. Budził się, przechodząc przez grube warstwy złego samopoczucia. Pierzchające sny zmieszały się z natarczywą rzeczywistością. Zarówno na jawie, jak i we śnie ktoś próbował ukraść mu kosztowności.... jego rodzinne kosztowności. Nie. Nie, to były klejnoty.

Poczuł swędzenie w pachwinie. Przez obronnie zmrużone powieki popatrzył na nabierające ostrości przedmioty w pokoju.

- Och, nie! - wykrzyknął. - Co ty, u diabła, robisz, Cherry?

- Dzień dobry, Jonathanie - powiedziała wesoło. - Łaskocze?

Stęknął i odwrócił się na brzuch.

Cherry, ubrana tylko w tenisowe szorty, wślizgnęła się do niego pod pościel, ustami dotykając jego ucha.

- Zjem cię po kawałku! - zapowiedziała i ukąsiła go.

- Idź stąd - powiedział stłumionym głosem w poduszkę. - Jeżeli mnie nie zostawisz samego, to... - Nie mógł wymyślić żadnej odpowiedniej kary, więc jęknął.

- Co zrobisz? - zapytała bystro. - Zgwałcisz mnie? Wiesz, ostatnio sporo myślałam o gwałcie. To nie jest dobre, ponieważ nie daje szansy parze, by porozumiała się ze sobą na poziomie godnym człowieka. Ale ma jedną przewagę nad masturbacją. Nie odbywa się w takiej samotności. Wiesz, co mam na myśli? Dobrze, jeżeli koniecznie chcesz mnie zgwałcić, chyba będę musiała przyjąć to jak kobieta. - Obróciła się i rozrzuciła ramiona i nogi, jak święty Andrzej na krzyżu.

- Och, na miłość boską, Cherry! Powinienem stłuc ci tyłek.

Oparła się natychmiast na łokciu, mówiąc z prawdziwą troską.

- Nigdy nie podejrzewałam, że jesteś sadystą, Jonathanie. Ale sądzę, że obowiązkiem zakochanej kobiety jest zadowolenie seksualnych upodobań swego mężczyzny.

- Nie jesteś zakochaną kobietą. Jesteś napaloną kobietą. No, ale dobrze! Wygrałaś! Wstaje. Może byś zeszła i przygotowała mi filiżankę kawy?

- Stoi właśnie tam obok ciebie, impulsywny kochanku. Zrobiłam ją, zanim przyszłam na górę. - Na stoliku przy łóżku stała taca z dzbankiem kawy i dwiema filiżankami. Usiadł, a ona poprawiwszy poduszki, nalała mu kawy i podała filiżankę; musiał nią balansować, by

utrzymać ją na dłoni, gdy wchodziła ponownie do łóżka i sadowała się obok niego, a ich ramiona i biodra dotykały się, jej noga zaś spoczywała na jego nodze. Jonathan wyczuł, że ta akurat potyczka w grze, którą prowadzili, dobiegła końca, niemniej ona nadal była naga po pępek, a opalenizna, którą nabyła wystawiając się na słońce w bikini, powodowała, że jej białe piersi kontrastowały z delikatnym kolorem miedzi reszty ciała.

- Hej, Jonathan - zaczęła poważnie, patrząc na dno swej filiżanki - pozwól, że cię o coś zapytam. To przecież prawda, że wczesny ranek jest najlepszą porą, by przyjść do ciebie? I przecież prawdą jest też, że mężczyźni często budzą się mając erekcję?

- Co zazwyczaj oznacza, że muszą się wysiusiać - mruknął w filiżankę.

Przetrawiała tę informację w milczeniu.

- Natura jest rozrzutna - powiedziała ze smutkiem. Po czym wróciła jej werwa. - Ale nie szkodzi! Wcześniej czy później, złapię cię w jakiejś chwili nieuwagi. A potem bam!

- Bam?

- Nie wyszła mi ta onomatopeja, co?

- Rzeczywiście, niezbyt.

Odsunęła się na chwilę, po czym odwróciła znów do niego i zapytała:

- To nie chodzi o mnie, tak? Tylko o to, że jestem dziewicą, bo w przeciwnym razie wziąłbyś mnie, zgadza się?

Zaplótnął pod głową dłonie i schylił się do wyciągniętych palców u nóg.

- Na pewno. W jednej chwili. Bam.

- Ponieważ - ciągnęła - jestem naprawdę całkiem ładna i ohydnie bogata i moje ciało nie jest złe. - Przerwała, czekając na komplement. - Hej! Mówiliśmy o moim ciecie! - Ponownie przerwała. - Dobra, przynajmniej piersi mam ładne, prawda?

Nawet nie spojrzał.

- Na pewno! Są wspaniałe!

- Dość tego! Spójrz na nie. Może trochę za małe w stosunku do obecnych standardów, ale jędrne i ładne, nie myślisz?

Uwięził jedną w kołysce dłoni i zbadał ją z zawodową niefrasobliwością.

- Piękne - zapewnił. - I są dwie, co jest szczególnie uspokajające.

- To dlaczego nie złamiesz się i nie pokochasz ze mną?

- Ponieważ jesteś żenująco świadoma swej urody. Poza tym, jesteś dziewicą. Mógłbym darować pewność siebie, zakładając, że wyrośniesz z tego. Ale dziewictwa, nigdy. A teraz, włóż z powrotem bluzkę.

- Nie-e. Chyba nie. Kto wie? Mógłbyś nagle dostać prawidłowego odruchu i ta-da!

- Ta-da?

- Chyba lepsze niż bam. Daj, pozwól, że doleję ci jeszcze kawy. - Ponownie napełniła jego filiżankę, po czym zaniósła swoją na brzeg chóru, gdzie oparła się o balustradę i popatrzyła ponad nią, rozbawiona, na nawę.

Cherry była najbliższą sąsiadką Jonathana; mieszkała wraz ze służbą w rozległym domu, znajdującym się czterysta metrów dalej, wzdłuż drogi. Dzielili koszty utrzymania sztucznej piaszczystej plaży, która łączyła ich dobra. Jej świętej pamięci ojciec, adwokat James Mathew Pitt, kupił majątek na krótko przed swoją śmiercią i Cherry znajdowała przyjemność w zarządzaniu posiadłością. Jonathan powierzał jej opiekę nad swym domem na czas podróży i prosił o opłacanie bieżących rachunków. Miała klucz i często wpadała do niego, by skorzystać z biblioteki czy pożyczyć szampana na swe przyjęcia. Nigdy w nich nie uczestniczył, gdyż nie czuł potrzeby poznania rozwiąanych młodych ludzi z jej kręgu. Naturalnie, Cherry nic o nim nie wiedziała, oprócz tego, że jest profesorem i krytykiem sztuki, człowiekiem niezależnym finansowo. Nigdy też nie zaprosił jej do prywatnej galerii w suterenie.

Powoli ustalili się szablony ich seksualnej gry, polegający na stałym kuszeniu i stoickich odmowach, a wszystko oparte na wzajemnym zrozumieniu, że to rolę Jonathana ma być odrzucanie jej ofert. Byłaby zaskoczona, gdyby zachował się inaczej. Ich zmagania miały nieodmiennie pewien urok, a to dlatego, że obie strony prowadziły je z humorem. Dawało to też możliwość utrzymania pewnej pikanterii w ich przyjaźni.

Po dłuższym milczeniu Cherry odezwała się, nie odwracając głowy w jego stronę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że jestem jedyną dwudziestoczworoletnią dziewicą na Long Island, nie licząc sparaliżowanych i niektórych zakonnic? I to wszystko twoja wina. Winien jesteś ludzkości mą inicjację.

Jonathan wyskoczył z łóżka.

- Unikanie dziewic to nie tylko sprawa etyki. To także problem techniczny. Dziewice dają się we znaki starszym panom.

- Dobra. Wymierzaj sobie sam karę! Zabraniaj sobie rozkoszy ciała! Twoja sprawa! - Poszła za nim do łazienki, gdzie musiała podnieść głos, by mógł ją usłyszeć poprzez huk wody, wlewającej się do jego rzymskiej wanny. - Wiesz, to jednak dla mnie ważne. Przecież ktoś musi dokonać mej inicjacji.

Zawołał z sąsiedniej toalety:

- Ktoś musi też zbierać śmieci. Ale nie ja. - Odchrząknął, spuszczaając wodę.

- Ładne mi porównanie!

Wrócił z łazienki i zanurzył się w gorącej wodzie.

- Dlaczego się nie ubierzesz i nie przygotujesz małego śniadanka?

- Chcę być twoją kochanką, nie żoną. - Ale wróciła niechętnie do sypialni.

- I włoż najpierw bluzkę, zanim zejdziesz! - krzyknął za nią. - Możesz spotkać na dole pana Monka.

Pan Monk był ogrodnikiem.

- Zastanawiam się, czy może on chciałby uwolnić mnie od tego haniebnego dziewictwa?

- Nie za to mu płacę - zamamrotał Jonathan do siebie.

- Przypuszczam, że chcesz jajka na surowo! - krzyknęła wychodząc.

Po śniadaniu błądziła bez celu po oranżerii, podczas gdy on udał się z poranną pocztą do biblioteki, gdzie zamierzał trochę popracować. Zaskoczyło go i zaniepokoiło, że nie znalazł charakterystycznej niebieskiej koperty CII z jego zapłatą. Zwykle ktoś wrzucał ją do skrzynki na listy w nocy po jego powrocie z akcji. Z całą pewnością nie było to przeoczenie. Dragonowi musiało coś chodzić po głowie. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać, więc wrócił do swych obliczeń i stwierdził, że gdy wyda dziesięć tysięcy na nowego Pissarra i zapłaci z góry ogrodnikowi za sezon letni, zostanie mu bardzo mało. Nie będzie żył rozrzutnie tego lata, ale jakoś sobie poradzi. Na razie najbardziej martwiła go obietnica, jaką złożył nielegalnemu handlarzowi dziełami sztuki z Brooklynu, że zapłaci mu dzisiaj. Postanowił zadzwonić i przekonać go, aby przetrzymał obraz jeszcze jeden dzień.

- Więc kiedy będziesz mógł go odebrać, Jonathanie? - zapytał handlarz chrypiącym głosem, przesadnie artykułując spółgłoski w charakterystycznej brooklyńskiej manierze.

- Przypuszczam, że jutro. Albo pojutrze.

- Lepiej pojutrze. Jutro zabieram rodzinę na Jones Beach. I będziesz miał te dwanaście tysięcy, jak uzgodniliśmy?

- Będę miał te dziesięć tysięcy, jak uzgodniliśmy.

- To było tylko dziesięć? - zapytał handlarz zasmuconym głosem.

- To było tylko dziesięć.

- Jonathan, co ja robię? Pozwalam, by nasza przyjaźń rujnowała przyszłość moich dzieci. Cóż, umowa jest umową. Zaczynam filozofować. Trudno, stracę, bo mam poczucie przyzwoitości. Ale przyrzeknij, że dostarczysz pieniądze przed południem. Trzymanie tego tutaj jest niebezpieczne, poza tym mam innego kupca.

- Kłamiesz, oczywiście.

- Nie kłamie. Ja ci zdradzam tajemnicę. Jest inny kupiec. Za dwanaście tysięcy. Skontaktował się ze mną dzisiaj. Więc jeśli nie chcesz stracić obrazu, bądź punktualny. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Dobrze. Tak. Jak rodzina?

- Nie jestem żonaty. Za każdym razem to samo! Zawsze mnie pytasz, jak rodzina, a ja zawsze ci przypominam, że nie jestem żonaty.

- Dobra, jestem zapominałski. Pamiętasz, jak zapomniałem, że to tylko dziesięć tysięcy? Ale poważnie, powinieneś mieć rodzinę. Jak nie ma dzieci, to dla kogo pracować? Powiedz!

- Do zobaczenia za dwa dni.

- Z góry się cieszę. Bądź punktualny, Jonathanie. Jest inny kupiec.

- Już mi to powiedziałeś.

Przez kilka minut po odłożeniu słuchawki siedział ponury przy swoim biurku; strach przed utratą Pissarra zepsuł mu humor. Zastanawiał się, zaniepokojony, co też kołatało się Dragonowi w tym zdeprawowanym umyśle.

- Czujesz się, jakbyś dostał w jaja?! - zawołała Cherry z przeciwnej strony nawy.

Nic by nie zyskał pograżając się w czarnych myślach, więc przytaknął. Burza przegoniła chmury z nieba i dzień był pogodny i słoneczny. Przez godzinę grali w tenisa, po czym ugasili pragnienie połową butelki szampana. Naśladowała jego świętokradzki zwyczaj picia wina z butelki, jak piwa. Potem ochłodzili ciała, biorąc krótką kąpiel. Cherry pływała w stroju do tenisa, a gdy wyszła, jej spodenki prześwitywały.

- Czuję się jak młoda włoska gwiazda filmowa - powiedziała, spoglądając w dół na ciemny zarys wzgórzka łonowego widoczny przez mokre spodenki.

- Ja też - stwierdził, padając na gorący piasek.

Wiedli pogawędkę, a Cherry nabierała garście piachu i sypała go strużką na jego plecy. Powiedziała, że wybiera się w czasie weekendu na przylądek z kilkoma przyjaciółmi. Zaprosiła go, by z nimi pojechał. Odmówił; jej zbyt młodzi i zbyt rozwiązli przyjaciele nudzili go swym pozowaniem na nomadów i katatonicznymi umysłami.

Po plaży hulał chłodny wiatr, zwiastun popołudniowego deszczu, więc Cherry poszła do domu, zaproponowawszy oczywiście przedtem Jonathanowi, choć bez większych nadziei na spełnienie, by ogrzał ją w swym łóżku.

W powrotnej drodze do kościoła Jonathan spostrzegł Monka, swego ogrodnika. Przez chwilę zastanawiał się, którą drogą pójść, by uniknąć spotkania, ale w końcu poczuł się zażenowany tą obawą przed własnym pracownikiem, więc ruszył śmiało naprzód. Monk był

najlepszym ogrodnikiem na Long Island, mimo to nie każdy miał ochotę go zatrudnić. Zupełnie zbrukowany, wyznawał teorię, że trawa, kwiaty i krzewy to jego osobiści wrogowie, w dodatku wygrywający z nim za pomocą diabelskich przebiegłych taktyk. Wyrwał chwasty, przycinał żywopłoty lub ścinał trawę z sadystyczną radością i energią napędzaną chęcią zemsty, nie przestając przy tym obrzucać wulgarnymi obelgami grzesznej flory. Jakby mu na złość, ogrody i ziemia rozkwitały pod jego ręką; odbierał to jako wykalkulowaną, perfidną zniewagę i było w nim coraz więcej nienawiści.

Właśnie pomrukiwał coś do siebie, dając wycisk brzegowi kwietnika łopata, gdy Jonathan zbliżył się nieśmiało.

- Jak idą sprawy, panie Monk? - zapytał od niechcienia.

- Co? Ach, to pan, panie Hemlock. Paskudnie! Tak właśnie idą sprawy! Te zaszpane kwiatki potrzebują tylko wody! Wody, wody, wody! Kupa pijaków żyjących z gówna. Wodogłowie! Niech mi pan powie, co to za kostium kąpielowy miała na sobie pańska sąsiadka? Widziałem dokładnie jej cycki. Są trochę zezowate. Niech pan spojrzysz na tę łopatę! Na pół wygięta! Oto, jak je robią w dzisiejszych czasach! Niewarte szczypty gówna! Pamiętam czasy, gdy łopata...

Jonathan wymruczał przepaszająco, że wszystko wygląda wspaniale, i oddalił się chyłkiem w stronę domu.

Kiedy znalazł się już w kojącym chłodzie wysoko sklepionej nawy, stwierdził, że jest głodny. Zjadł obiad złożony z orzechów macadamia, polskiej kielbasy, jabłka i połówki szampana. Następnie zapalił fajkę, odprężył się i pilnował, by nie nadśłuchiwać dzwonka telefonu. Dragon skontaktuje się z nim, kiedy będzie gotów. Najlepiej więc po prostu poczekać.

By oderwać się od tych myśli, zszedł do galerii i spędził jakiś czas ze swoimi obrazami. Gdy uznał, że mu to pomogło na tyle, na ile mogło pomóc, usiadł przy biurku i usiłował, choć chaotycznie popracować nad zaległym artykułem o Lautrecu, bez powodzenia jednak. W myślach wracał do zamiarów Dragona i zagrożonego Pissarra. Nie powiedział sobie tego jasno, ale od jakiegoś czasu miał przekonanie, że nie może dalej pracować dla CII. Sumienie, oczywiście, nie odgrywało roli w narastaniu w nim tej niechęci. Gdy zabijał kogoś należącego do tej parszywej subkultury szpiegowskiej, męczyła go tylko złość, że musi kontaktować się z tym środowiskiem. Może to było zmęczenie? Może napięcie? Gdyby istniał jakiś sposób, dzięki któremu mógłby zachować swój styl życia, swój dom i obrazy, nie wiążąc się z Dragonami, Pope'ami, Melloughami...

Miles Mellough. Zacisnął szczęki na myśl o nim. Od prawie dwóch lat czekał

cierpliwie, żeby los go z nim zetknął. Nie, nie powinien rozstawać się z CII, dopóki dług nie zostanie spłacony.

Bardzo niewielu osobom pozwalał przeniknąć przez swój pancierz zimnej rezerwy. Wobec tych, którym to się udało, był całkowicie lojalny, ale i domagał się, by przestrzegali surowych reguł przyjaźni i lojalności, które uznawał. W ciągu jego całego życia jedynie czterech mężczyzn zbliżyło się z nim na tyle, by zasłużyć na jego przyjaźń i by ponosić ryzyko jego gniewu. Był wśród nich Big Ben Bowman, którego nie widział przez ostatnie trzy lata, ale z którym zwykł wspinać się po górach i pić piwo; Henri Baq, francuski agent, który miał dar śmiania się ze wszystkiego i któremu dwa lata temu rozplątano brzuch, oraz Miles Mellough, odpowiedzialny za śmierć Baqa, mimo że był najbliższym przyjacielem Henriego i Jonathana.

Czwartym był Grek, który zdradził Jonathana podczas przeprowadzania likwidacji. Jedynie szczęście i desperacka ucieczka przez sześć kilometrów nocą przez morze uratowały Jonathanowi życie. Oczywiście, Jonathan powinien być światowcem na tyle, by zdawać sobie sprawę, że każdy, kto wierzy cypryjskiemu Grekowi, zasługuje na los, jaki spotkał Troję, mimo to wyczekał jednak na stosowną chwilę. Spotkał zdrajcę w Ankarze. Grek nie był świadom, że Jonathan wie, kto go wydał, może nawet - będąc Grekiem - zapomniał o incydencie, w każdym razie przyjął prezent bez wahania: swój ulubiony arak. Butelka była sfalszowana i zawierała dodatek bielunia. Stary Turek, który wykonał robotę, posłużył się staroświecką metodą palenia ziaren bielunia i łapania dymu do glinianego słoja, do którego został potem wlany arak.

Grek pozostanie już na zawsze w przytułku, gdzie siedzi skulony w kącie, kołysząc się do przodu i do tyłu i wydając nie kończący się jedyny dźwięk.

Po wyrównaniu rachunków z Grekiem, pozostawała do załatwienia tylko sprawa z Milesem Melloughem. Jonathan był pewien, że któregoś dnia się na niego natknie.

Dzwonek telefonu wyrwał go z tego niezdrowego potoku nie związanych z sobą skojarzeń.

- Hemlock? Mamy meldunek z Montrealu. Dobra robota, przyjacielu.

Metaliczny głos Clementa Pope'a, przywodzący na myśl agenta ubezpieczeniowego, wystarczył, by zirytować Jonathana.

- Słuchaj, Pope, w skrzynce na listy nie było dzisiaj rano moich pieniędzy.

- I co z tego?

Jonathan wziął głęboki oddech, by się opanować.

- Chcę porozmawiać z Dragonem.

- Rozmawiaj ze mną. Mogę to załatwić.

- Nie będę tracił czasu dla czyjegoś pacholka. Proszę mi dać dragona do telefonu.

- A może bym przyszedł i byśmy sobie pogadali...? - Pope naigrawał się. Wiedział, że Jonathan nie może sobie pozwolić, by go widziano w jego towarzystwie. Z powodu konieczności izolacji Dragona, to Pope reprezentował Wydział Ścigania i Likwidacji publicznie. Być zauważonym w jego towarzystwie równało się przyklepieniu na samochodzie nalepki „Popieram CII”.

.- Jeśli chcesz tych pieniędzy, przyjacielu, lepiej z nami współpracuj. Dragon nie będzie z tobą rozmawiał przez telefon, ale spotka się z tobą.

- Kiedy?

- Teraz. Chce, by pan wsiadł do pociągu najszybciej, jak to możliwe.

- W porządku. Ale niech mu pan przypomni, że ja żyję z tych pieniędzy.

- Jestem pewien, że o tym wie, bracie. - Pope odłożył słuchawkę.

„Któregoś dnia... - obiecał sobie Jonathan. - Tylko dziesięć minut sam na sam z tym bękartem...”

Po chwili zastanowienia uznał, że wystarczy pięć.

NOWY JORK

11 czerwca

- Wygląda pani szczególnie pociągająco dzisiejszego popołudnia, panno Cerberus.

Nawet nie trudziła się, by podnieść wzrok.

- Proszę wymyć ręce w umywalce. Proszę użyć zielonego mydła.

- To coś nowego. - Jonathan przeszedł do szpitalnej umywalki z chirurgicznym drążkiem kolankowym, a nie typowym przekręcanym kurkiem.

- W windzie są zarazki - powiedziała; jej głos był równie chropowaty, jak jej cera. - A pan Dragon jest osłabiony. To już blisko końcowego stadium.

Co oznaczało, że niedługo będzie miał swą zwykłą copółroczną całkowitą wymianę krwi.

- Ma pani zamiar zostać dawcą? - zapytał Jonathan pocierając ręce, by je dobrze wysuszyć pod strumieniem gorącego powietrza.

- Nie mamy tej samej grupy krwi.

- Czyżbym dosłyszał cień ubolewania?

- Grupa krwi pana Dragona występuje bardzo rzadko - powiedziała z wyraźną dumą.

- U istot ludzkich w każdym razie. Mogę teraz wejść?

Spojrzała na niego badawczo.

- Jakieś przeziębienie? Grypa? Niestrawność?

- Tylko łagodny ból w tyłku, i to jest świeża sprawa.

Przycisnęła brzączyk na swoim biurku i wskazała mu ręką drogę do następnego pomieszczenia, nie odzywając się już więcej.

Nikłe czerwone światło tym razem nie świeciło, ale wzrastająca fala ciepła była dusząca jak zawsze. Drzwi do gabinetu Dragona otworzyły się z trzaskiem.

- Proszę wejść, Hemlock. - W metalicznym głosie brzmiał lekki niepokój. - I proszę wybaczyć brak czerwonego światła, ale jestem słabszy niż zwykle i nawet to delikatne oświetlenie sprawia mi przykrość.

Jonathan poszedł po omacku w stronę oparcia skórzanego fotela.

- Gdzie są moje pieniądze?

- Oto cały mój Hemlock! Prosto do sedna sprawy! Nie tracąc czasu na grzecznościowe formułki. Slumsy pozostawiły swój ślad.

- Potrzebuję tych pieniędzy.

- Prawda. Bez nich nie będzie pan w stanie opłacić domowych rachunków, nie mówiąc już o zakupie tego Pissarra, którego pan pożąda. À propos, słyszałem, że jest inny chętny na ten obraz. Szkoda by było, gdyby pan go stracił.

- Czy próbuje mnie pan szantażować?

- Proszę mi odpowiedzieć na proste pytanie, Hemlock. Co by pan zrobił, gdybym wstrzymał się z zapłatą.

- Zapalił to. - Jonathan wsunął palce do kieszeni koszuli.

- Co pan tam ma? - W głosie Dragona nie było cienia niepokoju. Wiedział, jak dokładnie jego ludzie rewidują każdego, kto wchodzi.

- Pudełko zapalek. Czy może sobie pan wyobrazić, jaki zadam panu ból, gdy będę zapalał jedną po drugiej?

Cienkie palce Dragona wzniosły się automatycznie ku oczom, ale wiedział, że jego bezbarwna skóra nie ochroni go zbyt skutecznie. Szarżując nieco, powiedział:

- Dobrze, Hemlock. To tylko potwierdza moje zaufanie do pana. W przyszłości moi ludzie będą musieli szukać także zapalek.

- Co z forszą?

- Leży na biurku. Prawdę mówiąc, przez cały czas miałem zamiar dać panu te pieniądze. Trzymałem je dla pewności, że pan przyjdzie wysłuchać mojej propozycji. - Zaśmiał się swymi trzema suchymi „cha”. - Dobry numer z tymi zapalkami! - Śmiech przeszedł w anemiczny, astmatyczny kaszel i przez jakiś czas nie mógł mówić. - Przepraszam. Naprawdę nie czuję się dobrze.

- By pana uspokoić - powiedział Jonathan, wkładając pękata kopertę banknotów do kieszeni płaszcza - powiem, że nie mam żadnych zapalek. Nigdy nie palę w miejscach publicznych.

- Oczywiście! Zapomniałem. - W jego głosie brzmiał ton szczerzej pochwały. - Naprawdę świetnie. Proszę mi wybaczyć, jeśli byłem zbyt agresywny. Po prostu choruję i to powoduje, że jestem roznamiętniony.

Jonathan uśmiechnął się słysząc to słowo. Odmienność angielszczyzny Dragona wychodziła na jaw właśnie przy takich okazjach: dziwny dobór słów, zbyt wyrazista wymowa, nieumiejętne posługiwanie się idiomami.

- O co tu chodzi, Dragon?

- Mam zadanie, które musi pan wykonać.

- Myślałem, że już o tym rozmawialiśmy. Pan wie, że nigdy nie biorę roboty, jeśli nie

potrzebuję pieniędzy. Dlaczego nie użyje pan innego człowieka z Wydziału Likwidacji?

Widział wyraźnie różowo-czerwone oczy.

- Zrobiłbym tak, gdyby to było możliwe. Pańska niechętna odmowa nie jest dla mnie przyjemna. Ale to zadanie dla doświadczonego wspinacza górskiego i jak łatwo sobie wyobrazić, nasz departament nie dysponuje ludźmi o takich talentach w nadmiarze.

- Nie wspinałem się ponad trzy lata.

- Wzięliśmy to pod uwagę. Jest czas, by przywrócić panu formę.

- Dlaczego potrzebujecie wspinacza?

- Omówię szczegóły tylko pod warunkiem, że zechce pan współpracować.

- W takim razie zapomnijmy o tym!

- Mam dla pana dodatkowy bodziec, Hemlock.

- Tak?

- Jeden z naszych dawnych pracowników, ongiś pański przyjaciel, jak przypuszczam, jest zamieszany w sprawę. - Dragon przerwał dla wywarcia większego efektu. - Miles Mellough.

Po chwili Jonathan powiedział:

- Miles to nie pańska sprawa. Zajmę się nim sam.

- Jest pan nieustępliwym człowiekiem, Hemlock. Mam nadzieję, że nie załamie się pan, jeśli kiedykolwiek zostanie zmuszony do ustępstw.

- Zmuszony? W jaki sposób?

- Och, coś wymyślę. - W jego głosie wyczuwało się duży niepokój; przycisnął dłoń do piersi, by uśmierzyć ból. - Czy mógłby pan wychodząc poprosić pannę Cerberus, by do mnie przyszła, dobry chłopcze?

Jonathan przycisnął się do płytko wglębionego wejścia do biurowca Dragona, starając się uniknąć deszczu, który padał wielkimi kroplami, zamieniającymi się w mgiełkę po zetknięciu z chodnikiem. Deszcz zagłuszał miejski hałas. Ulicą jechała wolno pusta taksówka i Jonathan wyskoczył, by zająć miejsce w kolejce oczekujących, którzy machali i krzyczeli, podczas gdy wóz przejeżdżał majestatycznie obok, a kierowca pogwizdywał sobie, zadowolony, prawdopodobnie rozważając niektóre intrygujące problemy rosyjskiej gramatyki. Jonathan wrócił do swego schronienia w niewielkiej wnęce i patrzył ponuro przed siebie. Zapaliły się światła uliczne, ponieważ ich automatyczny mechanizm z powodu ciemności spowodowanych burzą zadziałał, jakby był wieczór. Pojawiła się następna taksówka i Jonathan, mądrzejszy niż przed chwilą, wysunął się na brzeg krawężnika bez

większej nadziei, że ten akurat kierowca okaże się mniej bogaty, a przeto zainteresowany nieco zarobkiem. Dostrzegł, że taksówka jest zajęta. Gdy się odwracał, kierowca nacisnął klakson. Jonathan stanął nieruchomo, zaintrygowany, moknąc na deszczu. Kierowca przywołał go ręką. Jonathan dotknął palcem wskazującym klatki piersiowej, przybierając głupi pytający wyraz twarzy: „ja?”. Tylne drzwiczki uchyliły się i Jemima zawołała:

- Wsiadasz, czy lepiej ci tam na zewnątrz?!

Jonathan wskoczył i taksówka włączyła się do ruchu, ignorując z pogardą wyrażający protest klakson, dobiegający z sąsiedniego samochodu, który został zepchnięty na boczny pas.

- Nie chciałbym zamoczyć cię tą wodą, która ze mnie ocieka - powiedział Jonathan - ale ty naprawdę wyglądasz ślicznie. Skąd jedziesz? Czy już mówiłem, że wyglądasz ślicznie? - Cieszył się jak chłopiec widząc ją znowu. Wydało mu się, że często o niej myślał. Ale zdecydował, że to chyba niemożliwe Zresztą niby dlaczego?

- Widziałam, jak wychodzisz - wyjaśniła - i wyglądałeś tak śmiesznie, że zlitowałam się nad tobą.

- Aha. Nabrałaś się na stary chwyt. Zawsze staram się wyglądać śmiesznie, gdy tonę w deszczu. Nigdy nie wiesz, czy jakaś przejeżdżająca stewardesa nie zlituje się nad tobą.

Kierowca odwrócił się i spojrział przez oparcie siedzenia z klasyczną obojętnością dla toczącego się ruchu.

- To będzie podwójna taryfa, wiesz, przyjacielu.

Jonathan przytaknął, że w porządku.

- Ponieważ nie powinniśmy brać dwóch pasażerów w takim deszczu. - Raczył krótko spojrzeć na zbliżające się wozy.

Jonathan powiedział, że weźmie to pod uwagę.

- Do diabła, każdy zapraszałby do taksówki całe to przeklęte miasto, gdybyśmy nie pobierali podwójnej opłaty. Wie pan to po sobie.

Jonathan pochylił się do przodu i uśmiechnął grzecznie do wstecznego lusterka.

- Może zrobimy tu podział pracy? Pan będzie prowadzić, a my rozmawiać. - Po czym zapytał Jemimę: - Jak możesz wyglądać na tak spokojną i śliczną umierając z głodu?

- A umieram z głodu? - Złote cętki zamigotały w rozbawionych ciepłych brązowych oczach.

- Na pewno tak. Zastanawiające, że tego nie zauważyłaś.

- Odbieram to jako zaproszenie na kolację.

- Zgadza się. Tak.

Spojrzała na niego zakłopotana.

- Właściwie, gdy cię zabierałam z deszczu, nie brałam pod uwagę wszystkich możliwości, które się z tym łączą.

- Dobry Boże, ledwo się znamy! Co ty sugerujesz? Co z kolacją?

Zastanowiła się przez chwilę, mimo że to ją chyba nęciło, po czym powiedziała:

- Nie-e, myślę, że nie mam ochoty.

- A gdybyś miała ochotę, to na co?

- Na stek, czerwone wino i małą porcję ostro przyprawionej sałatki.

- Załatwione. - Jonathan pochylił się do przodu i powiedział kierowcy, by skręcił na południe, podając mu adres na Czternastej Ulicy.

- Może byś się tak zdecydował, przyjacielu?

- Jedź!

Gdy taksówka zatrzymała się przed restauracją, Jemima dotknęła rękawa Jonathana.

- Uratowałam cię przed przemoczeniem, a ty stawiasz mi kolację. I to wszystko, dobrze? Po kolacji każdy idzie do domu. Do swojego domu. W porządku?

Ujął jej dłoń i spojrzał poważnie w oczy.

- Gem, darzysz bardzo słabym zaufaniem mężczyznę, który ci towarzyszy. - Ścisnął dłoń dziewczyny. - Opowiesz mi o tym? Kim on był, ten mężczyzna, co cię tak zranił?

Roześmiała się, a kierowca zapytał, czy będą wysiadać czy nie. Podczas gdy Jemima pędem pobiegła do restauracji, Jonathan zapłacił taksówkarzowi i powiedział mu, że jest naprawdę morowym facetem. Deszcz i ruch uliczny zagłuszyły ostatnie słowo i kierowca utkwiał na chwilę wzrok w Jonathanie, ale zdecydował, że lepiej będzie ruszyć z rozdzierającym piskiem opon.

Restauracja była skromna i droga, zgodnie z założeniem, że się w niej jada, a nie gapi na wystrój wnętrza. Po części dlatego, że czuł się tak radośnie, a po części by wyrzucić wrażenie na Jemimie, Jonathan zamówił butelkę lafite'a.

- Czy mogę polecić rocznik 1959? - Pytanie było retoryczne; kelner podający wina zakładał, że jego porada jest nie do odrzucenia.

- Nie jesteśmy Francuzami - powiedział Jonathan, nie odrywając wzroku od Jemimy.

- Tak, proszę pana? - Uniesienie brwi wyrażało zarazem rozdrażnienie i udrękę, w sposób typowy dla służby wyższej klasy.

- Nie jesteśmy Francuzami. Niedojrzałe wina nas nie urzekają. Proszę przynieść rocznik 53, jeśli macie, lub 55.

Gdy kelner odszedł, Jemima zapytała:

- Czy to lafite to coś szczególnego?

- Nie wiesz?

- Nie.

Jonathan dał znać kelnerowi, by wrócił.

- Proszę zapomnieć o laficie. W zamian proszę przynieść haut-brion.

Kelner, uznawszy, że dokonanie zmiany zostało spowodowane względami finansowymi, pracowicie wykreślił lafite'a ze swego bloczka i wpisał haut-briona.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała Jemima.

- Oszczędności, panno Brown. Lafite jest za drogi, by go marnować.

- Skąd wiesz? Może by mi smakował?

- Och, smakowałby ci. Ale nie doceniłabyś go.

Jemima przyjrzała mu się uważnie.

- Wiesz co? Mam wrażenie, że nie jesteś uprzejmą osobą.

- Uprzejmość to przeceniana zaleta. Jest dobra dla mężczyzny, który wkupuje się w towarzystwo, jeśli nie ma odwagi, by być brutalnym, lub klasy, by być genialnym.

- Mogę zgadnąć, kogo cytujesz?

- Och, masz szansę.

- Johnson do Boswella?

- James Abbott McNeill Whistler do Wilde'a. Ale to niezła odpowiedź.

- Dżentelmen udawałby, że zgadłam. Miałam rację mówiąc, że nie jesteś uprzejmą osobą.

- Spróbuję ci to wynagrodzić. Może będę dowcipny lub poetyczny? Lub nawet straszliwie zainteresowany tobą, co zresztą jest prawdą. - Zamrugał oczami.

- Nabierasz mnie.

- Przyznaję, że tak. To tylko fasada. Próbuję jedynie być układny, bo to pancerz dla mojej podatnej na zranienie nadwrażliwości.

- Teraz ja wpuszczę cię w maliny. Jak znosisz pobyt w dzielnicy rozpusty?

- Ratunku!

Jonathan zaśmiał się i pozostawił pytanie bez odpowiedzi.

Jemima westchnęła i potrząsnęła głową.

- Człowieku, jesteś naprawdę uprzykrzoną towarzyską piłą. Lubię naigrawać się z ludzi przeskakując logiczne etapy w rozmowie, dopóki nie dostanę zawrotów głowy. Ale u ciebie to prawie chorobliwe.

- Poświęćmy trochę czasu kolacji.

Salata była chrupiąca, steki potężne i doskonałe, a popijali je haut-brionem. Podczas

posiłku prowadzili lekką rozmowę, pozwalając, by temat wynikał ze słowa lub nagłej myśli, przeskakując od sztuki do polityki, od trudnego dzieciństwa do kwestii społecznych, zatrzymując się przy temacie tak długo, dopóki ich to interesowało. Oboje bawili się i nie traktowali zbyt poważnie ani siebie, ani wielkich nazwisk w sztuce i polityce. Często nie trzeba było kończyć zdania - drugie w lot łapało sens i porozumiewawczo kiwało głową lub uśmiechało się. Czasami milkli na krótką odprężającą chwilę, kiedy żadne z nich nie czuło potrzeby podtrzymywania konwersacji jako obrony przed szczerością. Siedzieli przy oknie. Deszcz na zmianę to przybierał na sile, to słabł. Snuli absurdalne domysły na temat profesji i celu, do którego dążyli mijający ich przechodnie. Nieświadomie Jonathan zaczął traktować Gem, jak gdyby była mężczyzną - starym przyjacielem. Rozmawiał poważnie, porzuciwszy przekomarzanie się, które zazwyczaj stanowiło podstawę jego konwersacji z kobietami i rodzaj wstępu do pójścia do łóżka.

- Profesor uniwersytecki? - zapytała Gem z niedowierzaniem. - Nie mów, Jonathan! Burzysz moje stereotypy!

- No a ty jako stewardesa? Jak to się w ogóle stało?

- Och, nie wiem. Skończyłam uniwersytet, przerzucając się co roku z wydziału na wydział, i próbowałam znaleźć pracę jako Kobieta Renesansu, ale nie było takiej rubryki w drobnych ogłoszeniach. A podróże po całym świecie nie wydawały się najgorsze. No i wyobrażałam sobie, że to zabawne być pierwszą czarną stewardesą na odpowiednim poziomie, no i byłam ich murzyńskim rzecznikiem prasowym. A ty? Jak to się stało, że zostałeś profesorem uniwersyteckim?

- Och, skończyłem uniwersytet i próbowałem znaleźć pracę jako Człowiek Renesansu, ale...

- W porządku. Nie było pytania!

W trakcie rozmowy Jonathan dowiedział się, że będzie miała trzydniową przerwę w podróżach do Nowego Jorku i to go ucieszyło. Zapadło znowu beztróskie milczenie.

- Co cię tak bawi? - zapytała w odpowiedzi na jego nieznaczny uśmiech.

- Nic - odparł. - Ja.

- To synonimy?

- Ja tylko... - Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Przyszło mi jedynie na myśl, że nie staram się wydać ci kimś bystrym. Zazwyczaj bardzo dbam o to.

- Czy także w dzielnicy rozpusty?

- Stosuję gadkę na podryw. Obliczoną na lekki zawrót głowy. Ale nie sądzę, by mi zależało na lekkim zawróceniu ci w głowie.

Skinęła głową i spojrzała przez okno, skupiając uwagę na zabłąkanym snopie światła w miejscu, gdzie deszcz płaśał w kałużach. Po chwili powiedziała:

- To miłe.

Wiedział, co miała na myśli.

- Tak, to miłe. Ale też i trochę niepokojące.

Znowu skinęła głową. I oboje wiedzieli, co miała na myśli: ją to także trochę niepokoiło.

Ciąg nielogicznych zdań doprowadził ich do tematu domów i Jonathan zaczął entuzjastycznie rozwodzić się nad swoim. Przez pół godziny opisywał jej szczegóły, próbując z całych sił sprawić, aby je sobie wyobraziła. Słuchała ożywiona, okazując mu nieznacznymi ruchami oczu i głowy, że rozumie i jest w stanie je widzieć. Gdy nagle przerwał, zdawszy sobie sprawę, że mówił zbyt poważnie i prawdopodobnie nudnawo, powiedziała:

- To musi być przyjemne żywić takie uczucia wobec domu. A także bezpieczne, oczywiście.

- Bezpieczne?

- Dom nie może się na tobie wspierać emocjonalnie. Nie może obciążać odwzajemnianą ci miłością. Wiesz, o co mi chodzi.

Doskonale wiedział i doznał przeszywającego ukłucia bólu z powodu jej emocjonalnej przenikliwości. Pomyślał, że sprawiłoby mu radość, gdyby przyszła do niego; spędziłiby dzień siedząc sobie i rozmawiając. Powiedział jej to.

- Brzmi zachęcająco. Ale nie możemy jechać teraz. To niedobry pomysł. Zabieram cię do taksówki,jemy kolację, po czym lecimy w te pędy do twojego domu. To takie tanie! Więc chyba tego nie chcemy?!

Zgodził się, że oboje nie chcą tego.

- Moglibyśmy zawrzeć pewną umowę. Wyobrażam sobie, że bylibyśmy w stanie nie pójść do łóżka, dzień lub dwa - powiedział.

- Możesz oszukiwać.

- Możliwe.

- A jeśli nie ty, to ja.

- Cieszy mnie to, co usłyszałem.

Zamykano już restaurację i ich kelner wiele razy grzecznie dawał to do zrozumienia proponując zbędne usługi. Jonathan wręczył mu odrobinę za duży napiwek, płacąc raczej za wspaniale spędzony czas niż za obsługę, na którą w ogóle nie zwrócił uwagi.

Postanowili pójść pieszo do jej hotelu, ponieważ znajdował się blisko i ponieważ ulice

były puste i odświeżone po deszczu. Szli spacerkiem, trochę rozmawiając, częściej milcząc. Trzymała go pod rękę i gdy zwracała mu uwagę na jakiś zauważony szczegół, lekko dotykała palcami jego ramienia, na co odpowiadał delikatnie je przyciskając.

Niespodziewanie szybko znaleźli się na miejscu. W holu uścisnęli sobie ręce, po czym ona powiedziała:

- Czy odpowiada ci, żebym przyjechała jutro porannym pociągiem? Możesz wyjść po mnie na dworzec i obejrzymy ten twój kościół.

- Myślę, że to... dobra myśl.

- Dobranoc, Jonathanie.

- Dobranoc.

Idąc na dworzec, rozmyślał przez całą drogę, że miasto jest jakieś ładniejsze niż zwykle. Prawdopodobnie z powodu deszczu.

LONG ISLAND

12 czerwca

Przeszedł przez sypialnię na chórze, skupiwszy uwagę na niesionej kawie, ale mimo to rozlał jej trochę na spodek. Miał ją w dużym kubku z dwoma uchwyty, w jakim zwykli pijać kawę z mlekiem Francuzi. Przez kilka minut leżał oparty o balustradę, pociągając długie orzeźwiające łyki i spoglądając z dumą i przyjemnością na nawę, gdzie niskie promienie porannego słońca rzucały w ciemną przestrzeń snopy barwnego światła. Czuł spokój jedynie w przestrzeni własnego domu, który był mu jak pancierz. Jego myśli koncentrowały się wokół przyjemnego oczekiwania na Jemimę i niejasnego poczucia niewygody, spowodowanego atmosferą panującą w czasie ostatniego spotkania z Dragonem.

Później, już na dole, w galerii, przemógł się i ponownie spróbował popracować nad artykułem o Lautrecu. Zrobił ołówkiem kilka zapisków, po czym ołówek się złamał. To właśnie było to. Przeznaczenie. Może i mógłby brnąć dalej, przedzierając się przez pisaną bez natchnienia i naszpikowaną domyślnikami prozę - ale przecież nie wtedy, gdy wymaga to ponownego zatemperowania ołówka. W końcu to nie jego wina, że ołówek się złamał.

W górnej części biurka leżała niebieska koperta z zapłatą od Dragona napęczniała studolarowymi banknotami. Wziął ją i rozejrzał się za bezpiecznym miejscem, gdzie mógłby ją położyć. Nie znalazł go, więc rzucił kopertę z powrotem na biurko. Jak na człowieka, który w tak niebezpieczny sposób zarabiał pieniądze, Jonathan nie przejawiał instynktów skąpca. Pieniądze nie były dla niego czymś atrakcyjnym. Przedmioty, komfort, posiadłości to inna sprawa. Przypomniawszy sobie z radością, że jutro po południu stanie się właścicielem neoimpresjonisty Pissarra. Rozejrzał się po ścianach, zastanawiając się, gdzie go powiesić, i spojrzał na Cezanne'a, którego skradł dla niego w Budapeszcie w prezencie urodzinowym Henri Baq. Ogarnęły go wspomnienia o Henrim: jego specyficzne, jak w krzywym zwierciadle, baskijskie poczucie humoru... ich śmiech, gdy opowiadali sobie, jak uniknęli o włos nieszczęścia... tamtą oszałamiającą libację w Arles, gdy zabawiali się swoimi marynarkami z rozwścieczonym bykiem - ruchem ulicznym. I przypomniał sobie dzień, w którym zmarł Henri, próbujący przytrzymać rękami wypadające jelita, śmieszny, gdy starał się wepchnąć je do środka, co mu się nie udało.

Potrząsnął głową, by pozbyć się tych myśli, ale na próżno. Usiadł przy fortepianie i uderzył bezładnie w klawisze. Stanowili zespół: on, Henri i Miles Mellough. Miles pracował

dla Wydziału Ścigania, Jonathan dla Wydziału Likwidacji, a Henri dla francuskiego odpowiednika CII. Wykonywali zadania kompetentnie i szybko, zawsze też znajdowali czas, by posiedzieć w barze, porozmawiać o sztuce i seksie lub... o czymkolwiek.

Potem Miles zaplanował śmierć Henriego.

Zaczął grać Haendla. Dragon powiedział, że Miles jest w jakiś sposób zamieszany w tę akcję, do której próbował pozyskać Jonathana. Od niemal dwóch lat Jonathan czekał na dzień, w którym stanie ponownie przed Milesem.

Nie myśleć o tym! Zaraz przyjedzie Jemima.

Wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi na klucz i poszedł pospacerować po ogrodzie, by zabić wolno mijający czas oczekiwania na jej przybycie. Wiał rześki wietrzyk, a liście platanów rosnących wzdłuż drogi połyskiwały w słońcu. W górze niebo było czysto niebieskie, ale na północnym horyzoncie nad wodą unosiły się gęste kłęby chmur, które wróżyły ochładzającą burzę w nocy. A on kochał burze.

Włóczył się po sformalizowanym francuskim ogrodzie ze świeżo przyciętym żywopłotem z bukszpanu, uformowanego w zawity labirynt. Z głębi labiryntu usłyszał gniewne trzask! trzask! trzask! nożyc pana Monka.

- Uch! Tutaj! - Trzask! - To cię nauczy, ty naiwny krzewie! - Trzask! Trzask! - Dobra, mądralo gałązeczko! Wytrzymaj jeszcze chwilę, a zaraz cię podetnę! O tak! - Trzask!

Jonathan starał się zlokalizować odgłosy w labiryncie po to, by uniknąć spotkania z panem Monkiem. Szedł ukradkiem aleją kołyszając się, by wyciszyć odgłos kroków.

- Masz coś przeciwko innym gałęziom? - Głos pana Monka brzmiał słodziutko. - Och, nie lubisz ich towarzystwa! Dobrze, rozumiem. Jesteś po prostu samotnikiem, trzymającym się z dala od gromady. - Po czym nagle wrzasnął: - Pycha! Oto twoja wada! Ale ja mam na to lekarstwo! - Trzask! - A masz!

Jonathan kucnął przy ścianie bukszpanu, nie ważąc się poruszyć, niepewien kierunku, z którego dochodził głos pana Monka. Nastąpiła długa cisza. Wyobraził sobie siebie samego, kulącego się na myśl o spotkaniu ze swym ogrodnikiem. Uśmiechnął się, potrząsnął głową i wstał.

- Co pan robi, doktorze Hemlock? - zapytał Monk stojący tuż za nim.

- Och! Tak! Cześć. - Jonathan zmarszczył brwi i wbił czubek buta w darń. - Ta... hm... ta trawa tutaj, panie Monk. Przyjrzałem się jej. Wydaje mi się dziwna. A panu nie?

Ogrodnik wprawdzie nic nie zauważył, ale skłonny był przypisać wszystko co najgorsze wszystkiemu, co rosło.

- Dziwna? Dlaczego, doktorze Hemlock?

- No, jest... bardziej zielona niż zwykle. Bardziej zielona, niż powinna być. Wie pan, o co mi chodzi.

Monk przyjrzał się miejscu obok żywopłotu, po czym porównał je z sąsiadującą trawą.

- Ta wygląda dobrze? - Obrócił się w stronę niegrzecznej grządki, a jego oczy zrobiły się okrągłe z wściekłości.

Jonathan poszedł spokojnie dalej aleją i skręcił za najbliższym rogiem. Gdy przyspieszał kroku, dążąc w stronę domu, słyszał głos pana Monka dochodzący ze środka labiryntu:

- Durne zielsko! Zawsze musi postawić na swoim! Jeżeli nie jest brązowe i parszywe, to jest zbyt zielone! Dobrze, to ci da nauczkę! - Ciach!

Jonathan jechał na dworzec trzypasmową drogą. Pociąg prawdopodobnie się spóźni, zgodnie z tradycją Long Island, ale nie mógł ryzykować, by Jemima czekała. Samochód, dobrze utrzymany staroświecki Avanti, odpowiadający jego hedonistycznemu stylowi życia, był akurat w kiepskim stanie, ponieważ Jonathan ostro nim jeździł i poświęcał mu mało uwagi, ale jego linia i wdzięk wciąż go zachwyciły. „Kiedy w końcu na dobre się popsuje, trzeba będzie go używać jako maszyny do flancowania sadzonek przed domem” - pomyślał.

Zaparkował blisko peronu, zderzakiem dotykając szarych wyblakłych desek. Grzejące słońce wyzwalało z drewna zapach kreozotu. Na peronie i parkingu było pusto, jak zwykle w niedzielę. Rozparł się w fotelu i czekał drzemiąc. Nie wchodziło w rachubę stanie na peronie i czekanie, ponieważ...

Henri Baq dostał swoje na cementowym peronie Dworca St Lazare. Jonathan często myślał o buchającym parą, dużym, pokrytym stalą dworcu. I o olbrzymim uśmiechającym się od ucha do ucha klaunie.

Henri nie musiał się mieć na baczości. Zadanie właśnie zostało wykonane i wyjeżdżał na urlop po raz pierwszy bez żony i dzieci. Jonathan obiecał, że przyjedzie się z nim pożegnać, ale zatrzymał go korek na placu Europy.

Zdołał dojrzeć Henriego i pomachali sobie nad głowami tłumy. W tym właśnie momencie napastnik musiał wbić nóż w brzuch Henriego. Głos umierającego zmieszał się z niewyraźnym jednostajnym dźwiękiem syczącej pary i stukotem wagonów towarowych. Gdy Jonathan przepchnął się przez tłum, zobaczył, że Henri opiera się o olbrzymią reklamę Zimowego Cyrku.

- *Qu'as-tu?* - zapytał Jonathan.

Uciekające w głąb baskijskie oczy Henriego były bezgranicznie smutne. Trzymał kurczowo jedną ręką przód marynarki, przyciskając pięść do brzucha. Uśmiechnął się niemądrze i potrząsnął głową jakby mówiąc: „Nie mogę w to uwierzyć”, po czym uśmiech przemienił się w grymas bólu, a on sam osunął się do pozycji siedzącej, z nogami wyprostowanymi w rozkroku jak u dziecka.

Gdy Jonathan dźwignął się po tym, jak już zbadał tętno na szyi Henriego, stanął twarzą w twarz z szaleńczym uśmiechem klauna na afiszu.

Marie Baq nie płakała. Podziękowała Jonathanowi, że przyszedł jej o tym powiedzieć, i zebrała dzieci w innym pokoju na rozmowę. Gdy wrócili, mieli czerwone zapuchnięte oczy, ale żadne z nich już nie płakało. Najstarszy chłopiec - także Henri - wszedł w swoją rolę i spytał Jonathana, czy ma ochotę na aperitif. Jonathan przyjął zaproszenie, a później wziął ich na kolację do kafejki po drugiej stronie ulicy. Poza najmłodszym, który tak naprawdę nie rozumiał, co się stało, nikt nie miał apetytu. Najstarsza dziewczynka straciła w pewnym momencie panowanie nad sobą, pociągnęła nosem i pobiegła do toalety dla pań.

Jonathan siedział z Marie przy kawie przez całą noc. Rozmawiali o praktycznych i finansowych sprawach przy kuchennym stole pokrytym ceratą, z której psotne dzieci oderwały kawałki plastiku. Potem, przez długi czas, nie było o czym mówić. Blisko świtu wstała z krzesła z westchnieniem tak głębokim, że przerodziło się w jęk.

- Trzeba dalej żyć, Jonathanie. Dla małych. Chodź! Chodź ze mną do łóżka!

Nic tak nie trzyma przy życiu jak kochanie się. Potencjalni samobójcy prawie nigdy tego nie robią. Jonathan mieszkał z Baqami dwa tygodnie i każdej nocy Marie stosowała tę samą terapię. Pewnego wieczoru powiedziała spokojnie:

- Powinieneś teraz odejść, Jonathanie. Wydaje mi się, że już cię nie potrzebuję. A jeżeli będziemy to dalej ciągnąć, nabierze innego charakteru.

Przytaknął.

Najmłodszy syn, dowiedziawszy się, że Jonathan odchodzi, poczuł się zawiedziony. Chciał go poprosić, by poszli do Zimowego Cyrku.

Kilka tygodni później Hemlock wiedział już, że to Miles Mellough dokonał morderstwa. Ponieważ Miles opuścił CII w tym samym czasie, Jonathan nigdy nie był pewien, kto nakazał likwidację.

- Ładnie czekasz na pociąg! - powiedziała Jemima, patrząc przez okno od strony pasażera.

Drgnął.

- Przepraszam. Nie zauważyłem, kiedy nadjechał. - Zdał dobre sprawę, jak nieprzekonywająco to zabrzmiało, zważywszy na opustoszały peron.

Gdy jechali do jego domu, trzymała rękę za szybą, stawiając aerodynamiczny opór wiatrowi, jak to zwykle robią dzieci. Pomyślał, że wygląda elegancko i świeżo w swym białym lnianym kostiumie z wysoką stójką. Siedziała głęboko w fotelu; albo całkowicie zrelaksowana, albo zupełnie obojętna.

- To jedyne ubranie, które przywiozłaś? - zapytał, zwracając głowę w jej stronę, ale patrząc przez cały czas na drogę.

- Tak, pewnie. Założę się, że oczekiwałeś jakichś nocnych rzeczy dyskretnie schowanych w papierowej brązowej torbie.

- Nie zależy mi na kolorze torby. Mógłby być jakikolwiek. - Zahamował, skręcił w boczną drogę, po czym wrócił ponownie na szosę.

- Zapomniałeś czegoś?

- Nie. Wracamy do miasteczka. Trzeba kupić ci trochę ciuchów.

- Te ci się nie podobają?

- Bardzo ładne. Ale raczej nie nadają się, by w nich pracować.

- Pracować.

- Naturalnie! Myślałaś, że jedziesz na wakacje?

- Co to za praca? - spytała ostrożnie.

- Myślałem, że sprawi ci radość, gdy pomożesz mi przy malowaniu łodzi.

- Oczywiście.

Jonathan pokiwał domyślnie głową.

Zatrzymali się przed jedynym sklepem w miasteczku, który był otwarty w niedzielę: budowla rzekomo rodem z Cape Cod, ozdobiona sieciami rybackimi i szklanymi kulami obliczonymi na wywołanie zachwyty u weekendowych turystów z miasta. Właścicielem był gadatliwy wielki mężczyzna z Down East, w wieku około czterdziestu pięciu lat, zdradzający pewne skłonności do tycia, nosił opięty garnitur i plisowany perłowski fular. Gdy mówił, wysuwał dolną szczękę do przodu i najwyraźniej rozkoszował się nosowym brzmieniem swego głosu.

Podczas gdy Jemima szukała w głębi sklepu jakichś szortów, koszulki i tenisówek, Jonathan wybierał inne rzeczy, kierując się poradami właściciela co do rozmiarów. Wskazówki nie były udzielane życzliwym tonem; wypowiadał je rozdrażniony, skory do gniewu głos.

- Och, jakaś dziesiątka, przypuszczam - orzekł właściciel, po czym zacisnął usta i

odwrócił oczy. - Oczywiście zmieni się po kilkorgu dzieciach. Ten rodzaj kobiet zawsze się zmienia. - Jego brwi były w ciągłym ruchu, jedna niezależna od drugiej.

Przejechali spory kawałek drogi, zanim się odezwała:

- Po raz pierwszy padłam ofiarą uprzedzeń w tym kraju.

- Znałem i podziwiałem mnóstwo kobiet - powiedział Jonathan, dokładnie imitując głos właściciela. - Niektórzy moi najlepsi przyjaciele to kobiety...

- Ale nie chciałbyś, by twój brat ożenił się z którąś z nich, prawda?

- No, wiesz przecież, co się dzieje z cenami ziemi, gdy w sąsiedztwie pojawia się kobieta?

Cienie drzew stojących wzdłuż drogi przesuwały się w regularnym rytmie po masce, a słońce migotało tysiącami światełek w kącikach ich oczu.

Ścisnęła jeden z pakunków.

- A to co?

- Nie gniewaj się, ale nie mieli papierowych brązowych toreb.

Zamilkła na chwilę.

- Aha.

Samochód skręcił w aleję prowadzącą do domu i znaleźli się wśród platanów, które zasłaniały kościół. Otworzył drzwi i wpuścił ją pierwszą. Stała na środku nawy i odwróciła się, obejmując całość wzrokiem.

- To nie dom, Jonathanie. To filmowa dekoracja.

Przeszedł naokoło łodzi, aby zobaczyć, jak jej idzie. Z nosem oddalonym jakieś dwadzieścia centymetrów od drewna i z językiem między zębami, skoncentrowana, malowała powierzchnię nie większą niż metr, co wyraźnie stanowiło granicę jej możliwości.

- Znalazłaś plamkę - powiedział - ale nie zauważyłaś łodzi.

- Cicho! Wracaj na swoje miejsce i maluj dalej.

- Już to zrobiłem.

Parsknęła.

- Byle jaka niedbała robota, wyobrażam sobie.

- Czy jest jakaś szansa, że skończysz przed zimą?

- Nie martw się o mnie, człowieku. Jestem typem osiagającym swój cel. Będę przy tym tak długo, dopóki nie skończę. Nic nie może mnie odciągnąć od rzetelnej roboty.

- Chciałem zaproponować ci lunch.

- Kupuję! - Wsadziła pędzel do puszki z rozpuszczalnikiem wytarła szmatą dłonie.

Wykąpana i przebrana przysłała do barku na przedobiednie Martini.

- To ci dopiero wanna.

- Lubię ją.

Pojechali na drugą stronę wyspy, by zjeść lunch w „The Better 'Ole”: frutti di mare i szampan. W restauracji było chłodno i niemal pusto. Rozmawiali o swoim dzieciństwie, o dżezie z Chicago i z San Francisco, o niekomercyjnym kinie i o tym, że oboje lubią zimny melon na deser.

Leżeli obok siebie na ciepłym piasku pod niebem już nawet nie tyle bładoniebieskim, co mocno rozbielonym mgiełką, która poprzedzała ścianę ciężkich szarych chmur, napierających nieuchronnie z północy. Przebrali się z powrotem w robocze ubrania, ale nie wrócili do pracy.

- Wystarczy mi słońca i piasku, proszę pana - oświadczyła w końcu Jemima, po czym usiadła. - I nie chcę, by złapała mnie ulewa, więc pójdę obejrzeć sobie dom. Dobrze?

Przyzwolił sennie.

- Czy mogę zadzwonić? Muszę powiadomić moje linie lotnicze, gdzie jestem.

Nie otworzył oczu, bojąc się zakłócić stan półświadomości, który tak sobie cenił.

- Nie rozmawiaj dłużej niż trzy minuty - powiedział ledwie poruszając ustami.

Pocałowała delikatnie jego miękkie wargi.

- W porządku - stwierdził. - Ale nie dłużej niż cztery.

Gdy wrócił do domu, było późne popołudnie i chmury przewalały się po niebie. Odnalazł Jemimę na pół leżącą w bibliotece i przeglądającą teczkę z rycinami Hokusai. Spojrzał jej przez ramię, żeby zobaczyć, która godzina, po czym udał się do barku.

- Robi się chłodno. Masz ochotę na sherry? - Jego głos odbił się po nawie.

- Owszem. Ale nie podoba mi się twój barek.

- Niemożliwe!

Podążyła za nim aż do poręczy ołtarza.

- Za dużo w nim wszystkiego.

- Zbyt rozrośnięty?

- No właśnie. - Wzięła kieliszek wina i usiadła na poręczy sącząc je.

Patrzył na nią z przyjemnością posiadacza.

- O, à propos! - Przestała nagle pić. - Czy wiesz, że na twoim terenie jest jakiś

szalenię?

- Czyżby?

- Tak. Spotkałam go, gdy szłam tutaj. Warczał i kopał dziurę, która wyglądała strasznie, jak grób.

Jonathan zmarszczył brwi.

- Nie mam pojęcia, kto to mógł być.

- I mruzczał do siebie.

- Tak?

- Tak. I to coś niesłychanie wulgarnego.

Potrząsnął głową.

- Będę musiał to zbadać.

Przyrządzała sałatę, podczas gdy on piekł steki. Owoce chłodziły się od chwili przyjazdu i czerwone winogrona przybrały kolor fiołkoworóżowy od mgiełki szronu po zetknięciu się z wilgotnym powietrzem ogrodu, gdzie usiedli przy stole z kutego żelaza, pomimo prawdopodobieństwa deszczu. Otworzył butelkę pichon-longueville-baron i posilali się, a nadchodząca noc sprawiała, że w ich stole odbijało się padające spoza wierzchołków drzew światło mrugających lamp przeciwsztormowych. Migotanie ustało, powietrze zrobiło się ciężkie i nieruchome i od czasu do czasu błyskawice rozświetlały niebo od północy. Patrzyli, jak ciemniało coraz bardziej, a lekkie powiewy chłodnego wiatru napędzającego burzę poruszały srebrno-czarnym listowiem wokół lamp. Jonathan miał na długi czas zachować w pamięci smugę, jaką pozostawiał za sobą jarzący się papieros Jemimy, gdy podnosiła go do ust.

Odezwał się po dłuższym milczeniu:

- Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Poszła za nim do domu.

- Czyżby coś związanego z duchami? - spytała, gdy wyciągnął klucze zza kuchennej szafki i poprowadził ją na dół krętymi kamiennymi schodami. - Do katakumb? Prawdopodobnie jest pułapka z wapiennych korytarzy! Co ja naprawdę wiem o tobie? Może powinnam rzucać kawałki chleba, żeby znaleźć powrotną drogę?

Jonathan zapalił światła i odsunął się. Przeszła obok niego zaintrygowana obrazami, które wprost promieniowały ze ścian.

- O rety! Och, Jonathanie!

Usiadł na krześle przy biurku i patrzył na nią, jak przechodziła od płótna do płótna nierównym wibrującym krokiem, wabiona przez następny obraz, a zarazem nie chcąc

oderwać się od poprzedniego. Wydawała ciche pomruki zadowolenia i podziwu, jak cieszące się dziecko, gdy je po raz pierwszy samodzielnie śniadanie.

Nasycawszy oczy, usiadła na rzeźbionym taborecie od pianina i przez jakiś czas trwała tak, utkwivszy oczy w kashanie.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem, Jonathanie Hemlocku.

Skinął głową.

- To wszystko tylko dla ciebie. Ten megalomański dom i to... - zatoczyła szerokie półkole ręką i głową. - Masz to tylko dla siebie.

- Jestem niezwykle egoistycznym człowiekiem. Chcesz trochę szampana?

- Nie.

Spuściła wzrok i potrząsnęła smutno głową.

- To wszystko naprawdę dużo dla ciebie znaczy. Nawet więcej niż Dragon próbował mi to uzmysłowić.

- Tak, ma znaczenie, ale...

Przez kilka minut nic nie mówili. Nie podniosła wzroku, a on spojrzał najpierw wstrząśnięty na nią, po czym próbował zapanować nad zmieszaniem i gniewem, zmuszając się do błędzenia wzrokiem po obrazach.

W końcu westchnął i wstał z krzesła.

- Myślę, moja panno, że najlepiej będzie, jak zawiozę cię na dworzec. Ostatni pociąg do miasta... - Jego głos brzmiał coraz ciszej.

Poszła za nim posłusznie na górę po kamiennych schodach. Gdy byli w galerii, zerwała się gwałtowna burza, ale nie słyszeli tego. Teraz wspinali się schodami przy akompaniamencie gwałtownych, choć przytłumionych odgłosów metalicznego stukotu deszczu o szybę, gwizdu i lekkich uderzeń wiatru, cichych i odległych grzmotów piorunów.

W kuchni zapytała:

- Czy mamy czas na lampkę szampana, którą mi proponowałeś?

Skrył urazę za suchą oziębłą grzecznością.

- Oczywiście. W bibliotece?

Wyglądała na strapioną, więc osłoniwszy się niczym tarczą fałszem towarzyskiej konwersacji, paplał bezmyślnie to o braku komunikacji w tym kącie Long Island, to o szczególnych trudnościach, które wynikają z powodu deszczu. Siedzieli naprzeciwko siebie na ciężkich skórzanych krzesłach, podczas gdy deszcz zacinał niemal poziomo w witrażu, a ściany i podłoga mieniły się odcieniami czerwieni, zieleni i błękitu. Jemimie udało się

przerwać potok jego słów.

- Sądzę, że nie powinnam była wypowiadać tego ot tak, po prostu, Jonathanie.

- Och? A jak powinnaś była to wypowiedzieć, Jemimo?

- Nie mogłam pozwolić, by to się ciągnęło... to znaczy, nie mogłam pozwolić, byśmy brnęli dalej, a ty pozostawałbyś w nieświadomości. I nie mogłam wymyślić delikatniejszego sposobu, by ci o tym powiedzieć.

- Trzeba było uderzyć mnie cegłą - zasugerował. Po czym zaśmiał się. - Musiałem być ślepy. Naprawdę oślepiasz ludzi. Te nieprzypadkowe zbiegi okoliczności. Ty w samolocie z Montrealu. Ty przejeżdżająca obok biura Dragona taksówką. Jak to miało być, Jemimo? Miałaś mnie doprowadzić do białej gorączki z pożądania, po czym odmówić swego ciała, żebym podjął się wykonania tej likwidacji dla Dragona? Albo wyszeptywać mi do ucha, namawiając podstępnie w chwili błogostanu?

- Nic z tego! Miałam ukraść twoją zapłatę za ostatnią robotę.

- To z pewnością szczere wyznanie.

- Widziałam ją leżącą na biurku na dole. Dragon powiedział mi, że bardzo potrzebujesz pieniędzy.

- Ma rację. Ale dlaczego ty? Dlaczego nie jeden z tych jego pacholków?

- Pomyślał, że będę w stanie szybko się z tobą zaprzyjaźnić.

- Aha. Jak długo pracujesz dla Dragona?

- Prawdę mówiąc nie pracuję dla niego. Jestem w CII, ale nie w Wydziale Ścigania i Likwidacji. Wybrali kogoś spoza, by uniknąć rozpoznania.

- Bardzo rozsądne. Co robisz?

- Jestem kurierem. Zawód stewardesy jest dobry do tego celu.

Przytaknęła.

- Wykonywałaś dużo zadań tego typu? Używając ciała, by dotrzeć do kogoś?

Zastanowiła się, po czym odrzuciła wygodne kłamstwo.

- Parę.

Przez chwilę nic nie mówił, po czym się uśmiechnął.

- Czy nie stanowimy pary? Egoistyczny morderca i patriotyczna dziwka. Powinniśmy się pobrać choćby po to, by zobaczyć, jakie byłoby potomstwo. Nie mam nic przeciwko egoistycznym dziwkom, ale patriotyczni mordercy to najgorszy gatunek.

- Jonathan! - Pochyliła się do przodu, nagle rozgniewana. - Czy masz jakiegokolwiek wyobrażenie o tym, jak ważne jest to zadanie, które Dragon chce, żebyś wykonał?

Patrzył na nią ironicznie w milczeniu; nie miał zamiaru czegokolwiek jej ułatwiać.

- Wiem, że nie podałeś ci szczegółów. Nie mogłem, dopóki nie ma pewności, że weźmiesz tę robotę. Ale gdybyś wiedział, co wchodzi w grę, współpracowałbyś.

- Wątpię.

- Chciałabym ci powiedzieć. Ale otrzymałam instrukcje...

- Rozumiem.

Po chwili przerwy powiedziała:

- Próbowałam się z tego wykręcić.

- Ach tak?

- Po południu, gdy leżeliśmy na plaży, zdałam sobie sprawę, że musiałabym zrobić paskudną rzecz, teraz gdy...

- Teraz gdy co? - Wygiął w łuk brwi z bezczelną ciekawością.

Mrugnęła oczyma.

- Tak czy owak, zostawiłam cię i przyszedłam tutaj, by zadzwonić do Dragona i poprosić go, by mi pozwolił odejść.

- Domyślałam się, że odmówił.

- Nie mogłem ze mną rozmawiać. Przechodził transfuzję czy coś takiego. Ale jego człowiek... jak mu tam?... odmówił.

- Pope. - Wypił wino i pieczołowicie odstawił kielich na stół. - Trochę ciężko mi w to uwierzyć, wiesz. Tkwisz w tej sprawie od jakiegoś czasu... od Montrealu. I chyba jesteś przekonana, że powinienem wziąć to zadanie...

- Musisz, Jonathanie!

- I pomimo wszystko oczekujesz, bym uwierzył, że jedno przyjemne popołudnie cię odmieniło. Nic nie poradzę, ale czuję, że popełniasz błąd próbując mnie wykiwać.

- Nie zmieniałam zadania. Chodzi tylko o to, że nie chciałam, bym to właśnie ja zrobiła. A ty doskonale wiesz, że to było więcej niż sympatyczne popołudnie.

Spojrzał na nią, patrząc raz w jedno raz w drugie jej oko. Następnie skinął głową.

- Tak, to było coś więcej.

- Dla mnie zresztą nie tylko jedno popołudnie. Spędziłam całe dni, przeglądając notatki o tobie, które nawiasem mówiąc, są zenująco dokładne. Wiem, jak wyglądało twoje dzieciństwo. Wiem, jak CII zwał cię do roboty. Wiem o zabójstwie twojego przyjaciela we Francji. A nawet widziałam cię w telewizji edukacyjnej. - Uśmiechnęła się. - Prowadziłeś wykład o sztuce w tym twoim trudnym do podrobienia stylu. Och, zanim cię poznałam, w dziewięćdziesięciu procentach połknęłam haczyk. Potem naprawdę ucieszyłam się, gdy zaprowadziłeś mnie na dół. Nie mogłam się powstrzymać od paplania. Z akt wiem, że nigdy

nikogo tam nie zapraszasz. W każdym razie, tam na dole, gdzie siedziałeś taki szczęśliwy i gdzie wisiały te piękne obrazy, i ta niebieska koperta z twoimi pieniędzmi na wierzchu na twoim biurku... Musiałam ci to wszystko powiedzieć.

- Nie masz już więcej nic do powiedzenia?

- Nie.

- Nie chcesz mówić o butach lub statkach albo o laku?

- Nie.

- W takim razie - podszedł do niej i podniósł ją za ręce z krzesła - zaniosę cię na górę.

- Do dzieła!

Migoczące od deszczu promienie światła padały na jej oczy, wydobywając w najmniej spodziewanych chwilach złote cętki. Zniżył czoło do jej czoła, zamknął oczy i wydał chrapliwy pomruk zadowolenia i rozkoszy. Następnie odchylił się, aby móc ją lepiej widzieć.

- Powiem ci coś - oświadczył - ale nie możesz się śmiać.

- Powiedz!

- Masz najpiękniejsze oczy.

Spojrzała na niego z nieśmiertelnym kobiecym spokojem.

- To bardzo miłe. Dlaczego miałabym się śmiać?

- Kiedyś ci wyjaśnię. - Pocałował ją delikatnie. - Przemyslałem to, prawdopodobnie ci nie powiem. Ale ostrzeżenie przed śmiechem nadal jest aktualne.

- Dlaczego?

- Ponieważ jeśli się zaśmiejesz, stracisz mnie.

Rozbawiło ją to, więc zaśmiała się i straciła go.

- Ostrzegałem cię, prawda? Chociaż, zważywszy, jak się dobrze sprawilem, to naprawdę bez znaczenia.

- Nie mów tak!

Tym razem on się zaśmiał.

- Wiesz co? Będziesz zaskoczona, ale wytrzymałość to moja silna strona. Nie bujam. Zazwyczaj tym się reklamuję. Wytrzymałością. I co ty na to?

- Mamy urozmaicony czas. No a poza tym, przynajmniej nie sięgnąłeś po papierosa.

Przekręcił się na plecy i powiedział spokojnie do panującej nad nimi ciemności.

- Biorąc wszystko pod uwagę, natura jest naprawdę kapryśną suką. Nigdy nie przywiązywałem wagi do kobiet, z którymi byłem... zazwyczaj bowiem wtedy nic nie czuję. Jestem wzorem opanowania. Naprawdę spisuję się dobrze. Ale z tobą... gdy przywiązałem do

tego wagę i gdy miało to znaczenie, stałem się nagle najszybszym ze strzelców. Mówię ci, natura jest suką.

Gem odwróciła się do niego.

- Hej, co to wszystko znaczy? Mówisz, jakby było już po wszystkim. A ja przez cały czas mam nadzieję, że znajdujemy się między pierwszym razem i następnym.

Wyskoczył z łóżka.

- Masz rację! Jesteśmy między pierwszym a następnym razem. Czekał tam, a ja przyniosę wskrzeszającą porcję szampana.

- Nie, zaraz. - Usiadła na łóżku; jej ciało rysowało się na tle srebrnego światła padającego od tyłu i było wspaniałe. - Wróć tutaj! Coś ci powiem.

Położył się wszerz w nogach łóżka i oparł policzek o jej stopy.

- Sprawiasz wrażenie poważnej i złowieszczej...

- Bo jestem. Chodzi o tę robotę dla Dragona...

- Proszę, Gem.

- Nie, nie. Teraz przez chwilę bądź cicho. To ma związek z biologicznym urządzeniem, nad którym pracuje druga strona. Jest to bardzo groźna rzecz. Jeżeli opracują to przed nami... To będzie straszne, Jonathan.

Objął jej stopy.

- Gem, nie ma znaczenia, kto prowadzi w tego rodzaju zawodach. To tak jakby dwóch wystraszonych chłopców toczyło pojedynek na ręczne granaty z odległości jednego metra. Naprawdę nie ma znaczenia, kto pierwszy wyszarpnie zatyczkę.

- Chodzi o to, że my nie jesteśmy tacy, by wyszarpnąć zatyczkę.

- Jeżeli twierdzisz, że przeciętny sklepikarz w Seattle jest ludzkim facetem, to masz całkowitą rację. Ale taki jest również przeciętny sklepikarz w Pietropawłowsku. W rzeczywistości zatyczka znajduje się w rękach takich ludzi jak Dragon lub nawet gorzej, zależy od zwarcia w jakimś tajnym komputerze.

- Ale, Jonathanie...

- Nie wezmę tego zadania, Gem. Nigdy nie wykonuję likwidacji, gdy mam dosyć pieniędzy na życie. I nie chcę już więcej o tym rozmawiać. Dobrze?

Milczała. Po czym podjęła decyzję.

- Dobrze.

Jonathan pocałował jej stopy i wstał.

- No to co, napijesz się tego szampana?

Jej głos zatrzymał go, gdy znajdował się nad schodami chóru.

- Jonathan?

- Tak?

- Jestem twoją pierwszą czarną?

Odwrócił się.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Oczywiście, że ma. Wiem, że jesteś kolekcjonerem obrazów i zastanawiałam się...

Usiadł na brzegu łóżka.

- Powinienem trzepnąć cię w tyłek.

- Przepraszam.

- Masz dalej ochotę na szampana?

Otworzyła ramiona i przywołała go palcami.

- Później.

LONG ISLAND

13 czerwca

Oprzytomniał natychmiast, ledwie tylko otworzył oczy. Spokojny i szczęśliwy. Pierwszy raz od lat nie przeszedł przez zamazaną i kleistą fazę od snu do przebudzenia. Wyciągnął się z rozkoszą, wyginając w łuk plecy i napinając kończyny, dopóki każdy mięsień nie zadrżał, naciągnięty. Miał ochotę krzyknąć, narobić prawdziwego hałasu. Jego noga dotknęła wilgotnego miejsca na prześcieradle i uśmiechnął się. Jemimy nie było w łóżku, ale jej miejsce było nadal ciepłe, a poduszka zachowała zapach jej perfum i jej samej.

Nagi, wyskoczył z łóżka i przechylił się ponad balustradą chóru. Padające przez nawę pod ostrym kątem barwne promienie słonecznego światła wskazywały na późne przedpołudnie. Zawołał Jemimę, jego głos odbił się z siłą od łuków sklepienia.

Ukazała się w drzwiach do zakrystii-kuchni.

- Czy to pan się wydzierał, proszę pana?

- Dzień dobry!

- Dzień dobry. - Miała na sobie lniany kostium z lamówką, w którym przyjechała, i w cieniu wydawała się blada. - Kawa będzie gotowa, gdy się wykąpiesz. - I zniknęła za drzwiami zakrystii.

Pluskał się w rzymskiej wannie i śpiewał, nieładnie, ale za to głośno. Co będą dzisiaj robić? Pojadą do miasta? Czy tylko powalęsają się wokół? To nie miało znaczenia. Wytarł się i włożył szlafrok. Od lat nie spał tak długo. Już chyba dochodzi... - Jezu Chryste! Pissarro! Obiecywał sprzedawcy, że odbierze go do południa!

Usiadł na brzegu łóżka, czekając niecierpliwie, by ktoś odebrał z drugiej strony linii telefon.

- Halo? Tak? - powiedział handlarz z nutą udawanego zainteresowania w głosie.

- Jonathan Hemlock.

- Ach, tak. Gdzie jesteś? Czemu dzwonisz?

- Jestem w domu.

- Nie rozumiem, Jonathanie. Jest po jedenastej. Jak możesz być tutaj w południe?

- Nie mogę. Słuchaj, chcę żebyś zatrzymał dla mnie ten obraz przez parę godzin. Już jadę.

- Nie musisz się spieszyć. Nie mogę trzymać obrazu. Mówiłem ci, że mam innego

kupca. Jest teraz ze mną. To niebywale przykre, ale ostrzegałem cię, byś był tutaj na czas. Cóż, umowa to umowa.

- Daj mi godzinę.

- Mam związane ręce.

- Powiedziałeś, że ten drugi zaoferował dwanaście tysięcy. Dam tyle samo.

- Gdybym tylko mógł, mój przyjacielu. Ale umowa jest...

- Rzuć cyfrę!

- Przykro mi, Jonathanie. Drugi kupiec mówi, że przebiję każdą cenę, którą podasz. Ale, skoro zaproponowałeś piętnaście tysięcy, zapytam go. - Usłyszał mamrotanie poza słuchawką.

- On mówi szesnaście, Jonathanie. Co mogę zrobić?

- Kim jest ten drugi licytujący?

- Jonathan! - powiedział pełnym słusznego oburzenia głosem.

- Zapłacę ekstra tysiąc tylko za to, że się dowiem.

- Niemożliwe, żebym ci powiedział, Jonathan. Moja etyka mi na to nie pozwala. A w dodatku on jest ze mną tutaj w tym samym pokoju.

- Rozumiem. W porządku, opiszę ci go. Powiedz „tak”, jeżeli trafnie. Co czyni tysiąc dolarów za jedno słowo.

- No za tę cenę...

- Blondyn, krótko obcięty, tusty, z małymi, osadzonymi blisko siebie oczkami, o okrągłej, tępej twarzy, prawdopodobnie ma na sobie sportową marynarkę, krawat, skarpetki w złym guście i możliwe też, że chodzi po twoim domu w kapeluszu...

- „T”, Jonathanie. „T” jak tysiąc.

Clement Pope....

- Znam faceta. Jest jakaś cena, poza którą nie wyjdzie. Jego szef nigdy nie powierzyłby mu nieograniczonych funduszy. Proponuję osiemnaście tysięcy.

Głos handlarza był pełen szacunku.

- Masz tyle w gotówce, Jonathanie?

- Tak.

Znowu słyhać było mamrotanie poza słuchawką, długie i gniewne.

- Jonathan! Mam dla ciebie wspaniałe wieści. On mówi, że mógłby przebić twoją cenę, ale nie ma przy sobie gotówki. Zanim ją zdobędzie, minie kilka godzin. Dlatego, mój dobry przyjacielu, jeżeli przyjedziesz tutaj koło pierwszej z dziewiętnastoma tysiącami, obraz jest twój wraz z moim błogosławieństwem.

- Dziewiętnastoma tysiącami?

- Zapomniałeś o zapłacie za informację?

Obraz pochłonie prawie wszystko, co ma, będzie więc musiał znaleźć sposób na oddanie długów i zapłacenie panu Monkowi. Ale przynajmniej będzie miał Pissarra.

- W porządku. Będę o pierwszej.

- Wspaniale, Jonathanie. Moja żona przygotowuje dla ciebie herbatę. A teraz powiedz mi, jak się czujesz? Jak dzieci?

Jonathan powtórzył warunki umowy, żeby wszystko było jasne, po czym odłożył słuchawkę.

Przez kilka minut siedział na brzegu łóżka z oczami utkwionymi w pustą przestrzeń, nienawiść do Dragona i Pope'a przybierała postać twardej bryły. Wtedy poczuł zapach kawy i przypomniał sobie o Jemimie.

Zniknęła. A wraz z nią niebieska koperta wypchana studolarowymi banknotami.

Wykonawszy nerwowo parę szybkich telefonów, by uratować chociaż obraz, Jonathan stwierdził, że Dragon, osłabiony po zwyczajowej copółrocznej transfuzji, nie będzie z nim rozmawiał i że handlarz sztuki, choć wykazywał zrozumienie dla jego problemu i życzył zdrowia jego rodzinie, jest niezachwiany w swoim zamiarze sprzedania Pissarra Pope'owi tak szybko, jak tylko zostaną przywiezione pieniądze.

Jonathan usiadł sam na dole w galerii, spojrzenie utkwiał w miejscu, które zarezerwował dla Pissarra. Obok niego na biurku stał nie tknięty kubek kawy z mlekiem. A przy kubku leżał liścik od Jemimy:

Jonathanie

Ostatniej nocy próbowałam dać ci do zrozumienia, jak ważne jest to zadanie.

Kochanie, dałabym wszystko, aby

Wczorajszy dzień i ostatnia noc znaczyły dla mnie więcej, niż sobie to wyobrażasz, ale są sprawy, których

Musiałam się domyślać. Mam nadzieję, że wsypiesz sobie do kawy cukier

Ucałowania (prawdziwe)

Jemima

Nie wzięła nic oprócz pieniędzy. Na kuchennym stole znalazł starannie złożone ubrania, które jej kupił. Nawet talerze po wczorajszej kolacji były umyte i poustawiane.

Usiadł. Minęły godziny. Nad nim, niewidzialne w pustej nawie, snopy kolorowego

światła i cieni kołysały się niedostrzegalnie na bezgłośnych zawiasach i tak nadszedł wieczór.

Czuł gorzką złość do samego siebie. Wstydził się swej naiwności. Jej ciepło i czar rzuciły na niego urok, przyzwolił, by go oślepiły.

Do swojej niepisanej listy tych, którzy wykorzystali przyjaźń jako broń przeciwko niemu, dopisał pod nazwiskiem Milesa Mellougha imię Jemimy.

„Poruszający się palec pisze - zadumał się - a napisawszy, gestykuluje”.

I po raz ostatni tego lata zamknął na klucz drzwi do galerii.

NOWY JORK

14 czerwca

- Udręki ciała, co, Hemlock? - Głos Dragona drżał delikatnie. Pod czarnym jedwabnym przykryciem leżały jego wiotkie i pozbawione ciężaru członki; drobna koścista głowa pozostawiała nieznaczące wklęsnięcie w hebanowej poduszce, na której rozsypały się jego owcze włosy poskręcane wilgocią. Jonathan przypatrywał się długim rękom poruszającym się anemicznie po brzegach pościeli. Nikłe światło było niezbędne tym, którzy się nim opiekowali, by nie sprawiało mu ono jednak bólu, jego oczy przesłonięto grubą, czarną przepaską.

Panna Cerberus pochylała się nad nim, na jej łuszczącej się twarzy malowała się troskliwość, gdy wyciągała grubą igłę z jego biodra. Dragon skrzywił się z bólu, ale szybko przedzierzgnął ten grymas w słaby uśmiech.

Po raz pierwszy Jonathan znajdował się w sypialni Dragona, mieszczącej się za biurkiem. Pokój był mały i cały w czerni, a panujący w nim szpitalny fetor wprost przytłaczał. Jonathan siedział nieruchomo przy łóżku na drewnianym krześle.

- Przez parę dni odżywiamy mnie dożylnie po każdej transfuzji. Roztwór cukru i soli. Przyzna pan, nie jest to menu smakosza. - Dragon przekręcił głowę na poduszce, kierując czarną przepaskę w stronę Jonathana. - Wnioskuje z pańskiego chłodnego milczenia, że nie porusza pana mój stoicyzm i bohatersko dobry humor?

Jonathan nie odpowiedział.

Gestem tak słabym, że ręka opadła bezwładnie na pościel, Dragon odprawił pannę Cerberus, która przeszła obok Jonathana, szeleszcząc nakrochmalonym ubraniem.

- Zazwyczaj nasze pogawędki sprawiają mi przyjemność, Hemlock. Jest w nich ożywcza nuta niechęci do rozprawiania. - Mówił na wdechu, zatrzymując się w pół zdania, gdy było to konieczne, wykorzystując z trudem wykonany wydech na dobranie odpowiednich słów. - Ale w takim stanie nie jestem sprawnym intelektualnie rywalem. Proszę mi więc wybaczyć, że przejdę od razu do sedna. Gdzie jest panna Brown⁵?

- Och! To rzeczywiście jej prawdziwe nazwisko?

- Tak się składa. Gdzie ona jest?

- Czy to znaczy, że pan nie wie?

⁵ Brown - ang. kolor brązowy, brunatny, (przyp. tłum.).

- Zwróciła wczoraj pieniądze Pope'owi, po czym zniknęła. Proszę mi wybaczyć, że pana podejrzewam.

- Nie wiem, gdzie ona jest. Ale mnie to interesuje. Jeżeli się pan dowie, proszę mi powiedzieć.

- Rozumiem. Proszę pamiętać, Hemlock, że ona jest jedną z naszych. A pan doskonale wie, co się dzieje z tymi, którzy wyrządzają krzywdę naszym ludziom.

- Porozmawiajmy o zadaniu.

- Hemlock, pannie Brown nie może się nic przydarzyć!

- Porozmawiajmy o zadaniu.

- Dobrze - Dragon westchnął, dygocząc z wysiłku. - Ale ubolewam, że utracił pan zdolność rzetelnego sposobu postępowania. Jak ten amerykańizm brzmi? Wygraj kilka...?

- Czy miał pan zwyczaj odrywania skrzydełek muchom, gdy był pan młody, panie Dragon?

- Ależ oczywiście, nie! Nigdy muchom!

Jonathan postanowił nie ciągnąć tematu.

- Domyślam się, że akcja związana jest z drugim człowiekiem z Montrealu. Z tym, który został raniony w walce z... jak mu tam?

- Agent Wormwood. Tak. Gdy wysyłaliśmy pana do Montrealu, Wydział Ścigania nie wiedział o tym drugim mężczyźnie prawie nic. Od tamtego czasu łączono ze sobą fragmenty informacji: pogłoski, nieistotne kartki z notatnika, wypowiedzi donosicieli, skrawki nagranych rozmów telefonicznych, wszystkie takie typowe kawałki, na podstawie których przeprowadza się rekonstrukcję przestępstwa. Szczerze mówiąc, nadal mamy mniej informacji niż kiedykolwiek. Ale likwidacja tego człowieka jest bezwzględnie konieczna. I wymaga pośpiechu...

- Dlaczego? Nie po raz pierwszy pańskim ludziom nie powiedzie się. Czemu ten człowiek jest taki ważny?

Połykujące czoło Dragona zmarszczyło się, gdy rozważał przez chwilę tę kwestię, po czym powiedział:

- Dobrze, powiem panu. Może wtedy pan zrozumie, dlaczego postąpiliśmy z panem tak ostro. I może podzieli pan naszą obawę co do tego człowieka. - Przerwał, szukając miejsca, od którego zacząć. - Proszę mi powiedzieć, Hemlock, ma pan przecież doświadczenie w wywiadzie, jak wygląda doskonała broń biologiczna?

- To pogawędka?

- Jak najbardziej zasadnicza rozmowa!

Głos Jonathana przyjął melodyjny rytm recytacji.

- Choroba powinna zabijać, ale nie szybko. Zarażony będzie wymagał hospitalizacji i opieki, tak więc każdy przypadek angażuje jednego lub dwóch ludzi biorących udział w akcji, którzy pozostają z ofiarą. Choroba rozwija się przez kontakt lub zarażenie i rozprzestrzenia poza obwodem zaatakowanego obszaru, powodując panikę. Jednocześnie musimy mieć coś, co ochroni przed nią nasze wojska.

- Właśnie. Mówiąc krótko, Hemlock, pewne złośliwe postaci dymienicy morowej byłyby idealne. Otóż, druga strona od lat pracuje nad rozwinięciem broni biologicznej opartej na dymienicy morowej. Przeszli długą drogę. Udoskonalili sposób jej roznoszenia, wyodrębnili odmianę wirusa z idealnymi dla ich celów właściwościami i mają szczepionki, które uodporniają ich wojska.

- Przypuszczam, że lepiej będzie ich nie olewać.

Dragon skrzywił się na te słowa.

- Ach, te slumsy. Nigdy nie może pan z nich wyjść na dobre! Tak, na szczęście nasi ludzie nie próżnowali. Poczynili poważne kroki na tym polu.

- Z pozycji obronnej, oczywiście.

- Broń odwetowa.

- Naturalnie! Mimo wszystko jesteśmy cywilizowani.

- Niestety, nie rozumiem, co ma pan na myśli.

- To amerykańizm.

- Aha. Otóż obie strony znalazły się w impasie. Nasi ludzie nie są w stanie uodpornić armii przeciwko wirusowi. Druga strona nie odkryła należytego środowiska do hodowli, tak by utrzymać wirusa przy życiu w skrajnych temperaturach i szoku wywołwanym międzykontynentalnym lotem pocisku. Pracujemy nad odkryciem ich metody uodporniania, oni zaś bardzo by chcieli wiedzieć, jakie my mamy środowisko do hodowli.

- Brał pan pod uwagę bezpośrednią wymianę, towar za towar?

- Pana płaskie żarty nie przynoszą ulgi w mej chorobie, Hemlock.

- W jakim stopniu ta fascynująca sprawa mnie dotyczy?

- CII dostał zadanie opóźnienia postępów prac drugiej strony.

- Zadanie zostało powierzone CII? CII od inwazji kubańskiej? CII od incydentu w Gazie? CII od okrętów szpiegowskich? Może się wydawać, że naszemu rządowi sprawia przyjemność zabawa w rosyjską ruletkę.

Głos Dragona brzmiał szorstko.

- Faktem jest, doktorze Hemlock, że przeszliśmy długą drogę, by uczynić

nieszkodliwym cały ich biologiczny program wojenny.

- Jak dokonano tego cudu?

- Pozwalając im na przechwycenie naszej formuły na środowisko hodowlane. - W głosie Dragona słyhać było pewną dumę.

- Ale nieprawdziwej - domyślał się Jonathan.

- Ale nieprawdziwej.

- A oni są na tyle głupi, że tego nie stwierdzą.

- To nie sprawa głupoty. Środowisko testuje się w laboratorium. Gdy nasi ludzie natknęli się na nie...

- Nasi dzielni ludzie.

- Gdy nasi ludzie natknęli się na nie, uwierzyli, że znaleźli odpowiedź na to, jak utrzymać przy życiu wirusa we wszystkich warunkach. Testowaliśmy je gruntownie. Gdybyśmy nie mieli szansy przetestowania tego w warunkach bojowych, nigdy byśmy nie odkryli jego wady.

- W warunkach bojowych?

- To nie pańska sprawa. - Dragon był zły na siebie z powodu popełnienia gafy.

Wydawał się opadać ze zmęczenia, mimo że nie wykonał żadnego ruchu. Sprawiał wrażenie jakby się kurczył od środka, stając się drobniejszy w klatce piersiowej i chudszy na twarzy. Zacerpnął kilka płytkich oddechów, wypuszczając każdy przez rozluźnione usta i wydęte policzki.

- A więc, Hemlock - kontynuował, gdy doszedł do siebie - rozumie pan teraz nasz pośpiech.

- Szczerze mówiąc, nie. Jeżeli jesteśmy tak zaawansowani w tym zbrodniczym współzawodnictwie... - Wzruszył ramionami.

- Ostatnio ponieśliśmy duże straty. Trzech bardzo ważnych dla nas naukowców zmarło w ciągu ostatniego miesiąca.

- Zabójstwo?

- Nie... - Dragon był wyraźnie przygnębiony. - Mówiłem panu, że nie rozwinęliśmy jeszcze skutecznej metody uodporniania i... Tu nie ma nic do śmiechu, Hemlock!

- Przepraszam. - Jonathan otarł z oczu łzy i spróbował opanować się. - Ale zwycięstwo dobra nad złem... - Zaśmiał się ponownie.

- Łatwo pana rozśmieszyć - powiedział Dragon chłodno. - Czy mogę mówić dalej?

Jonathan zrobił przyzwalający gest ręką i zachichotał wewnętrznie.

- Sposób, którego użyliśmy, aby środowisko dostało się w ręce nieprzyjaciela, nie był

pozbawiony finezji. Musieliśmy załatwić to przez jednego z naszych agentów, owego Wormwooda, w Montrealu.

- Więc pozwoliliście, by przedostało się w ręce drugiej strony.

- Chytrzej, Hemlock. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by przeszkodzić im w przechwyceniu środowiska. Z jednym wyjątkiem. Użyliśmy do tej roboty nieudolnego agenta.

- Pan po prostu chciał się go pozbyć i to tak, żeby oni go załatwili?

- Wormwood był człowiekiem o niebezpiecznie ograniczonych zdolnościach. Prędzej czy później... - Wykonał gest oznaczający nieuchronność. - W tym miejscu pan wkracza na scenę. Aby nasza praca została uwieczniona sukcesem, zabójstwo Wormwooda musi zostać pomszczone, tak jakbyśmy byli naprawdę zasmuceni jego stratą. Co więcej, biorąc pod uwagę znaczenie informacji, druga strona oczekuje, że przeprowadzimy akcję z większą niż zazwyczaj siłą. I nie możemy ich zawieść. CII uważa, że odszukanie i likwidacja obu mężczyzn zamieszanych w morderstwo jest sprawą najwyższej wagi dla obronności państwa. A z pewnych względów jest pan jedynym człowiekiem, który może dokonać drugiej likwidacji. - Dragon przerwał. Podsumowywał swym analitycznym umysłem to, co zostało powiedziane, by sprawdzić, czy nie pominął jakiejś żywotnej sprawy. Stwierdził, że nie. - Czy teraz pan rozumie, dlaczego wywarliśmy na pana tak niezwykłą presję?

- Dlaczego jestem jedynym człowiekiem, który może przeprowadzić tę akcję?

- Po pierwsze: przyjmuje pan to zadanie?

- Przyjmuję.

Krzaczaste białe brwi podniosły się co najmniej o dwa centymetry.

- Tak po prostu? Bez dalszej napastliwości?

- Pan za to płaci.

- Sądzę, że tak. Ale nie za dużo, oczywiście.

- Zobaczymy. Proszę mi coś opowiedzieć o celu.

Dragon zrobił pauzę, by zebrać siły.

- Pozwoli pan, że zacznę od szczegółów morderstwa Wormwooda. Wmieszanych było w nie dwóch mężczyzn. Główną rolę odgrywał Garcia Kruger, którego nie ma już wśród nas. To on prawdopodobnie zadał pierwszy cios; prawie pewne, że to on rozciął Wormwoodowi gardło i brzuch scyzorykiem, by odzyskać kulkę, którą ten połknął. Drugi mężczyzna był wyraźnie nie przygotowany na taką przemoc. Zrobiło mu się niedobrze i zwymiotował na podłogę. Podaję te szczegóły, by wiedział pan, z jakiego typu człowiekiem będzie pan miał do czynienia. Na podstawie jego zachowania, w pokoju i później, Wydział Ścigania wnioskuje, że nie jest zawodowcem. Wszystko wskazuje na to, że wmieształ się w sprawę dla pieniędzy...

bodziec, do którego odnosi się pan życzliwie.

- Jak się nazywa mój cel?

- Nie wiemy.

- Gdzie teraz jest?

- Nie wiemy.

Z coraz większym powątpiewaniem Jonathan zapytał:

- Macie rysopis, prawda?

- Obawiam się, że bardzo nieprecyzyjny. Cel jest mężczyzną i najwyraźniej znakomitym wspinaczem. Nie jest obywatelem kanadyjskim. Tyle byliśmy w stanie wyczytać z listu dostarczonego do hotelu kilka dni po jego wyjeździe.

- Ładna historia! Pan chce, bym zabił każdego wspinacza, który nie ma szczęścia być Kanadyjczykiem!

- Niezupełnie. Nasz człowiek będzie brał udział tego lata we wspinaczce w Alpach.

- To zawęża pole do może trzech, czterech tysięcy mężczyzn.

- Bardziej, Hemlock. Wiemy, który szczyt będzie atakował.

- Tak?

- Eiger. - Dragon czekał na reakcję.

Po chwili milczenia, podczas którego przesuwały mu się przed oczami obrazy najbardziej przerażających momentów z jego kariery wspinacza, Jonathan zapytał z fatalistyczną pewnością siebie:

- Północna ściana, oczywiście.

- Zgadza się. - Dragonowi podobało się, że w głosie Jonathana wyczuł niepokój. Wiedział, że Jonathan dwukrotnie usiłował wspiąć się bez powodzenia po tej zdradzieckiej ścianie i że przy obu próbach o włos uniknął śmierci.

- Jeśli ten mężczyzna ma zamiar atakować Eiger, to wszystko wskazuje na to, że zadanie wykona się samo, bez mego udziału. - Jonathan szczerze podziwiał cel, kimkolwiek by był.

- Nie jestem panteistą, Hemlock. Bóg jest z pewnością po naszej stronie, ale jesteśmy mniej pewni Natury. Przecież dwukrotnie usiłował pan wspiąć się po tej ścianie, a mimo to nadal pan żyje. - Dragon nie odmówił sobie przyjemności przypomnienia mu: - Oczywiście, obie pana próby się nie powiodły.

- Dwa razy wróciłem ze ściany żywy. Jak na Eiger, można to uznać za pewnego rodzaju sukces. Niech mi pan powie - powrócił do zasadniczej sprawy - ile zespołów przygotowuje się teraz do wspinaczki na północną ścianę?

- Dwa. Jeden to zespół włoski...

- Niech mi pan o nim nie mówi! Po tym, co zaszło w pięćdziesiątym siódmym, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie pójdzie na stok z włoskim zespołem.

- To samo mi powiedzieli moi specjaliści. Następny atak zaplanowany jest sześć tygodni później. Międzynarodowa Unia Stowarzyszeń Alpinistycznych⁶ sponsoruje wspinaczkę dobrej woli, w której wezmą udział czołowi wspinacze z Niemiec, Austrii, Francji i Stanów Zjednoczonych.

- Czytałem o tym.

- Amerykańskim przedstawicielem miał być pan Lawrence Scott.

Jonathan zaśmiał się.

- Znam Scottiego dobrze, wspinaliśmy się razem. Jest pan szalony, jeśli się panu zdaje, że może mieć cokolwiek wspólnego ze sprawą montrealską.

- Nie jestem szalony. Moje dolegliwości są natury fizycznej nie psychicznej. Podzielamy pańską wiarę w niewinność pana Scotta. Proszę sobie przypomnieć: powiedziałem, że miał on być amerykańskim przedstawicielem. Na nieszczęście uległ wczoraj wypadkowi samochodowemu i nie będzie się wspinał przez wiele lat, jeśli w ogóle.

Jonathanowi przypomniał się kozacki baletowo-matematyczny styl wspinaczki Scottiego.

- Naprawdę jest pan głównem.

- Niech i tak będzie. Amerykański Związek Alpinizmu skontaktuje się wkrótce z panem, by zastąpił pan Scotta. UIAA nie wyrazi sprzeciwu. Pańska sława wspinacza właściwie pana przerasta.

- Związek się ze mną nie skontaktuje. Nie wspinalem się od lat. Wiedzą o tym. Wiedzą, że nie jestem w stanie wyruszyć na Eiger.

- A jednak. Departament Stanu wywarł na nich pewną presję. Tak więc, Hemlock - powiedział Dragon tonem podsumowującym sprawę - pańskim celem jest albo Francuz, albo Niemiec, albo Austriak. Opracowaliśmy sposób na zidentyfikowanie go jeszcze przed rozpoczęciem wspinaczki. Ale żeby nadać wszystkiemu pozory wiarygodności, będzie pan trenował tak, jakby naprawdę miał wziąć udział w tej wspinaczce. I wciąż jest otwarta możliwość, że wyrok zostanie wykonany na ścianie bez niczyjego udziału. À propos, w Szwajcarii będzie z panem pański stary przyjaciel, pan Benjamin Bowman.

- Big Ben? - Pomimo okoliczności myśl o tym, że znów będzie pił piwo i zartował z Big Benem, ucieszyła Jonathana. - Ale Ben nie może się wspinać. Jest za stary na Eiger. Tak

⁶ UIAA - Union Internationale des Associations d'Alpinisme (przyp. red.).

jak i ja.

- Związek nie wytypował go na wspinacza. Będzie zajmował się wyposażeniem i transportem zespołu oraz sprawami organizacyjnymi. Jest na to stosowne określenie.

- Szef ekspedycji.

- Tak, szef ekspedycji. Mamy nadzieję, że pan Bowman wie o pańskiej współpracy z nami, prawda?

- Na pewno nie!

- Szkoda! Byłoby dobrze mieć przy sobie oddanego towarzysza na wypadek, gdyby się okazało, że nie możemy zidentyfikować celu przed rozpoczęciem wspinaczki. Mądrze by pan zrobił zwierając się przed nim ze swej tajemnicy.

Jonathan odrzucił pomysł z miejsca. Ze swym nieskomplikowanym, głęboko zakorzenionym poczuciem etyki Big Ben nigdy nie pojąłby zabijania dla zysku. Ryzykowanie życia dla sportu to co innego. To miało dla Big Bena sens.

Wzmianka Dragona o tym, że spotka swego dawnego znajomego, przywołała obraz Milesa Mellougha. Jonathan przypomniał sobie, że Dragon napomknął o nim podczas ostatniej rozmowy.

- Jaką rolę odgrywa Mellough w tym wszystkim?

- Spodziewałem się, że mnie pan o to zapyta. Szczerze mówiąc, nie jesteśmy pewni. Przybył do Montrealu na dwa dni przed morderstwem Wormwooda i wyjechał dzień potem. Obaj zbyt dobrze znamy pana Mellougha, by sądzić, że to zbieg okoliczności. Zakładam, że działał jako kurier. Oczywiście nie przeszkadzaliśmy mu, dopóki nie przekazał informacji. Teraz, gdy już to zostało zrobione, nie mam nic przeciwko temu, by padł ofiarą pańskiego antycznego pojmowania wierności i honoru, tak jak ów kolega z Grecji. W rzeczywistości dajemy panu Mellougha jako dodatek.

- Sześć tygodni - Jonathan zadumał się. - Będę musiał bardzo ciężko pracować, aby złapać kondycję.

- To pańska sprawa.

- Big Ben prowadzi szkołę wspinaczki w Arizonie. Chcę tam pojechać na miesiąc.

- Jeśli pan chce...

- Na pański koszt!

Głos Dragona był pełen sarkazmu, który okazywał niezmiennie, gdy ujawniała się instynktowna chciwość jego agentów.

- Oczywiście, Hemlock. - Poszukał po omacku przycisku, by wezwać pannę Cerberus. Ze swej strony rozmowę uważał za zakończoną. Jonathan obserwował jego wyteżony

wysiłek, ale nie zaoferował pomocy. - Teraz, gdy pan zna całą sprawę, Hemlock, rozumie pan, dlaczego potrzebujemy pana, i tylko pana, do wykonania tego wyroku. Wspiął się pan po górach i wygląda na to, że wielu ludzi spośród pańskich znajomych jest w jakiś sposób uwikłanych w tę sprawę. Wydaje się, że jest pan wplątany w zawilosci losu...

Panna Cerberus weszła, głośno szeleszcząc szorstkim strojem. Musnęła w przelocie Jonathana, uderzając o krzesło swym potężnym biodrem. Zastanawiał się, czy ta okropna para spółkuje. Kto inny byłby osiągalny dla Dragona? Spojrzał na nich i doszedł do wniosku, że gdyby mieli potomstwo, stworzyliby coś, co mogłoby służyć za model dla Hieronima Boscha.

Na pożegnanie Dragon oznajmił:

- Będę panu udzielał informacji w takim zakresie, jaki uznam za stosowny.

- Nie odniósł pan wrażenia, że pominęliśmy sprawę zapłaty?

- Ach tak, oczywiście. Zamierzamy okazać szczególną hojność, biorąc pod uwagę trudność zadania i emocjonalne komplikacje towarzyszące naszej uroczej walce dobrych chęci. Otrzyma pan trzydzieści tysięcy dolarów po skończonej akcji. Oczywiście, skradzione dwadzieścia tysięcy dolarów wróci do pana. A jeśli chodzi o Pissarra, panna Brown zadzwoniła któregoś dnia i dała nam wyraźnie do zrozumienia, że nie wykona swego zadania, jeżeli nie zobowiązemy się przekazać go panu w formie prezentu. I to robimy. Jestem pewien, że to więcej, niż pan oczekiwał.

- Szczerze mówiąc, więcej niż oczekiwałem, ale dużo mniej, niż powinienem otrzymać.

- Och! - Panna Cerberus położyła uspokajająco dłoń na ramieniu Dragona, niepokojąc się o jego ciśnienie krwi.

- Tak - kontynuował Jonathan ze swadą. - Powinienem dostać Pissarra natychmiast i sto tysięcy dolarów, gdy wykonam zadanie. Plus koszty, oczywiście.

- Przyzna pan, że to bezczelnie wygórowana cena.

- Tak. Ale traktuję tę sumę jako zapłatę przed przejściem na emeryturę. Będzie to ostatnie zadanie, które wykonam dla pańskich ludzi.

- To już, oczywiście, pańska decyzja. Nie jesteśmy jak ci po drugiej stronie, nie pragniemy pana trzymać, skoro pierzchły pańskie uczucia dla nas. Ale też nie mamy zamiaru utrzymywać pana przez całe życie.

- Sto tysięcy wystarczy mi tylko na cztery lata.

- Co potem?

- Pomyślę o czymś.

- Nie wątpię. Ale tyle nie wchodzi w rachubę.

- Owszem, wchodzi. Słuchałem cierpliwie, gdy opowiadał mi pan o pilnej potrzebie

dokonania tej... sankcji i o tym, że potrzebuje pan mnie, i tylko mnie, by ją przeprowadzić. Nie ma pan innego wyboru, musi pan zapłacić mi, ile chcę.

Dragon zamyślił się.

- Chce pan nas ukarać za pannę Brown. Zgadza się?

Jonathan wybuchnął gniewem.

- Po prostu niech pan zapłaci.

- Spodziewałem się od pewnego czasu pańskiego odejścia z naszej organizacji, Hemlock. Pan Pope i ja roztrząsaliśmy tę ewentualność nawet tego ranka.

- A właśnie, jeszcze jedna sprawa. Jeśli pan chce, by Pope pozostał nietknięty, proszę go usunąć z mojej drogi.

- Uderza pan na prawo i lewo w swoim niepokonowanym gniewie, tak? - Dragon zastanowił się przez chwilę. - Coś jeszcze pana gnębi. - Doskonale pan wie, że mógłbym obiecać teraz pieniądze, a potem albo nie zapłacić, albo odebrać je panu w jakiś sposób.

- To już się nigdy nie powtórzy - powiedział Jonathan chłodno. - Dostanę pieniądze teraz. Czek kasowy, przesłany do mojego banku z poleceniem, żeby wypłacono mi tę sumę osobiście lub na pańskie uzupełniające polecenie, nie wcześniej jednak niż za siedem tygodni. Jeśli nie uda mi się dokonać likwidacji, najprawdopodobniej nie będę żył i czek nie zostanie zrealizowany. Jeśli mi się uda, wezmę pieniądze i odejdę. W przeciwnym wypadku, może pan wydać dyspozycję bankowi, by wypłacili panu pieniądze, po udowodnieniu mojej śmierci.

Dragon przycisnął grube ochraniacze do oczu i zastanowił się, jaki może być słaby punkt Jonathana. Następnie opuścił ręce na czarne prześcieradło i zaśmiał się swymi trzema „cha”.

- Wie pan co, Hemlock? Myślę, że się panu z nami udało. - W jego głosie brzmiała mieszanina zdziwienia i podziwu. - Wyślemy czek, zgodnie z pana dyspozycją, do pańskiego banku, a obraz znajdzie pan w domu po pańskim powrocie.

- W porządku.

- Przypuszczam, że to ostatni raz mam przyjemność przebywać w pańskim towarzystwie. Będzie mi pana brakowało, Hemlock.

- Ma pan tutaj zawsze pannę Cerberus.

W jego głosie słychać było cień smutku, gdy przyznawał:

- To prawda.

Jonathan wstał, by odejść, ale Dragon zatrzymał go ostatnim pytaniem.

- Czy jest pan całkowicie pewien, że nie ma pan nic wspólnego ze zniknięciem panny Brown?

- Całkowicie. Ale sądzę, że pojawi się, prędzej czy później.

LONG ISLAND

Tego wieczora

Fiołkoworóżowe i cynowe niebo o zachodzie słońca; falująca ołowiana powłoka oceanu tworzyła małe bruzdy, lekko pieniące się na krańcach, które fala ospale wynosiła w górę blisko jego stóp.

Siedział od swego powrotu z miasta wiele godzin temu na twardym piasku przy brzegu. Ocieżały i zmęczony, wstał, pochrzając, i strzepnął piasek ze spodni. Nie był jeszcze w domu, więc po chwili wahania przy drzwiach zdecydował się po nim powrócić.

W przedsiönku znalazł duży prostokątny pakunek owinięty w brązowy papier i zawiązany sznurkiem. Pomyślał, że to Pissarro, ale nie zwracał sobie głowy sprawdzaniem, co więcej: nawet go nie dotknął. Nalegał, by Dragon go przysłał jedynie dla zasady, ale nie miał już na niego ochoty.

Chłodną nawę spowijał głęboki mrok. Przeszedł wzdłuż niej i wszedł na schody prowadzące do baru. Napenił połowę szklaneczki laphroaigiem, wypił, po czym ponownie ją napelniwszy, odwrócił się w stronę nawy i oparł łokcie na barku.

Kącikiem oka uchwycił przyćmioną świetlistą smugę papierosa.

- Gem?

Przeszedł szybko w stronę niewyraźnej sylwetki kobiety siedzącej w oranżerii.

- Co ty tu robisz?

- Jestem do dyspozycji, jak zwykle - odpowiedziała Cherry. - To dla mnie? - Wskazała na szklaneczkę whisky.

- Nie. Idź do domu. - Jonathan usiadł na wiklinowym krześle naprzeciwko niej; nie był niezadowolony z jej towarzystwa, choć tak to wyglądało, po prostu poczuł nagły spadek poziomu adrenaliny z powodu ogromnego rozczarowania.

- Nie wiem, co mam z panem zrobić, doktorze Hemlock. - Cherry wstała, by nalać sobie drinka, którego jej nie podał. - Zawsze próbujesz mi się przypochlebić - rzuciła przez ramię, idąc w stronę baru. - Wiem, co się kryje za tym słodko brzmiącym „Nie! Idź do domu”. Po prostu próbujesz dobrać się do moich majątek. Może jedynym sposobem, by się ciebie pozbyć, jest ostatecznie przyzwolić na to. - Przerwała, by mógł odpowiedzieć. Ale on się nie odzywał. - Tak, tak, tak - ciągnęła, usiłując pokryć balsamem słów swą początkową zjadliwość. - Myślę, że to jedyny sposób, bym zaznała trochę spokoju. Hej! Czy istnieje coś takiego jak

freudowskie dwuznaczniki? - Jej następna pauza także nie przyniosła odpowiedzi. Wróciła więc z drinkiem i osunęła się rozdrażniona na krzesło. - W porządku. Jak ci się podobają filmy Marcela Carné? Czy sądzisz, że zalety smażenia na teflonie, do którego nic nie przywiera, usprawiedliwiają wydatki na program kosmiczny? Albo: jakie są twoje poglądy na taktyczne problemy masowego odwrotu i czy zawsze będzie wojna między Włochami a Arabami? - Po czym przerwała. - Kto to jest Gem?

- Idź do domu.

- Przez co wnioskuje, że jest kobietą. Albo jeszcze czymś więcej, biorąc pod uwagę, jak tu przed chwilą szybko przyszedłeś do baru.

- Słuchaj, kochanie - powiedział Jonathan ojcowskim tonem - nie nadaję się do tego dzisiejszego wieczoru.

- Wieczór promieniuje dwuznacznymi. Mogę ci zrobić następnego drinka?

- Proszę.

- Tak naprawdę to nie chcesz, bym sobie poszła - orzekła, kierując się ponownie do baru. - Czujesz się źle i chcesz o tym pomówić.

- Bardzo się mylisz!

- Że kiepsko się czujesz?

- Że chcę o tym rozmawiać.

- Owa Gem naprawdę musiała ci zależeć za skórę! Już jej nie znoszę, chociaż jeszcze nie znam. Masz. - Podała mu szklaneczkę. - Ululam cię i wykorzystam tę chwilę słabości. - Zarechotała, udając chichot czarownicy.

Jonathan był zły i zakłopotany.

- Na miłość boską, to nie jest chwila słabości!

- Kłamca, kłamca, twoje spodnie płoną. Założymy się, że mam rację?

- Idź do domu.

- Była dobra w łóżku?

Głos Jonathana od razu oziębł.

- Naprawdę poszłabyś lepiej do domu!

Cherry przestraszyła się.

- Nie gniewaj się, Jonathanie. To było głupie, co powiedziałam. Ale, o rany, przyjacielu, jak ma się czuć dziewczyna, która próbuje zdobyć mężczyznę na wieki wieków, a tu jakaś kobieta o nieprawdopodobnym imieniu uwodzi go po prostu, ot tak! - Kilka razy spróbowała pstryknąć palcami, ale nie wydały żadnego odgłosu. - Nigdy tego nie mogłam zrobić.

Jonathan uśmiechnął się mimo woli.

- Posłuchaj, kochanie. Wyjeżdżam jutro rano.

- Na jak długo?

- Na większość lata.

- Z powodu tej dziewczyny?

- Nie! Będę się trochę wspinał.

- Zdecydowałeś się nagle, po poznaniu tej kobiety, prawda?

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Cóż, naprawdę w to wątpię. W porządku. Kiedy wyruszasz?

- O świącie.

- Dobrze, wspaniale! Mamy całą noc. Co pan tam mówi, proszę pana? Uhm? Uhm? Co mówisz? Zamierzasz mi pofolgować przed wyjazdem? Pamiętaj, to będzie długie lato dla nas, dziewic.

- Zatroszczysz się o dom podczas mojej nieobecności?

- Z przyjemnością. Dobrze, porozmawiajmy teraz o odwzajemnianiu przysług.

- Wypij i idź do domu. Muszę trochę pospać.

Cherry przytaknęła z rezygnacją.

- W porządku. Ta kobieta naprawdę cię omotała. Nie znoszę jej.

- Ja też - powiedział spokojnie.

- Och, nie pieprz, Jonathan!

- O, to coś nowego w twoim słowniku.

- Myślę, że rzeczywiście lepiej będzie, jak sobie pójdę.

Odprowadził ją do drzwi i pocałował w czoło.

- Do zobaczenia po powrocie.

- Hej, czego życzy się wspinaczowi? Aktorowi połamania nóg, ale to brzmi nieco złowieszczo dla wspinacza.

- Mówi się: mam nadzieję, że ci się uda.

- Mam nadzieję, że się uda.

- Dziękuję. Dobrej nocy.

- Wspaniale. Dziękuję bardzo za to „dobrej nocy”. Będę się tym napawać jak noc długa.

ARIZONA

15 czerwca

Stojąc wśród walizek na porośłym trawą brzegu niewielkiego lotniska, Jonathan patrzył, jak odrzutowiec CII, z którego właśnie wysiadł, skręca i zanieczyszcza silnikiem powietrze, kołując na koniec pasa startowego. Krajobraz zafalował w podmuchu gorąca z silników; dochodzący z nich słaby huk sprawiał przykrość.

Z drugiej strony, przecinając pas, wynurzył się spomiędzy dwóch hangarów nowy, ale już pobijany land-rover. Samochód zakręcił ostro w prawo, rozpylając kurz na wyrzekających mechaników, odbił się wszystkimi czterema kołami od ziemi ponad hałdą żwiru, unikając o włos pipera, który się rozgrzewał, co rozpętało energiczną wymianę obelg między kierowcą a pilotem, po czym zbliżył się do Jonathana z maksymalną prędkością, by w ostatniej chwili, z piskiem opon i lekkim poślizgiem bokiem, zatrzymać się ze zderzakiem zaledwie kilkanaście centymetrów od kolana Jonathana.

Big Ben Bowman wysiadł, nim land-rover przestał się kołysać.

- Jon! A niech mnie szlag, jak się masz? - Wyrwał walizkę z zaciśniętej ręki Jonathana i rzucił ją na tył wozu, nie troszcząc się o zawartość. - Powiem ci jedno, staruszk. Zanim stąd wyjedziesz, wypijemy beczkę piwa. Hej! - Zacisnął swe szerokie, owłosione łapska na ramionach Jonathana, by po niezgrabnym, miażdżącym uścisku odsunąć go na długość ramion i badawczo mu się przyjrzeć. - Wyglądasz dobrze, staruszk. Może trochę sflaczałeś. Ale niech mnie szlag, jeśli się nie cieszę. Poczekaj, aż zobaczysz stare śmiecie. Jest... - Ryk odrzutowca CII podchodzącego do startu zagłuszył wszelkie dźwięki, ale Big Ben mówił, nie zwracając na to uwagi, ładując drugą torbę Jonathana i wpychając jej właściciela do wozu. Wskoczył za kierownicę, wrzucił bieg i ruszyli; odbili się od osuszonego rowu, znajdującego się przy lotnisku i wzięli z poślizgiem szeroki zakręt. Jonathan ścisnął fotel i krzyknął, gdy ujrział odrzutowiec CII zbliżający się z rykiem od ich lewej strony. Big Ben zaśmiał się, wziął ostry zakręt w prawo i przez moment pędzili równolegle z odrzutowcem w cieniu jego skrzydła.

- Bez szans! - zawołał Ben, przekrzykując hałas i skręcił w lewo, przejeżdżając tak blisko tyłu samolotu, że Jonathan poczuł gorący, świszczący prąd powietrza silników.

- Na miłość boską, Ben!

- Nie da rady! Nie mogę go prześcignąć! - Ryknął śmiechem i nacisnął pedał gazu.

Przejechali na skróty, nie korzystając z oznaczonych dróg, obok rozrzuconych bez żadnego planu budynków lotniska, skręcili w stronę głównej szosy i przebili się przez ruch uliczny, robiąc zwrot o dziewięćdziesiąt stopni, co wywołało pisk opon i gniewne trąbienia klaksonów. Ben zrobił klasyczny gest w stronę obrażonych kierowców.

Półtora kilometra od miasta zjechali z głównej szosy na polną drogę.

- Tylko kawałek tą drogą, staruszkule! - krzyknął Ben. - Pamiętasz?

- Około trzydziestu kilometrów, prawda?

- Tak, mniej więcej. Zabiera mi to osiemnaście minut, chyba że się spieszę.

Jonathana obleciał strach i powiedział tak spokojnie, jak tylko mógł:

- Nie widzę żadnego specjalnego powodu, dla którego mielibyśmy się spieszyć, Ben.

- Nie poznasz mojej starej doliny!

- Mam nadzieję, że będę miał szansę ją ujrzeć.

- Co?

- Nic!

Podczas gdy pędzili naprzód, podskakując na wybojach, Ben opisał niektóre udoskonalenia, które poczynił. Jego szkoła wspinaczki wyraźnie zmieniła charakter; przerodziła się w swego rodzaju rancho-kurort. Gdy mówił, patrzył na Jonathana, zerkając na drogę tylko po to, by wjechać na nią z powrotem, gdy czuł pod kołami miękką skarpe. Jonathan nie pamiętał po prostu o niebezpiecznym stylu prowadzenia Bena. Na pionowej ścianie, gdzie nie ma nic oprócz zwapniałej skały, do której się przylega, nie chciałby mieć obok siebie nikogo innego, ale za kierownicą...

- Och, och! Trzymaj się!

Znaleźli się nagle na ostrym wirażu i jechali zbyt szybko, by się wyrobić. Land-rover skoczył ponad nasypem i koła od strony Jonathana zagrzebały się w miękkim piachu. Przez trwającą w nieskończoność chwilę balansowali na kołach, po czym Ben cofnął nagle w prawo, zagrzebując je z powrotem w piasku, i zaczął wprowadzać samochód w poślizg, co przypominało ruchy rybiego ogona. Skręcił kierownicę i przycisnął gaz; zaczęli się w poślizgu przesuwają, aż w końcu wrócili z powrotem na drogę.

- Niech mnie! Za każdym razem zapominam o tym zakręcie!

- Ben, myślę, że wolałbym iść piechotą.

- Dobrze, dobrze. - Zaśmiał się i przez chwilę jechał wolno, ale stopniowo ich prędkość wzrastała i wkrótce ręce Jonathana ponownie zbieleły, zacisnięte ze strachu. Stwierdził, że koncentracja w niczym mu nie pomoże, wobec czego rozluźnił się, ufając przeznaczeniu.

Big Ben zachichotał.

- Co jest? - zapytał Jonathan.
- Myślałem o Aconcagui. Pamiętasz, co zrobiłem tej starej suce?
- Pamiętam.

Poznali się w Alpach. Całkowita odmienność ich temperamentów nie dawała nadziei na zgrany zespół, toteż żaden z nich nie cieszył się, gdy połączył ich wspólny cel, okazało się bowiem, że ich towarzysze nie byli zdolni do wspinaczek, o których oni marzyli. Pełni straszliwych obaw, postanowili jednak wspinać się razem i odnosili się do siebie z wyszukaną kurtuazją, która zastępowała przyjaźń. Powoli i niechętnie odkryli, że ich biegunowo odmienne talenty do wspinaczki uzupełniają się i że rysuje się szansa na silny zespół. Jonathan atakował szczyty, jakby rozwiązywał matematyczne zadanie; wybierał drogę, szacował potrzebny zapas energii i czasu; Big Ben uderzał w ścianę z pokorą, niespotykaną siłą i nieugiętą wolą. Pełna fantazji rodzina wspinaczy zaczęła nazywać ich Rapierelem i Maczugą, które to przezwiska przypadły do gustu autorom piszącym artykuły o ich osiągnięciach do czasopism o tematyce alpejskiej. Jonathan był: szczególnie sprawny na ścianach wymagających finezyjnych sztucznych technik, co odpowiadało jego intelektualnemu stylowi. Big Ben prowadził w śniegu i lodzie; sapał i sunął jak buldożer przez zaspy, wspinając się po ścieżce, jakby pchała go nieunikniona machina przeznaczenia.

W obozie znowu różnice ich osobowości działały jak balsam na napięcia w grupie, które te zatłoczone i czasami niebezpieczne leże wywołują. Ben był dziesięć lat starszy, gadatliwy, głośno manifestował swe poczucie humoru. Tak rozbieżna była ich przeszłość i wyznawane wartości, że nigdy nie współzawodniczyli towarzysko. Nawet w domku na wsi po zwycięstwie uctowali i każdy na swój sposób z innymi ludźmi i pocieszali się w nocy i z innym rodzajem dziewcząt.

Przez sześć lat spędzali wspólnie wspinaczkowe sezony zdobywając Pointe Walker, Petit Dru i Canadian Rockies. Ich międzynarodowej sławy nie pomniejszała nawet współpraca Jonathana z pismami poświęconymi wspinaczkom, gdzie upamiętniał ich dokonania powściągliwym stylem; ostatecznie bowiem ten sposób relacji stał się normą w tego rodzaju periodykach.

Było całkiem naturalne zatem, że kiedy zespół młodych Niemców postanowił zaatakować Aconcaguę, najwyższy szczyt na półkuli zachodniej, skontaktowali się z Jonathanem i Benem i zaproponowali, by im towarzyszyli. Ben był szczególnie zapalony; lubił tego rodzaju wspinaczkę: ostre, wyczerpujące człowieka podejście, wymagające nie za dużych umiejętności technicznych, ale za to ogromnej wytrzymałości i umiejętnego

dysponowania siłami.

Reakcja Jonathana była chłodniejsza. Jak nakazywał zwyczaj, zważywszy, że to Niemcy ułożyli plan wspinaczki, oni mieli stanowić pierwszą dwójkę atakującą szczyt. Jonathan i Ben mieliby iść z nimi, jako zespół wspierający, a na szczyt weszliby jedynie wtedy, gdyby tamtej parze przydarzyło się coś niefortunnego. Taka kolej rzeczy, choć sprawiedliwa, była sprzeczna ze zwyczajami Jonathana. W przeciwieństwie do Bena, który uwielbiał każdy etap wspinaczki, Jonathan szedł w góry dla zwycięstwa. Toteż fakt, że jego szczególne zdolności będą miały podrzędne znaczenie w tego typu wspinaczce, a ponadto duże związane z nią koszty nie przypadły mu do gustu.

Ale Benowi nie dało się odmówić. Problemy finansowe rozwiązał, sprzedając małe rancho, które stanowiło jego źródło utrzymania; przekonał też Jonathana podczas długiej rozmowy telefonicznej do swej wizji, mówiąc mu, że zważywszy jego wiek, będzie to prawdopodobnie ostatnia poważna wspinaczka, jaką przedsięwzięmie.

Jak się okazało, miał rację.

Gdy się patrzy od strony morza, wydaje się, że Aconcagua wyrasta tuż za Valparaiso, jako foremny i z tej odległości łagodny stożek. Ale żeby się tam dostać, trzeba przejść piekło. Podstawa góry wyrasta z kłębowiska niższych szczytów i spędzili tydzień w straszliwych męczarniach, chłonąc na przemian wyziewy dżungli i pokrytych pyłem wąwozów, gdy szli starą drogą Fitz-Geralda do podnóża góry.

Nic nie odstrasza bardziej od wspinaczki niż ogromna masa odpadających skał i lodu. Wykańcza ludzi, nie w tak szlachetny sposób jak Eiger lub Nanga Parbat, ale niszczy nerwy i ciało, aż człowiek staje się zataczającym, skowyczącym szaleńcem. Nie ma tam fragmentu wzniesienia, który byłby szczególnie trudny czy interesujący w sensie alpejskim. Bez przesady można powiedzieć, że każdy wysportowany laik poradziłby sobie, gdyby mu wybrać dowolny odcinek trzystu metrów, pod warunkiem że byłby dobrze wyposażony i odpowiednio wytrenowany do rozrzedzonego powietrza. Ale Aconcagua wznosi się na kilkadziesiąt wielokrotności trzystu metrów i człowiek wspina się godzinami przez łupki ilaste i wyszczerbione skały, moreny i popękane lodowce, dzień po dniu, bez poczucia spełnienia, bez wrażenia, że szczyt jest coraz bliżej. Często burze z błyskawicami, które omotują wierzchołki, zatrzymują wspinaczy na nie wiadomo jak długo. Nawet na zawsze. I do dnia dzisiejszego ten stos śmiecia stojący od stworzenia świata wznosi się ku niebu.

Na wysokości dziewięciuset metrów jeden z Niemców, osłabiony górską chorobą i przemarznięty do szpiku kości, zwątpił w sens wspinaczki.

- Po co to wszystko? - pytał. - To naprawdę nie ma żadnego znaczenia.

Wszyscy wiedzieli, co miał na myśli. Tak niewielkie jest techniczne wyzwanie Aconcaguy, że mniejszy odciska ślad na karierze wspinacza ona sama niż owo przyznanie się do ukrytego pragnienia śmierci, która tak wielu pcha na jej szczyt.

Ale żaden pieprzony pagórek nie zatrzymałby Big Bena! I było nie do pomyślenia, by Jonathan pozwolił mu pójść samemu. Podjęto decyzję, że Niemcy zostaną tam, gdzie byli, i spróbują doprowadzić obóz do użytku, by przyjąć świeżo powstały zespół atakujący szczyt, gdy będzie wracać, ślaniając się na nogach.

Dalsze czterysta pięćdziesiąt metrów zajęło Benowi i Jonathanowi cały dzień; stracili połowę zapasów, ale i uniknęli o włos upadku.

Następnego dnia zatrzymała ich burza z błyskawicami. Ognie świętego Elma iskrzyły się z czubków ich pokrytych lodem czekanów. Sztywnymi palcami trzymali kurczowo brzeg płachty biwakowej, która stanowiła ich jedyną ochronę przed przeraźliwym wiatrem. Materiał wybrzuszał się i trzepotał z hukiem jakby od wystrzału z pistoletu; wił się i wykrzywił w ich skostniałych rękach jak kłające zranione stworzenie.

Wraz za nadejściem nocy minęła burza i musieli wyszarpywać materiał z zeszywniałych dłoni. I wtedy to naszło Jonathana: powiedział Benowi, że rano muszą wracać.

Ben zacisnął zęby, a z kącików oczu popłynęły łzy frustracji, które zamarzały na nie golonej od kilku dni brodzie.

- Cholera! - załkał. - Przeklęty lodowaty pagórek! - Po czym zdenerwował się i ruszył zdobywać górę ze swoim czekanem, waląc nim i szarpiąc, dopóki rozrzedzone powietrze i zmęczenie nie powaliły go bez tchu na śnieg. Jonathan podniósł go i pomógł wrócić do ich skromnego schronienia. Gdy zapadły całkowite ciemności, leżeli już zagrzebani tak wygodnie, jak to tylko było możliwe. Wiatr wył, ale burza nie nadciągała, więc mogli trochę odpocząć.

- Wiesz, co to jest, staruszkule? - zapytał Ben w ciemności. Uspokoił się, ale szcekał zębami z zimna, co nadawało jego głosowi straszny ton niepewności. - Starzeję się, Jon. To ma być moja ostatnia góra. Niech mnie szlag, jeśli ta stara suka mnie odrzuci. Wiesz, co mam na myśli?

Jonathan wyciągnął w ciemności rękę i ścisnął jego dłoń.

Po piętnastu minutach Ben mówił już opanowanym i stanowczym głosem.

- Spróbujemy jutro, dobrze?

- Dobrze - powiedział Jonathan, choć w to nie wierzył.

O świcie była brzydka pogoda i Jonathan stracił nadzieję na zdobycie szczytu.

Niepokoilo go teraz, jak dotrzeć na dół żywym.

Koło południa pogoda poprawiła się, więc wygrzebali się z leży. Zanim Jonathan zaczął wymieniać powody, dla których powinni zejść, Ben ruszył zdecydowanie w górę. Nie pozostawało nic innego, jak iść za nim.

Po sześciu godzinach stali na szczycie. Jonathan pamiętał ostatni etap jak przez mgłę. Krok po kroku, przedzierając się przez pancierz wiatru i zapadając po krocze w zdradliwym śniegu, szli na ślepo, potykając się i ślizgając; ich zmysły koncentrowały się jedynie na zrobieniu kolejnego kroku.

Ale znaleźli się na szczycie. Nie mogli zobaczyć nawet liny, znikającej w wirującym pyłe wodnym.

- Nawet, cholera, nic nie można zobaczyć! - rozżalił się Ben. Potem pogrzebał przy pasku przytrzymującym jego wierzchnie spodnie ze sztucznego tworzywa i ściągnął je. Poszamotawszy się z wełnianymi narciarskimi spodniami, stanął swobodnie i wyraził swoją pogardę dla Aconcaguy w znany od lat i wymowny sposób.

Ruszyli w drogę powrotną ostrożnie; chcieli nadrobić czas, ale bali się spowodować lawinę. Jonathan zauważył, że Ben porusza się niezdarnie i niepewnie stoi na nogach.

- Co ci jest?

- Nie mam stóp, staruszk.

- Od kiedy nie masz czucia?

- Chyba od paru godzin.

Jonathan zrobił w śniegu prowizoryczną osłonę i niezdarnie zdjął Benowi buty. Palce były białe i ciężkie jak kość słoniowa. Przez kwadrans Jonathan trzymał lodowate stopy, tuląc je do swoich nagich piersi pod warstwą ubrań. Ben wył, złorzecząc, gdy wracało mu czucie w jednej stopie, a odrętwienie zastąpiły fale bólu. Ale druga stopa pozostawała sztywna i biała i Jonathan wiedział, że nic nie osiągnie, przedłużając udzielanie pierwszej pomocy. A ponadto istniało duże niebezpieczeństwo, że nowa burza złapie ich na odsłoniętej przestrzeni. Pospieszili naprzód.

Niemcy byli wspaniali. Gdy Ben z Jonathanem, zataczając się, wrócili do obozu, zajęli się Benem troskliwie i sprowadzili go na dół. Jonathan szedł za nimi, potykając się, ciężko dysząc, niewiele widząc z powodu śnieżnej ślepoty.

Ben wyglądał na nieszczęśliwego i nie na swoim miejscu, gdy siedział oparty o stertę poduszek w szpitalu w Valparaiso. Jonathan żartował, że Ben tylko udaje chorego, a tak naprawdę każdej nocy zwabia do siebie pielęgniarki.

- Nawet bym ich nie dotknął, staruszk. W każdym razie, gdyby ktoś chciał złapać mój

palec, jakbym akurat nie patrzył, to natrafi tylko na powietrze.

To była ostatnia aluzja na temat amputowanych palców. Obaj wiedzieli, że Big Ben nigdy więcej nie weźmie udziału w poważnej wspinaczce.

Nie czuli ani podniecenia, ani poczucia spełnienia, gdy patrzyli na górę zatapiającą się w morzu za rufą ich statku. Nie czuli dumy ze zdobycia szczytu, tak samo jak Niemcy wstydu z doznanej porażki. Tak właśnie bywa z tą kupą skamieniałego gówna.

Po powrocie do Stanów Ben zabrał się do organizowania małej szkoły wspinaczki w zakątku Arizony, która obfituje w wiele rodzajów skomplikowanych tworów skalnych. Tak niewiele osób było skłonnych poddać się ciężkiemu treningowi dla zaawansowanych, który oferował, że Jonathan zastanawiał się, jak wiązał koniec z końcem. Wprawdzie on i około dwudziestki innych wykwalifikowanych wspinaczy patronowali szkole Bena, ale też i tylko patronowali. Ciągłe nalegania, by Ben przyjął pieniądze za zakwaterowanie i szkolenie, żenowały Jonathana, więc przestał przyjeżdżać. Niedługo potem zaprzestał zresztą całkowicie wspinaczek, gdyż pochłonął go nowy dom i kolekcja obrazów.

- Tak! - wykrzyknął Ben, gdy opadali z powrotem na fotele po silnym wstrząsie. - Z całą pewnością wyrównałem długi z tą starą suką, prawda?

- A zastanawiałeś się kiedykolwiek, co by się stało, gdybyś tam zamarzył?

Ben zaśmiał się.

- O rany! Ale by było płaczu i lamentu w rezerwacie, no i wiele indiańskich dziewcząt ociekałoby łzami, staruszk.

Wjechali na małe wzniesienie i zaczęli zjeżdżać spiralnie w dolinę Bena, wzniesając tumany kurzu. Jonathana zaskoczył wygląd posiadłości Bena. Naprawdę wiele tu się zmieniło. Do przeszłości należały skromne, stłoczone wokół obozowej kuchni chaty. Zobaczył duży basen, połyskujący szmaragdowo, otoczony z trzech stron pseudoindiańskim wigwamem, a to, co wyglądało na patio, nacętkowane było białymi plamkami ludzi w kostiumach kąpielowych, którzy w ogóle nie przypominali wspinaczy. Nie było porównania między obecnym wyglądem a spartańską szkołą wspinaczki, którą pamiętał.

- Od jak dawna tak jest? - zapytał, gdy zjeżdżali stromą drogą.

- Około dwóch lat. Podoba ci się?

- Imponujące.

Przejechali szybko przez posypany żwirem parking i wjechali w pał wsporczy, zamiast zahamować. Jonathan wygramolił się powoli z samochodu i przeciągnął, by rozprostować kości. Sprawilo mu przyjemność, że ziemia pod jego stopami się nie rusza.

Dopiero gdy usiedli w zacienionym chłodnym barze, skupiając się na w pełni docenianych przez nich szklankach piwa, Jonathan znalazł chwilę, by spojrzeć na gospodarza. Męskość wprost biła z każdego szczegółu głowy Bena, począwszy od gęstych, krótko ostrzyżonych siwych włosów, kończąc na szerokiej, twardej jak podeszwa twarzy, która wyglądała, jakby wykreował ją Hormel, rzeźbiąc tępą szablą. Dwie głębokie zmarszczki rysowały się na silnie opalonych policzkach, a kąciaki oczu były pofałdowane niczym delta Nilu na zdjęciu z lotu ptaka. Gdy wypili pierwsze piwa, Ben dał znak indiańskiemu barmanowi, by przyniósł dwa następne. Jonathan przypominał sobie legendarne upodobanie Bena do piwa, będące przedmiotem komentarzy i podziwu w środowisku wspinaczy.

- Bardzo szykownie - skomplementował Jonathan, rzucając okiem na otoczenie.

- Tak, zaczyna wyglądać tak, jak to sobie zaplanowałem przez zimę.

Bar oddzielony był niskim murem, zbudowanym z miejscowych głazów, od sali, przez którą wił się między stołami sztuczny potok, a każdy ze stołów znajdował się na małej wysepce skalnej, połączonej ze ścieżkami wygiętym w łuk kamiennym mostkiem. Kilka par w sportowych ubraniach rozmawiało spokojnie nad szklankami z napojami, w których pływały kostki lodu i listki ziół, rozkoszując się klimatyzacją i nie zwracając uwagi na ckiwą muzykę z wszechobecnych, ale dyskretnie ukrytych głośników. Jeden koniec sali był przeszkłony, dzięki czemu można było obserwować basen i kąpiących się. Trochę słabo opalonych mężczyzn, wyglądających na zamożnych, skupiło się w grupkę; sączyli coś przy białych żelaznych stołach lub siedzieli na brzegach obitych jaskrawo leżaków, czytając informacje giełdowe, a brzuchy zwisały im między nogami. Niektórzy z nich chodzili wzdłuż basenu, bez celu, kołysząc się jak kaczki.

Młode kobiety poprzybierały na leżakach nonszalanckie pozy, większość z nich miała jedną nogę zgiętą w kolanie, tak by odsłonić na wabia wewnętrzną stronę uda. Okulary słoneczne skierowane były na książki i czasopisma, ale oczy patrzyły ponad nimi, rozpoznając sytuację wokół.

Ben przyjrzał się przez chwilę Jonathanowi, jego przymykające się niebieskie oczy oplotła sieć zmarszczek w kącikach. Pokiwał głową.

- Tak, to naprawdę świetna sprawa zobaczyć cię znowu, staruszk. Moi zakłamanii goście naprawdę mnie nudzą. Jak ci leci? Z całym światem na dystans?

- Cóż. Żyję.

- Jak się ma ten twój osobliwy kościół?

- Chroni mnie od deszczu.

- To dobrze. - Zamyślił się przez moment. - O co tu chodzi, Jon? Dostałem ten

telegram, mówiący mi, bym na ciebie uważał i przygotował cię do wspinaczki. Napisali, że pokryją wszystkie koszty. Co to ma znaczyć, staruszkule? Stwierdzenie „wszystkie koszty” może obejmować duży wachlarz spraw. Czy to przyjaciele? Chcesz, żebym ich traktował oszczędnie?

- W żadnym wypadku! Nie są przyjaciółmi. Olej ich! Daj mi najlepszy pokój, jaki masz, i wpisz wszystkie swoje posiłki i napoje na mój rachunek.

- Niesamowite! Czy to nie fajne? Niech mnie szlag, jeśli nie zrobimy jakiegoś balu na to konto! Hej! Wracając do wspinaczki, zostałem zaproszony, by kierować wyprawą gromady ludzi próbujących wejść na Eiger. I co ty na to?

- To świetnie! - Jonathan wiedział, że jego następna wypowiedź nie obejdzie się bez komentarza, więc spróbował powiedzieć to możliwie wprost. - Prawdę mówiąc, przyjechałem trenować właśnie do tej wspinaczki. - Czekał na reakcję.

Uśmiech spełził z twarzy Bena. Utkwił przez sekundę wzrok w Jonathanie.

- Żartujesz?

- Nie.

- Co się stało Scotty'emu?

- Miał wypadek samochodowy.

- Biedny skurwysyn. On naprawdę na to czekał. - Ben zajął się przez chwilę swoim piwem. - Jak to się stało, że wybrali ciebie?

- Nie wiem. Chcieli dodać klasy nic nie znaczącemu zespołowi, jak myślę.

- Przestań. Nie wkurzaj mnie, staruszkule!

- Naprawdę nie wiem, dlaczego mnie wybrali.

- Ale bierzesz udział?

- Zgadza się.

Dziewczyna w skąpym bikini podeszła do baru i siadając zapiszczała wilgotnym pośladkiem na stołku oddalonym o jedno miejsce od Jonathanana; nie odpowiedział na jej automatyczny uśmiech.

- Wynoś się, skarbie - powiedział Ben, klepnąwszy ją w mokrą pupę z kłaskającym odgłosem.

Zachichotała i poszła w stronę basenu.

- Dużo zarabiasz na wspinaczkach? - zapytał Jonathan.

- Och, trochę forsy wpada, ale niewiele. Praktycznie ten biznes już nie istnieje. Jak możesz zauważyć, moi goście przyjeżdżają tu, by polować, a nie by się wspiąć. - Sięgnął ręką poprzez barek i wziął następną butelkę piwa. - Chodźmy, Jon. Porozmawiajmy.

Przeszli wyznaczoną w sali ścieżką i dalej przez mostek do najbardziej odosobnionej wyspy.

Po odprawieniu kelnera Ben nadal powoli popijał piwo, starając się zebrać myśli. Wreszcie pieczołowicie przetarł dłonią blat stołu.

- Teraz masz... hm, ile? Trzydzieści pięć?

- Trzydzieści siedem.

- Aha. - Ben spojrział przez salę w stronę basenu, uznawszy, że wyraził się dostatecznie jasno.

- Wiem, o co ci chodzi, Ben. Ale muszę to zrobić.

- Już byłeś wcześniej na Eigerze. Dwa razy, jak sobie przypominam.

- Zgadza się.

- No to już wiesz.

- Tak.

Ben westchnął, zrezygnowany, po czym zmienił ton swych wypowiedzi, jakby ulegając przyjacielowi.

- W porządku, to twoja sprawa. Wyprawa zaczyna się za sześć tygodni. Z pewnością będziesz chciał pojechać do Szwajcarii, by potrenować, będziesz też potrzebował trochę odpoczynku po moich treningach. Jak długo chcesz się tutaj przygotowywać?

- Trzy, cztery tygodnie.

Ben pokiwał głową.

- Cóż, dobrze, że przynajmniej nie obrosłeś tłuszczem. Ale będziesz musiał się nieźle napocić, staruszk. Jak nogi?

- Sięgają od krocza do ziemi. To prawie wszystko, co by można o nich powiedzieć.

- Olala! Rozkoszuj się piwem, Jon. To twoje ostatnie, przynajmniej przez najbliższy tydzień.

Jonathan dopił je bez pośpiechu.

ARIZONA

16-27 czerwca

Uporczywe brzęczenie dzwonka do drzwi wkradło się do marzeń sennych Jonathana, rozbiło jego kamienny sen i rzeczywistość stopniowo wdarła się przez szczeliny podświadomości. Potykając się doszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem, nie rozwierając ani na moment powiek. Oparł się o framugę, opuszczając głowę, a indiański chłopiec hotelowy życzył mu pogodnie dobrego dnia, po czym powiedział, że pan Bowman polecił mu upewnić się, czy doktor Hemlock już wstał.

- Tóradzina? - zapytał Jonathan.

- Słucham, proszę pana.

- Która... godzina?

- Trzecia trzydzieści, proszę pana.

Jonathan wrócił do pokoju i zwałił się w poprzek łóżka, mamrocząc do siebie:

- To nie może być prawda.

Ledwo wszedł w zniewalający sen, gdy zadzwonił telefon.

- Zjeżdżaj stąd - zamamrotał, nie podnosząc słuchawki, ale telefon bezlitośnie dzwonił dalej. Ściągnął go na łóżko i z zaciśniętymi powiekami macał dookoła, dopóki nie zlokalizował słuchawki.

- Wstawaj i rozchmurz się, staruszkule!

- Ben... ehm! - Odchrząknął. - Dlaczego mi to robisz?

- Śniadanie za dziesięć minut.

- Nie!

- Chcesz, żebym wysłał kogoś na górę z kubłem lodowatej wody?

- Lepiej, żeby to był ktoś, kogo masz już dosyć.

Ben zaśmiał się i odłożył słuchawkę. Jonathan stoczył się z łóżka i kroczył po omacku, dopóki nie natrafił na łazienkę, gdzie puścił na siebie zimny prysznic i stał pod nim do chwili, gdy uznał, że już nie padnie.

Ben wrzucił na talerz Jonathana kolejne dwa jajka.

- Przełknij je, staruszkule. I skończ ten stek.

Byli sami w kuchni, otoczeni błyszczącą, bezosobową, nierdzewną stalą. Ich głosy

odbijały się echem jak w celi.

Jonathan spojrział na jajka i poczuł, jak obrzydzenie ściska mu gardło.

- Ben, nigdy cię nie okłamałem, prawda? Mówiąc szczerze, czuję, że umieram. A zawsze chciałem umrzeć w łóżku.

- Siadaj z powrotem i zabieraj się do żarcia!

Włożenie jedzenia do ust było jedną sprawą, a zupełnie inną przełknięcie go.

Ben gadał, nieczuły na nienawistne spojrzenie.

- Pół nocy nie spałem, opracowując szczegóły wspinaczki na Eiger. Kupię ciężki sprzęt dla grupy i przywiozę go ze sobą, a strój dla ciebie zamówię z pozostałymi. Przez pierwsze kilka dni możesz tutaj chodzić w dżinsach i w miękkich butach. Z początku nie będziemy robić nic ciężkiego. No, dalej! Wypij mleko! - Ben dopił do końca piwo i otworzył następną puszkę. Jonathan z trudem znosił ten widok. - Nadal kupujesz buty do wspinaczki w Hiszpanii?

Jonathan przytaknął ociężale i ruch głową w dół wydał mu się tak przyjemny, że opuścił ją całkiem i spróbował ponownie usnąć.

- W porządku. Podaj mi ich nazwę i swój numer konta, a jeszcze dzisiaj wyślę depeszę. No, dalej! Czas ucieka! Jedz!

Półtora kilometra przez szczyrą łąkę, pokonane samochodem Bena w dwie minuty w granatowych ciemnościach przedświt, zbudziło Jonathana całkowicie.

Przez trzy godziny bez przerwy wspinali się nierównym, krętym szlakiem po jednej ze ścian otaczających płaskodenną dolinę, w której Ben wybudował swój wigwam. Gdy tak posuwali się mozolnie naprzód, zrobił się dzień, ale Jonathanowi zupełnie nie sprawiła radości rdzawa poranna zorza. Tam gdzie ścieżka była dostatecznie szeroka, Ben siedł obok i prowadził pogawędkę. Kuśtykał lekko z powodu braku palców i byłoby to właściwie niedostrzegalne, gdyby nie fakt, że odpychał się mocniej jedną stopą. Jonathan mało mówił; sapał, przez cały czas wsłuchany w ból, który odczuwał w udach i łydkach. Niósł piętnastokilogramowy plecak, używany do treningów, ponieważ Ben chciał, by od razu przyzwyczał się chodzić z obciążeniem. Miało być tak jak w drodze na Eiger.

Koło ósmej Ben spojrział w górę ścieżki i pomachał ręką. Jakaś postać siedziała w cieniu skał, najwyraźniej czekając na nich.

- Dobra, ja zawracam, staruszk.

- Dzięki Bogu.

- No nie, nie ty! Ty musisz popracować. George Hotfort, o tam, poprowadzi cię na górę.

Postać zaczęła schodzić w ich kierunku.

- Hej, to dziewczyna! - zaproponował Jonathan.

- No tak. I mnóstwo ludzi już to zauważyło. No więc, George - zwrócił się do młodej indiańskiej dziewczyny, która dołączyła do nich - ten tutaj to Jonathan Hemlock, mój stary kompan od wspinaczek. Jon, poznaj George Hotfort. A teraz słuchaj, George, poprowadzisz go w górę przez następne parę godzin, po czym sprowadzisz w porze obiadu.

Dziewczyna skinęła głową i spojrzała na Jonathana w sposób pogardliwy i wyniosły.

- Do zobaczenia, starszku. - Co wypowiedziawszy Ben skierował się ścieżką w dół.

Jonathan patrzył, jak odchodzi, szczerze nienawidząc go w głębi duszy, a następnie odwrócił się do dziewczyny.

- Nie musisz robić wszystkiego, co on ci tylko powie, rozumiesz? Masz oto szansę przeciwstawić się białemu człowiekowi.

Rzuciła na niego spojrzenie, a jej twarz o szerokich kościach policzkowych pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu.

- Georgette? - zaryzykował.

Zrobiła mały ruch głową i zaczęła iść pod górę; jej długie silne nogi poniżej kołyszącej się pupy bez wysiłku udeptywały ścieżkę.

- A może Georgianna? - Drażnił ją, podążając z tyłu.

Za każdym razem gdy wysunęła się za bardzo do przodu, czekała oparta plecami o skałę, obserwując spokojnie jego zmagania. Ale gdy tylko znalazł się w takiej odległości, z której mógł dostrzec bluzę z drelichu, odrywała się od skały i ruszała, a jej biodra kołysały się miarowo, gdy stawiała długie, rytmiczne kroki. Jej kostki u nóg były na tyle giętne, że nawet przy stromym podejściu dotykała piętami ziemi, tak jak to zwykli czynić alpejscy przewodnicy. Jonathan miał napięte łydki, brakowało im elastyczności, siedł więc głównie na palcach, czując boleśnie każdy krok.

Kiedy ścieżka zaczęła się wznosić bardziej stromo, poczęły mu się trząść łydki i momentami tracił grunt pod nogami. Ilekroć to się zdarzało, spoglądał w górę i widział, jak dziewczyna przypatruje mu się z chłodną odrazą.

Z włosów ściekał mu do oczu pot, w błonie bębnekowej uszu czuł głuche uderzenia swego tętna. Paski plecaka podrażniały mu plecy. Oddychał teraz ustami, obrzmiałymi i pokrytymi kurzem.

Otarł pot z oczu i spojrzał w górę, szukając jej wzrokiem. Tuż naprzeciwko niego wyrastał pionowy nasyp o wysokości około dziesięciu metrów; w wypalanej słońcem ziemi widział jedynie małe szczyby, mogące stanowić punkty oparcia dla stóp i rąk. Stała na górze

i patrzyła na niego. Potrząsnął stanowczo głową i usiadł na szlaku.

- O nie. Nie-e, nie, nie.

Po paru minutach milczenia, przerywanych tylko odległym nawoływaniem skowronka, odwrócił się, by stwierdzić, że nie poruszyła się i nadal patrzy na niego spokojnie. Jej twarz była gładka, matowa, bez śladu potu, i nienawidził jej za to.

- W porządku, George. Wygrałaś.

Obolały, począł wdrapywać się po nasypie. Gdy wygramolił się na górę, uśmiechnął się do niej, oczekując jakiejś pochwały. W zamian obeszała go, trzymając się co najmniej na metr od niego, i ruszyła w drogę powrotną do ośrodka. Patrzył, z jaką łatwością ześlizguje się po nasypie i wchodzi na szlak prowadzący na dół.

- Jesteś dzikuską, George Hotfort. Cieszę się, że podbiliśmy twoje ziemie!

Gdy znalazł się z powrotem w zbudowanej z głazów restauracji, zjadł ogromny obiad w skupieniu przypominającym neofitę zenu. Wziął prysznic i przebrał się, co sprawiło, że poczuł się jak człowiek, choć w nogach i barkach wciąż dawał o sobie znać męczący uporczywy ból. Ben usiadł naprzeciwko niego, jedząc, jak to miał w zwyczaju, z olbrzymim zapalem i popijając wielkimi haustami piwo. Jonathan pozazdrościł mu trunku.

George zostawiła Jonathana kilkaset metrów od zabudowań i wróciła na szlak bez słowa.

- Co myślisz o George? - zapytał Ben, wycierając twarz serwetką.

- Urocza osoba. Ciepła i ludzka. No i ze znaczną ogładą towarzyską.

- Tak, ale jest niesamowita w górach, co nie? - powiedział Ben z ojcowską dumą.

Jonathan przyznał mu rację.

- Wykorzystuję ją, by pomóc przełamać się tej garstce wspinaczy, która jeszcze przyjeżdża tutaj złapać formę i potrenować.

- No to nic dziwnego, że twój interes zaczął się sypać. A tak w ogóle, jak brzmi jej prawdziwe imię?

- George to jej prawdziwe imię.

- Jak to możliwe?

- Dostała imię po swej matce.

- Aha.

Ben przez chwilę przypatrywał się pilnie twarzy Jonathana w nadziei, że znajdzie na niej ślady zniechęcenia, które mogłoby odstręczyć go od myśli wspinania się na Eiger.

- Czujesz się trochę rozbity?

- Aha, trochę. Zapamiętam tę wyprawę do końca życia. Ale jutro będę w formie, by

wrócić do tej roboty.

- Jutro. Jutro będzie futro! To była tylko przystawka. Za godzinę wracasz na górę.

Jonathan zaczął oponować.

- Uspokój się i posłuchaj swego starego przyjaciela. - Na szerokiej twarzy Bena, która na chwilę przybrała poważny wyraz, pojawiło się wokół oczu pełno zmarszczek. - Jon, nie jesteś już dzieckiem. A Eiger jest kurewską ścianą. Gdyby to zależało ode mnie, wybiłbym ci z głowy cały ten pomysł.

- Niemożliwe.

- Dlaczego nie?

- Po prostu uwierz mi na słowo.

- W porządku. Pewnie oszalałeś, ale jeżeli upierasz się przy tej wyprawie, to niech mnie szlag, jeżeli nie upewnię się, że jesteś w szczytowej formie! Bo jeżeli nie, to masz szansę zakończyć tam swój żywot. No i nie robię tego tylko ze względu na ciebie. Jestem kierownikiem wyprawy odpowiedzialnym za cały zespół. I nie pozwolę, by zwalniał im tempo jakiś uparty staruszek, to znaczy ty, który nie jest gotów do wspinaczki. - Ben zakończył nadzwyczaj długą jak na niego tyradę głębokim haustem piwa. - A teraz wykąp się w basenie i potem połóż w słońcu, radując ciało. Zawołają cię, gdy nadejdzie pora.

Jonathan zrobił, co mu powiedziano. Zaczął się właśnie zabawiać oszacowywaniem fachowości rozmaitych pańek kręcących się wokół basenu, gdy kelner przyszedł powiedzieć mu, że czas odpoczynku się skończył.

Znowu Ben doprowadził go do pewnej wysokości, po czym przekazał George, która poprowadziła go dalej i szybciej niż rano. Jonathan zagadnął ją kilka razy, ale nie udało mu się wywołać nawet drgnienia na tej zamienionej w maskę twarzy, a tym bardziej wydobyć z niej słowa. Zapadał zmierzch, gdy opuściła go w ten sam sposób co wcześniej. Wrócił bez sił do swojego pokoju, wziął prysznic i upadł na łóżko, dziko pragnąc snu. Ale Ben wszedł akurat w odpowiednim momencie, by mu to uniemożliwić.

- No nie, staruszkule. Masz jeszcze duży posiłek do strawienia.

Mimo że przysypiał wielokrotnie nad talerzem, Jonathan zjadł duży gruby stek i sałatę. I tej nocy zasnął bez sięgania po swój zwykły środek nasenny - artykuł o Lautrecu.

Następnego ranka (jeżeli tak można określić godzinę trzecią trzydzieści) był obolały i miał zeszywniałe stawy. Ale już o czwartej trzydzieści znalazł się wraz z Benem na szlaku. Szli inną ścieżką, wyraźnie bardziej stromą, i znowu Ben przekazał go George Hotfort gdzieś w połowie drogi. Znowu z lekka kołyszące się biodra prowadziły go w górę, podczas gdy on

mamrotał przekleństwa pod adresem bólu, upału, trzęsących się nóg i wszystkich Indian. I jak zawsze podczas każdej przerwy drwiące i pogardliwe oczy George obserwowały jego zmagania bez komentarza.

Obiad, kąpiel i po południu jeszcze raz na górę.

To samo następnego dnia; i następnego; i następnego.

Formę odzyskał szybciej, niż śmiało oczekiwać, i szybciej, niż Ben mu to przyznał. Szóstego dnia trening zaczął sprawiać mu przyjemność, przez cały też czas dotrzymywał George kroku. Każdego dnia szli coraz wyżej, coraz bardziej stromym szlakiem, za każdym razem pokonując coraz większe odległości w tym samym czasie i zdarzało się już nawet, że Jonathan prowadził, a George podążała za nim. Siódmego dnia podczas wchodzenia po zboczu łośpuka spojrzął do tyłu i zobaczył - och, co za nagroda! - pot na czole George! Gdy dołączyła do niego, usiadła i zaczęła odpoczywać, ciężko oddychając.

- Dalej, George! - prosił Jonathan. - Nie możemy marnować życia siedząc tutaj. Do góry, do góry! Wrzuć bieg w tve swingujące półdupki! - Ponieważ nigdy się nie odzywała, wpadł w nawyk mówienia do niej, jak do kogoś, kto i tak nic nie rozumie.

George oszacowała kąt nachylenia parszywej skały nad nimi i potrząsnęła głową. Jej drelichowa koszula była ciemna od potu pod ramionami i na kieszeniach, tam gdzie materiał oblepiał piersi. Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego, po czym zaczęła schodzić szlakiem.

Nigdy wcześniej nie towarzyszyła mu przez całą powrotną drogę do kurortu, ale teraz, gdy Jonathan brał prysznic, ona i Ben odbyli długą rozmowę. Tego wieczoru przyniesiono do kolacji kubek do chłodzenia szampana, w którym w lodzie kryło się pół tuzina butelek piwa, i Ben powiedział Jonathanowi, że skończyła się pierwsza faza jego treningu. Koniec z miękkimi butami. Sprzęt dla niego został już skompletowany i następnego ranka zaczną trenować na skalnych ścianach.

Kolejne sześć piw zostało wypite w prywatnym zaciszu Bena, który przedstawił w ogólnym zarysie plan na następne kilka dni. Zaczną od łatwych ścianek, nie wyżej niż trzy do czterech i pół metra nad osypiskiem, gdzie Jonathan ponownie się nauczy chodzenia po skałach. Gdy Ben będzie zadowolony z jego postępów, przejdą wyżej, tak aby mieć pod sobą niewielką próżnię.

Po omówieniu planu treningu przez godzinę rozmawiali i pili piwo. Ben doznawał prawdziwej przyjemności widząc radość swego towarzysza, rozkoszującego się chłodnym piwem, którego mu odmawiał w pierwszej fazie treningu - nie zważając na to, że przecież sam uważał za niegodnego zaufania kogoś, kto nie pije piwa przez tyle dni.

Od jakiegoś czasu Jonathan uświadamiał sobie, że jego wzmacniające się ciało coraz mocniej pragnie seksu, nie jako przejawu uczuć, lecz z biologicznej potrzeby. Toteż zapytał Bena bezceremonialnie:

- Czy łączy cię coś z George?

- Co? Och! Nie. - W tym momencie Ben zarumienił się. - Na miłość boską, jestem dwadzieścia pięć lat starszy od niej. Dlaczego chcesz wiedzieć?

- Nie, nic wielkiego. Po prostu czuję się sztywny i pełen spermy. Tak się złożyło, że ona jest w pobliżu i wydaje się dostępna.

- No cóż, jest dorosłą dziewczyną. Myślę, że może się spotykać z kimkolwiek chce.

- Ale jest pewna trudność. Nie mogę powiedzieć, żeby narzucała mi się ze swymi zalotami.

- Och, ona cię całkiem lubi. Wnioskuje to ze sposobu, w jaki o tobie mówi.

- Czy kiedykolwiek rozmawiała z kimś oprócz ciebie, Ben?

- O ile wiem, nie. - Ben dopił piwo jednym długim haustem i otworzył następną butelkę. - To jednak zabawne - skomentował.

- Co?

- Że pragniesz George. Mając na uwadze sposób, w jaki cię gnębiła, można by oczekiwać, że czujesz do niej raczej nienawiść.

- Któż zna podstępną pracę podświadomości? Gdzieś w głębi serca życzyłbym sobie wbić ją na pal... zadźgać nożem lub coś w tym stylu.

Ben zerknął na Jonathana mrużąc oczy.

- Wiesz co, staruszkę? Gdzieś tam w głębi tkwią w tobie zadatki na prawdziwie złego dupka. Nie wiem, czy chciałbym być z tobą sam na sam na bezludnej wyspie, gdyby zapasy żywności były ograniczone.

- Nie martw się. Ty jesteś przyjacielem.

- Miałeś kiedykolwiek wrogów?

- Kilku.

- Czy któryś z nich kręci się w pobliżu i podskakuje?

- Jeden. - Jonathan zastanowił się przez chwilę. - Nie, dwóch.

Wypili dość dużo piwa, więc Jonathan szybko usnął. Zaczął śnić, jak każdej nocy, o Jemimie - oszukańcza przyjemność; była to powtórka z następujących po sobie sekwencji z ich znajomości, poczynając od pierwszego spotkania w samolocie. Wdzierające się w ten sen nagle obrazy ironicznej twarzy Dragona, jak szybkie migawki filmowe, nigdy nie trwały na

tyłe długo, by go zbudzić. Migoczące lampy przeciwsztormowe przemieniły się w złote cętki. Jej papieros jarzył się w ciemności. Wyciągnął ku niej rękę i była tak realna, że gdy zsuwał dłoń po jej napiętym brzuchu, doświadczył prawdziwego mrowienia. Poczul, jak brzuch napiera na jego dłoń i - przebudził się! Nim zdołał usiąść, George przytuliła go mocno do siebie, ściskając silnymi ramionami i owijając swe prężne nogi wokół niego. Jej oczy były skośne, więc mogła stanowić substytut.

Obudził się dopiero po piątej. Ponieważ łamało to ostatnio przyjęty zwyczaj, czynił sobie wyrzuty z powodu tak późnej godziny. Ale zaraz przypomniało mu się, że dzisiaj będą ćwiczyć na ścianach, a nie można tego robić w ciemności. George już nie było. Odeszła tak cicho, jak przyszła. Odrętwienie w krzyżu, uczucie delikatnej pustki w pachwinie i lekki alkaliczny zapach spod kołdry przypominały mu noc. Udawał, że śpi, gdy odchodziła, bo obawiał się powtórki.

Gdy brał prysznic, obiecał sobie, że będzie korzystał z jej ciała ze wstrzemięźliwością. Gdyby jej pozwolić, po dwóch tygodniach wysłałaby człowieka do sanatorium. Szczytowała szybko i często, ale też nie czuła się zaspokojona. Dla niej seks nie był zwykłym następstwem celów i osiągnięć; był nie kończąca się pogonią od jednej fali dreszczy po następną - stały poziom doznań, który trzeba utrzymać, a nie seria wzniesień do zdobycia. A jeżeli partner wydawał się słabnąc, wprowadzała zmianę, obliczoną na przywrócenie jego zainteresowania i wigoru.

Jak w pływaniu, tak i we wspinaczce nigdy nie zapomina się technik, jeśli są już raz dobrze wyuczone. Ale Jonathan wiedział, że tak czy inaczej odkryje nowe ograniczenia, którymi upływ lat i brak aktywności naznaczyły jego zręczność i nerwy.

Doświadczony sprawny wspinacz jest w stanie przejść ścianę, która na pozór wydaje się nie do przebycia. Dokładne, właściwie dobierane i wykonywane ruchy i sekwencje przechwytywów pozwalają mu nabierać wysokości tak długo, jak długo utrzymuje ich miękkie, jakby taneczny rytm. Ten rytm jest kluczem sukcesu, podobnie jak rowerzysta nie ma kłopotu z równowagą, dopóki zanadto nie zwolni. Konieczne jest bezbłędne odczytywanie rzeźby ściany, precyzyjne wycucie środka ciężkości ciała i płynność ruchów, aż ów balansujący ciąg zakończy się na upatrzonym, pewnym stanowisku. Niegdyś właśnie takie umiejętności były mocną stroną Jonathana, ale teraz, pierwszego dnia wspinaczki, popełnił kilka błędów, po których spadał z trzech do pięciu metrów na piarg, zdzierając trochę skóry z łokci i kolan i naprawdę boleśnie raniąc swą ambicję. Dzięki tym upadkom odkrył, na czym polega problem.

Lata, które minęły od jego ostatniej wspinaczki, nie osłabiły wprawdzie jego zdolności do analizowania, nadszarpnęły jednak fizyczną sprawność. Ta szkoda była nie do naprawienia, musiał więc nauczyć się rozpoznawać ograniczenia, jakie wyznaczało mu jego już nie tak sprawne ciało.

Ponieważ Ben nalegał, by dla bezpieczeństwa wbijali dużo haków, ściana wyglądała z początku jakby wspinały się na nią kobiety lub Niemcy. Ale upłynęło niewiele czasu i zaczęli pokonywać krótkie odcinki o pięcio- i sześciostopniowej skali trudności z nieco większą, bardziej typową dla Anglosasów oszczędnością żelastwa. Jonathana wszakże w dalszym ciągu trapił pewien problem, wywołując jego wściekłość na samego siebie. Wśród wprawnego i dokładnego ciągu ruchów nagle przyłapał się na mocowaniu ze skałą, nie mogąc się oprzeć naturalnemu, ale zgubnemu pragnieniu, by do niej przylgnąć. To nie tylko pozbawiało go odpowiedniego oparcia dla nóg, ale także czyniło trudnym spoglądanie na ścianę, by wypatrzeć szczeliny. Gdy już raz wspinacz przylgnie do ściany, rozpoczyna się straszliwy cykl. Nie rozpoznany w porę napływ zwierzęcego strachu powoduje, że łapie się kurczowo skały, przez co gubi pracę nóg, nie dostrzega już żadnych chwytów i to, teraz prawdziwe, niebezpieczeństwo napędza autentycznego strachu.

W czasie jednej ze wspinaczek, kiedy Jonathan myślał, że już przewyciężył ten amatorski odruch, nagle został pochwycony w pułapkę. Jego buty nie mogły znaleźć oparcia i niespodziewanie odpadł.

Spadł tylko trzy z czterdziestu metrów dzielących go od wystających poniżej skał i jego lina naprężyła się; zwisał teraz, obracając się na niej.

- Hej! - krzyknął Ben z góry. - Co ty, do cholery, robisz? i

- Po prostu wiszę na haku, ty mądralo! Co robisz?

- Po prostu przytrzymuję twój ciężar moimi silnymi i doświadczonymi rękami i patrzę, jak zwisasz z tego haka. Wyglądasz naprawdę wdzięcznie. Trochę idiotycznie, ale naprawdę wdzięcznie!

Jonathan kopnął ze złością skałę i kołysał się w tę i z powrotem, nie dosięgając jednak do chwytów.

- Na miłość boską, staruszkule! Zaczekaj chwilę! Nic teraz nie rób. Po prostu zaczekaj tam sekundę.

Jonathan zwisał na linie czując się głupio.

- A teraz pomyśl! - Ben poczekał chwilę. - Wiesz, w czym tkwi błąd?

- Tak! - Jonathan niecierpliwił się ze względu na siebie z powodu protekcyjnego traktowania go przez Bena.

- No to powiedz!

- Przylepiłem się do skały - wyrecytował Jonathan monotonnym głosem.

- W porządku. Teraz dohuśtaj się i będziemy schodzić.

Jonathan zaczerpnął oddechu, co go miało rozluźnić, odepchnął się i powrócił prosto na ścianę. Podczas zjazdu poruszał się bez kłopotu i precyzyjnie, zapominając o grawitacji i reagując w naturalny sposób na ukośne ułożenie ciała wobec liny, która zwisała z dala od ściany.

Usiedli na hałdzie osypiska na dnie doliny; Jonathan zwijał sprzęt, podczas gdy Ben opróżniał butelkę piwa, którą przechowywał w cieniu skały. Wydawali się karłowaci w otoczeniu dziewięciu wyniosłych iglic, na jednej z których właśnie trenowali; był to filar prążkowanej, czerwonej skały, wyrastającej z ziemi jak ścięty pień potężnego skamieniałego drzewa.

- Chciałbyś jutro uderzyć na Big Bena? - zapytał Ben po długiej ciszy. Miał na myśli najwyższy filar, ostrze o wysokości stu dwudziestu metrów, które wiatry przez wieki przewiały, aż szczyt stał się szerszy niż podstawa. Właśnie sąsiedztwo owych szczególnych tworów spowodowało, że Ben wybrał to miejsce dla swej szkoły wspinaczki, natychmiast też nazwał najwyższe ze wzniesień swoim imieniem.

Jonathan spojrzał kątem oka na iglicę, rejestrując wzrokiem pół tuzina ryzykownych miejsc, zanim jego oczy nie powędrowały wyżej.

- Myślisz, że jestem gotów?

- Więcej niż gotów, staruszkule. myślę, że to pewien szkopuł, bo albo jesteś przetrenowany, albo też szło to wszystko za szybko.

Ben wyznał, że jego zdaniem Jonathan wspina się zbyt usztywniony i wykonuje trochę za nerwowe ruchy, wcale nie będąc pewien, gdzie znajdzie oparcie, odbiega też myślą od skały, gdy wszystko wydaje się zbyt łatwe. Właśnie w takim momencie nieuwagi nagle przyłgął do ściany. Najlepszym lekarstwem na to wszystko będzie według niego bieg na wytrzymałość, to znaczy coś, co rozluźni nogi i poskromi niebezpieczną pewność siebie.

Oczy Jonathana wędrowały ostrożnie w górę, wypatrując miejsc na kolejne stanowiska; wspinał się w wyobraźni przez dwadzieścia minut, dopóki nie osiągnął wzrokiem celu.

- Ciężka sprawa, co, Ben? Szczególnie ta podszczytowa warga.

- Nie da się ukryć! - Ben podniósł się. - Niech mnie szlag, jeśli nie pójde z tobą!

Jonathan bezwiednie spojrzał na stopę Bena.

- Naprawdę chcesz iść?

- Nie bój się. Raz się już tam wdrapałem. I co ty na to?

- Co ja na to? Że jutro też wejdziemy.

- Wspaniale. W takim razie odpocznij sobie przez resztę dnia, staruszk.

Gdy wracali do ośrodka, Jonathan, jak w dawnych czasach, czuł się lekko na duchu i pragnął, by już było jutro - tak właśnie wyrażała się jego miłość do wspinaczki. Był całkowicie skupiony na skałach, wytrzymałości i taktyce, a zewnętrzny świat z jego Dragonami i Jemimami nie docierał do jego świadomości.

Jadł dobrze, doskonale sypiał, ciężko trenował, pił dużo piwa i z rozwagą korzystał z George. Taki żywiołowy styl życia znudziłby go na dłuższą metę, ale teraz było to wspaniale!

Opierał się o kontuar recepcji i czytał podniecającą kartkę od Cherry upstrzoną pauzami i, i!!!, i..., i (), i cha! cha! cha! Nikt, jak dotąd, nie podpalił jego domu. Pan Monk tak zły i wulgarny jak zawsze. A Cherry zapytywała, czy mógłby zasugerować jakąś lekturę na temat przygotowywania afrodyzjaków, z której skorzystałaby jej przyjaciółka (której on nigdy nie poznał), by wypróbować je na mężczyźnie, (którego także nigdy nie poznał), choć prawdopodobnie nie przypadłby on Jonathanowi do gustu, jako że ten anonimowy gość był tak nieczułym łajnem!!! że pozostawiał nie tknięte pełne wigoru dziewczyny.

Jonathan poczuł, że coś dotyka jego stopy, więc spojrzał w dół i zobaczył wężącego obok rozochoczonego małego szpica z obrozą z kryształu górskiego. Zignorował go i wrócił do pocztówki, ale po chwili pies wspiął się w miłosnym natarciu na jego nogę. Kopnięciem usunął go na bok, pies jednak odebrał to odrzucenie jako dziewczczą nieśmiałość i ponowił atak.

- Pedziu, zostaw doktora Hemlocka w spokoju. Nie gniewaj się, Jonathanie, ale nie nauczył się rozróżniać facetów bez odchyień, a nie ma cierpliwości, by czekać na zaproszenie.

Nie podnosząc wzroku Jonathan rozpoznał słodki baryton Milesa Mellougha.

ARIZONA

27 czerwca

Jonathan zobaczył koronkowy mankiet i starannie wypielegnowane ręce sięgające po szpica. Patrzył, jak pies wznosi się na wysokość twarzy Milesa, jak zwykle opalonego i przystojnego; duże niebieskie oczy spoglądały tęsknie spod długich czarnych rzęs; nad szerokim, gładkim czołem lekko pofalowane włosy zsuwały się na boki w pozornie naturalny sposób, co stanowiło dumę fryzjera Milesa. Pies polizał policzek swego pana, a ten zaakceptował ów dowód przywiązania nie odrywając wzroku od Jonathanana.

- Jak ci leci, Jonathan? - W jego oczach czaił się lekko kpiący uśmiech, ale poruszał gałkami szybko, gotów w każdej chwili czytać we wzroku rozmówcy lub skryć swój pod powiekami.

- Miles. - Słowo nie oznaczało powitania; Jonathan po prostu wypowiedział imię. Schował pocztówkę do kieszeni i czekał, by Miles odezwał się pierwszy.

- Ile to czasu minęło? - Miles spuścił oczy i potrząsnął głową. - Dużo. Wydaje się, że ostatni raz widzieliśmy się w Arles. Tuż po tamtej hiszpańskiej robocie. Ty, ja i Henri.

Oczy Jonathanana błysnęły na wzmiankę o Henrim Baqu.

- Nie, Jonathanie. - Miles położył dłoń na jego rękawie. - Nie myśl, że popełniłem gafę. To właśnie o Henrim chcę porozmawiać. Masz wolną chwilę? - Wyczuwszy, że mięśnie przedramienia Jonathanana się napinają, Miles poklepał go po ramieniu i cofnął dłoń.

- Jest tylko jedno wyjście, Miles. Cierpisz na nieuleczalną chorobę i brakuje ci odwagi, by się zabić.

Miles uśmiechnął się.

- To niezłe, Jonathan. Ale mylisz się. Może napijemy się czegoś?

- Zgoda.

- Tak jak dawniej.

- W żadnym wypadku tak jak dawniej.

Oczy wszystkich młodych pańienek w sali śledziły Milesa, gdy szedł przed Jonathanem po ścieżce i wygiętym w łuk kamiennym mostku do odosobnionego stołu. Jego nadzwyczajna atrakcyjność, wdzięk i taneczny chód oraz niezwykle styl ubierania się przyćmiewały wszystkich mniej ostentacyjnych mężczyzn, ale Miles przechodził wolno wśród dziewcząt, udzielając im błogosławieństwa swym łagodnym uśmiechem, szczerze im współczując,

ponieważ był zupełnie niedostępny.

Gdy tylko usiedli, Miles wypuścił psa, który kipiał energią; wbił pazury w skałę, drapiąc ją w napadzie szaleństwa, po czym popędził do sąsiedniego stolika, gdzie złapały go, skomlącego, trzy młode panienki w bikini, wyraźnie uradowane, że mają oto powód, by zagadać do najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek widziały. Jedna z nich podeszła do stołu, niosąc w ramionach drżące i drapiące zwierzę.

Miles utkwił omdlewające spojrzenie na jej piersiach, a ona zaśmiała się nerwowo.

- Jak się wabi? - zapytała.

- Pedzio, kochanie.

- O, jak oryginalnie! Dlaczego tak się wabi?

- Ponieważ jest kłębkim nerwów.

Nie zrozumiała, więc powtórzyła:

- Oryginalnie!

Miles przywołał dziewczynę na swoją stronę i położył delikatnie dłoń na jej pośladku.

- Mogłabyś mi zrobić wielką przysługę, kochanie?

Zachichotała, zaskoczona tą fizyczną poufałością, ale nie cofnęła się.

- Pewnie! Z przyjemnością.

- Weź Pedzia i pobaw się z nim przez chwilę.

- Dobrze - powiedziała. A po chwili dodała: - Dziękuję.

- Dobra dziewczyna. - Poklepał jej pośladki na pożegnanie i dziewczyna opuściła salę, otoczona swymi towarzyszkami, które umierały z ciekawości, by się dowiedzieć, co się zdarzyło.

- Miłe kruszynki, prawda, Jonathan? I nie całkiem bezużyteczne. Pszczoły zwabia miód.

- I brzęczenie - dodał Jonathan.

Młody kelner, Indianin, stanął przy stoliku.

- Podwójny laphroaig dla mojego przyjaciela i brandy Alexander dla mnie - zamówił Miles patrząc głęboko w oczy kelnera. Podążył wzrokiem za kelnerem idącym po ścieżce, a później ponad sztucznymi potokami bulgoczącej wody. - Przystojny ten chłopak.

Złączył dłonie i opierając palce wskazujące na ustach, a kciuki pod brodą, dał wyraz temu, że kieruje całą uwagę na Jonathana. Ponad koniuszkami palców w jego nieruchomych oczach czaił się lekki, oziębły uśmiezek i Jonathan przypomniał sobie, jak niebezpieczny może być, wbrew pozorom, ten bezlitosny mężczyzna. Przez chwilę żaden z nich nic nie mówił, po czym Miles przerwał ciszę, śmiejąc się głośno.

- Och, Jonathan. Nikt nie może się z tobą równać w utrzymywaniu chłodnego

milczenia. Dobrze to wiem. Czy mnie pamięć nie zawiodła, jeśli chodzi o laphroaig?

- Nie.

- Cała monosylaba! Co za łaskawość!

Jonathan zakładał, że Miles przejdzie do rzeczy, gdy będzie ku temu pora i nie miał zamiaru go ponaglać. Dopóki nie przyniesiono im drinków, Miles pilnie przyglądał się mężczyznom i dziewczynom znajdującym się wokół basenu. Siedział poważny w czarnej aksamitnej marynarce z wysoko wykładanym kołnierzykiem, z opadającym aksamitnym fularem i w wąskich, drogich włoskich butach. Widać było, że powodzi mu się dobrze. Krążyła pogłoska, że po opuszczeniu CII osiadł w San Francisco, gdzie handlował wszystkimi rodzajami towarów, głównie narkotykami.

Mellough nie zmienił się w sposób zauważalny. Wysoki, w znakomitej kondycji fizycznej, nadał swemu homoseksualizmowi taki styl, że prostak nie był w stanie zauważyć tej dewiacji, a światowcowi nie mogła przeszkadzać. Jak zawsze przyciągał stada dziewczyn, które traktował z zabawną protekcjonalnością, typową dla czarującej ciotki z Paryża odwiedzającej krewnych w Nebrasce. Jonathan widział Milesa w krytycznych i niebezpiecznych sytuacjach, gdy byli razem w CII, ale nigdy nie zauważył, by miał rozczochrane włosy lub zmięte mankiety. Henri często mówił, że nie znał nikogo, kto by mógł dorównać Milesowi, jeśli chodzi o zimną fizyczną odwagę.

Zarówno Jonathan jak i Henri nie mieli nic przeciwko seksualnym preferencjom swojego towarzysza; mało tego, przy okazji korzystali z gromady kobiet, które przyciągał, ale których nie zadowalał. Odchylenie Milesa było jedną z najcenniejszych rzeczy, jaką wniósł do CII. Pozwoliło mu nawiązać kontakty z osobami i źródłami niedostępnymi dla normalnych ludzi i dało mu władzę nad kilkoma wysoko postawionymi amerykańskimi postaciami politycznymi.

Gdy kelner stawiał na stole drinki, Miles zagadnął do niego:

- Jest pan bardzo atrakcyjnym młodzieńcem. To dar boży, więc powinien pan być wdzięczny Bogu. I z pewnością jest pan wdzięczny. A teraz proszę odejść i wrócić do swych obowiązków.

Kelner uśmiechnął się i odszedł. Gdy nie mógł już nic usłyszeć, Miles westchnąwszy powiedział:

- Chyba jest gotów, jak sądzisz?

- Jeśli masz na to czas.

Miles uśmiechnął się i podniósł szklaneczkę.

- Na zdrowie. - Wypił zamyślony mały łyk złocistego trunku. - Wiesz, Jonathan, ty i ja

mamy podobne podejście do miłości lub do ciupciana, jeśli wolisz. Obaj odkryliśmy, że udawanie chłodnego i pewnego siebie daje lepsze rezultaty niż romantyczne wymacywanie jakby tu dobrze zanęcić. A cel przecież i tak pragnie być zdobyty. Tyle że by pozbyć się poczucia winy, robi wrażenie, że ścięło go z nóg. Cel podnieca poza tym patynka światowej oglądy, którą maskuje swoje złe skłonności. Mam rację?

- Zakładam, że masz obstawę?

- Oczywiście.

- Gdzie on jest?

- Za tobą. Przy barze.

Jonathan odwrócił się i objął wzrokiem cały bar, aż w końcu dostrzegł blond okaz, który musiał ważyć ze sto dziesięć kilo. Jonathan ocenił go na ponad czterdziestkę, nie zwiedziony silną purpurową opalenizną, którą zawdzięczał lampie kwarcowej, i długimi farbowanymi włosami, które opadały mu na kołnierz. Typowy przedstawiciel gatunku byłych zapasników i chłopców z plaży, których Miles ciągnął ze sobą, po części jako ochroniarzy, po części jako kochanków, do czasu gdy nie pojawiała się lepsza partia.

- I to ma być cała ochrona, jaką masz? - zapytał Jonathan Wracając do swego drinka.

- Dewayne jest bardzo silny, Jonathanie. Był mistrzem świata.

- Aha, tak jak oni wszyscy.

- Powiem Dewayne'owi, by sobie poszedł, jeśli czujesz się nieswojo.

- Nie wydaje się zbyt groźny.

- To złudne. Opłacam go bardzo dobrze i jest mi całkowicie oddany. - Miles odsłonił idealne uzębienie w filmowym uśmiechu i wrzucił pokruszony lód do szklanki. - Musi ci się wydawać dziwne - zaczął ostrożnie - że dopadłem cię, zamiast czekać, aż któregoś dnia podejdziesz do mnie i uwolnisz od brzemienia życia.

- To, co przed chwilą powiedziałaś, stanowi odpowiedź na wszystkie pytania, które mogłem ci zadać.

- Tak. Mam dosyć uczucia pieczenia w żołądku, które dokucza mi za każdym razem, gdy widzę mężczyznę podobnego do ciebie. - Uśmiechnął się. - Nie masz pojęcia, jak to burzy mój spokój.

- To się już niedługo skończy.

- W ten czy inny sposób. Myślę, że jestem na świetnej pozycji przetargowej.

- Nie licz na to!

- Nie jesteś nawet ciekaw?

- Tylko jednej rzeczy. Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Och, pamiętasz, co zwykliśmy mówić: tajemnice CII i rzecz powszechnie znana różni się tylko tym, że do tej drugiej...

- ...trudniej dotrzeć. Tak, pamiętam.

Miles utkwiał swoje duże, łagodne oczy w Jonathanie.

- Ja naprawdę nie zabiłem Henriego.

- Wystawiłeś go, a byłeś jego przyjacielem.

- Ale tak naprawdę to nie ja go zabiłem.

- Prawdopodobnie to nie ja tak naprawdę cię zabiję.

- W każdym razie wolałbym umrzeć, niż być takim jak ten Grek, któremu dałeś bieluń.

Jonathan uśmiechnął się z ironicznym i łagodnym wyrazem, który przybierał przed walką.

- To naprawdę nie ja przygotowałem bieluń. Zapłaciłem komuś, by to zrobił.

Miles westchnął i spuścił wzrok; długie rzęsy powędrowały w dół.

- Rozumiem cię. - Po czym spojrzał w górę i spróbował z innej beczki. - Wiedziałeś, że Henri był podwójnym agentem?

Prawdę mówiąc, Jonathan odkrył to w kilka miesięcy po śmierci Henriego. Ale nie miało to przecież znaczenia.

- Był twoim przyjacielem. I moim.

- Na miłość boską, Jonathan, po prostu kwestia czasu... Obie strony chciały jego śmierci.

- Byłeś jego przyjacielem.

- Rozumiesz, mam nadzieję, że to gładzenie na temat etyki wydaje mi się trochę bezczelne u mordercy. - Głos Milesa stał się oschły.

- Umarł w moich ramionach.

- Wiem. - Głos Milesa natychmiast złagodniał. - I naprawdę przykro mi z tego powodu.

- Pamiętasz, jak zawsze żartował na temat odejścia z tego świata w zabawny sposób? W ostatniej minucie swego życia nie mógł nic takiego wymyślić i umarł czując się głupio. - Jonathan stracił panowanie nad sobą.

- Przykro mi, Jonathan.

- O, świetne! Jest ci naprawdę i szczerze smutno! To załatwia wszystko!

- Zrobiłem, co mogłem! Postarałem się o skromne dochody dla Marie i dzieci. A co ty zrobiłeś? Wpychałeś jej prącie każdej nocy!

Ręka Jonathana mignęła nad stołem i Miles dostał w twarz sierpowego, który przekrzywił go na krześle. Jasnowłosy zapaśnik natychmiast porzucił barowy stółek i

skierował się w stronę ich stolika. Miles spojrział z nienawiścią na Jonathana, w oczach zakręciły mu się łzy, ale szybko zdołał się opanować i podniósł dłoń; zapaśnik się zatrzymał. Miles uśmiechnął się smutno do Jonathana i niedbałym ruchem grzbietu dłoni pokazał ochroniarzowi, by się oddalił. Ten, wściekły, że odmówiono mu zdobyczy, patrzył przez moment wrogo, po czym powrócił do baru.

W tym momencie Jonathan zdał sobie sprawę, że pierwszą rzeczą, którą musi zrobić, będzie zniechęcenie jasnowłosego zapaśnika.

- To właściwie moja wina, Jonathanie. Nie powinienem był cię dręczyć. Wyobrażam sobie, że mój policzek wygląda szpetnie i pewnie jest czerwony.

Jonathan, zły na siebie, że pozwolił Milesowi sprowokować się do pochopnego działania, kończył pić laphroaig i ruchem ręki przywołał kelnera.

Dopóki kelner nie odszedł od ich stołu, ani Jonathan, ani Miles nie odezwali się słowem, nie spojrzeli też na siebie aż do chwili, gdy jad adrenaliny rozszedł się w ich żyłach. Miles odwrócił się, nie chcąc, by indiański posługacz zauważył jego płonący policzek. Wreszcie uśmiechnął się przebacząco do Jonathana, nie ocierając z oczu łez, gdyż wyobrażał sobie, że pomogą mu go zmiękczyć.

- Przedłożę ci dla pojednania trochę informacji.

Jonathan nie odpowiedział.

- Człowiekiem, który poczynił starania, by zapłacić mi za śmierć Henriego, był Clement Pope, człowiek Dragona.

- Dobrze wiedzieć.

- Jonathan, powiedz mi! Co by było, gdyby to Henri mnie załatwił?

- On by nigdy tego nie zrobił przyjacielowi.

- Ale gdyby? Ścigałbyś go tak jak mnie?

- Tak.

- Tak myślałem. - Miles pokiwał głową, po czym uśmiechnął się słabo. - I to znacznie pogarsza moją sytuację. Ale nie mam jeszcze zamiaru umierać ani stać się ofiarą twojej szczególnej czci dla wzniośle pojmowanej przyjaźni. Ani niebo, ani reinkarnacja mnie nie pociągają. Jedno wydaje się nieciekawe, drugie niepożądane. Czuję się więc niejako zmuszony, by chronić to moje krótkotrwałe życie z całych sił. Nawet gdyby to miało oznaczać zabicie ciebie, drogi Jonathanie.

- Jaki masz inny wybór?

- Nie przyszedłbym tu się targować, gdybym nie miał czegoś okazijnego do zaoferowania.

Do sali wszedł Big Ben. Ze swoim charakterystycznym szerokim uśmiechem zaczął iść w stronę Jonathana, ale zauważył Milesa, więc usiadł przy barze, zerkając na jasnowłosego zapaśnika z jawną pogardą.

- Mógłbyś przynajmniej posłuchać mnie, Jonathan.
- Właśnie wszedł mój przyjaciel.
- Czy zdaje sobie sprawę z możliwych następstw tego przywileju?
- Szkoda mego czasu, Miles.
- Może ratuję ci życie.

Jonathan uśmiechnął się wojowniczo.

- Gdy opuściłem CII, Jonathanie, wziąłem się do robienia interesów w San Francisco. W transporcie. Przewożę rzeczy z jednego punktu do drugiego i rozprowadzam je. Bardzo różne rzeczy. Jest to zdumiewająco intratne. Mimo to nie żyje mi się wygodnie z twoim widmem czyhającym z każdego kąta.

- To istotnie rozpaczliwe.

- Cóż, na początku tego miesiąca dostałem zadanie, żeby przekazać trochę informacji z Montrealu do... innego miejsca. Zdobycie informacji wymagało zamordowania agenta. Nie brałem udziału w morderstwie, ponieważ w przeciwieństwie do ciebie, nie jestem drapieżcą. - Spojrzał, by sprawdzić reakcję Jonathana. Nie było żadnej. - Ale wiem, kto popełnił morderstwo. Krótco potem załatwiłem jednego z nich. A teraz ścigasz drugiego. Dragon powiedział ci, że będzie znał tożsamość tej drugiej osoby, gdy przyjdzie czas na wykonanie wyroku. Może. A może nie. Wiem, kto to jest, Jonathanie. A dopóki ty tego nie będziesz wiedział, grozi ci duże niebezpieczeństwo.

- Dlaczego?

- Jeśli powiem tej osobie, kim i czym jesteś, to zwierzy na przemieni się w myśliwego.

- Ale jesteś gotów sprzedać mi tego człowieka?

- W zamian za twoją obietnicę, że przestaniesz za mną chodzić. Nie odrzucaj tej transakcji.

Jonathan spojrział przez okno na stojące wokół basenu dziewczęta; śmiały się i piszczały, drażniąc dla zabawy neurotycznego szpica, który podskakiwał szaleńczo w jednym miejscu; jego pazury klekotały na kafelkach, a mocz kapął spod niego. Jonathan odwrócił się i popatrzył na zapaśnika. Siedział nieruchomo przy barze i obserwował ich.

- Pomyślę o tym, Miles.

Miles uśmiechnął się ze znużeniem.

- Proszę, nie traktuj mnie jak amatora. Nie mogę pozostawać bierny i bez ochrony, gdy

ty „myślisz o tym”. Zdaje się, że to ty byłeś osobą, która po raz pierwszy doradziła mi, bym nigdy nie dał się wpuszczać w maliny.

- Za pięć minut poznasz moją decyzję. Co ty na to? - Nagle głos Jonathana zmiękł. - Jakkolwiek to się rozwinie, Miles. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi... więc... - Wyciągnął dłoń.

Miles był zaskoczony, ale ucieszył się. Uścisnęli sobie silnie ręce, po czym Jonathan odszedł w stronę baru, gdzie siedzieli tylko Ben i jasnowłosy ochroniarz. Ten drugi odchylił się tak, że dwie nogi barowego stołka uniosły się do góry, przycisnął plecy do lady baru, podparł się na niej łokciami i przypatrywał się Jonathanowi z obłudnie wyniosłym wyrazem twarzy. Jonathan zbliżył się do niego, przybierając postawę nieśmiałości i pokory.

- A zatem, jak widziałeś, ja i Miles pogodziliśmy się - zaczął z delikatnym, niepewnym uśmiechem. - Mogę ci postawić drinka?

Zapaśnik podrapał się w ucho, zachowując pogardliwe milczenie i odchylił na stołku jeszcze bardziej do tyłu, tak by znaleźć się jak najdalej od tego zera, które miało czelność spoliczkować pana Mellougha.

Jonathan zlekceważył odmowę.

- Chłopcze, cieszę się, że to się dobrze skończyło. Żaden człowiek o mojej kompleksji nie chciałby wejść w paradę takiemu facetowi jak ty.

Zapaśnik pokiwał głową ze zrozumieniem i napiął mięśnie klatki piersiowej.

- A zatem już wiesz - powiedział Jonathan. Wykonał ruch, jakby chciał odejść, ale w zamian kopnął przechylony stołek barowy, który się wysunął spod zapaśnika. Tamten zwałił się z głuchym łoskotem, a jasnowłosa głowa uderzyła najpierw o krawędź baru, a potem o mosiężną poręcz. Oszołomiony i obolały, z długimi włosami opadającymi na twarz, nie miał czasu, by się podnieść, bo Jonathan postawił obcas na jego głowie i pokręcił nim. Słysząc było chrzęst łamanego nosa; twarz spłaszczyła się pod nogą. Gorycz podeszła Jonathanowi do gardła, a policzki zapadły mu się z powodu ogarniających go mdłości. Ale wiedział, co należy robić w takich sytuacjach: trzeba podsycać ból, by ofiara o nim pamiętała.

Jonathan ukląkł nad zapaśnikiem, chwycił go za włosy i uniósł jego twarz na odległość kilkunastu centymetrów od swojej.

- Posłuchaj mnie. Nie chcę, byś za mną łąził. To mi napędza stracha. A nie lubię się bać. Więc posłuchaj. Zbliż się tylko kiedyś do mnie, a cię zabiję. Hej! Słuchaj mnie! Nie waż się zemdleć, gdy do ciebie mówię!

Zapaśnik patrzył tępym z bólu wzrokiem, zdezorientowany, ale nie odpowiadał.

Jonathan potrząsnął nim, trzymając go za włosy, póki nie wyrwał mu palcami kilku kosmyków.

- Zrozumiałeś, co ci powiedziałem?

- Tak - odpowiedział niewyraźnie.

- Dobry chłopak! - Jonathan delikatnie położył z powrotem głowę na ziemi. Wstał i stanął przed Benem, który obserwował wszystko nie drgnąwszy. - Zajmiesz się nim, Ben?

- W porządku, staruszk. Ale niech mnie szlag, jeśli coś z tego rozumiem.

- Później o tym porozmawiamy.

Dwóch indiańskich chłopców do posług mrucało coś za kroczącym w stronę wyjścia Jonathanem, kiedy zaczęli się zabierać do przeniesienia przewróconego olbrzyma do pokoju. Jonathan przystanął przy drzwiach i spojrzał na Milesa, który jako jedyny z gości był świadom przyczyny konfliktu. Ich oczy, tak podobne w kolorze i tak samo zimne w wyrazie, spotkały się na moment. Wreszcie Miles wolno pokiwał głową i skupił się na strzepaniu z wdziękiem odrobiny kurzu z rękawa swojej aksamitnej marynarki. Właśnie dostał odpowiedź.

ARIZONA

Tego wieczora

Jonathan siedział w łóżku, opierając się plecami o pionowo ułożoną poduszkę i wyciągnąwszy przed sobą nogi. Skręcił i zakleił sobie drugiego papierosa, po czym zapomniał go zapalić, zapatrzywszy się w gęstniejącą ciemność.

Próbował z grubsza poczynić plany, w jaki sposób mógłby pozbyć się Milesa.

Nie miał właściwie szans dorwania się do niego przed ustaleniem tożsamości celu. Wszystko w Szwajcarii będzie zależało od tego, jak szybko Wydział Ścigania go zidentyfikuje.

Jonathan wrócił nagle do rzeczywistości, usłyszawszy cichy metaliczny brzęk za drzwiami. Powolutku wstał z łóżka, przesuując po nim ręce i naciskając na materac tak, aby zmniejszyć odgłos poruszających się sprężyn. Usłyszał ciche pukanie, obliczone na to, by go nie zbudzić, gdyby spał. Nie spodziewał się, że Miles uczyni swój ruch tak szybko. Pożałował, że nie ma broni. Stukanie powtórzyło się i ponownie usłyszał brzęk metalu. Zakradł się pod ścianę na stronę, gdzie znajdowały się zawiasy drzwi. Klucz przekręcił się w zamku i drzwi uchyliły się skrzypiąc; promień światła przepołożył pokój. Czekał, spięty. Drzwi powoli otworzyły się na oścież i ktoś na zewnątrz coś szepnął. Dwa cienie rozpełzły się na dywanie, jeden mężczyzny, drugi olbrzymiej postaci z potężnym krążkiem zwieńczającym jej głowę. Gdy cienie zbliżyły się, Jonathan kopnął drzwi zamykając je i oparł się na nich całym ciężarem. Usłyszał trzask i brzęk metalu oraz odgłos rozbijanego szkła i natychmiast uświadomił sobie, co się stało.

Zakłopotany otworzył drzwi i wyjrzał. Big Ben opierał się o ścianę po drugiej stronie korytarza, a indiański kelner siedział oszołomiony na podłodze pomiędzy szczątkami talerzy i sztućcami, a jego biały strój służbowy odzwierciedlał menu.

- Nie uwierzysz, starszku, ale podobno są ludzie, którzy dokładnie tak reagują, gdy nie są głodni.

- Myślałem, że to kto inny.

- Aha. Mam nadzieję.

- Wejdz.

- Co masz w zanadru tym razem? Dasz mi szturchańca komodą? - Ben wydał polecenie sprzątnięcia bałaganu i podania drugiej kolacji, po czym właściwie wskoczył do

pokoju Jonathana, odbijając się od progu i zapalił światło, by nic już więcej mu się nie przytrafiło.

Jonathan przybrał poważny ton, po części dlatego, że chciał porozmawiać o planie, który opracował siedząc w ciemności, a po części dlatego, że nie chciał rozwodzić się nad dopiero co popełnionym *faux pas*.

- Ben, co wiesz o tych trzech mężczyznach, z którymi będę wspinał się na Eiger?

- Niewiele. Wymieniliśmy parę listów, wszystkie na temat wspinaczki.

- Mógłbym je przeczytać?

- Pewnie.

- Dobrze. A teraz, inna sprawa. Masz szczegółową mapę tego obszaru?

- Pewnie.

- Mógłbym ją dostać?

- Pewnie.

- Co leży na zachód od nas?

- Nic.

- Z góry to rzeczywiście może tak wyglądać. Co to jest to nic?

- Naprawdę nieciekawym teren. Skały i piach, nic więcej. Ciągnie się w nieskończoność.

Dolina Śmierci wydaje się przy tym oazą. Chyba nie masz zamiaru tam się wybierać, staruszk? Człowiek może tam umrzeć w ciągu dwóch dni. O tej porze roku dochodzi do stu piętnastu w cieniu, a prędeziej byś zdechł, niż znalazł jakieś zacienione miejsce.

Ben podniósł słuchawkę i poprosił o przyniesienie mapy i pliku listów z jego biura wraz z kontenerem z sześcioma piwami. Następnie krzyknął do Jonathana, który poszedł do sypialni, by opróżnić popielniczkę.

- Niech mnie szlag, jeśli coś z tego rozumiem! Oczywiście nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz.

Jonathan trzymał go za słowo.

- Nie. Nie musisz mi o tym mówić. Co, u diabła? Spoliczkowani faceci w mojej restauracji. Rozbite głowy w moim barze. Latające talerze. Nie moja sprawa!

Jonathan wszedł do pokoju.

- Masz tu trochę broni, prawda Ben?

- Oho-ho!

- Masz dubeltówkę?

- Wolnego, staruszk...

Jonathan usiadł na krześle naprzeciwko Bena.

- Jestem w krytycznej sytuacji. Potrzebuję pomocy. - Jego ton sugerował, że oczekuje jej od przyjaciela.

- Wiesz, że możesz liczyć na pomoc, jakiej tylko będę ci w stanie udzielić, Jon. Ale jeżeli mają tu ginąć ludzie, to może powinienem wiedzieć coś na temat tego, co się wyrabia.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Ben otworzył. W drzwiach stał kelner z piwem, plikiem papierów i mapą. Wszedł dopiero po dokładnym rozejrzeniu się wokół i odszedł tak szybko, jak tylko pozwalała na to grzeczność.

- Chcesz piwa? - zapytał Ben otwierając puszkę.

- Nie, dziękuję.

- To dobrze. Jest tylko sześć.

- Co wiesz na temat tego Milesa Mellougha, Ben?

- Tego, z którym rozmawiałeś? Niewiele. Wygląda na takiego, co to sprzeda własną matkę. To wszystko, co wiem. Zameldował się dzisiaj rano. Chcesz, żebym go wyrzucił?

- Och, nie. Chcę go właśnie tutaj.

Ben zachichotał.

- Chłopcze, na pewno wiele dziewcząt o nim marzy. Gromadzą się wokół niego, jakby miał wyjątkowego penisa. Nawet widziałem, jak George na niego zerka.

- Spotka ją zawód.

- Tak, domyślam się.

- A co z tym drugim? Tym wielkim blondynem?

- Zameldował się w tym samym czasie. Wynajęli sąsiadujące ze sobą pokoje. Zadzwoiłem po lekarza z miasta, który zrobił, co mógł z jego nosem, ale nie wydaje mi się, byś miał w nim kiedykolwiek w przyszłości prawdziwie bliskiego przyjaciela. - Ben zgniół w dłoniach pustą puszkę po piwie i zamyślony otworzył następną. - Wiesz co, Jon? Ta bójka naprawdę trochę mnie zaniepokoiła. Wyjątkowo zręcznie jak na podtatusiałego profesora uniwersyteckiego podszedłeś tego mężczyznę.

- Doprowadziłeś mnie do szczytowej formy.

- Uhm, no tak. Ale chodzi mi o coś zupełnie innego. Załatwiłeś go w sposób, w jaki zwykłeś załatwiać ludzi. Tak go podszedłeś, że nie miał w ogóle szans. Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że bałbym się pobytu z tobą na bezludnej wyspie, gdybyśmy nie mieli pożywienia? Otóż, właśnie o to mi chodzi. O to nadeptnięcie na wielki nos tego faceta. Przecież już zrobiłeś swoje! Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że gdzieś w tobie tkwi jakaś naprawdę paskudna zadra.

Było oczywiste, że Benowi należy się choćby najmniejsze wyjaśnienie.

- Ben, ci ludzie zabili mojego przyjaciela.
- Och? - Ben rozważał to przez chwilę. - Czy Stróże prawa o tym wiedzą?
- Stróże prawa nic tu nie mogą zrobić.
- Jak to było?

Jonathan potrząsnął głową. Nie zamierzał ciągnąć tego tematu.

- Hej, zaraz, zaraz! Właśnie doznałem autentycznego olśnienia. Raptem odniosłem wrażenie, że to wszystko ma jakiś związek ze wspinaczką na Eiger. W przeciwnym razie skąd by wiedzieli, że tu jesteś?

- Nie mieszaj się w to, Ben.

- Posłuchaj mnie teraz. Nie są ci potrzebne żadne dodatkowe kłopoty, wystarczy tych, które sprawi ci ta góra. Nie mówiłem ci tego, ale będzie lepiej, jak powiem. Trenujesz naprawdę solidnie i w dalszym ciągu jesteś wspaniałym wspinaczem. Ale przyjrzałem ci się uważnie, Jon. Szczerze mówiąc, nie masz więcej niż pięćdziesiąt procent szans na Eigerze, i to w najlepszym wypadku. Nie rozpatrywałem przy tym twych błazeńskich prób zabicia ludzi oraz tych, którzy próbują zabić ciebie. Nie mam zamiaru umniejszać twojej pewności siebie, staruszkule, ale uważam, że jest to coś, co powinieneś wiedzieć.

- Dziękuję, Ben.

Kelner zapukał do drzwi i wniósł tacę ze specjalnie zestawionym posiłkiem dla dwóch osób; spożywali go w milczeniu, Jonathan ślęczał przy tym nad mapą terenu, a Ben skrupulatnie opróżniał kolejne puszki piwa.

Gdy o posiłku świadczył jedynie rozgardiasz brudnych talerzy, Jonathan złożył mapę i schował ją do kieszeni. Zaczął wypytywać Bena o swych przyszłych towarzyszy wspinaczki.

- Czy prowadziłeś z nimi jakąś bardziej prywatną korespondencję?

- Niespecjalnie. To, co zawsze: hotel, aprowizacja, wyposażenie zespołu, traktowanie reporterów, tego typu bzdury. Najwięcej pisał Niemiec. Uważał swój punkt widzenia za najważniejszy i najwyraźniej kreował się na szefa grupy. Aha! Czy my razem lecimy?

- Raczej nie. Chyba już tam się spotkamy. Posłuchaj, Ben, czy któryś z nich...? Czy wszyscy są w dobrej kondycji fizycznej?

- Przynajmniej tak dobrej jak ty.

- Czy któryś z nich odniósł ostatnio jakieś obrażenia? Albo był ranny?

- Ranny? Nic mi o tym nie wiadomo. Jeden z nich, właśnie ten Niemiec, napisał, że miał upadek na początku tego miesiąca. Ale nic poważnego.

- Jakiego rodzaju upadek?

- Nie wiem. Okaleczył trochę nogę.

- Na tyle, by kuleć?

- Wiesz, trochę trudno to wywnioskować z pisaniny faceta. Słuchaj, czemu właściwie o to wypytujesz?

- Nieważne. Zostawisz mi ten plik listów? Chcę je przeczytać... poznać trochę lepiej tych ludzi.

- Nie moja para kaloszy. - Ben przeciągnął się i stęknął jak nasycony niedźwiedź. - W dalszym ciągu masz zamiar wspinać się rano na tę iglicę?

- Oczywiście. A dlaczego?

- No, bo może to być trochę trudne... wspinać się z dubeltówką kołyszącą się na ramieniu.

Jonathan zaśmiał się.

- Nie martw się tym.

- No dobrze, w takim razie lepiej pośpijmy trochę. Na tej iglicy nie ma pola namiotowego, wiesz.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma miejsca na spanie.

- Ani jedniusińskiego.

Wkrótce po wyjściu Big Bena, Jonathan usiadł podparty w łóżku i zagłębił się w listy od pozostałych wspinaczy. We wszystkich przypadkach pierwszy list był dość urzędowy i uprzejmy. Ben udzielał najwyraźniej zwięzłych i konkretnych odpowiedzi, ponieważ w całej dalszej korespondencji rozważano skrupulatnie trudne problemy techniczne związane ze wspinaczką: prognozy pogody, obserwacje na temat zmiennych warunków na ścianie, opisy ostatnich przygotowawczych wspinaczek, sugestie dotyczące sprzętu. W jednym z ostatnich listów Niemiec wspominał o małym upadku, w efekcie którego głęboko rozciął nogę, ale jak zapewniał Bena, odzyska dobrą formę do czasu wyprawy na Eiger.

Jonathan pogrzywał się bez reszty w tej oschłej korespondencji, starając się wyczytać między wierszami coś bardziej osobistego, gdy usłyszał skrobanie George Hotfort.

Jego niedawne spotkanie z Melloughem uczyniło go ostrożnym. Zanim poszedł otworzyć drzwi, zgasił lampkę do czytania. George weszła w ciemności niepewnie, więc Jonathan zamknąwszy za nią drzwi, poprowadził ją do łóżka. Zamierzał wykorzystać ją jako coś w rodzaju seksualnej aspiryny, by złagodzić napięcia popołudnia, jakkolwiek zdawał sobie sprawę, że przyniesie mu to tylko przejściową ulgę i rozładowanie, nie dostarczając żadnych większych doznań.

Przez cały czas podłużne oczy George, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, jakby całkowicie oderwane od jej napastliwego i pełnego żaru ciała, patrzyły, nieruchome, w oczy

Jonathana.

Po jakimś czasie, gdy spał, wyszła po cichu z pokoju.

ARIZONA

28 czerwca

Instynktownie wyczuwał, że okaże się wspaniały.

Jak tylko się zbudził, poczuł ogromną ochotę, by wspiąć się na Iglicę Big Bena. Raz czy dwa razy w swojej karierze wspinaczka doświadczył tego przeczcucia zwycięstwa - rodzącego się gdzieś w głębi trzewi. Zdarzyło się to przed uzyskaniem rekordowego czasu przy wspinaniu się na Grand Teton, a potem gdy wpisał do alpinistycznych przewodników nową drogą prowadzącą na Petit Dru. Czuł wtedy, że jego ręce są wystarczająco silne, by wyszukiwać chwytów w skale, gdy zachodziła taka potrzeba, a nogi wprost go niosą, silne, elastyczne, niemalże zdolne wyczuć siłę przyciągania. A dzisiaj miał tak znakomite nastawienie do wspinaczki, że gdy potarł dłonie jedną o drugą, odniósł wrażenie jakby przemieniły się w szorstkie rękawice z irchy, zdolne do przyłgnięcia do pionowej, gładkiej skały.

Wziął prysznic, ale nie ogolił się, ani nie uczesał. Chciał być potargany i szorstki na spotkanie ze skałą.

Gdy Ben zapukał do jego drzwi, zawiązał właśnie buty i zachwycał się ich wyglądem: wprawdzie rozdarte w środku po jego ostatnich treningowych wspinaczkach, ale za to klamry - w doskonałym stanie.

- Wygląda na to, że jesteś w pogotowiu. - Ben, siwy, jeszcze w piżamie i szlafroku, wstał dopiero co z łóżka i zjawił się, niosąc ze sobą pierwszą poranną puszkę piwa.

- Czuję się wspaniale, Ben. To z powodu twojej iglicy.

- Och, nie zdziwię się, jeśli zedrzesz z ciebie trochę tego rozpromienienia przed osiągnięciem celu. To jest około stu dwudziestu metrów, przeważnie o szóstkowych trudnościach.

- Powiedz swoim kucharzom, że wrócimy w porze obiadu.

- Wątpię. Szczególnie biorąc pod uwagę, że za tobą będzie się włócił zmęczony stary człowiek. Chodź do mojego pokoju, ubiorę się.

Poszedł za Benem korytarzem do jego apartamentów, gdzie podziękował za oferowane mu piwo i gdzie usiadł, patrząc, jak świt rozwija się w dzień, podczas gdy Ben powoli odnajdywał i wdziewał różne części swego stroju do wspinaczki. Nie było to bynajmniej proste i Ben mrucał i przeklinał mocno, wyrzucając z szuflad ubrania na podłogę i

opróżniając pudła z różnymi przedmiotami osobistego użytku na swym zmiętoszonym łóżku.

- Powiedziałeś, że będziesz się za mną włókł, Ben? A ja wyobrażałem sobie, że to ty poprowadzisz. Przecież znasz drogę. Byłeś już na górze.

- Tak, ale nie jestem z tych, którzy psują całą zabawę. Niech mnie szlag, jak nie znajdę drugiej skarpetki. Nie znoszę skarpetek nie od pary! Wyprowadzają mnie z równowagi. Hej! Gdybym je dobrze dopasował, to mógłbym zrekompensować sobie stracone palce, wkładając cieńszą skarpetkę! Oczywiście ryzykowałbym, że mogłoby się to skończyć utykaniem na drugą nogę. Mógłbym zatkać się trzy albo cztery centymetry od punktu asekuracyjnego i piekielnie trudno byłoby mi się ruszyć. Hej, podnieś tyłek i kopnij te śmieci, i zobacz, czy tam jest sweter, którego używam do wspinaczek. Wiesz, ten stary, zielony.

- Masz go na sobie.

- Och tak, rzeczywiście. No ale spójrz! Nie mam pod nim żadnej koszuli!

- Nie moja wina.

- No, nie mam z ciebie za wielkiego pożytku.

- Bo się boję, że jeśli wleżę na środek pokoju, to już nikt nigdy mnie nie znajdzie.

- Och, George natknęłaby się na ciebie porządkując ten bałagan.

- George robi porządki w twoim pokoju?

- Jest na mojej liście płac, więc musi robić coś więcej, by sobie zapracować na utrzymanie, niż tylko być spluwaczką dla twojej spermy.

- Twój sposób wyrażania się jest ujmująco obrazowy, Ben.

- Nie chcesz świntuszenia? W porządku, rezygnuję! Niech mnie szlag, jeśli nie znajdę butów. Może dasz mi swoje?

- I pójdę boso?

- Biorąc pod uwagę, jak pewnie i wybornie się czujesz, myślę, że nie odczułbyś różnicy.

Jonathan oparł się plecami na krzesło i odprężył, obserwując świt.

- Naprawdę czuję się dobrze, Ben. Dawno się tak nie czułem.

- To dobrze. Cieszę się. - Charakterystyczny burkliwy ton Bena zniknął na moment. - Pamiętam, co to dla mnie znaczyło.

- Bardzo ci brakuje wspinaczki, Ben?

Ben usiadł na brzegu łóżka.

- A nie brakowałoby ci czegoś, gdyby ktoś zwał z twoim kutasem? Pewnie, że mi brakuje. Wspinałem się od osiemnastego roku życia. Z początku nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Ale później... - Klepnął się w kolana i wstał... - Potem miałem to tutaj. A teraz żyję ponad stan. Mimo to... - Ben przeleciał oczami do szafki. - Tu są moje buty! Niech mnie

szlag!

- Gdzie były?

- Na półce z butami. George musiała je tam wstawić, niech ją szlag!

Kiedy jedli śniadanie w lśniącej, pustej restauracyjnej kuchni, Jonathan zapytał, czy Miles Mellough zajmował się po bójce czymś godnym uwagi.

- Nie daje ci spokoju, Jon?

- W tej chwili jedyne, co mi nie daje spokoju, to wspinaczka. Ale po powrocie będę musiał się z nim uporać.

- Jeśli on nie upora się najpierw z tobą.

- Powiedz, co wiesz.

- Otóż, jeden z moich pomocników słyszał rozmówkę, jaką Mellough i jego przyjaciel ucieli sobie w swoich apartamentach.

- Twoja pomoc spędza dużo czasu podsłuchując pod drzwiami?

- Zazwyczaj nie. Ale wyobraziłem sobie, że chcesz, bym miał te typy na oku. W każdym razie, ten kochaś był jakby wkurzony na tego drugiego typa, że się dał tak załatwić. A ten duży powiedział, że następnym razem będzie inaczej. Później kazali sobie wypożyczyć samochód z miasta. Stoi naprzeciwko.

- Może chcą zrobić przejażdżkę po okolicy.

- Nie odpowiadają im nasze samochody? Nie, wydaje mi się, że chcą gdzieś szybko dojechać. Może po zrobieniu czegoś wstydliwego. Na przykład po zabiciu kogoś.

- Dlaczego myślisz, że chcą kogoś zabić?

Ben zamilkł na chwilę, mając nadzieję, że wywoła tym odpowiednie wrażenie.

- Kelner powiedział mi, że ten duży typ ma broń.

Jonathan skupił się na picciu kawy, czym zawiódł oczekiwania Bena na stosowną reakcję. Ben otworzył puszkę piwa.

- Nie wydajesz się przejęty, że ten typ posiada broń.

- Wiedziałem, że ją ma, Ben. Dostrzegłem ją pod marynarką. Dlatego właśnie nastąpiłem mu na nos. Po to żeby nie był w stanie wyraźnie widzieć. Potrzebowałem czasu, by odejść.

- Wtedy pomyślałem, o jakiejś paskudnej zadrze, a ty przez cały czas po prostu robiłeś to co trzeba.

- Powinieneś się wstydzić.

- Mógłbym obciąć język, który cię oczernia, staruszk.

- Staralem się po prostu przeżyć.

- I dlatego chcesz dubeltówkę.

- Nie, nie dla ochrony. Potrzebuję jej, by zaatakować. Pospiesz się! To wzniesienie eroduje. Niewiele z niego pozostanie, gdy w końcu będziesz gotów.

Buty Jonathana chrzęściły na kamieniach odpadłych ze skały i leżących wokół podstawy górującej ponad nimi iglicy; o wczesnym poranku na jej zachodniej ścianie było jeszcze ciemno. Wiertło, młotek i siedem i pół kilo haków, karabinków i kołków brzęczało zwisając z pasa.

„Gdzieś tutaj” - ocenił, domyślając się położenia długiej pionowej szczeliny, którą spostrzegł poprzedniego dnia. Dziesięciocentymetrowej szerokości, ciągnąca się na wysokość trzydziestu metrów szczelina wydawała mu się najprostszą drogą, by pokonać jedną czwartą ściany. U krańca tej rysy zaczynał się wyraźny monolit uformowanego w kształcie grzyba szczytu i tam wspinanie miało stać się prawdziwym wyzwaniem.

- Tą drogą szedłeś w górę, Ben?

- Jest jedna droga, wydaje mi się - powiedział Ben wymijająco. Związali się liną.

- Nie zamierzasz mi zbytnio pomagać, prawda? - zapytał Jonathan, podając końcówkę liny swemu towarzyszowi.

- Psiakrew, nie potrzebuję treningu. Idę jedynie dla rozrywki.

Jonathan poprawił ramiączka lekkiego plecaka, który niósł z powodu nalegań Bena dla treningu. Tuż przed przystąpieniem do wspinaczki oddali mocz na wypaloną ziemię, wyciskając ostatnie krople. Niezliczeni początkujący wspinacze przeoczała w swoim zapale ten pokutniczy hołd oddawany bogom siły ciężkości i żalowali tego, gdy później, na ścianie, stawali wobec owego naturalnego problemu, mając obie ręce zaangażowane w istotniejsze dla przeżycia czynności. Jedyne rozwiązanie wchodzące w rachubę w tych okolicznościach nie zapewnia wspinaczowi towarzyskiego sukcesu podczas przyjmowania gratulacji po zakończeniu drogi.

- W porządku, chodźmy.

Wejście szczeliną poszło szybko i spokojnie, oprócz tych miejsc, gdzie była ona zbyt szeroka dla wygodnego zaklinowania stopy. Przy wspinaczce Jonathan nie używał haków; asekurował się tylko co jakieś dziewięć metrów, po to by skrócić drogę ewentualnego upadku.

Cieszyło go, że wyczuwa skałę. Miała charakter. Dobrze urzeźbiona, o świetnym tarcu. Jednak niewiele trafiało się miejsc do wbicia haków, a i te nieliczne były zbyt szerokie i wymagały osadzania jednego lub dwóch dodatkowych jako klina. Zrezygnował więc z haków i używał kołków. Mogło to mieć znaczenie, gdy znajdą się już na otwartej

dziewięćdziesięciometrowej ścianie. Jonathan zdał sobie sprawę, że będzie musiał używać wiertła i nitów, częściej niż się spodziewał. Między hakówką a nitowaniem istniała dlań pewna różnica: pokonywanie ściany techniką sztucznych ułatwień było jakby wyrafinowanym jej uwodzeniem, wbicie rzędu nitów miało zaś posmak gwałtu.

Poruszali się płynnie, dobrze skoordynowani. Ben likwidował stanowisko na dole, podczas gdy Jonathan wpięty tak wysoko, jak pozwalała długość liny, szukał wystarczająco dobrego punktu do asekurowania Bena, gdy ten ruszy w górę. Ben jako drugi zawsze był szybszy; zdejmował pętle założone przez Jonathana, świadomy psychicznego komfortu asekuracji z góry.

Nawet gdy szczelina się skończyła i posuwali się naprzód wolniej, wrażenie, że jest nieugięty nie osłabło w Jonathanie. Każdy metr kwadratowy ściany stanowił wyzwanie taktyczne, walkę z bezlitosnym, obojętnym oporem siły ciężkości, w której skała była fałszywym sprzymierzeńcem, w każdej chwili gotowym do zdrady w razie komplikacji.

Pięli się centymetr po centymetrze, a Ben wypuszczał linę jak nić życia za każdym ruchem Jonathana, zawsze lekko napiętą, gdy już tylko to utrzymywało go na ścianie. Na pewnym odcinku zanikła naturalna rzeźba monolitu, tak że musieli się uciec do techniki sztucznych ułatwień.

Jonathan zaczął odczuwać zmęczenie, a to za sprawą oporu plecaka i śmiertelnie uporczywych skurczy w udach i łydkach. Ale dłonie nadal były silne i czuł się dobrze. Szczególną przyjemność sprawiał mu dotyk skały, cieplej, gdzie słońce ją ogrzewało, a chłodnej i orzeźwiającej w cieniu. Powietrze było tak czyste, że miało zapach niewinności i nawet słony smak potu był czymś dobrym. Niemniej jednak nie oponował, gdy po trzech godzinach i przebyciu dwóch trzecich ściany, Ben zarządził przerwę.

Minął następny kwadrans, nim znaleźli wąską półkę, na której mogli postawić pięty. Jonathan wbił dodatkowe haki i wisieli obok siebie, odwrócenie do skały, pozwalając nogom odpocząć. Ich ciała odchylone były około dwudziestu stopni od ściany, przywieszzonej w tym miejscu o dalsze dziesięć stopni. Ben szamotał się z plecakiem, aż wyciągnął suchary i gruby talar sera, jaki - zgodnie z alpejską tradycją - wziął ze sobą. Jedli z leniwą satysfakcją, wychylając się ze swoich stanowisk i spoglądając w dół na małą grupkę przejętych obserwatorów, którzy zebrali się blisko podstawy iglicy, gdy ktoś w kurorcie zauważył mężczyznę na ścianie tego na pozór niedostępnego filaru.

- Jak się czujesz, staruszk?

- Po prostu... naprawdę wspaniale, Ben.

- Dobrze się wspinasz. Najlepiej z tego wszystkiego, co widziałem.

- Tak. Wiem. - Jonathan wyraził podziw tak szczerze, jakby obserwował sam siebie z boku. - Zwyczajnie szczęśliwy traf, to zbiegnięcie się formy z wybuchem temperamentu... gdybym w tej chwili znalazł się na Eigerze... - Jego głos cichł coraz bardziej, gdy w wyobraźni pokonywał powszechnie znane przeszkody na Eigerze.

- Po co w ogóle tam iść, Jon? - Ben powrócił do starego tematu. - Co chcesz udowodnić? To jest wielka wspinaczka. Zrezygnuj z niej.

Jonathan zaśmiał się.

- Ty naprawdę czujesz urazę do Eigeru.

- Po prostu tak czuję. To góra nie dla ciebie, staruszk. Strąciła cię już wcześniej dwa razy. To piekielne miejsce! A cała sprawa jest mocno kurewska. Ten pedzio, czyhający na odpowiednią chwilę, by cię załatwić. Czy też ty, czający się, by zabić jego. I całe to sprawdzanie ludzi, z którymi będziesz się wspiąć! Nie wiem, o co chodzi i nie sądzę, żebym chciał się dowiedzieć. Ale mam przeczucie, że jeśli spróbujesz zdobywać Eiger, gdy twoje myśli będą krążyć wokół innych spraw, to ta góra cię odrzuci. I ty sam wiesz najlepiej, że to będzie trochę bolało!

Jonathan wychylił się i nie chcąc ciągnąć rozmowy o tych sprawach, powiedział:

- Spójrz tam na nich na dół, Ben. Miniaturki! Zminiaturyzowani japońską techniką powolnego zmniejszania; coraz mniejsze przyływy odwagi i indywidualności aż do punktu, w którym są zdolni jedynie do zasiadania w komitetach i do protestowania przeciwko zanieczyszczeniu powietrza.

- Tak, nie są wiele warci! Z pewnością wzięliby nogi za pas, gdyby któryś z nas spadł. Dajmy im temat do rozmów na część popołudnia. - Ben pomachał ręką. - Hej tam, śmieci!

Ci poniżej nie mogli go słyszeć, ale odmachali energicznie, uśmiechając się przy tym szeroko.

- Co byś powiedział na piwo, staruszk?

- Napiłbym się. Dlaczego nie krzykniesz, żeby je nam przyniesiono? Oczywiście, chłopakowi należałby się spory napiwek.

- Jest piwo.

- Mam nadzieję, że żartujesz.

- Nigdy. Żartuję mówiąc o miłości i życiu, i przeludnieniu, i bombach atomowych, i tego typu gównie, ale nigdy na temat piwa.

Jonathan spojrzał na niego, wytrzeszczając oczy z niedowierzaniem.

- Niosłeś kontener z sześcioma piwami? Jesteś szalony, wiesz o tym!

- Może szalony, ale nie głupi. Nie niosłem. To ty niosłeś. Włożyłem go do twojego

plecaka.

Jonathan wygiął się i mocując z plecakiem wyciągnął opakowanie z sześcioma piwami.

- Jasna cholera! Coś mi się zdaje, że zrzucę cię na tych gapiów!

- Poczekaj, aż skończę piwo.

Jonathan oderwał wieko puszki i wciągnął pianę.

- Ciepłe.

- Przykro mi z tego powodu. Ale pomyślałem, że sprzeciwisz się niesieniu lodu.

Jedli i pili w milczeniu. Jonathan od czasu do czasu czuł skurcze w żołądku, gdy patrzył poniżej w przestrzeń. Przez te wszystkie lata wspinania, nigdy całkowicie nie pozbył się uczucia ucisku w żołądku i mrowienia w pachwinie, które go nawiedzały, gdy nie był skupiony na wspinaczce. Ale nie było to przykre uczucie, uważał je zresztą za naturalną reakcję w górach.

- Jak wysoko, według ciebie, jesteśmy, Ben?

- Jeśli chodzi o odległość, to przeszliśmy dwie trzecie, a jeśli o czas to w połowie drogi.

Jonathan skinął głową potwierdzająco. Zauważyli w przeddzień, że końcówka wspinaczki, gdzie szczyt przybiera formę główki grzyba, będzie najtrudniejsza. Jonathan nie mógł się doczekać, by tam dotrzeć.

- Chodźmy!

- Nie skończyłem piwa! - bronił się Ben.

- Wypiłeś już dwa!

- Mówiłem o tym trzecim. - Szarpnął wieko puszki i przechylił się, wypijając je do dna dużymi haustami; trochę piwa ściekło mu z kącików ust.

Następne trzy godziny przyniosły cały ciąg problemów taktycznych, jeden po drugim; gdy pojawiał się kolejny, poprzedni odchodził w niepamięć. Dla Jonathana przestało istnieć cokolwiek na świecie oprócz niego i skały - następny ruch, pewność haka, pot na włosach. Całkowita wolność w zamian za ryzyko upadku. Jedyna możliwość, by polatać, jeśli już przytrafiło ci się być stworzeniem pozbawionych skrzydeł.

Ostatnie półtora metra było dość wyjątkowe.

Pogoda wywarła swoje erozyjne piętno na spękanym obrzeżu płaskiego szczytu iglicy. Przewieszenie sięgało trzydziestu stopni, a skała była zwietrzała i krucha. Jonathan przesuwiał się trawersując tak daleko, jak mógł, ale natrafiał na wciąż taką samą skałę i nie mógł znaleźć odpowiedniego miejsca dla wbicia haka. Zszedł nieco, zatrzymując się tuż nad Benem.

- Co się dzieje?! - krzyknął Ben.

- Nie mogę znaleźć drogi w górę! Jak ty to zrobiłeś?

- Och, odwaga, zręczność, determinacja, talent. Tego typu bzdury.
- A żeby cię pokręciło!
- Hej, staruszk. Nie rób nic pochopnie. Ten hak jest raczej na pokaz.
- Ty wiesz, że jeśli pójde ja, to pójda i piwa.
- Och, patrzcie, patrzcie!

Nie było bezpiecznego sposobu na pokonanie potrząskanego dachu przypominającego spód kapelusza grzyba o monstrualnych rozmiarach. Jonathan przeklinał półszepem, przyległszy do ściany i rozważał taktykę. Nieprawdopodobne rozwiązanie nasunęło się samo.

- Poluzuj trochę linę! Idę! - krzyknął do dołu.
- Nie rób nic głupiego, Jon. Mieliśmy do tej pory przyjemną wspinaczkę.
- Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tej drogi można określić mianem klapy. Poluzuj, do cholery, linę!

Skulony pod występem, odwrócony plecami od ściany, Jonathan rozpląszczył dłonie na skalnym obrzeżu wywiniętej wargi grzyba nad nim. Zaparty, napiął się jak struna i odrywając kolejno kończyny przesuwiał się trawersem skośnie w górę. Ułożenie jego ciała zbliżało się do poziomu i w końcu nie był już w stanie zwolnić ręki, gdyż runąłby w przestrzeń pod sobą. Przesuwał więc dociśnięte dłonie bez odrywania; zdarł skórę i plamił skałę krwią. W końcu, gdy ciało drżało mu już ze zmęczenia, natrafił ręką na szczelinę w wardze; odwrócił dłoń i namacał chwyt za krawędzią okapu. Nie mógł ocenić, jak pewna jest tutaj skała, lecz wiedział, że z chwilą ugięcia kolan spadną pięty i jego ciało bujnie się tak dalece, że praca chwytu stanie się niekorzystna. A wtedy... Nie zwlekał jednak dłużej z decyzją. Wrócić już nie był w stanie ani też utrzymywać dłużej napiętej pozycji. Siły go prawie opuściły.

Zacisnął dłoń tak mocno, że przez opuszki wyczuwał skałę kośćmi paliczków. Zwolnił nogi i wykorzystując bujnięcie, zwinął się przenosząc je nad głowę i klinując stopę jak najwyżej w pęknięciu.

Przez chwilę tylko jego nogi od bioder w górę znajdowały się ponad krawędzią. Plecak i tułów wywazały go w dół. Zgiął się, sięgając drugą ręką do szczeliny. Rzęząc gramolił się siłowo, trąc brzuchem, bez cienia finezji, bez jakiegokolwiek techniki, w desperackiej, zwierzęcej walce z grawitacją.

Leżał twarzą w dół, zadyszany, a z jego rozchylonych ust sączyła się na płaską gorącą skałę szczytu ślina. Słyszał w uszach boleśnie łomot walącego serca, a wewnętrzna strona dłoni piekła go od drobnych kamiennych kryształków, które wbiły mu się w żywe mięso. Lekki wietrzyk chłodził mu włosy, splątane i zlepione potem. Gdy tylko dał radę, usiadł i rozejrzał się po jałowej kamiennej płycie, która była kresem tego całego wysiłku. Czuł się po

prostu wspaniale. Uśmiechnął się do siebie szeroko w poczuciu zwycięstwa.

- Hej, Jon? - Głos Bena dochodził spod krawędzi. - Jak tylko skończysz podziwiać siebie, bądź łaskaw wciągnąć mnie tam.

Jonathan oplótł linę wokół małego bloku skalnego i trzymał ją, asekurując na siedząco Bena, gdy ten gramolił się przez okap.

Przez dziesięć minut nie rozmawiali, zmęczeni wspinaczką i przejęci otaczającą ich perspektywą. Znajdowali się na najwyższym punkcie w dolinie. Na zachód rozciągała się bezkresna pustynia, połyskująca i pozbawiona jakichkolwiek charakterystycznych elementów. Z krawędzi płaskiego szczytu widzieli też pseudowigwam Bena, spłaszczony przez odległość; basen wyglądał jak iskrzący się w słońcu kawałek stłuczonego lustra. Sporadyczne powiewy wiatru wymiatały intensywny skwar ze skały i ochładzały ich wilgotne od potu koszule.

Otworzyli dwa ostatnie piwa.

- Gratulacje, staruszk. Znów jako pierwszy zaliczyłeś kolejny szczyt.

- O czym ty mówisz? - Jonathan z uczuciem wdzięczności spił ciepłą piankę.

- Nigdy nie myślałem, że ktokolwiek będzie w stanie wejść na tę iglicę.

- Ale ty się już wspiąłeś.

- Któż ci to powiedział?

- Ty.

- Nie zajdziesz zbyt daleko w życiu, słuchając tak okrzyczanych kłamców jak ja.

Jonathan milczał przez chwilę.

- W porządku. Opowiedz mi o tym, Ben.

- Ot, po prostu mój plan nie wypalił. Paru niezłych wspinaczy z okolicy próbowało wejść na tę igłę. Ale pozostawała dziewicza. To ten ostatni mały odcinek zatrzymał ich wszystkich. Musisz przyznać, że jest raczej pieprzony. Realnie myśląc, żaden człowiek o zdrowych zmysłach nie podejmowałby próby. Szczególnie z przyjacielem przywiązany do drugiego końca liny.

- Przykro mi, Ben. Nie myślałem o tym.

- Nie należysz do tych, którzy by o tym pomyśleli. W każdym razie, założyłem sobie, że jeśli nie wejdiesz tam, gdzie ja się według ciebie wspiąłem, i to z tą moją kulawą nogą, przeanalizujesz sprawę ze dwa razy, zanim zdecydujesz się zaatakować Eiger.

- Zaplanowałeś to wszystko tylko po to, bym nie poszedł?

- Tak, właśnie taka jest prawda. Boję się tego, staruszk. - Ben westchnął i zgniótł puszkę po piwie. - Ale powiedziałbym, że mój plan jakby nie wypalił. I teraz, kiedy tego dokonałeś, domyślam się, że nic na świecie nie odstraszy cię od Eigeru.

- Nie mam wyboru, Ben. Wszystko wiąże się z tą wspinaczką. Mój dom. Moje obrazy.
- Z tego, co słyszałem, nieżywych nie podniecają za bardzo ani domy, ani obrazy.
- Słuchaj! Może dzięki temu, co ci powiem, poczujesz się lepiej. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nie będę musiał się ostatecznie wspinać. Jest szansa, że załatwię sprawę, zanim zaczniesz się wspinaczka.

Ben potrząsnął głową, jakby poczuł trochę ulgi.

- Nic zupełnie z tego nie rozumiem. To zbyt pieprzone jak dla mnie.

Jonathan złączył dłonie, by sprawdzić, czy odczuwa ból. Były lepkie od gęstego klarownego płynu skrzepu, ale nie bolały zbyt mocno.

- Wracajmy.

Pozostawiając haki dla przyszłych wspinaczy i opuszczając się długimi zjazdami, dotarli po czterdziestu minutach do płaskiego terenu, co w jakiś sposób wydawało się niesprawiedliwe, zważywszy wyczerpującą sześciogodzinną wspinaczkę.

Natychmiast otoczył ich tłum poklepujących i gratulujących ludzi, którzy oferowali się przynieść im coś do picia i opowiadali, jak to oni by się wspinali, gdyby byli wspinaczami. Ben, objąwszy ramionami dwa ładne młode stworzenia, poprowadził zebranych z powrotem do kurortu, a Jonathan, nagle wyczerpany i ociężały, teraz gdy już będąca wynikiem podrażnienia nerwów energia wyparowała z niego, z trudem posuwał się naprzód za wesołym pochodem. Zaskoczył go widok Milesa Mellougha; biło od niego chłodem, gdy tak stał spokojnie na uboczu poza witającą grupą, ubrany w błękitny garnitur z surowego jedwabiu, i trzymał w ramionach starannie uczesane, kręcące się i skomlące szpica. Miles postąpił krok ku niemu.

- Imponujący pokaz. Czy wiesz, Jonathanie, że przez cały czas naszej przyjaźni nie widziałem cię nigdy wspinającego się? Miało to poniekąd swój wdzięk.

Jonathan szedł dalej, nie odpowiadając.

- Szczególnie ten ostatni mały kawałek wywoływał mrowienie przejęło mnie to lekkim dreszczem. No i mimo wszystko dokonałeś tego... O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś miał wyzionąć ducha?

- Nie licz na to.

- Och, nie myśl, że cię nie doceniam! - Przełożył podskakującego psa z jednego ramienia na drugie, a Jonathan zauważył, że szpica ma wokół szyi wstążkę z tego samego niebieskiego jedwabiu co garnitur Milesa. - Właśnie to ty uparcie nie doceniasz mnie.

- Gdzie twój chłopczyk?

- W swoim pokoju. Podejrzewam, że pograża się w czarnych myślach. I cieszy się na

przyszłe spotkanie z tobą.

- Lepiej, żeby do niego nie doszło. Rzucę go psom na pożarcie, jeżeli zobaczę w pobliżu.

Miles wtulił nos w sierść Pedzia i mruknął:

- Nie musisz się czuć urażony, chłopczyku. Doktor Hemlock nie mówił o tobie. Użył jednego z tych płytkich wulgarnych wyrażen, charakterystycznych dla jego fachu.

Pies zaskomlał i polizał energicznie nozdrza Milesa.

- Mam nadzieję, że rozpatrzyłeś swoją decyzję jeszcze raz, Jonathan. - Matowy profesjonalnie brzmiący głos Milesa kontrastował ostro z gruchającym mručeniem, które skierował do psa.

Jonathan zastanowił się, u ilu mężczyzn pozory kobiecości Milesa uspiły czujność na tyle, że zapłacili śmiercią. Zatrzymał się i odwrócił do niego.

- Wydaje mi się, że nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Miles zmienił pozycję; oparł ciężar ciała na jednej stopie, a drugą wykręcił palcami na zewnątrz, przyjmując relaksujący wariant czwartej pozycji w balecie, najodpowiedniejszej do zademonstrowania fasonu garnituru.

- Jako wspinacz, Jonathanie, masz dobrze rozwinięty zmysł zachowawczy. Tymczasem wmawiasz mi, że wolałbyś stawić czoło jakiemuś nieznanemu celowi, niż zawrzeć ze mną pokój. W porządku. Pozwól, że podniosę trochę stawkę. Przyjmijmy, że skontaktuję się z celem i odsłonię cię. Tym samym on pozostanie w cieniu, a ty w pełni widoczny. Co o tym sądzisz? Interesujące odwrócenie przyjętego wzorca, prawda?

Jonathan rozważył tę istotnie niedogodną możliwość.

- Nie masz takich atutów, jak ci się wydaje, Miles. Wydział Ścigania pracuje nad zidentyfikowaniem tego człowieka.

Mellough zaśmiał się rozgłośnie, co przstraszyło Pedzia.

- To urocze, Jonathan! Masz zamiar ryzykować życie polegając na skuteczności CII? Czy twój fryzjer również cię operuje?

- Skąd mogę wiedzieć, czy nie skontaktowałeś się już z celem?

- Żeby przegrać mój ostatni atut? Nie do wiary, Jonathan! - Ukrył nos w sierści Pedzia i żartobliwie kąsał go w plecy.

Jonathan odszedł w stronę wigwamu.

- Nie pozostawiasz mi dużego wyboru, Jonathanie! - krzyknął za nim Miles. Potem przysunął twarz do ucha Pedzia. - Twój tatuś nie ma żadnego wyboru, prawda? Będzie musiał po prostu dać popalić doktorowi Hemlockowi. - Spojrzał za oddalającą się sylwetką. - Albo

go zabić.

Podczas kolacji Ben był nieprzystępny i nierozmowny i jak przystało na mężczyznę pakował w siebie wielkie ilości jedzenia i piwa. Jonathan nie rozpoczął rozmowy i często też odrywał wzrok od jedzenia, skupiając go na nieokreślonym punkcie w przestrzeni. W końcu, wciąż bezmyślnie wgapiony, odezwał się.

- Masz jakieś wieści z centrali telefonicznej?

Ben pokiwał głową.

- Żaden z nich nie próbował dzwonić, jeśli o to ci chodzi. Żadnych telegramów. Nic.

Jonathan skinął głową.

- Dobrze. Za nic w świecie, Ben, nie pozwól im skontaktować się z nikim z zewnątrz.

- Doprawdy oddałbym moje przednie miejsce w piekle, by wiedzieć, co się tu dzieje.

Jonathan patrzył na niego przez dłuższą chwilę, wreszcie zapytał:

- Mogę jutro pożyczyć twego land-rovera?

- Pewnie. Dokąd się wybierasz?

Jonathan zignorował pytanie.

- Zrób mi przysługę. Czy któryś z twoich ludzi może go zatankować i włożyć dwa dodatkowe metalowe kanistry z benzyną i jeden z wodą do bagażnika?

- To ma jakiś związek z tym Melloughem?

- Tak.

Ben przez chwilę milczał markotny.

- W porządku, Jon. Wszystko, czego sobie życzysz.

- Dzięki.

- Nie musisz mi dziękować za to, że pomagam ci pakować się w kabałę.

- Pamiętasz, mówiliśmy wczoraj o dubeltówce? Możesz ją załadować i wsadzić do land-rovera?

- Oczywiście! - Głos Bena brzmiał ponuro.

Jonathan siedział w łóżku do późna w nocy, nie będąc w stanie usnąć, i pracował intensywnie nad artykułem o Lautrecu, którym wypełniał każdą wolną chwilę przez prawie miesiąc. Drapanie w drzwi stało się wymówką, by odłożyć nieciekawą robotę. George miała na sobie jak zwykle dzinsy i drelichową koszulę z odwiniętym kołnierzykiem pod długimi czarnymi włosami; trzy górne guziki rozpięte, a nie skrupowane stanikiem piersi podciągały koszulę do góry tworząc fałdy.

- Jak się masz, George?

Usiadła na brzegu łóżka i patrzyła na niego dobrotliwie swymi dużymi ciemnymi oczami.

- Widziałeś, jak wspinaliśmy się dzisiaj z Benem? Czy to nie było ciekawe? - Przerwał, po czym odpowiedział za nią: - Owszem, było.

Zdjęła buty, po czym podniosła się i rozpięła dzinsy energicznie i rzeczowo, jak osoba, która ma jakąś sprawę do załatwienia.

- Wygląda na to, że może wyjadę jutro lub pojutrze. Czuję, George, że będzie mi Ciebie brakowało.

Potrząsając pośladkami zsunęła dzinsy przez biodra.

- Nie można powiedzieć, byś wypełniała nasz związek balastem sentymentów czy też paplaniną i doceniam to.

Przez chwilę stała, a poła koszuli muskała jej oliwkowe uda. Wreszcie zaczęła ją rozpinąć, cały czas nie odrywając od niego swych łagodnych oczu.

- Mam pomysł, George. Czemu nie zaprzestaniemy tej banalnej paplaniny i nie pokochamy się? - Ledwo zdążył zdjąć swoje notatki z łóżka i zgasić światło, a już splątała się z jego nogami.

Leżał na brzuchu, ramiona rozrzucił w poprzek łóżka, rozluźnił mięśnie, a George masowała go, przesuając powoli palce od krzyża do karku. Unosił się na krawędzi snu tak długo, jak mógł, starając się nie czekać na dreszcze, które wywoływały jej paznokcie, gdy lekko dotykały jego talii, boków i zewnętrznej części ramion. Wyrażał swą wdzięczność pomrukując parę razy z zadowoleniem, jakkolwiek wolałby raczej nie podejmować żadnego wysiłku.

Przestała go masować, a on zaczął mozolnie powracać do świadomości.

Poczuł, jakby osa wbijała mu w ramię żądło. George wyskoczyła z łóżka i skuliła się w najciemniejszym kącie pokoju. Niezdarnie zapalił światło i rozejrzał się, mrużąc oczy przed nagłym oślepiającym blaskiem. George, prawie naga, wcisnęła się w swój kąt, trzymając przez cały czas strzykawkę w dłoniach, z kciukami opartymi o tłoczek i igłą zwróconą w jego kierunku, jakby to była broń, która mogła ją ochronić.

- Ty mała suko! - Jonathan również nagi, zaczął przesuwać się w jej stronę. Jej oczy przepełniało przerażenie i nienawiść; gwałtownie rzuciła się z igłą ku niemu, a on jednym szerokim uderzeniem grzbietem ręki pchnął ją na ścianę, tak że zatoczyła się do przeciwległego kąta, gdzie skuliła się jak zapędzona na drzewo puma; krew ściekała jej z kącików ust i jednego nozdrza, usta wykrzywił agresywny grymas, który odsłaniał dolne

zęby. Zbliżał się do niej, by wymierzyć cięższą karę, gdy poczuł brzęczenie w uszach, pod wpływem którego się zatoczył. Odwrócił się w stronę drzwi - wydały mu się falującym trapezem, i zdał sobie sprawę, że nigdy do nich nie dojdzie. Potykając się poszedł w stronę telefonu. Kolana uginały się pod nim; upadł, uderzając o stolik nocny i pogrążając pokój w ciemnościach, gdy lampa spadła i rozbiła się z głośnym hukiem. Brzęczenie nasilało się, pulsujące i agresywne, i świece stanęły mu w oczach.

- Recepcja - powiedział cieniutki, znudzony głosik gdzieś obok niego na podłodze pomiędzy gruzów rozbitego szkła. Niemał po omacku starał się znaleźć słuchawkę. - Recepcja. - Poczul fale bólu w krzyżu i zdał sobie sprawę, że ta mała, przerażona suka kopie go z nieprzejednaną złością! - Recepcja. - W głosie brzmiało lekkie zniecierpliwienie. Nie mógł odparować kopnięć; jedyne, co mógł, to zwinąć się wokół słuchawki i przyjmować je dalej. Ból stawał się coraz bardziej tępy, aż w końcu zaczął go odczuwać jako jeden wielki ucisk. - Recepcja. - Jonathan miał spuchnięty i odrętwiały język. Przyłożył stawiające opór usta do słuchawki i usiłował sformułować słowo.

- Ben! - wydusił z siebie drżący skowyt i pogrążył się w ciepłej czarnej wodzie.

ARIZONA

29 czerwca

Światło zamigotało w czarnej wodzie i Jonathan, uwolniony od powłoki cielesnej, pospieszył przez wielokilometrową przestrzeń w jego stronę. Dosięgnął iskry, która rosła i rosła, aż w końcu przemieniła się w okno ze smugami dziennego światła, sączącego się przez żaluzje. Był w swoim pokoju. Nad nim wisiał wielki klosz w cielistym kolorze.

- No i jak leci, staruszk?

Spróbował usiąść, ale tępy ból przykuł go do poduszki.

- Odpręż się. Doktor mówi, że będziesz zdrow. Powiedział, że może boleć przez kilka dni przy siusianiu. George nieźle ci dowaliła po nerach.

- Daj mi coś do picia.

- Piwo?

- Cokolwiek. - Jonathan podnosił się centymetr po centymetrze do pozycji siedzącej, pokonując nasilający się ból głowy.

Ben niezdarnie próbował podać mu do ust piwo, ale Jonathan odwdzieczył się za troskliwość, wyrwijąc mu puszkę po tym, jak jedna trzecia jej zawartości rozlała mu się na torsie.

- Gdzie ona jest? - zapytał, gdy ugasił pragnienie.

- Mam ją zamkniętą pod kluczem, pilnuje jej dwóch moich ludzi. Chcesz, żebym zadzwonił do miasta po szeryfa?

- Nie, jeszcze nie. Powiedz mi, Ben...

- Nie, nie zrobił tego. Wyobrażałem sobie, że będziesz się zastanawiał, czy ten Mellough się wymeldował. Recepcja powiadomi mnie, jak będzie próbował.

- Więc to był Miles?

- Tak mówi George.

- W porządku. On to zrobił. Zaprowadź mnie pod prysznic.

- Ale doktor powiedział...

Propozycje Jonathana dotyczące tego, co doktor mógłby zrobić ze swoimi radami, wychodziły poza ustalone formy fizykoterapii i co więcej, poza czyjekolwiek ruchowe możliwości.

Ben niemalże zaniósł go pod prysznic, gdzie Jonathan odkręcił zimną wodę, by lała się

na niego strumieniem, przywracając mu jasność umysłu.

- Dlaczego, Ben? W końcu nie jestem naprawdę aż taki zły.

- Najstarszy powód na świecie, staruszkule - powiedział przekrzykując hałas prysznicza.

- Miłość.

- Pieniądze.

Woda przynosiła ukojenie, wracało mu czucie, a wraz z nim łomoczący ból w głowie i nerkach.

- Rzuć mi tutaj aspiryny. Co ona mi takiego wstrzyknęła?

- Masz. - Ben podał mu swoją dużą łapą fiolkę za zasłonę. - Doktor mówił, że to coś podobnego do morfiny. Jakoś to nazwał. Ale to nie była śmiertelna dawka.

- Ale na taką wyglądała. - Aspiryna rozpuściła się pod wpływem wody, więc podniósł fiolkę do ust i popił wodą spływającą z prysznicza jednym haustem wszystkie tabletki. Zacisnął wargi, gdy kawałki aspiryny utkwily mu w gardle. - Odmiana morfiny. Miles siedzi w narkotykowym biznesie.

- To prawda? Ale jeśli zaszedł tak daleko, to dlaczego nie pozbył się ciebie na dobre? Podobno obiecał George, że nic poważnego ci się nie stanie. Chciał cię tylko nastraszyć.

- Jej troska jest wzruszająca.

- Może po prostu nie chciała umierać za zabójstwo.

- Tak, pewnie raczej o to chodziło. - Jonathan zakręcił wodę i zaczął się wycierać, ale niezbyt energicznie, ponieważ każdy obszerniejszy ruch powiększał ból głowy. - Moje przypuszczenia są takie, że Miles miał zamiar przyjść po tym, jak George zrobiła mi zastrzyk, i załatwić mnie naćpanego. Śmierć przypisano by przedawkowaniu. To cały Mellough. Nie narażający się i przebiegły.

- Faktycznie prawdziwie zły dupek. Co z nim zrobisz?

- Coś niesłychanego.

Jonathan ubrał się i poszli korytarzem do pokoju, gdzie trzymano George. Poczul coś jakby żal na widok jej spuchniętych oczu i rozciętej wargi, który szybko zniknął, gdy przypomniał sobie, jak próbowała go załatwić kopnięciami w kręgosłup!

Wyglądała na Indiankę bardziej niż kiedykolwiek, gdy tak trzymała wokół ramion kurczowo koc, pod którym była tak samo goła, jak w chwili, gdy Ben wtargnął, by go ratować.

- Ile ci zapłacił, George? - zapytał.

Prawie wypluła odpowiedź:

- Chętnie wydlubałabym ci oczy, ty sakramencka świnió!

Jedyne słowa, jakie kiedykolwiek usłyszał z jej ust...

Ben nie mógł powstrzymać chichotu, gdy wracali do pokoju Jonathana.

- Chyba zbyt długo przebywała w moim towarzystwie.

- To nie to, Ben. Zawsze gdy jest już po wszystkim, one mówią o moich oczach. Słuchaj, pójdę się przespać parę godzin. Czy twoi ludzie w recepcji przygotowują dla mnie rachunek?

- Już wyjeżdżasz?

- Niebawem. Land-rover jest gotowy?

- Tak.

- A dubeltówka?

- Będzie na podłodze. Oczywiście nie chcesz, by Mellough dowiedział się, że się wymeldowałeś?

- Wprost przeciwnie. Ale nie rób żadnych specjalnych ruchów. Sam to odkryje. Jest specjalistą w zdobywaniu informacji.

Trzy godziny później obudził się odświeżony. Morfina przestała działać, minął też ból głowy, ale nerki były jeszcze trochę obolałe. Ubrał się ze szczególną dbałością w jeden ze swych najlepszych garniturów, spakował walizki i zadzwonił do recepcji, by zanieśli je do land-rovera.

Gdy wszedł do sali restauracyjnej, zobaczył jasnowłosego zapaśnika siedzącego przy barze, z szerokim plastrem na spuchniętym nosie.

- Dzień dobry, Dwayne. - Nie zwracając uwagi na piorunujące, pełne nienawiści spojrzenie ochroniarza przeszedł ścieżką Wzdłuż sali i przez mostek do stołu, gdzie siedział Miles, zrównoważony i nieskazitelny w opalizującym złoto garniturze.

- Przyłączysz się do mnie, Jonathan?

- Jestem ci winny drinka.

- Zgadza się. A wszyscy wiemy, jakim jesteś pedantem, jeśli chodzi o spłatę długów. Wyglądasz bardzo ładnie. Twój krawiec jest akuratywny i całkiem pozbawiony polotu.

- Nie czuję się zbyt dobrze. Miałem złą noc.

- Och? Przykro mi to słyszeć.

Młody indiański kelner, który obsługiwał ich pierwszego dnia, zbliżył się do stołu i z czułością spoglądał na Milesa.

Jonathan złożył zamówienie, po czym obaj obserwowali ludzi wokół basenu, dopóki

kelner nie postawił przed nimi drinków i nie odszedł.

- Na zdrowie, Jonathanie!

Jonathan wypił laphroaig i postawił szklaneczkę na stole.

- Postanowiłem na razie zapomnieć o tobie, Miles.

- Tak? Tak po prostu?

- Zostanę tu jeszcze przez parę tygodni, by potrenować, a nie będę w stanie się skoncentrować myśląc o tobie. Mam przed sobą dużą wspinaczkę. - Miles z pewnością wiedział, że Jonathan się wymeldował. Oczywiście kłamstwo było obliczone na to, by Miles pomyślał, że ucieka przed nim, a Miles był typem lubiącym czuć swą przewagę.

- Jestem w stanie zrozumieć twój problem, Jonathanie. Naprawdę. Ale jeśli nie oznacza to wykreślenia mnie z twojej listy na dobre... - Podniósł ramiona w geście bezradnego ubolewania.

- Może właśnie to zrobiłem. Zjedźmy razem dzisiaj wieczorem kolację i porozmawiajmy o tym.

- Cudowny pomysł.

Jonathan nie mógł nie podziwiać wprost doskonałego opanowania Milesa. Wstał.

- Do zobaczenia wieczorem.

- Z góry się cieszę. - Miles podniósł kieliszek w geście pozdrowienia.

Land-rover stał zaparkowany w miejscu zarezerwowanym dla wozów służbowych naprzeciwko restauracji. Wsiadając Jonathan zauważył na podłodze obok dubeltówki przyjacielski prezent od Bena: kontener z sześcioma piwami. Otworzył puszkę i popijając piwo małymi łykami rozłożył na kolanach mapę terenu. Wcześniej już odszukał długą polną drogę ciągnącą się cienką urywaną linią daleko w pustynię. Ben powiedział mu, że jest to rzadko uczęszczany trakt, wytyczony przez samochody patrolowe straży rządowej. Przez ponad dwieście pięćdziesiąt kilometrów droga prowadziła przez środek zachodniej części pustyni, po czym nagle się urywała.

Wodząc palcem po mapie odnalazł miejsce, gdzie zaczynał się ten polny trakt, odchodzący na zachód od dojazdowej żwirowej drogi, przebiegającej w kierunku północ-południe. Żwirówka łączyła się z kolei z główną szosą około półtora kilometra na zachód od skrzyżowania prowadzącego do kurortu Bena. Biorąc pod uwagę różnicę w prędkości między land-roverem a wynajętym wozem, który miał do dyspozycji Miles, to półtora kilometra dobrej szosy zapowiadało się na najniebezpieczniejszy odcinek do pokonania.

Utrwaliwszy sobie mapę w pamięci, Jonathan zwinął ją i odjechał, wolno wyjeżdżając krętą drogą z doliny. Na jednym z zakrętów spojrzał w dół i zobaczył, że samochód Milesa

ruszył już w pościg. Przycisnął gaz.

Siedząc obok Dewayne'a z Pedziem w ramionach, Miles zauważył, że Jonathan nagle zwiększył prędkość.

- Wie, że za nim jedziemy. Goń go, Dewayne. Masz szansę wrócić do moich łask. - I czule podrapał Pedzia za uchem, podczas gdy samochód wzbijał kurz biorąc poślizgiem zakręt.

Większa moc silnika i lepsze zawieszenie land-rovera kompensowały straty w prędkości, przez co odległość między obydwojoma pojazdami nie zmieniała się specjalnie podczas gonitwy aż do ostatnich stu metrów przed główną szosą, kiedy to Miles zbliżył się wyraźnie do Jonathana. Dewayne wyciągnął rewolwer z futerału schowanego pod ramieniem.

- Nie! - krzyknął Miles. - Pociągniemy za spust na szosie, żeby mieć całkowitą pewność. - Miles wiedział, że land-rover nie ma szans zdystansowania go na dziesięciu kilometrach dobrej drogi prowadzącej do miasta.

Jonathan wjechał na pełnym gazie na szosę, po czym szybko skręcił na zachód, oddalając się od miasta.

Przez chwilę Milesa zafrasowało to nieoczekiwane posunięcie, ale doszedł do wniosku, że Jonathan zdawszy sobie sprawę z beznadziejności ucieczki na otwartej przestrzeni, szuka podrzędnej drogi, na której właściwości land-rovera dawałyby mu jakąś szansę.

- Myślę, że to może być odpowiednia chwila, by go dogonić, Dewayne.

Samochód, uginając się nisko na resorach, skręcił z szosy i zapiszczał za zakrętem kontynuując pogoń.

Jonathan nacisnął gaz do dechy, ale wóz nie był w stanie wyciągnąć nic powyżej siedemdziesiątki i tamten znacznie się przybliżył. Od żwirowej drogi dzielił go niecały kilometr, ale tamci byli już tak blisko, że mógł we wstecznym lusterku dostrzec Milesa. Jeszcze chwila, a znajdą się obok niego. Zobaczył, jak Miles odkręca okno i odchyła się do tyłu, by pozostawić Dewayne'owi wolne pole do strzału.

Gdy już prawie siedzieli mu na ogonie, Jonathan sięgnął w dół i zapalił światła.

Dostrzegłszy świecące się tylne światła Dewayne wcisnął hamulec sądząc, że Jonathan robi to samo, w wyniku czego koła jego wozu zapiszczały, wzniesając tumany kurzu, podczas gdy land-rover jechał z maksymalną prędkością.

Zanim Dewayne niezdarnie położył stopę ponownie na gazie, Jonathan zyskał wystarczającą przewagę, by dotrzeć do żwirowej drogi; wyprzedzał ich teraz o jakieś pięćdziesiąt metrów. Miles złorzeczył sobie. Przecież to Henri powiedział im o sztuczce z reflektorami!

Kilka razy na zwirowej drodze, kiedy czuł się zagrożony, Jonathan poruszał kierownicą, powodując, że land-rover jechał lekko zygzakiem, wzbijając tumany oślepiającego pyłu i zmuszając samochód Milesa do zwalniania. W ten sposób utrzymywał swoją przewagę, dopóki nie dojechał do traktu patrolowego, prowadzącego w głąb pustyni. Gdy już znalazł się na tej wijącej się wyboistej drodze o niebezpiecznych zakrętach i koleinach tak głębokich, że wóz wielokrotnie ocierał spodem o ziemię, przestał się bać, że go dojdą. Był nawet w stanie otworzyć następną puszkę piwa, tyle że ciecz chlusnęła na niego, gdy wpadł nieoczekiwanie do dziury.

- Tylko nie strać go z oczu, Dewayne! - Kiedy skręcali w tę nie wytyczoną drogę, Miles zauważył wyblakły znak ostrzegający kierowców, że jest ona bez wyjścia. Prędzej czy później Jonathan będzie musiał zawrócić. Droga, wijąca się po części między olbrzymimi odkrywkami piaskowca, nie była wystarczająco szeroka dla dwóch przejeżdżających samochodów. Miał więc Jonathana w pułapce.

Przez blisko godzinę samochody pędziły po płaskim, surowym terenie; nic nie rosło na sypkiej, spieczonej ziemi. Dewayne włożył z powrotem broń do futerału, a jego ucisk powodował, że pocił się obficie. Pedzio skamlał i podskakiwał, wbijając ostre pazury w kolano Milesa. Kiwając się z boku na bok przy każdym nagłym zakręcie, Miles napinał mięśnie od stóp do pleców.

Zaciskał usta, zirytowany tym, że nie jest w stanie utrzymać równowagi w pozycji siedzącej. Denerwowały go nawet szalone, obśliniające dowody przywiązania Pedzia.

Samochody pędziły po pustyni trzęsąc się i unosząc dwie wysokie fale drobnego pyłu za sobą.

Pomimo strumienia powietrza wpadającego przez nie zabudowaną część land-rovera Jonathan miał tak spocone plecy, że przyklejał się do plastikowego fotela. Gdy podskakiwał na koleinach, leżące za nim metalowe kanistry brzęczały, uderzając jedne o drugie i przypominając mu, że w tej pogoni nie musi się martwić o paliwo. Zaczął się rozglądać za odpowiednim miejscem dla zrealizowania swojego planu.

Dewayne pochylił się nad kierownicą i mrużąc oczy patrzył na unoszący się przed nim kurz. Zacisnął zęby, skupiony na myśli o zemście.

Około trzech kilometrów dalej Jonathan zauważył wynurzającą się z piasku skałę, pojedynczy wyszczerbiony piaskowy głaz eratyczny, wokół którego droga ciągnęła się serpentyną. Idealne miejsce. Powoli zdejmował nogę z gazu, pozwalając tym z tyłu zbliżyć się na odległość stu metrów. Z chwilą gdy wchodził w pierwszy zakręt, wcisnął hamulec i zatrzymał się z poślizgiem, wzbijając gęste tumany dławiącego kurzu. Wyciągnął dubeltówkę

spod fotela, wyskoczył szybko z land-rovera i rzucił się w stronę głazu, wiedząc, że ma tylko sekundy, by obejść skały i pojawić się z tyłu.

Gdy Dewayne zbliżył się do pierwszego zakrętu, osłepiła go kurzawa. Nagle wyłonił się przed nim land-rover, więc wcisnął hamulec. Jeszcze zanim samochód się zatrzymał, Miles otworzył drzwiczki i wytoczył się na ziemię. Dewayne pokręcił rączką od okna, mocując się jednocześnie rozpaczliwie z rewolwerem. Hemlock! Kula karabinowa przeszła boleśnie lewą stronę jego ciała.

Jonathan odciągnął kurki dubeltówki, pędząc zaciekle dookoła głazu. Dosłyszawszy pisk hamulców, rzucił się, biegnąc jak najszybciej, wprost w tumany pyłu. Twarz Dewayne'a wyłoniła się z unoszącej się białej mgły. Próbował otworzyć okno. Jonathan wepchnął broń do środka przez na wpół otwarte okno i szybko nacisnął na oba spusty. Odgłos był ogłuszający.

Dewayne prychnął jak zarzynany wół, siła uderzenia sprawiła, że zsunął się z fotela i zawisł tak, częściowo wychylony na zewnątrz przez otwarte drzwi, drgając, póki zakończenia jego nerwów nie dały za wygraną.

Jonathan obszedł samochód z przodu i sięgnął pod zwisające ramię, by wyciągnąć rewolwer. Wytarł lepkie palce o kawałek marynarki Dewayne'a, którą znalazł o metr od samochodu.

Miles stał w opadającej chmurze kurzu, poprawiając mankiety i strząsając brud ze złocistego garnituru. Szpic podskakiwał epileptycznie przy jego nogach.

- Doprawdy, Jonathanie! Ten garnitur kosztował mnie trzysta dolarów i co więcej, pięć przymiarek.

- Wsiadaj do mojego wozu.

Miles podniósł wijącego się psa i poszedł przed Jonathanem do land-rovera; zwykły dla niego taneczny krok wskazywał, że ostatnie wydarzenia nie wywarły na nim wrażenia.

Pojechali w kierunku zachodnim, w głąb pustyni. Usta zaczęły im pękać od soli, która uniemożliwiała wzrost najmniejszej nawet roślinności. Jonathan trzymał rewolwer wysoko w lewej ręce, tak by mieć możliwość odparowania każdej próby zdobycia go przez Milesa.

Półtorej godziny pędzili naprzód przez iskrzący się żar pustyni. Jonathan uznał, że Miles szykuje się do podjęcia próby odebrania mu broni. Delikatne skurcze dłoni spoczywającej na kolanie i nieznaczne napięcie ramion zapowiadały wykonanie ruchu. Kiedy tylko Miles rzucił się na broń, Jonathan zahamował i tamten uderzył twarzą w kierownicę. Jonathan zaciągnął hamulec ręczny i wyskoczył, ciągnąc za sobą Milesa za kołnierz. Rzucił

go na popękaną ziemię i wskoczył do land-rovera. Zanim Miles wstał zataczając się, Jonathan zawrócił ostrym łukiem. Miles stał na drodze, blokując ją własnym ciałem; z nosa ciekła mu strużka krwi pomieszanej z brudnym piaskiem.

- Nie zostawisz mnie tutaj! - Rozszyfrował plan Jonathana, i dopiero to nappełniło go przerażeniem, a nie perspektywa kulki w łeb.

Jonathan próbował go wyminąć, ale zanim osiągnął minimalną prędkość, Miles skoczył na maskę. Leżał na niej, przyciskając twarz do szyby.

- Na miłość boską, Jonathanie - krzyknął. - Zabij mnie!

Jonathan popędził do przodu, po czym zahamował, zrzucając go z maski. Odjechał tyłem od wykręconego dziwnie ciała, po czym rozpędził się i szerokim łukiem i objechał Milesa.

Gdy spojrział we wsteczne lusterko, Miles odzyskał już swój charakterystyczny spokój i stał, z psem na rękach, patrząc za zmniejszającym się land-roverem.

Jonathan miał nigdy nie zapomnieć tego ostatniego spojrzenia na Milesa w błyszczącym w słońcu złocistym garniturze. Miles postawił psa na ziemi i wyjął grzebień z kieszeni. Przeciągnął nim po włosach i przyglądał je po obu stronach głowy.

KLEINE SCHEIDEGG

5 lipca

Jonathan usiadł przy okrągłym metalowym stole na tarasie hotelu Kleine Scheidegg, popijając z kieliszka ziołowe vaudois i ciesząc się dyskretnym odgłosem leciutkiego musowania. Spojrzał przez wznoszącą się łąkę na ponurą północną ścianę Eigeru. W promieniach górskiego słonecznego światła rześki górski wiatr poruszał swymi częstymi powiewami rozedrgane ciepłe powietrze.

Osloneczniona tylko raz dziennie i przez krótką chwilę, ciemna wklęśła ściana wznosiła się nad nim złowieszczo; wyglądało to tak, jakby oderwała ją od korpusu góry jakaś niesłychana łopata; jej kruche szaroczarne półokrągłe obrzeże przecinało lśniący błękit nieba.

Powiał wietrzyk i Jonathan mimowolnie zadrżał. Przypomnił sobie dwie wcześniejsze próby wejścia na ścianę, obie odparte przez te brutalne burze, nadchodzące z północy i potęgujące się w naturalnym amfiteatrze Eigeru. Tak często szaleją owe nawałnice wiatru i śniegu, że przewodnicy z Wyżyny Berneńskiej mówią o nich po prostu jako o „Pogodzie Eigeru”. Po ostatnim dziewięciogodzinnym ryzykownym odwrocie z wysoko położonego pola lodowego nazywanego „Pająkiem” - uderzająca zaiste metafora na określenie perfidii gór - obiecał sobie, że nigdy już nie podejmie żadnej próby.

A mimo to... Niezły przed nim kawałek góry do wspinania.

Poprawił okulary słoneczne i wpatrywał się z niechętną fascynacją w straszliwy majestat Eigeru. Widok był niezwykły, normalnie bowiem ciężka zasłona mgły wznosi się nad granią, skrywając w swym łonie burze, które uderzają w szczyt, i tłumiąc huk i ryk lawin - tę najpotężniejszą broń defensywną gór. Jego oczy przywierały do każdej nierówności związanej z porażką i śmiercią innych alpinistów.

Lękał się góry; ze strachu czuł mrowienie w pachwinie. Ale równocześnie ręce go wprost swędziały, by dotknąć tej zimnej, skały i cieszył się na myśl o ponownej próbie sprostania jej dzikości. Przewrotny dialog między wzdragającym się umysłem a gotowym do czynu ciałem jest czymś, czego każdy wspinacz doświadcza wcześniej lub później. Byłoby szkoda, gdyby cel, na którym ma wykonać wyrok, został zidentyfikowany przed rozpoczęciem wspinaczki. A może gdy to się skończy...

Długonoga blondynka z górską opalenizną przecisnęła się między blisko ustawionymi stołami - chociaż nie było nikogo więcej na tarasie - i trąciła Jonathana biodrem, wylewając

mu z kieliszka trochę wina.

- Przepraszam - powiedziała w nadziei, że ten incydent stanie się powodem do rozpoczęcia konwersacji.

Jonathan skinął głową szorstko, przyjmując przeprosiny, a ona przeszła do działającego po wrzuceniu monety teleskopu, który znajdował się w bezpośredniej linii między nim a górą, chociaż było sześć innych przyrządów, z których mogła skorzystać. Nachyliła się, kierując swój wspaniały tyłek w jego stronę i nie mógł nic na to poradzić; mógł tylko stwierdzić, że z pewnością nabyła opaleniznę w tych akurat miniszortach. Miała brytyjski akcent i ten charakterystyczny wygląd amazonki: długie prężne nogi ze szparą między kolanami od ujeżdżania koni. Zauważył, że nie nosi jednak brytyjskich butów. Od nastania mody mini angielskie kobiety odrzuciły znakomite drewniaki, które kiedyś wyróżniały je na pierwszy rzut oka. Zwykło się mówić, że brytyjskie buty damskie robione były przez wspaniałych rzemieślników, którzy projektowali je z wielkim pietyzmem, ale nigdy nie widzieli ich na nogach klientek. A przecież były wygodne i dobrze się je nosiło, stanowiły także główną zaletę kobiet, które je nosiły.

Spojrzał wzdłuż linii teleskopu i utkwiał ponownie oczy w Eigerze.

Eiger. Odpowiednia nazwa. Gdy wcześnie chrześcijanie dotarli do tych wysoko położonych łąk, obdarzyli dobrotliwymi przydomkami dwie najwyższe góry w masywie: Jungfrau, czyli Dziewica; i Mönch, czyli Mnich. Ale ta najbardziej złowieszczą wyniosłość dostała nazwę po złym pogańskim duchu. Eiger - Ludojad.

Na początku wieku zdobyto już wszystkie wielkie ściany prócz jednej - północnej ściany Ludojada. Doświadczeni alpiniści wciągnęli ją na listę „niedostępnych” ścian i taką pozostała w czasach klasycznej wspinaczki, kiedy jeszcze wyczynowcy nie byli zaopatrzeni w haki i karabinki.

Później, jakby się licytowało: wpisywano zaliczone „niedostępne” ściany jedną po drugiej do księgi rekordów, północna ściana Eigeru pozostawała jednak dziewiczo nietknięta. Nagle, w połowie lat trzydziestych, nazistowski kult gór i chmur sprowadził prawdziwą lawinę młodych niemieckich chłopców, pragnących przydać sławy ich zhańbionej Ojczyźnie, na przekór przeszkodom czyhającym na Eigerze. Hitler oferował złoty medal temu, kto pierwszy wejdzie na ścianę; i całe zastępy jasnowłosych romantyków ginęły. A góra zachowała swą błonę dziewiczą.

W połowie sierpnia 1935 roku przybyli Max Seldmayer i Karl Mehringer, dwóch chłopaków z niemałym doświadczeniem nabytym w najtrudniejszych wspinaczkach,

owładniętych silnym pragnieniem wpisania Eigeru na niemieckie konto. Z tarasu, na którym siedział właśnie Jonathan, obserwowali ich wspinaczkę przez teleskopy turyści. Ci żądni widoku śmierci ludzie byli bezpośrednimi poprzednikami „Ptaków Eigeru”, owych bogatych wron współczesnych, przylatujących stadami w odrzutowcach, by tłoczyć się gromadnie w hotelu Kleine Scheidegg i płacić wygórowane sumy za podniecający dreszczyk, którego doznają na widok wspinaczy idących na spotkanie ze śmiercią; wracają potem do swoich ciepłuszkich życiowych pieleszy, odświeżeni i podniesieni na duchu.

Seldmayer i Mehringer przeszli pierwsze dwieście pięćdziesiąt metrów, nieszczerólnie trudnych, ale za to całkowicie wystawionych na spadające głązy. Obserwatorom poniżej wydawało się, że wspinaczka idzie dobrze. Podciągnięcie liny i znów podciągnięcie liny, kawałek po kawałku, wprawnie asekurowując się, kontynuowali wejście. U kresu pierwszego dnia biwakowali na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset pięćdziesięciu metrów, ponad oknami tunelu kolejki na Jungfrau - godne uwagi osiągnięcie inżynierii - której trakt przecina cały masyw, po to by można było przywozić pociągi pełne turystów w berneńskie góry. Owe okna zaprojektowano właściwie, by wyrzucać przez nie rumosz i wietrzyć tunel, ale okazały się niezwykle wprost przydatne przy próbach ratowania wspinaczy.

Następnego dnia Seldmayer i Mehringer zaliczyli górne obrzeże Pierwszego Pola Lodowego; dopisywała im niezwykle łaskawa pogoda, a jednak poruszali się bardzo wolno. Sępy przy teleskopach obserwowały, jak wspinacze są zmuszeni osłaniać plecakami głowy, by się choć trochę ochronić przed spadającymi kamieniami i lodem, którymi witał ich Ludojad. Wielokrotnie musieli przerywać wspinaczkę i szukać schronienia pod skąnym nawisem, by uniknąć najcięższych bombardowań z góry. Gdy tylko doszli do obrzeża Drugiego Pola Lodowego, okryła ich zasłona mgły i przez półtora dnia byli niewidoczni dla rozczarowanych, narzekających turystów. Tejże nocy burza szalała wokół Eigeru, zwalając tak ogromne głązy, że aż kilku gości hotelowych poskarżyło się na zakłócanie im nocnego wypoczynku. Możliwe, że Seldmayer i Mehringer także źle spali. Temperatura w kotlinie spadła do -8° . Któż może wiedzieć, jak zimno było tam, na ścianie? Dobra pogoda, którą pajak zwabił chłopaków do swej pajęczyny, skończyła się. Zaczęła się pogoda Eigeru.

W niedzielę chmury się podniosły i znów zobaczono wspinaczy; nadal szli w górę. Goście hotelowi wiwatowali, wznosili toasty i przyjmowali zakłady, ile czasu zajmie młodemu Niemcom osiągnięcie szczytu. Doświadczeni wspinacze i przewodnicy spoglądając z zakłopotaniem po sobie, odchodzili od rozbawionego tłumu. Wiedzieli, że chłopcy nie mają szans i wspinają się jedynie dlatego, że lawiny odcięły im powrotną drogę, a wszystko jest lepsze od zwisania na hakach i oczekiwania na śmierć.

Wchodzili wolno w kierunku Żelazka (najwyższy punkt, jaki wyprawa Jonathana osiągnęła podczas jego pierwszej próby wejścia na Ludojada). Chmury obniżyły się ponownie i turyści drżeli z emocji, patrząc jak chłopcy umierają.

Tej nocy na ścianę znów naparła burza.

Próbowano bez większego entuzjazmu zorganizować ekipę ratowniczą, bardziej pod presją, by coś uczynić niż z nadziei na uratowanie wspinaczy. Kierowani typową dla Szwajcarów litością w obliczu nieszczęścia przewodnicy Wyżyny Berneńskiej targowali się o zapłatę dotąd, aż było już za późno, by zawracać sobie głowę organizowaniem pomocy. Odważny niemiecki pilot nie dał się zastraszyć zdradliwym prądom powietrznym i poszukiwał wspinaczy przelatując blisko ściany. Dostrzegł ich zamrzniętych na śmierć, nieruchomo zwisających ze swych stanowisk.

Wydarzenie to zapoczątkowało swoiste nazewnictwo Eigeru. Do dzisiaj miejsce w pobliżu Żelazka, nad Trzecim Polem Lodowym, nosi nazwę Biwaku Śmierci. Rozgrywka między Eigerem a Człowiekiem zaczęła się.

Wynik: Ludojad - 2; Człowiek - 0.

Na początku 1936 roku zjawili się dwóch Niemców, by wydrzeć górze ciała swych rodaków, wiszące zmrożone przy skale niemal przez rok - wdzięczny cel podczas pogodnych dni dla poszukiwań teleskopem. Gdyby to okazało się możliwe, chcieli podjąć próbę zdobycia szczytu. Postanowili zrobić sobie najpierw treningową wspinaczkę; lawina porwała jednego z nich łamiąc mu kark o skałę.

Ludojad: Człowiek 3:0

W lipcu tego samego roku Młodzież Niemiecka rzuciła ponownie wyzwanie Ludojadowi. Tym razem był to zespół złożony z czterech ludzi: Austriaków Rainera, Angerera i Niemców Kurza i Hinterstoissera. I znowu turyści patrzyli i zakładali się. Młodzi ludzie, pełni entuzjazmu z okresu pierwszych dni Hitlera, udzielali tak melodramatycznych wypowiedzi dla prasy jak: „Albo my pokonamy ścianę, albo ona pokona nas”.

I tak też się stało.

Najbardziej doświadczony z wyprawy, Hinterstoisser, wytyczył trudne przejście trawersem przez ścianę, które stało się kluczem późniejszych wspinaczek. Byli już tak pewni zwycięstwa, że wciągnęli linę za ostatnim wspinaczem, odcinając sobie możliwość odwrotu. Ten gest pewności siebie miał ich zabić.

Wspinali się bez problemów, jakkolwiek Angerer najwyraźniej był ranny,

prawdopodobnie od spadającej skały, i pozostali zwolnili znacznie, by mu pomagać. Pierwszy obóz założyli tuż nad Rote Fluh, monolitycznym urwiskiem, które stanowi jeden z bardziej rzucających się w oczy punktów orientacyjnych ściany. W ciągu jednego dnia przeszli ponad połowę drogi na Eiger!

Następnego dnia, wraz ze słabnącym stopniowo rannym towarzyszem, osiągnęli Trzecie Pole Lodowe, by założyć obóz tuż pod Biwakiem Śmierci. Gdy świt pozwolił gapiom stojącym przy płatnych teleskopach podziwiać akcję, wyprawa przystąpiła do odwrotu. Było jasne, że stan Angerera uniemożliwił im kontynuowanie wspinaczki.

Gładko i z nadzwyczajną prędkością, zważywszy obecność rannego, zesli przez pierwsze dwa pola lodowe. Ale przyłapała ich noc i zmusiła do założenia trzeciego obozu. Okrutna noc Pogody Eigeru ścięła mrozem ich przemoczone ubrania i przemieniła je w skrzypiący pancierz lodu. Chłód ich wyczerpał i w ciągu następnego dnia zdołali zejść ledwie trzysta metrów.

Po raz czwarty, ale już bez prowiantu, musieli biwakować na niegościnniej ścianie.

Początkujący wspinacze w hotelu twierdzili, że zespół ma niezłe szanse. Ostatecznie mają przed sobą tylko Trawers Hinterstoissera i Trudną Rysę, a potem droga jest już stosunkowo łatwa.

Lecz to właśnie miejsce, nie ubezpieczone wcześniej liną poręczową, okazało się śmiertelną pułapką.

Następnego ranka wszystko pokrył lód. Wielokrotnie, z rosnącą desperacją, która zresztą nie umniejszała w żadnym stopniu jego wprawy, utalentowany Hinterstoisser próbował pokonać pokryte lodowym szklivem płyty, ale za każdym razem zatrzymywał go wygłodzony Ludojad.

Spłynęła mgła i turyści przez całą noc słyszeli huk lawin. Eigerowi przybyła nowa nazwa: Trawers Hinterstoissera.

Ludojad: Człowiek 7:0

W ciągu 1937 roku ekspedycja za ekspedycją atakowała Eiger, po to tylko, aby zawrócić. Góra była bliska pochłonięcia następnych ofiar podczas pamiętnego odwrotu Vörga i Rebitscha z Biwaku Śmierci.

Ale wynik się nie zmienił.

W czerwcu 1938 roku dwóch Włochów (we Włoszech także robiono plany zdobycia Eigeru) zginęło w kamiennej lawinie niedaleko Trudnej Rysy.

Ponieważ jednak technika posługiwania się liną była stale ulepszana, góra zaś broniła

się niezmiennie tymi samymi, znanymi człowiekowi siłami natury, więc w końcu w lipcu tegoż roku niemiecka ekspedycja skreśliła północną ścianę Eigeru z listy „niedostępnych”.

Ludojad: Człowiek 9:1

Podczas wojny spokój Eigeru nie został zakłócony. Rządy dostarczały młodym mężczyznom innych sposobów do uczynienia swych nazwisk sławnymi - zamiast samobójstwa sposobem tym stało się morderstwo, a wszystko pod sztandarem patriotyzmu.

Ale wkrótce po tym jak nastał pokój, Eiger zaczął znów wabić. W ostatnich latach ponad trzydziestu ludzi wdrapywało się na ostatni śnieżny bastion, dysząc i płacząc, i obiecując nigdy więcej nie dotknąć skały Ludojada. Większość prób w dalszym ciągu kończy się niepowodzeniem, oczywiście ze względu na pogodę i lawiny, a liczba ofiar regularnie wzrasta. Krytyczny punkt Eigeru - pole lodowe Pajaka, z powodzeniem odegrał rolę wroga w większości ostatnich tragedii, jak na przykład w tej z 1957 roku, kiedy to trzech wspinaczy zginęło, a czwarty został uratowany jedynie dlatego, że głód i pragnienie podszeptały mu, by wbił zęby w lodowiec i spróbował zaspokoić czymkolwiek swój żołądek.

Jonathan gapił się przed siebie i rozmyślał nad rekordem śmierci na Eigerze.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała angielska dziewczyna przy teleskopie.

Zapomniał o niej.

- Czemu się tak na mnie gapisz? - Uśmiechnęła się, jakby odgadła przyczynę.

- Nie gapilem się na ciebie, kochanie. Gapiłem się przez ciebie.

- Co za zawód. Mogę się przysiąść? - Jego milczenie zinterpretowała jako zaproszenie. - Patrzyłeś na tę górę z taką koncentracją, że mnie to zaintrygowało. Mam nadzieję, że nie myślisz o wspinaniu się na nią.

- Och nie. Nigdy więcej.

- A już się wspiłaś?

- Próbowałem.

- Czy jest strasznie trudna?

- Strasznie.

- Mam swoją własną teorię na temat wspinaczy górskich. À propos, nazywam się Randie. Randie Nickers.

- Jonathan Hemlock. Jaka jest twoja teoria, Randie?

- Otóż... mogę dostać trochę wina? Niedużo. Wypiję je z twojego kieliszka, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Otóż, moja teoria brzmi, że mężczyźni wspinają się, bo są sfrustrowani. Myślę, że sublimują w ten sposób inne pragnienia.

- Seksualne oczywiście.

Randie przytaknęła poważnie, popijając wino.

- Tak, właśnie. To wino jest lekko musujące, prawda?

Położył stopę na pustym krześle i przechylił się do tyłu, by ogrzać się w słońcu.

- Perli się jak chichot rumieniących się szwajcarskich dziewic, uradowanych z zalotów zakochanych wiejskich młodzieńców, ale te uniesienia nie przyćmiewają ukrytej w nim cierpkiej nuty rozdrażnionego wieśniaka z Wyżyny Berneńskiej, wynikającej w dużym stopniu z fermentacji.

Milczała przez chwilę.

- Chyba się ze mną droczysz.

- Oczywiście, że tak, Randie. A czy na ogół ludzie nie droczą się z tobą?

- Nie mężczyźni. Oni zwyczajnie próbują się ze mną kochać.

- Tak? Jak to robią? Zwyczajnie?

- No cóż, ostatnio robili to naprawdę bardzo dobrze. Jestem w Szwajcarii na swego rodzaju urlopie przed wyjazdem do domu, gdzie mam zamiar prowadzić jak najbardziej przyzwoite życie małżeńskie.

- Więc dzielisz się dobrodziejstwami swego ciała, póki jeszcze czas na to?

- Coś w tym stylu. Nie dlatego, że nie kocham Rodneya. Jest mi najdroższą osobą, naprawdę. Ale Rodney jest Rodney.

- I jest bogaty.

- Och, tak przypuszczam. - Jej czoło zachmurzyło się na chwilę. - Mam nadzieję! Nie, no oczywiście, że jest! Ale mi napędziłeś stracha! Ale i tak dla mnie najcenniejsze jest jego nazwisko.

- Które brzmi?

- Smith. Rodney Smith.

- I to jest najcenniejsze, co on ma?

- Nie dlatego, że Smith to coś wielkiego! Nie! W gruncie rzeczy zupełnie pospolite nazwisko. Ale to oznacza, że w końcu pozbędę się mojego, które było dla mnie utrapieniem przez całe życie.

- Randie Nickers brzmi, według mnie, zupełnie dobrze.

- Ponieważ jesteś Amerykaninem. Wnioskuje to po twoim akcencie. Ale „knickers” oznacza w brytyjskim żargonie galoty. I możesz sobie wyobrazić, jak mi z tego powodu dokuczały dziewczęta w szkole.

- Aha. - Przysunął kieliszek i nalał sobie trochę wina. Zastanawiał się, co też jest w nim

takiego, że przyciąga takie idiotki.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? - zapytała Randie zapominając, że raczej coś pomyślała, niż powiedziała.

- Niezupełnie.

- Och, wyznaję teorię, że obcy sobie ludzie dążą od razu do tematów najbardziej dla ich obojga interesujących. A teraz rozmawiamy o galotach. To nas poniekąd odsłania, prawda?

- Jeździsz konno, co? - powiedział, postanowiwszy dostroić się do toku rozumowania Randie.

- Tak, rzeczywiście! U mojego wuja. Jak, u licha, wiedziałeś?

- Nie wiedziałem. Raczej podejrzewałem. Masz jakąś własną teorię na temat kobiet, które znajdują rozkosz w trzymaniu między nogami silnych bestii?

- Naprawdę o tym nie myślałam. Ale coś w tym jest! - Zmarszczyła brwi. - To jak twoje wspinanie się po górach, zgadza się? Och, to wspaniale mieć coś wspólnego ze sobą! - Przyjrzała mu się skrupulatnie. - Skądś cię znam. Twoje nazwisko nie brzmi dla mnie obco. - Zadumała się. - Jonathan Hemlock... A! Nie jesteś twórcą?

- Jedynie pisarzem.

- Tak! Mam! Pisziesz książki o sztuce i o wszystkim. W Slade masz miłośników.

- Tak, to dobra szkoła. Co byś wolała robić, Randie? Przejść się po miasteczku? Czy pognać bezpośrednio do łóżka?

- Spacer po miasteczku byłby wspaniały. Nawet romantyczny. Cieszę się, że będziemy się kochać. Mam teorię na temat uprawiania miłości. Rozumiem to jako pierwszy stopień przełamywania lodów. Kochasz się z mężczyzną i natychmiast zdajesz sobie sprawę, że trzymacie się za ręce i zwracacie się do siebie po imieniu. Wolę imiona. Prawdopodobnie z powodu mojego nazwiska. Mówiłam ci, co oznacza w Anglii słowo „knickers”?

- Tak.

- A więc możesz zrozumieć mój stosunek do nazwisk. Mam taką teorię na temat stosunku do różnych rzeczy...

Jonathan nie rozpaczał, gdy się dowiedział, że Randie następnego ranka wraca do Londynu.

KLEINE SCHEIDEGG

6-7 lipca

Tego ranka musieli ubierać się dwa razy i byli bliscy spóźnienia się na stację. Pociąg ruszył z peronu i po raz ostatni Jonathan patrzył na pannę Nickers, która opuściła okno w przedziale i zawołała:

- Masz naprawdę kapitalne oczy, wiesz Jonathan! - Po czym usadowiła się na swoim siedzeniu obok wracającego do ojczystego kraju narciarza i zaczęła żywo wyjaśniać mu jedną ze swoich teorii.

Jonathan uśmiechnął się, przypominając sobie jej taktykę samopobudzania się polegającą na nazywaniu części ciała, miejsc i pozycji możliwie najbardziej rubasznymi słowami.

Skręcił w stromą drogę z kocich łbów łączącą miasteczko z hotelem. Umówił się z miejscowym przewodnikiem na treningową wspinaczkę na zachodnim stoku Eigeru. Daleko mu było do północnej ściany, mimo to tyle razy zbrukała go krew, że był również godny szacunku.

Poza wymogami treningu i aklimatyzacji istniał jeszcze inny powód, skłaniający go do przebywania poza hotelem tak często, jak to tylko możliwe. W jakiś sposób, jak zwykle zresztą, pomimo powziętych największych środków ostrożności, kierownictwo hotelu wyniuchało, że przygotowana jest wspinaczka na Eiger. Wysłano poufne telegramy; najlepsze pokoje zarezerwowano dla bogatych „Ptaków Eigeru”, które wkrótce miały się zlecieć do hotelu. Jak wszyscy wspinacze Jonathan czuł złość i nienawidził tych głodnych wrażeń bogaczy, szukających podniety dla swych otępiiałych zakończeń nerwowych w środkach zastępczych. Cieszył się, że Ben i pozostali członkowie ekspedycji alpinistycznej jeszcze nie przyjechali, ponieważ ich obecność spotęgowałaby napór tej żywiącej się padliną gromady.

W połowie drogi z kocich łbów Jonathan zatrzymał się w kawiarni pod gołym niebem na kieliszek vaudois. Sprawiało mu przyjemność słabe górskie słońce, grzejące mu policzki.

- Zawsze kupujesz wino dziewczynom poznanym w barze?

Wyłoniła się zza jego pleców, z ciemnego wnętrza kawiarni. Jej głos był jak uderzenie, niczym coś materialnego. Nie odwracając się i całkowicie panując nad swymi uczuciami wyciągnął rękę i odsunął dla niej krzesło. Usiadła i popatrzyła na niego przez chwilę; smutek czaił się w jej oczach.

Przyszedł kelner, przyjął zamówienie, wrócił z winem i odszedł. Przesuwała kieliszek tam i z powrotem po małej kałuży wody na stole, koncentrując się na tej czynności, a nie na jego zimnych, nie zachęcających oczach.

- Przygotowałam sobie całą mowę, wiesz. Naprawdę dobrą. Mogłabym ją wypowiedzieć szybko, zanim byś mi przerwał lub odszedł.

- Jak to szło?

Spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok.

- Zapomniałam.

- Ależ nie, posłuchajmy jej. Jestem łatwowierny, jak wiesz.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Poddaję się. Nie mogłabym sprostać twojemu poziomowi. Nie jestem w stanie tu siedzieć i artykułować chłodnych, gruntownie przemyślanych zdań. Ja... - Podniosła wzrok, doprowadzona do rozpaczki brakiem słów w obliczu emocji. - Przykro mi. Naprawdę.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Nie miał zamiaru się rozrzewniać.

- Spróbuj się zdobyć na trochę bezstronności, Jonathan. Zrobiłam tak, ponieważ wierzyłam... i nadal wierzę, że musisz wykonać to zadanie.

- Wziąłem to zadanie, Jemimo. A zatem wszystko dobrze się skończyło.

- Przestań! Czy wiesz, co by oznaczało posiadanie przez drugą stronę skuteczniejszej broni biologicznej?

- Oczywiście. Musimy wyrwać im ją za wszelką cenę! Tym nieczułym gównom, zdolnym do zrzucenia jej na jakieś spokojne japońskie miasto!

Spuściła wzrok.

- Wiem, że to dla ciebie obojętne. Rozmawialiśmy o tym tamtej nocy. Pamiętasz?

- Pamiętam? Jesteś niezła w zwarcu.

Popijała małymi łykami wino; cisza się jej dłużyła.

- Przynajmniej obiecali mi, że nie stracisz obrazu.

- Dotrzyłali obietnicy. Możesz czuć, że masz czyste sumienie.

- Tak. - Westchnęła. - Ale pomimo to mam pewien problem.

- Jaki?

- Kocham cię - powiedziała, jakby po prostu stwierdzała fakt.

Po chwili milczenia uśmiechnął się do siebie i potrząsnął głową.

- Nie doceniłem cię. Jesteś dobra nie tylko w zwarcu.

Cisza zaczęła im ciążyć i zdała sobie sprawę, że musi zrezygnować z tego tonu serio, jeśli nie chce, by po prostu odszedł.

- Słuchaj, widziałam cię wczoraj spacerującego z moim negatywem, blondynką i na dodatek typową Angielką. Była dobra?

- W porządku.

- Tak dobra jak...

- Nie.

- Cieszę się!

Jonathan nie mógł nie uśmiechnąć się wobec jej szczerości.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Może pamiętasz, że wgłębiłam się w twoje akta w biurze Dragona. To zadanie jest w nich wyszczególnione.

- Rozumiem. - Więc Dragon był go tak pewien, że włączył do akt tę likwidację. Jonathan z pogardą pomyślał, że dał sobą powodować.

- Czy zobaczymy się dzisiaj wieczorem, Jonathanie? - spytała ze sztuczną brawurą. Oczekiwała, że sprawi jej ból.

- Umówiłem się na wspinaczkę. Będziemy na górze przez całą noc.

- A jutro?

- Proszę, odejść. Nie mam zamiaru wymierzać ci kary. Nie chcę cię nienawidzić ani kochać, w ogóle nic. Po prostu chcę, żebyś odeszła.

Zwijiała rękawiczki na kolanach.

- Będę tutaj, jak wrócisz z góry. - Powzięła decyzję.

- Dziękuję, nie! - Jonathan wstał i rzucił na stolik należność. Jej oczy napełniły się nagle łzami.

- Dlaczego to robisz, Jonathanie? Wiem, że to nie jest jednostronne. Wiem, że też mnie kochasz.

- Przejdzie mi. - Wyszedł z kawiarni i energicznym krokiem podążył do hotelu.

Typowy dla swego gatunku szwajcarski przewodnik mrucał niezadowolony i narzekał, twierdząc, że powinni wystartować o brzasku. A tak będą musieli spędzić noc w górach. Jonathan tłumaczył, że od początku zamierzał tak zrobić, dla treningu. Przewodnik sam określił, do jakiej rasy należy: na początku nie rozumiał - rodzaj: germański; potem stwierdził, że się nie ruszy - gatunek: szwajcarski. Gdy Jonathan zaproponował, że podwoi stawkę, w nagłym przebłysku zrozumienia zapewnił, że pomysł spędzenia nocy na wisząco jest doprawdy wspaniały.

Jonathan nieodmiennie stwierdzał, że Szwajcarzy to osoby kochające pieniądze: uparte,

religijne i kochające pieniądze; niezależne, dobrze zorganizowane i kochające pieniądze. Ci mężczyźni z Wyżyny Berneńskiej to dobrzy alpinisci, zawsze skłonni wyjść naprzeciw trudnościom i ryzyku, by uratować wspinacza schwytanego w pułapkę gór. Ale też nigdy nie zapomną o wysłaniu z dokładnie wyszczególnionymi pozycjami rachunku człowiekowi, którego uratowali albo - w razie tragedii - jego najbliższej rodzinie.

Wspinaczka niosła dość duże trudności, ale była stosunkowo jednostajna. Jonathan miał za złe nie kończące się skargi przewodnika na zimno podczas nocnego biwakowania, kierowały one bowiem jego myśli ku Jemimie.

Po powrocie do hotelu, zaraz następnego dnia Szwajcar przysłał mu rachunek. Okazało się, że pomimo podwójnej opłaty wypisał jeszcze wiele drobnych pozycji, za które trzeba było zapłacić dodatkowo. Między innymi za artykuły medyczne, z których nie korzystali, żywność (Jonathan wziął swoją własną, liofilizowaną) i za „1/4 pary butów”. To ostatnie dopełniło miary. Wezwał przewodnika do swego pokoju i zakwestionował rachunek. Przewodnik okazywał, że ma dobre chęci i że naprawdę jest cierpliwy, tłumacząc to, co oczywiste.

- Buty zdarte; nie zaprzeczy pan temu. Niewątpliwie nie sposób wspiąć się po górach boso. Zgoda? Kiedy idę na Matterhorn, zwykle obciążam za pół pary butów. Eiger to więcej niż połowa wysokości Matterhornu, a jednak obciążylem pana jedynie za ćwierć pary. To dlatego, bo był pan przyjemnym towarzyszem.

- Dziwię się, że nie obciążył mnie pan za noszenie liny.

Przewodnik podniósł brwi.

- O? - Wziął rachunek i przyjrzał mu się pilnie przez chwilę. - Ma pan całkowitą rację, proszę pana. Nastąpiło przeoczenie. - Wyciągnął z kieszeni ołówek, polizał końcówkę i starannie wpisał pominiętą pozycję, po czym poprawił całą sumę i sprawdził ją jeszcze raz. - Polecam się na przyszłość - dodał.

Jonathan pokazał na drzwi i przewodnik wyszedł ze sztywnym ukłonem.

Jonathana trapiło uczucie nieokreślonego napięcia i atmosfera oczekiwania, podsycane jeszcze depresją, jaką wywoływała w nim zawsze Szwajcaria. Uważał, że umiejscowienie cudownych Alp w tym bezdusznym kraju było jednym z bardziej nieprzyjemnych kaprysów wrogiej natury. Włóczęc się bezsensownie wokół hotelu napatoczył się na grupę Ptaków Eigeru niższych klas, grających w fondue-wisniówka-pocałuj mnie i chichoczących głupio. Ze wstrętem zawrócił do pokoju. „Nikt naprawdę nie lubi Szwajcarii, z wyjątkiem tych,

którzy przedkładają czystość nad życie - rozmyślał. - A każdy kto jest zdolny mieszkać w Szwajcarii, mógłby mieszkać i w Skandynawii. A każdy kto by mieszkał w Skandynawii, jadłby lutefisk. A każdy kto by jadł lutefisk...”

Chodził po pokoju tam i z powrotem. Ben miał się zjawić dopiero następnego dnia, a jego szlag trafi, jeśli będzie musiał spędzić ten dzień w hotelu, pomiędzy tymi ludźmi - obiekt zaspokajający ich ciekawość.

Zadzwonił telefon.

- Czego! - warknął do słuchawki.
- Skąd wiedziałeś, że to ja? - zapytała Jemima.
- Co planowałaś na dzisiejszy wieczór?
- Kochać się z tobą - odpowiedziała bez wahania.
- Najpierw kolacja w tej samej kawiarni?
- Wspaniale. Czy to oznacza, że między nami wszystko w porządku?
- Nie. - Zaskoczyło go, że tak pomyślała.
- Och. - Przez chwilę na linii zaległa cisza. - Do zobaczenia za dwadzieścia minut.
- Może piętnaście?

Noc, jak to bywa w górach, szybko zapadła wokół kawiarnianego tarasu, a oni dopijali w ciszy brandy. Jemima uważała, by nie zrobić aluzji do wspólnie spędzonego czasu na Long Island. On myślni błędził gdzieś daleko, nie odczuł nawet chłodnych powiewów powietrza od strony Eigeru.

- Jonathan?
- Tak?
- Przebaczyłeś mi?

Potrząsnął wolno głową.

- Nie w tym sęk. Lecz w tym, że nigdy więcej nie będę w stanie ci zaufać.
- A chciałbyś?
- Pewnie.
- Tym samym przyznajesz, że to naprawdę mogło być coś.
- Jestem tego pewien.
- A teraz nie ma żadnych szans? Nigdy?

Nie odpowiedział.

- Jesteś naprawdę skomplikowanym mężczyzną. I wiesz co? Do tej pory mnie nie pocałowałeś.

Naprawił przeoczenie. Gdy ich twarze powoli się rozdzielały, Jemima westchnęła.

- Sama słodycz, człowieku. Nie wiedziałam, że usta mają swą własną pamięć.

Patrzyli na ostatnie złociste blaski znikające za nierównymi wzniesieniami dokoła.

- Jonathan? Co do tej sprawy w twoim domu...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Tak naprawdę to nie pieniądze cię zraniły, prawda? To znaczy... było nam razem dobrze. Przez cały dzień. Nie tylko w łóżku. Hej, chciałbyś coś usłyszeć?

- Powiedz.

- Nawet po wzięciu twoich pieniędzy musiałam przezwyciężyć impuls, żeby wrócić i kochać się z tobą jeszcze raz przed odejściem. - Zaśmiała się sama z siebie. - To by cię naprawdę zezłościło, prawda?

- Tak. Naprawdę.

- Słuchaj, jak się ma ten szaleniec? Jak on się nazywa?

- Pan Monk? Nie wiem. Nie było mnie przez jakiś czas.

- O? - Wiedziała, że to kiepsko dla niej wróży.

- Tak. - Jonathan wstał. - Przypuszczam, że w twoim pokoju jest łóżko.

- Dostyc wąskie.

- Poradzimy sobie.

Wiedziała, że tej nocy lepiej będzie nie wracać do przeszłości.

KLEINE SCHEIDEGG

8 lipca

W sali restauracyjnej hotelu zjadł późną kolację przy stole trochę oddalonym od rozproszonej grupy gości.

Nie był z siebie zadowolony. Czuł, że źle pokierował sprawą z Jemimą. Wstali wcześniej, poszli na spacer po pochyłych łąkach, obserwowali jak rosa błyszczy na czubkach ich butów, pili kawę na tarasie kawiarni, gawędzili bez sensu, żartowali na temat przechodniów.

Następnie uścisnęli sobie ręce i on poszedł do hotelu. Wszystko to było jakieś podejrzanе. Jakieś emocje stale towarzyszyły ich znajomości. Była tam, w miasteczku, czekała, a on tu, zły na siebie, że z nią po prostu nie zerwał. Wiedział już, że nie ukarze jej za perfidię, ale wiedział też, że nigdy nie będzie mógł jej przebaczyć. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek komuś przebaczył.

Kilku gości ubrało się na kolację elegancko - najwyraźniej wcześniej przylatujące Ptaki Eigeru. Jonathan zauważył, że połowę teleskopów znajdujących się na tarasie odgrodzono sznurem - do prywatnego użytku, za specjalną opłatą oczywiście, ludzi wybranych przez kierownictwo hotelu.

Nie miał apetytu, rozgrzebał tylko jedzenie na talerzu. Zbyt wiele nie rozstrzygniętych kwestii kołatało się w jego głowie. Jemima, przydzielone mu zadanie, świadomość, że Mellough mógł zaalarmować jego cel, no i pogardzane Ptaki Eigeru. Dwa razy zauważył, jak mężczyźni ubrani w smokingi wskazują na niego palcem swoim towarzyszkom - młodym, pięknym i niemym stworzeniom. Zalotnica w średnim wieku posłała mu próbne sygnały, wymachując serwetką.

Toteż ku swej niekłamanej uldze usłyszał znajomy głos huczący z korytarza przez całą jadalnię:

- Niech mnie szlag, jeśli to nie heca! Co, u diabła, ma pan na myśli, mówiąc, że nie ma dla mnie pokoju?

Jonathan zostawił kawę i brandy i przeszedł przez restaurację do recepcji. Dyrektor hotelu, sztywny mały Szwajcar, całkowicie poprawny w sposób typowy dla swojej klasy, starał się uspokoić Big Bena.

- Drogi Herr Bowman...

- W dupie mam drogiego Herra! Po prostu wetknij z powrotem swój nochal do tej książki i znajdź moje rezerwacje. Hej, staruszkule! Dobrze wyglądasz!

- Jakiś problem? - Jonathan ścisnął łapę Bena.

- Och, ten rozkoszniatek zapieprzył moje rezerwacje. Mówi, że nie może znaleźć mojego telegramu. Sądząc po jego wyglądzie, nie mógłby znaleźć nawet ogromnej płachty z nazwiskami sześciuosobowej grupy szperaczy.

Jonathan nagle zrozumiał, o co chodzi.

- Zaczęły się zlatywać Ptaki Eigeru - wytłumaczył.

- Ach, rozumiem.

- A nasz przyjaciel robi wszystko, co może, by mieć wolne miejsca, które mógłby im sprzedać za wyśrubowaną cenę. - Jonathan odwrócił się w stronę przysłuchującego się dyrektora. - Nie jest tak?

- Nie wiedziałem, że ów pan jest pańskim przyjacielem, doktorze Hemlock.

- Jest odpowiedzialny za wyprawę.

- O? - zapytał dyrektor z przesadną naiwnością. - Ktoś będzie się wspinał na naszą górę?

- Dostyc już.

- Może Herr Bowman mógłby znaleźć miejsce w miasteczku? Są tam kawiarnie, gdzie...

- Zostanie tutaj.

- Obawiam się, że to niemożliwe, Herr Doktor. - Dyrektor zacisnął mocno usta.

- W porządku. - Jonathan wyciągnął portfel. - Proszę przygotować mój rachunek.

- Ale jeżeli pan wyjedzie...

- Nie będzie wspinaczki. Zgadza się. I pańscy dochodowi goście będą bardzo źli.

Dyrektor przeżywał męczarnię rozterki.

- Wie pan co? - powiedział Jonathan. - Wydaje mi się, że widziałem jednego z pańskich urzędników porządkującego plik telegramów w pańskim gabinecie. Możliwe, że między nimi zawieruszył się telegram pana Bowmana. Czemu pan tam nie pójdzie i nie przejrzy ich?

Dyrektor nie odrzucił propozycji, chcąc zachować twarz i opuścił ich z niedbałym ukłonem.

- Poznałeś już pozostałych? - zapytał Ben, rozglądając się po holu z nie ukrywaną niechęcią.

- Jeszcze nie przyjechali.

- Nie pieprz? Dobra, w takim razie będą jutro. Osobiście, chętnie odpocznę. Moje giczoły ledwie mnie niosły przez ostatnie parę dni. Za bardzo je sforsowałem, gdy u mnie

byłeś.

- Jak się ma George Hotfort?

- Dobrze.

- Wdzięczna, że nie oddałem jej w ręce władz?

- Tak sądzę, ale nie jest typem okazującym uczucia.

Dyrektor wrócił, oblekłszy na twarz maskę przyjemnego zdziwienia. Znalazł ostatecznie telegram Bena, a więc wszystko w porządku.

- Chcesz od razu iść do swego pokoju? - zapytał Jonathan, gdy umundurowani chłopcy hotelowi przyszli po bagaż Bena.

- Nie. Zaprowadź mnie do baru i postaw mi piwo.

Rozmawiali do późnej nocy, głównie na temat technicznych problemów związanych z Eigerem. Ben dwa razy poruszył sprawę Mellougha, ale za każdym razem Jonathan wracał do poprzedniego tematu, mówiąc, że może porozmawiają o tym później, po wspinaczce. Od kiedy przybył do Szwajcarii, nabierał coraz mocniejszego przekonania, że podejmie wspinaczkę. Zdarzało mu się na długie godziny zapominać, jaka jest jego prawdziwa misja. Ale to zauroczenie mogło się okazać zbyt kosztownym luksusem, więc przed pójściem spać poprosił o pożyczenie mu jeszcze raz całej korespondencji między Benem a wspinaczami, których oczekiwano następnego ranka.

Jonathan usiadł na łóżku, listy ułożył na kocu w trzech kupkach; jedna dla każdego człowieka. Skoncentrowany, w wąskiej smudze światła z lampki nocnej, popijając szklaneczkę laphroaigu, próbował odtworzyć poszczególne osobowości z ograniczonych informacji pochodzących z korespondencji.

Jean-Paul Bidet. Czterdzieści dwa lata. Bogaty przemysłowiec, który dzięki bezlitosnej pracy rozwinął skromny zakład ojca tak, że stał się głównym producentem pojemników aerozolu we Francji. Ożenił się dosyć późno i w czasie miodowego miesiąca w Alpach odkrył sport, jakim jest wspinaczka górską. Nie miał doświadczenia we wspinaniu się poza Europą, ale lista jego alpejskich osiągnięć była ogromna. Większość poważniejszych wspinaczek odbył w towarzystwie znanych i drogich przewodników, toteż chcąc pomniejszyć jego sukces, można było zarzucić mu „kupowanie” szczytów.

Sądząc z listu, napisanego po angielsku językiem człowieka interesu, Bidet wydawał się sympatyczny, energiczny i trzeźwo myślący. Jonathan zaskoczyło, gdy odkrył, że przemysłowiec zamierzał zabrać ze sobą żonę, by mogła być obecna przy jego próbie wejścia na ten najważniejszy z wszystkich szczytów.

Karl Freytag. Dwadzieścia sześć lat. Jedyne spadkobierca przedsiębiorstw przemysłowych Freytagów, specjalizujących się w handlu chemikaliami, szczególnie insektycydami i herbicydami. Zaczął się wspinąć podczas szkolnych wakacji i nim ukończył dwadzieścia lat, zdążył stworzyć organizację niemieckich wspinaczy, której przewodniczył i która wydawała najbardziej uznany kwartalnik o alpinizmie. Był jego wydawcą. Przesłał plik przedruków offsetowych z magazynu z opisem jego wspinaczek, pisanych w trzeciej osobie, podkreślających jego zdolności jako lidera i odkrywcy szlaków.

Jego listy zostały napisane eleganckim, perfekcyjnym angielskim. Ich podstawowy wydźwięk był taki, że Freytag gotów jest współpracować z Herr Bowmanem i z międzynarodowym komitetem, który sponsoruje wspinaczkę, niemniej musi przypomnieć adresatowi, że to on, Freytag, ułożył plan wspinaczki i że ma zamiar kierować ekspedycją.

Anderl Meyer. Dwadzieścia pięć lat. Pozbawiony środków na ukończenie studiów medycznych w Wiedniu, powrócił do zawodu cieśli i zarabiał w ten sposób na życie u boku swego ojca. Podczas sezonu wspinaczkowego pracował jako przewodnik różnych wypraw po swych rodzimych Alpach Tyrolskich, co czyniło z niego jedynego profesjonalistę w ekspedycji. Natychmiast potem jak został zmuszony do porzucenia uczelni, wspinanie stało się jego obsesją. Wszelkimi sposobami, od sknerzenia do zebrania, udawało mu się włączyć do większości poważnych wspinaczek w ostatnich trzech latach. Jonathan czytał informacje na temat jego poczynań w Alpach, Nowej Zelandii, Himalajach, Ameryce Południowej i ostatnio w paśmie Atlasu. W każdym artykule bez zastrzeżeń chwalono jego wprawę i siłę (mówiono o nim nawet jako o „młodym Hermannie Buhlu”), ale kilku autorów napomykało o skłonności do samotnictwa i bezwzględnym traktowaniu najmniej utalentowanych członków wypraw jako kłód rzucanych mu pod nogi. Odwrót stanowił dla niego największą hańbę; zdolny był wspinąć się po ścianie samobójczej dla ludzi o bardziej ograniczonych dyspozycjach fizycznych i psychicznych. Podobne zarzuty stawiano Jonathanowi w latach jego aktywnej wspinaczki.

Na podstawie listów Jonathan mógł wyrobić sobie jedynie mglisty obraz osobowości Meyera. Pisane w obcym mu języku nie pomagały widzieć człowieka; jego angielski był napuszony i niedoskonały, niemal komicznie chropawy, ponieważ tłumaczył wprost niemieckie zdania, wyraźnie ze słownikiem w ręku, tak że w jego korespondencji występowała przypadkowa mieszanina złożonych rzeczowników, które ciągnęły się bez sensu, dopóki jakiś czasownik, pojawiający się nagle na końcu, nie wprowadził pewnego

rozjaśnienia. Jedno wszakże przebijało się przez sztywność tłumaczenia: nieśmiała ufność.

Jonathan siedział w łóżku, patrząc na stertę listów i popijając whisky. Bidet, Freytag, Meyer. I każdy z nich mógł zostać zaalarmowany przez Mellougha.

KLEINE SCHEIDEGG

9 lipca

Spał do późna. Zanim się ubrał i ogolił, słońce było wysoko, a rosa zeszła już z łąk wznoszących się w stronę północnej ściany Eigeru. W holu przeszedł obok grupy rozmawiających młodych ludzi, o czystych oczach i twarzach ściągniętych przez rześkie rozrzedzone powietrze. Najwyraźniej dokazywali na wzgórzach, a ich grube swetry wciąż jeszcze wydzielają chłód.

Dyrektor hotelu przeszedł obok recepcji i powiedział w zaufaniu:

- Są tutaj, Herr Doktor. Czekają na pana.

Jonathan skinął głową i poszedł dalej w stronę wejścia do restauracji. Rzucił okiem na salę i natychmiast ich zauważył. Siedzieli przy oknach z widokiem na szczyt, wysokich od podłogi do sufitu; stół zalewało lśniące światło słoneczne, a ich barwne pulowery stanowiły jedyne urozmaicenie tej ciemnej i mało zaludnionej sali. Wydawało się, że Ben wziął na siebie zabawianie rozmową towarzystwa, traktując to jako naturalny przywilej, przysługujący mu ze względu na doświadczenie i wiek.

Gdy Jonathan się zbliżył, mężczyźni wstali. Ben dokonał prezentacji.

- Jonathan Hemlock, Gene-Paul Bidette. - Najwyraźniej nie zawracał sobie głowy wymyślną zagraniczną wymową.

Jonathan wyciągnął rękę.

- Monsieur Bidet.

- Cieszyłem się na myśl o poznaniu pana, Monsieur Hemlock. - Skośne chłopskie oczy Bideta szacowały go zupełnie otwarcie.

- A to jest Karl Freytag.

Jonathan z rozbawieniem oddał zbytecznie silny uścisk ręki tamtego.

- Miło mi, Herr Freytag.

- Mnie też, Herr Doktor. - Skinął nieznacznie głową i usiadł.

- A oto Anderil Mayor.

Jonathan wyraził uśmiechem swą profesjonalną aprobatę, patrząc w jasnyniebieskie oczy.

- Czytałem o panu, Anderl - powiedział po niemiecku.

- A ja o panu - odpowiedział Anderl z miękkim austriackim akcentem.

- W takim razie - powiedział Jonathan - czytaliśmy o sobie nawzajem.

Anderl uśmiechnął się szeroko.

- A ta pani tutaj to Missus Bidette. - Ben usiadł natychmiast po spełnieniu uciążliwego towarzyskiego obowiązku.

Jonathan ścisnął podane palce i zobaczył swe odbicie w jej ciemnych okularach słonecznych.

- Miło panią poznać, Madame Bidet.

Przechyliła lekko głowę w geście, który miał oznaczać równocześnie pozdrowienie, wzruszenie ramionami, że oto tak, jest panią Bidet, i pozytywną ocenę Jonathana - gest w każdym calu paryski.

- Właśnie gawędziliśmy sobie i spoglądaliśmy na pagórek - wyjaśnił Ben, gdy Jonathan wysłał kelnera po nowy dzbanek kawy.

- Nie miałam pojęcia, że góra, o której Jean-Paul mówił przez ostatni rok, będzie taka piękna - powiedziała pani Bidet, zdejmując po raz pierwszy tego ranka okulary słoneczne, a jej spokojne oczy spoczęły na Jonathanie.

Spojrzał na zimną, zacienioną ścianę Eigeru i na długie wstęgi zniewolonej chmury na szczycie.

- Nie powiedziałbym piękna - oświadczył Bidet. - Może majestatyczna. Ale nie piękna.

- Możliwość walki i zdobywanie, oto co jest w niej piękne - dodał Freytag apodyktycznym tonem.

Anderl przyjrzał się bacznie górze i wzruszył ramionami. Oczywiście, nigdy nie myślał o górze jako ładnej lub brzydkiej; jedynie czy jest trudna czy łatwa.

- To całe pana śniadanie, Herr Doktor? - zapytał Freytag, gdy Jonathanowi podano kawę.

- Tak.

- Jedzenie jest ważne dla utrzymywania formy - ostrzegł Freytag.

- Zapamiętam to.

- Meyer podziela pańskie specyficzne jedzeniowe nawyki.

- Tak? Nie wiedziałem, że się znacie.

- Och, tak - powiedział Niemiec. - Skontaktowałem się z nim krótko po tym, jak zorganizowałem tę wspinaczkę, i zrobiliśmy wspólnie kilka małych wejść, by dostosił się do mojego rytmu.

- A pan do jego, przypuszczam.

Bidet zareagował na chłód bijący z tej wymiany zdań, wprowadzając w pośpiechu nutę

ciepła i koleżeństwa.

- Powinniśmy mówić do siebie po imieniu. Zgadza się, państwo?

- Obawiam się, że nie znam imienia pańskiej żony - powiedział Jonathan.

- Anna - oświadczyła.

- Jaka jest prognoza pogody? - spytał rzeczowym tonem Karl Bena.

- Niezbyt dobra. Bezchmurnie dzisiaj, może jutro. Ale zbliżają się do nas słabe fronty, zwiastujące pogodę w kratkę.

- Dobrze. To wszystko rozstrzyga - oznajmił Karl.

- Co rozstrzyga? - spytał Jonathan między jednym a drugim łykiem kawy.

- Musimy iść teraz.

- Zdążę wypić kawę?

- Chcę powiedzieć, że musimy wyruszyć tak szybko, jak to możliwe.

- Przy możliwości wystąpienia burzy za trzy dni? - spytał Ben rzucając mu ukradkowe, niedowierzające spojrzenie.

- Wejdziemy w ciągu dwóch - odpowiedział Karl szorstkim, obronnym tonem.

- A jeżeli nie zrobicie tego w ciągu dwóch dni? I złapie was tam na gorze burzowa pogoda?

- Benjamin ma rację - wtrącił Jean-Paul. - Nie możemy tak dziecinnie podejmować ryzyka.

Słowo „dziecinnie” rozjątrzyło Karla.

- Nie można się wspinać bez odrobiny ryzyka. Prawdopodobnie ludzie młodzi łatwiej godzą się z ryzykiem.

Jonathan przeniósł wzrok z Eigeru na Bena, który wygiął kąciki ust, zamknął oczy i pokiwał ociężale głową.

Anderl nie brał udziału w tej dyskusji. Jego uwaga była bowiem skupiona na grupie atrakcyjnych młodych dziewcząt siedzących na tarasie. Jonathan zapytał, jakie jest jego zdanie na temat sensowności wspinania się przy założeniu, że pogoda utrzyma się jeszcze tylko przez dwa dni. Anderl wysunął dolną wargę i wzruszył ramionami. Nie obchodziło go, czy będą się wspinać przy dobrej czy złej pogodzie. Tak czy siak, będzie to interesujące. Są zresztą inne rzeczy, którym mógłby poświęcić uwagę, gdyby nie zamierzali się wspinać dzisiaj lub jutro.

Jonathanowi to się podobało.

- Tak więc osiągnęliśmy impas - powiedział Karl. - Dwóch za natychmiastową wspinaczką i dwóch przeciw. Dylemat wynikły z demokratycznego postępowania. Jaki

kompromis sugerujecie? Żeby wejść do połowy? - Jego głos był ciężki od germańskiego dowcipu.

- Jest trzech przeciw - poprawił Jonathan. - Ben ma głos.

- Ale on nie będzie się z nami wspinał.

- Jest szefem ekspedycji. Dopóki nie dotkniemy skały, ma coś więcej niż prawo głosu: ma całkowitą władzę.

- Tak? Czy to zostało wcześniej ustalone?

- Zawsze tak jest. - Anderl mówił z powagą, nie odrywając oczu od dziewcząt znajdujących się na tarasie. - Szef ekspedycji ma ostatnie słowo teraz, a prowadzący wtedy, gdy będziemy w ścianie.

- Bardzo dobrze - stwierdził Karl, by przerwać dyskusję, w której przegrywał. - To zbliża nas do innej kwestii. Kto ma być prowadzącym? - Rozejrzał się dokoła stołu, gotowy bronić swej kandydatury przed ewentualnym sprzeciwem.

Jonathan nalał sobie następną filiżankę kawy i wyciągnął dzbanek w kierunku pozostałych; Karl odrzucił propozycję obcesowym potrząśnięciem głową, Jean-Paul nakryciem filiżanki dłonią, Anna ruchem palców; Anderl w ogóle nie zwrócił na nią uwagi, a Ben wykrzywił usta: jego kufel piwa wypełniony był jeszcze w jednej czwartej.

- Myślałem, że to zostało właściwie już postanowione i ty będziesz prowadził, Karl - powiedział spokojnie Jonathan.

- Bo tak było. Ale decyzję powzięto, zanim amerykańskiemu członkowi zespołu przytrafił się ten niefortunny wypadek i nim został zastąpiony przez człowieka o takiej międzynarodowej sławie, jaką miałeś przed kilku laty...

Jonathan nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Tak więc zacznijmy od wiążącego porozumienia - ciągnął Karl. - Chcę mieć pewność, że wszyscy są zgodni co do osoby prowadzącej.

- Poruszyłeś ważną sprawę - powiedział Jean-Paul. - Prawdą jest, że Jonathan już dwa razy wspinał się na szczyt.

Galijski rozsądek spotkał się z kontratakiem germańskiej dokładności.

- Jedna poprawka, jeśli można. Kochanemu doktorowi dwa razy nie udało się wspiąć na szczyt. Nie mam zamiaru obrażać pana, Herr Doktor, ale jestem zmuszony stwierdzić, że nie uważam, by rekord niepowodzeń automatycznie przyznawał panu prawo do prowadzenia.

- Nie czuję się urażony. Prowadzenie jest dla ciebie tak ważne?

- Jest ważne dla naszej grupy. Spędziłem wiele miesięcy opracowując nowy szlak, który odbiega w znaczny sposób od klasycznego. Jestem pewien, że gdy was nim poprowadzę, to

wszyscy przyznacie, jak dobrze to przemyślałem i jak ułatwiłem sprawę. Poza tym, kiedy wejdziemy nową drogą, odnotują to w wykazie dróg.

- Czy to jest dla ciebie ważne?

- Oczywiście. - Karl spojrział na niego zaskoczony.

Anderl odsunął krzesło od stołu i obserwował tę walkę o władzę z rozbawieniem czającym się w zmarszczkach jego szczupłej, mocno opalonej twarzy.

Anna zabijała nudę przenosząc wzrok z Jonathana na Karla, dwóch naturalnych liderów grupy. Jonathan wyczuł, że dokonuje wyboru.

- Dajmy sobie z tym spokój na razie! - powiedział Jean-Paul pojednawczo. - Po południu powinniśmy przyjrzeć się wszyscy szlakowi, który zaplanowałeś, Karl. Jeżeli wyda nam się dobry, ty będziesz prowadził. A dopóki nie znajdziemy się w ścianie, kierownikiem jest Benjamin.

Karl zgodził się, pewien, że walory jego nowej drogi ich przekonają. Ben przystał na propozycję, posępnie zerkając na Karla. Jonathan również się zgodził, a Anderlowi było wszystko jedno.

- No tak! - Jean-Paul klasnął, by zaakcentować koniec tego, co według niego stanowiło nieprzyjemną utarczkę. - Teraz napijemy się kawy i poznamy lepiej nawzajem. Zgoda?

- Myślałem - powiedział Jonathan - że ty i Karl już się poznaliście.

- W jaki sposób? - zapytał Jean-Paul uśmiechając się.

- Na płaszczyźnie zawodowej. Twoje towarzystwo produkuje pojemniki do aerozoli, a jego pestycydy. Byłoby całkiem naturalne, gdyby... - Jonathan wzruszył ramionami.

Karl zmarszczył brwi na wzmiankę o pestycydach.

- A! Rozumiem - powiedział Jean-Paul. - Tak, widzę, że tu zaszła zwykła pomyłka. Prawdę mówiąc, to jest nasze pierwsze spotkanie. To najzwyczajniejszy zbieg okoliczności, że zajmujemy się pokrewnymi gałęziami.

Anna spojrzała przez okno i powiedziała, nie zwracając się do nikogo w szczególności:

- Rzeczywiście, myślę, że każdy producent ciał płynnych w Europie gościł w naszym domu.

Jean-Paul zaśmiał się i mrugnął do Jonathana.

- Niektórzy z moich współpracowników wydają jej się trochę nieciekawi.

- Tak? - zapytał Jonathan, szeroko otwierając oczy.

Rozmowa przerodziła się w wymianę towarzyskich frazesów; po piętnastu minutach Ben wstał i przeprosił, mówiąc, że chciałby sprawdzić sprzęt. Anderl postanowił mu pomóc i obaj wyszli.

Jonathan patrzył, jak Ben odchodzi swym charakterystycznym, przesadnie energicznym, podskakującym krokiem, którym kompensował swoje kuśtykanie. Nagle skojarzył.

- Słyszałem, że w zeszłym miesiącu doznałeś obrażeń - zagał do Karla.

- Tak. Upadek. Nic poważnego.

- Noga?

- Tak. Rozciąłem ją o skałę. Zapewniam cię, że to nie przeszkodzi mi nic a nic we wspinaczce.

- To dobrze.

Karl i Jean-Paul pogrążyli się w rozmowie o górach, na które obaj się wspinali, porównując drogi i wyniki. Jonathan, dzierżąc filiżankę w ręku, miał okazję, żeby przyjrzeć się tej trójce bez pośpiechu. Nie zauważył w zachowaniu żadnego członka ekspedycji niczego, co by sugerowało, że wiedzą, kim jest i dlaczego tu się znalazł.

Anna Bidet zwróciła myśli ku swemu wnętrzu: schroniła się za długimi rzęsami, które przysłoniły jej bystre, inteligentne oczy. Przez jakiś czas trwała z dala od rzeczywistości i wydawała się całkiem zadowolona z towarzystwa własnego umysłu. Od czasu do czasu skupiała wzrok na mężczyznach siedzących wokół niej i słuchała przez chwilę, nim nie doszła do wniosku, że rozmowa nie jest dla niej interesująca, po czym wracała do swego wewnętrznego świata. Oczy Jonathana spoczęły na niej. Jej ubranie, niezwykle komentarze, jej spojrzenia - to pytające, to rozbawione, nieoczekiwane skrywane za rzęsami - wszystko przemyślane i obliczone na efekt. Była zarówno pełna godności, jak i wyzywająca, kombinacja stanowiąca wyłączną cechę paryżanek określonej klasy i wieku.

Porzuciła swoją zadumę, czując na sobie spojrzenie Jonathana. Odwzajemniła je otwarcie i z rozbawieniem.

- Ciekawe połączenie - powiedziała spokojnie.

- Czego?

- Krytyk sztuki, profesor i wspinacz. I jestem pewna, że jest jeszcze coś więcej.

- Co, na przykład?

- Nic.

Jonathan pokiwał głową i skupił uwagę na Jean-Paulu, który wyraźnie nie pochodził z jej świata. Niedawne wzbogacenie się pasowało do niego jak jego ubranie, trochę niedoskonale, ponieważ pozbawiony był buńczuczności, by zapanować nad jednym i drugim. Był właściwie za stary na większą wspinaczkę, choć na jego mocnym ciele rolnika nie znalazłbyś śladu tłuszczu. Jedno oko opadało mu jak u tragicznego klauna, ale wyraz oczu był

pełen inteligencji i wesołości. Jego nos tworzył długą, cienką linię rozpoczynającą się nieco za daleko ponad oczyma i przekrzywiającą się w jedną stronę mniej więcej w połowie drogi. Wykrzywione, ruchliwe usta nadawały jego twarzy ową plastyczność, tak charakterystyczną dla francuskiego wieśniaka w jego obcowaniu z ludźmi. Jego oblicze wyglądało tak, jakby Natura stworzyła nie do końca określoną formę, po czym położyła na niej dłoń, kiedy glina była jeszcze świeża, lekko przesuwając ją w lewo.

Jonathan zdawał sobie sprawę z jego zalet. Niezgoda na konflikt i rozsądny umiar czyniły z niego idealny katalizator wśród dynamicznych i agresywnych osobowości spotykanych powszechnie pomiędzy wspinaczami. Szkoda, że był rogiaczem - przynajmniej emocjonalnym rogiaczem. Jonathan wyobraził go sobie w szlafmicy, z lichtarzem w jednej ręce i nocnikiem w drugiej.

Nie było w tym życzliwości, więc przeniósł uwagę na Karla Freytaga, który w tym momencie dokładnie i donośnie przedstawiał argumenty udowadniające, że Jean-Paul dokonał kiepskiego wyboru drogi na Petit Dru, kiedy wspinał się poprzedniego sezonu. Jean-Paul zaśmiał się.

- Wiem tylko tyle, że zaprowadziła mnie na szczyt i z powrotem!

Karl wzruszył ramionami, straciwszy ochotę na dalszy wywód przed kimś, kto tak lekko podchodzi do sprawy.

Karl miał szeroką twarz o regularnych rysach, zbyt jednak nieruchomą, by można ją nazwać ciekawą; choć przystojny, nie był atrakcyjny. Blond włosy, cienkie i proste, w gruncie rzeczy dość bezbarwne, zaczesywał gładko do tyłu z szerokiego, znamionującego inteligencję czoła. Był najwyższym mężczyzną w grupie, przewyższał pozostałych o pięć centymetrów; wspaniałe napięcie mięśni sprawiało, że zachowywał sztywną postawę nawet siedząc, nie przydawało mu to jednak śmieszności.

- Hej! - powiedział Jean-Paul przerywając rozmowę z Karlem i odwracając się do Jonathana i Anny. - Nie wygląda na to, żebyście ze sobą rozmawiali.

- Porównywaliśmy milczenia - odparł Jonathan - i jej jest chyba ciekawsze od mojego.

- Ona jest nadzwyczajną kobietą. - Jean-Paul spojrział na żonę z nie ukrywaną dumą.

- Wierzę.

- Była w balecie przed swoim niefortunnym małżeństwem.

Jean-Paul najwyraźniej miał zwyczaj osłaniać siebie uprzedzając sądy innych, że związek jest z punktu widzenia towarzyskiego i uczuciowego morgantyczny. Nie tylko dlatego, że on był fabrykantem; jego zakład wytwarzał śmiesznie pospolite artykuły domowe.

Anna zaśmiała się cicho.

- Jean-Paulowi wydaje się, że oderwał mnie od sceny, gdy byłam u szczytu kariery. W rzeczywistości wiek i spadek popularności doprowadziłyby do tego samego.

- Nonsens! - zapewnił Jean-Paul. - Nikt nie jest w stanie odgadnąć, ile masz lat. A jak tobie się wydaje, Jonathanie?

Jonathan poczuł się zakłopotany za nich dwoje.

- Mój mąż uwielbia szczerość, doktorze Hemlock. Uważa, że silenie się na taktowność to zwykle kręcenie.

- Tylko bez „ale”. Dalej, Jonathan. Ile lat dałbyś Annie?

Jonathan podniósł dłonie w geście bezradności.

- Ja... ach... przypuszczam, że mężczyzna mógłby jedynie zastanawiać się nad tą sprawą, gdyby starał się rozstrzygnąć, czy pochwała ma być dla Natury, czy dla samej kobiety.

Nie było to zbyt udane, mimo to Anna zamarkowała oklaski, bezdźwięcznie bijąc czubkami trzech palców w dłoń.

Doszedłszy do wniosku, że z tego nie wyniknie już żadna interesująca rozmowa, Karl wstał i przeprosił ich. Jean-Paul przesunął się o jedno krzesło, zacieśniając krąg.

- Jest naprawdę wspaniały! - powiedział, patrząc rozmarzony na Eiger. - Dokonałem doskonałego wyboru mojej ostatniej góry.

- Ostatniej?

- Nie jestem już młody, Jonathanie. Pomyśl o tym! Mam czterdzieści dwa lata i będę najstarszym człowiekiem wspinającym się na nią. Tych dwóch młodych ludzi to fantastyczni wspinacze. My obydwaj powinniśmy właściwie z tym skończyć. Ty masz... wybacz mi, ile lat?

- Trzydzieści siedem.

- O! Dokładnie tyle, ile moja żona!

Znudzona zamknęła oczy, a potem otworzyła je. By zmienić temat, Jonathan zapytał:

- Interesujesz się alpinizmem, Anno?

- Nieszczególnie.

- Ale będzie dumna ze mnie, gdy wrócę, prawda, najdroższa?

- Bardzo dumna.

- Nie pamiętam, kiedy się tak dobrze czułem - powiedział Jean-Paul, prężąc mocno ramiona i opuszczając jedno na barki Anny. - Czuję, że osiągnąłem najlepszą, jaką mogłem w moim wieku formę. Każdej nocy przez ostatnie sześć miesięcy wykonywałem serię skomplikowanych ćwiczeń. I byłem naprawdę sumienny. Pracuję do tak późna, że moja

biedna żona zazwyczaj śpi, gdy do niej przychodzę. - Zaśmiał się i poklepał ją.

- Ale teraz nie może się doczekać - powiedział Jonathan - żeby zobaczyć, jak się wspinasz.

Anna spojrzała na niego przelotnie, następnie skierowała wzrok na okna, na które zaczął kropić lekki deszcz.

Jean-Paul z przyzwyczajenia przeklął załamanie pogody, chociaż jego doświadczenie, nabyte w Alpach Berneńskich, mówiło mu, że to niedawne słońce, a nie ten deszcz, było czymś wyjątkowym.

- To przyniesie świeży śnieg w wyższych partiach - powiedział rzeczowym tonem człowieka stwierdzającego fakty.- Tak, trochę - przytaknął mu Jonathan. Ponownie napełnił swoją filiżankę i przeprosiwszy ich wyszedł na taras, gdzie stanął pod okapem i zachwycał się zapachem deszczu.

Niebo miało kolor cynku, a nieliczna zdeformowana wiecznie zielona roślinność, przylegająca do skalistego podłoża Kleine Scheidegg, przybrała z powodu braku słońca barwę oliwkowo-brązową. Nie było wiatru i Jonathan popijał kawę i przysłuchiwał się szumowi deszczu w trawach.

Stanowili grupę ludzi opanowanych, jeden z nich w każdym razie był z pewnością opanowany. Poznał prawdopodobnie cel likwidacji, ale żadnym gestem, nerwowym zachowaniem czy spojrzeniem z tym się nie zdradził. A on będzie się poruszał po niepewnym gruncie, dopóki Wydział Likwidacji nie wskaże mu celu.

Szara, stojąca w miejscu mgła skrywała jedną trzecią górnej partii północnej ściany. Przypomniawszy sobie upiorne kalambury, które niemieccy autorzy piszący na temat sportu wskrzeszali za każdym razem, gdy jakaś ekspedycja wyruszała na Eiger. Zamiast Nordwand, północna ściana, mówili Mordwand, Ściana Śmierci. Minęły te lata, gdy niemieccy i austriaccy młodzieńcy ryzykowali życie wspinając się na Eiger z brawurowym Wagnerowskim *Todeslieb*; wielkie nazwiska ujarzmiły tę ścianę: Hermann Buhl, Lionel Terray, Gaston Rebuffat; wspinały się na nią również tuziny mniej znanych mężczyzn, a każdy z nich zdobywał, z różnym powodzeniem, trochę sławy związanej z postawionym sobie zadaniem. I kiedy tak stał pod okapem popijając kawę i patrząc na łąkę, Jonathan czuł coraz większe pragnienie, by spróbować jeszcze raz wejść na ścianę, która dwa razy go odrzuciła.

Gdy szedł do pokoju Bena, minął się na korytarzu z Anderlem; pozdrowili się skinieniem głowy. Właściwie od razu poczuł sympatię do tego niskiego, muskularnego chłopaka z czarnymi kudłami, wyraźnie nie przyzwyczajonymi do grzebienia, którego długie,

silne palce zostały jakby specjalnie zaplanowane przez naturę do wynajdywania i przytrzymywania się najmniejszych chwytów w skale. Byłoby niedobrze, gdyby to Anderl okazał się celem likwidacji.

- Odpieprz się! - huknął Ben w odpowiedzi na pukanie.

Jonathan otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- A, to ty, staruszk. Wejdz. I zamknij za sobą drzwi na klucz.

Jonathan ściągnął zwój nylonowej liny z wolnego łóżka i wyciągnął się na nim.

- Cóż to za dzikie powitanie?

Ben pakował plecaki, równo rozkładając ciężar i upewniając się, czy każda dwójka dysponuje kompletnym ekwipunkiem potrzebnym do rozbicia obozu, gdyby ekspedycja musiała się wspinać w dwóch oddzielnych zespołach. .

- Och, myślałem, że jesteś jednym z tych reporterów. - Mruknął coś do siebie, zaciskając mocno rzemyk. Następnie dodał: - Niech mnie szlag, jeśli nie skrobią do mych drzwi co pięć minut. Jest tu nawet zespół kroniki filmowej. Wiedziałeś o tym?

- Nie. Ale nie jestem zaskoczony. Teraz Ptaki Eigeru tutaj rządzą. Hotel jest zapełniony i odsyłają ludzi do Alpiglen i Grindelwaldu.

- Pieprzone wampiry!

- Ale najgrubsze ryby są właśnie tutaj w hotelu.

- Niby kto? - Ben zawiązywał plecak chrząkając.

Jonathan wymienił nazwiska greckiego handlowca i jego świeżego nabytku - żony z amerykańskich wyższych sfer towarzyskich. Kierownictwo hotelu zmontowało duży prostokątny namiot wokół jednego z teleskopów na tarasie. Namiot pokryto jedwabiem, wyposażono w piecyki i małą lodówkę, a teleskop zarezerwowano dla ich wyłącznego użytku, uprzednio skrupulatnie zdezynfekowawszy. Podjęto wszelkie środki ostrożności, by odizolować ich od towarzystwa mniej znacznych Ptaków Eigeru, ale skłonność Greka do rozrzutności i niewybrednych kawałów natychmiast przyciągnęła uwagę prasy.

Jonathan zauważył potężny mosiężny teleskop w rogu pokoju.

- Przywiozłeś to ze sobą?

- Pewnie. Myślisz, że ustawię się w kolejce z kieszenią pełną monet, by obserwować was na ścianie?

- Obawiam się, że będziesz musiał pogodzić się z reporterami.

- Dlaczego?

- Dobrze by było, gdybyś przekazywał im informacje, gdy będziemy już na górze. Jedynie podstawowe dane: jak wysoko się znajdujemy, pogoda, przebieg drogi, tego typu

rzeczy.

- „Nic im nie mów” oto moja dewiza. Olewam ich.

- No nie. Myślę, że powinieneś trochę współpracować. Jeśli nie będziesz, to napiszą, co im na myśl przyjdzie.

Ben skończył pakowanie i otworzył butelkę piwa ze swoich zapasów.

- Uf! Napracowałem się bardziej niż jednonogi facet w najbardziej nawet wypruwających flaki zawodach. Ale macie już wszystko przygotowane tak, by wyruszyć w ciągu minuty. Jest informacja o nadchodzącym froncie wysokiego ciśnienia, a ty wiesz, że ten kurewski pagórek nie da wam więcej jak dwa lub trzy dni pogody. - Zrzucił pętlę z hakami z łóżka i wyciągnął się.

Jonathan zapytał, jak ocenia wspinaczy, na co Ben się skrzywił.

- Nie wiem. Jak na mój gust za duża mieszanina. Ten niemiecki dziubus to naprawdę zbyt zarozumiały dupek.

- Niemniej jednak mam wrażenie, że jest dobrym wspinaczem.

- Pewnie tak. Ale na biwaku może się okazać niezłym przyjemniaczkiem. Ma na to wszelkie zadatki. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że robiliśmy duże wspinaczki, gdy on jeszcze miał mleko pod nosem. A ten austriacki chłopak...

- Anderl.

- Tak. Anderl. No, to jest wspinacz. Wydaje się porządny. Dzieciak wygląda tak, jak ty kiedyś. - Ben oparł się na jednym łokciu i dodał zgryźliwie: - Trzydzieści lat temu.

- W porządku. W porządku.

- Hej, staruszkule? Rzucisz swemu biednemu ułomnemu przyjacielowi drugą puszkę piwa?

Jonathan zamruczał i spełnił prośbę, dopiero teraz zauważając, że przyjaciel pije piwo amerykańskie, co było dość ekstrawaganckie jak na pobyt w Szwajcarii, ale jak większość wielkich piwoszy amerykańskich, Ben nie miał zamiłowania do stosunkowo mętnego produktu niemieckiego. Jonathan oparł się o okno i zapatrzył na deszcz. Zauważył Anderla na łące, obejmującego dziewczynę, która osłaniała głowę jego kurtką. Wracali do hotelu.

- Co myślisz o Jean-Paulu, Ben?

- Niezbyt dobry. Tak, jak bym to skwitował, to ty jesteś o splunięcie od górnej granicy wieku w tego rodzaju wyprawach. A on ją już przekroczył.

Jonathan zaprotestował.

- A mnie się wydaje, że jest bardzo wytrzymały. Na niego składają się pokolenia chłopskiej wytrzymałości.

- Może masz rację, starszku. - Ben spuścił nogi i usiadł, zmieniając nagle ton, jak człowiek, który w końcu dochodzi do sedna sprawy. - Powiedziałeś u mnie, że może ostatecznie nie będziesz się wspinał. Dalej nic się nie zmieniło?

Jonathan usiadł na parapecie.

- Nie wiem. Mam tutaj zadanie do wykonania. Wspinaczka jest w rzeczywistości jedynie działaniem ubocznym.

- Niezła sztuczka jak na działanie uboczne.

- Zgoda.

- Jakiego rodzaju zadanie?

Jonathan spojrzał na uśmiechniętą twarz Bena. Ale przecież nie mógł mu powiedzieć. Za oknem leżały na łące łachy szarzejącego i znikającego pod wpływem deszczu śniegu.

- Narciarze muszą przeklinać ten deszcz - powiedział, by coś powiedzieć.

- Jakiego rodzaju zadanie? - nalegał Ben. - Ma jakiś związek z tym typem, Melloughem?

- Tylko pośrednio. Zapomnij o tym, Ben.

- Łatwo powiedzieć! Po twoim wyjeździe zrobiło się piekło w ośrodku. Po całym terenie jeździli różni agenci, mówili jak ważniacy i na ogół robili durniów sami z siebie. Przeprowadzali zwiady na pustyni, po to by na niej zabłądzić, organizowali patrole i przeszukiwali teren z helikopterów. W całym okręgu kotłowało się, nim skończyli.

Jonathan uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie, jak CII przeprowadza tego typu akcję: kwintesencja połączonej arabsko-włoskiej inwazji.

- Nazywają to tajną misją, Ben.

- Tajną? Naprawdę? W każdym razie, co tam się stało? Gdy zwróciłeś dubeltówkę, wyglądała, jakbyś z niej strzelał. I nikt już nie widział więcej Mellougha ani jego przyjaciela.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Muszę robić to, co mi zlecono. W przeciwnym razie stracę dom i przedmioty, które zbierałem przez lata.

- I co z tego? Stracisz dom, ale przecież możesz uczyć. Lubisz uczyć, prawda?

Jonathan spojrzał na Bena. Nigdy tak naprawdę nie myślał o tym, czy lubi uczyć czy nie.

- Nie, myślę, że nie. Lubię być wśród mądrych głów, które doceniają mój umysł i dobry smak, ale tak dla samego uczenia... Nie, to tylko praca.

Ben milczał przez chwilę. Wypił piwo i zgniótł w dłoni puszkę.

- Odwołajmy wspinaczkę - powiedział stanowczo. - Powiemy im, że jesteś chory albo coś takiego. Może kłopot z hemoroidami?

- Moja odbytnica Achillesa? Nie ma mowy, Ben. Zapomnij o tym! - Jonathan wytarł zamglone okno grzbietem dłoni i wyjrzał na okrytą mgłą górę. - Wiesz, co jest przedziwne, Ben?

- Ty.

- Nie. Prawdziwie przedziwne jest to, że chcę ponownie dopaść tej góry. Nawet zapominając o tym, co muszę wykonać. To jest coś, czego naprawdę chcę. Rozumiesz coś takiego?

Ben bawił się bezmyślnie przez chwilę zwojem nylonowej liny.

- Oczywiście, że rozumiem. Ale coś ci powiem, starszku. Kuszący zapach upadku unosi się ciężko w powietrzu.

Jonathan przytaknął.

Rozmowa podczas lunchu między członkami ekspedycji skoncentrowała się na pogodzie, która w pewnym sensie się ustaliła: padał rześisty deszcz, a silne porywy gwałtownego wiatru miały nim od czasu do czasu o okna. Wiedzieli, że naniesie świeżego śniegu na Trzecie Pole Lodowe i wyżej na Pająka. Dużo zależało od temperatury na ścianie. Gdyby było zimno, suchy i sypki śnieg zsuwałby się z gwizdem całymi płatami, pozostawiając gładki wieczny lód i czystą szreń, wystarczająco dobrą na wspinaczkę. Gdyby natomiast temperatura wzrosła, a śnieg stał się wilgotny i zwarty, uformowałby nawisy, przerażające się w lawiny przy najlżejszym wstrząsie.

Ben wiedział, że przed dwoma dniami podczas wspinaczki zachodnim ramieniem Jonathan zbadał rzeźbę północnej ściany.

- Dużo widziałeś?

- Tak. Pogoda była bezchmurna.

- No i? - zapytał Karl.

- Wyglądało dobrze, jak na Eiger. Śnieg był stary i zaskorupiały. A cała ściana wyglądała na suchą; nigdy dotąd jej takiej nie widziałem. - Jonathan nawiązywał do niewytłumaczalnego „wysychania” północnej ściany, które zachodziło przez ostatnie trzydzieści lat. Na obszarach, gdzie w końcu lat trzydziestych były rozległe pola śnieżne, pod koniec lat pięćdziesiątych odsłoniły się pokryte lodem skały. - No i jedna dobra rzecz. Trawers Hinterstoissera jest prawie wolny od lodu.

- To nas nie dotyczy - oświadczył Karl. - Mój wariant omija Trawers Hinterstoissera.

Nawet flegmatyczny Anderl zamilkł, jak oni wszyscy, po usłyszeniu tej wypowiedzi. Filizanka czekolady, którą Jonathan podnosił do ust zawisała na chwilę w powietrzu, ale

szybko opanował się i wypił ją bez komentarza - nie chciał zrobić Karlowi przyjemności i okazać, jaki szok wywołał tymi słowami. Trawers, który został nazwany pośmiertnie imieniem młodego Niemca, był kluczem wszystkich udanych powtórzeń. Przedtem żadna ekspedycja nie przeszła tego krytycznego odcinka, ani tym bardziej nie stanęła na szczycie, i tylko członkom jednej z nich udało się ocalić życie.

- Omówię szczegółowo mój szlak po lunchu - powiedział Karl, przerywając wyrażające sprzeciw milczenie.

Z leciutkim uśmiechem, skrywającym jego myśli, Jonathan patrzył przez chwilę znad filizanki na Karla, po czym przeniósł swą uwagę na łąkę i wznoszącą się za nią górę.

Ekspedycja zarezerwowała stół z widokiem na łąkę i zazwyczaj siadali plecami do sali, starając się nie zwracać uwagi na obecność Ptaków Eigeru, których przybyła już cała gromada.

Kilka razy podczas każdego posiłku kelnerzy podchodzili z bilecikami od bardziej zasobnych lub co agresywniejszych Ptaków Eigeru zapraszających wspinaczy na kolację lub wieczorne zabawy. Przyjęcie zaproszenia dodałoby amfitrionowi splendoru w oczach jemu równych. Bileciki przekazywano zawsze Benowi, któremu sprawiało przyjemność powolne darcie ich bez czytania na kawałki, na oczach uśmiechniętych, machających ręką nadawców.

Wnikliwy ornitolog mógłby rozróżnić trzy rodzaje Ptaków Eigeru we fruwającej gromadzie, która paplała w pół tuzina języków.

Śmietankę stanowiły międzynarodowej sławy nieroby; przybyli przerywając swoje coroczne migracje w środku lata, odbywane dla przyjemności, by połechtać swe stępiełe zmysły seksualną podniecią śmierci. Ściągnęli ze wszystkich stron świata, ale żaden nie przyjechał z tych niegdyś popularnych miejsc, które zapełniły się teraz naśladowcami z klas średnich: Riwiera, Acapulco, Bahamy, Azory i ostatnio modne wybrzeże marokańskie. Przestrzegali sztywnych zasad hierarchii i każdy nowo przybyły znał należycie swoje miejsce, które określała raczej osoba znajdująca się niżej niż uplasowana wyżej. Grecki handlowiec i jego żona zajmowali, z tytułu majątku, szczyt społecznej piramidy; włoska arystokracja wątpliwej krwi o pociągłych twarzach oraz ograniczonych funduszach tworzyła jej podstawę.

Niższe gatunki obiboków były dużo liczniejsze. Łatwi do rozpoznania dzięki jaskrawości upierzenia oraz braku naturalności w przyjętych na jakiś czas zwyczajach towarzyskich. Byli to brzuchaci mężczyźni z purpurową opalenizną, cygarami w zębach, łysiejący i hałaśliwi, wykonywali niezdarne gesty, by udowodnić, ile w nich młodzieńczej energii. Widywało się ich podczas posiłków, niezdarnie epatujących swe piersiaste, opłacane przez nich towarzyski, które chichotały i przybierały bezmyślne miny, gdy ich dotykano.

Odmianą żeńską tych podgatunków była kobieta nieokreślonego wieku, o kędzierzawych, farbowanych włosach i skórze napiętej po naciągającej ją operacji plastycznej. Wodziły czujnymi i nieufnymi oczami za ciemnowłosymi greckimi i sycylijskimi chłopcami, których przywiozły ze sobą, by ich używać.

A na obrzeżach lesbijki o męskich cechach chroniły i pilnowały swej trwożliwej, koronkowej i fiołkoworóżowej własności. Homoseksualiści zaś klócili się i godzili.

Najniższa warstwa Ptaków Eigeru to ludzie z gazet i telewizji, żywiący się ochłapami i odchodami innych. Wyróżniali się klanowością i niedrogimi ubraniami, często zmiętymi, co miało być oznaką ich romantycznego tułaczego życia. W większości stanowili gadatliwą i nadużywającą alkoholu gromadę, która wykorzystwała cynicznie zaproponowane im przez hotel zniżki w zamian za reklamę wspaniałości Kleine Scheidegg.

Aktorzy filmowi stworzyli swą własną, wewnętrznie powiązaną subkulturę. Pozbawieni finansowych zasobów, które by im pozwoliły na przyłączenie się do elity, zachowywali się ostentacyjnie, aby móc przebywać w towarzystwie tych, którzy chcą, by ich widziano i o nich czytano. Właściwie nie byli traktowani jak ludzie, ale jak własność społeczna. Pod tym względem przypominali kierowców wyścigów samochodowych.

Wyjątek wśród tych osobistości filmowych stanowiło bogate małżeństwo, które uważało, że jego status majątkowy w połączeniu z blaskiem sławy kwalifikuje je do śmietanki towarzyskiej. Ich przyjeździe do hotelu tego ranka towarzyszyła pompa głośnych powitań i teatralnych ukłonów; dwukrotnie już próbowali nawiązać kontakt ze wspinaczami, ale ci za każdym razem ich zbywali. Aktor zareagował rezygnacją w bohaterskim stylu; aktorka zirytowała się i dała temu głośno wyraz, ale odzyskała zimną krew, gdy usłyszała, że żonie greckiego handlowca nie poszło lepiej.

Odmierna od Ptaków Eigeru i obca im gatunkowo była mała grupa młodych ludzi, zwabionych do Kleine Scheidegg pogłóskami o wspinaczce. Jedyne z nimi obcowali członkowie wyprawy i tylko do nich czuli sympatię. Po dwóch, po trzech poprzyjeżdżali ci młodzi wspinacze pociągiem i na motocyklach z Austrii, Niemiec i Chamonix i rozstawili swoje czerwone lub żółte namioty na łące albo powynajmowali pokoje w tańszych kawiarniach Alpigen i Grindelwaldu. Czując się nieswojo wśród bogatych gości hotelowych, nie robiąc szumu odszukiwali Bena, by mamroczać życzyć mu powodzenia i ucisnąć dłonie. Wielu z nich wsuwało w jego dłoń kawałki papieru, zawierające ich adresy lub określające położenie namiotów, po czym szybko odchodzili, zawsze odrzucając propozycję napicia się czegoś dla ochłody. Nabazgrane liściki Ben miał wykorzystać, gdyby zaszła konieczność stworzenia grupy ratowniczej. Wszyscy ci wspinacze znali reputację, jaką cieszyli się

berneńscy przewodnicy, i wiedzieli, że człowiek znajdujący się na ścianie mógłby zamarznąć na śmierć, czekając, aż uzgodniono by z nimi stronę finansową. Najśmielsi z młodzieńców odważyli się wymienić uścisk dłoni z Jonathanem lub Anderlem, dwoma członkami grupy, o których czytali w czasopiśmie o tematyce górskiej. Nie podobało się to Karlowi.

Podczas posiłku Anderl zabawiał się puszczeniem oczek do dwóch małych idiotek, które przybyły z facetem wyglądającym na handlowca; mówił głośno i za wszelką cenę starał się zwrócić na siebie uwagę. Okazywał wyraźnie, że denerwuje go ten flirt, i to właśnie najbardziej bawiło Anderla.

W oczach Bena zabłyśły iskierki ojcowskiej kpiny, gdy powiedział do Anderla:

- Pilnuj się, chłopcze! Będziesz potrzebował całej swojej energii na tym pagórku.

- Wspinam się jedynie za pomocą rąk i stóp - odparował Anderl, nie odrywając wzroku od dziewcząt.

Jonathan wypił kawę i wstał, zapewniając, że za pół godziny dołączy do wszystkich w pokoju Bena, by przyrzeć się proponowanemu przez Karla szlakowi. Anna także wstała; nie miała zamiaru skazać samej siebie na nudę śledzenia, jakie mają plany. Razem wyszli do holu, gdzie Jonathan odebrał korespondencję. Od razu otworzył kopertę, na której nie było ani znaczka, ani stempla pocztowego. Zaproszenie na intymną kolację z greckim handlowcem i jego amerykańską żoną. Była także wzmianka (pisana okrągłym, grubym charakterem pisma żony) o fakcie zakupienia przez nich ostatnio wielu obrazów za pośrednictwem Sotheby's. Byłaby zachwycona, gdyby Jonathan na nie zerknął i dokonał oceny. Przypomniała mu, że uczynił kiedyś podobną przysługę jej pierwszemu mężowi.

Jonathan podszedł do recepcji i pośpiesznie nakreślił krótki liścik. Wspominał, że dokonuje ocen zawodowo, a nie jako towarzyskich przysług. Dodał, że musi odpowiedzieć odmownie na propozycję kolacji, ponieważ mocno angażują go przygotowania do wspinaczki, a poza tym cierpi na wywołującą u niego straszne osłabienie zanokcicę.

Anna spojrzała na niego figlarnie spod drugiej ściany windy; charakterystyczny dla niej wyraz defensywnego rozbawienia spowodował pojawienie się zmarszczek wokół oczu.

- Musiało ci to sprawić przyjemność.

- Czytałaś mi przez ramię?

- Oczywiście. Przypominasz mi mojego męża, wiesz?

- Odrzuciłby zaproszenie od tych ludzi?

- Nigdy! Z powodu własnego wyobrażenia o sobie samym musiałyby je przyjąć.

- Więc w czym ci go przypominam?

- Ty także postępujesz wedle określonego planu. Z powodu twojego własnego

wyobrażenia o sobie samym byłś zmuszony odmówić. - Przerwała przy drzwiach do swego apartamentu. - Masz ochotę wejść na chwilę?

- Raczej nie, dziękuję.

- Jak chcesz. - Wzruszyła ramionami. - Wydaje się, że masz dzisiaj dużo okazji do odmawiania.

- Jeżeli dobrze odczytałem znaki, to nie jestem tym, którego wybrałaś.

Uniosła brwi, ale nie odpowiedziała.

- Przypuszczam, że to Karl - ciągnął.

- Czy także przypuszczasz, że to nie twoja sprawa?

- Muszę się wspinać z nimi oboma. Bądź ostrożna.

- Myślałam, że zazwyczaj pobierasz opłatę za dokonywanie ocen. - Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Jonathan usiadł w przepastnym fotelu przy oknie. Wypalił właśnie skręta i był całkowicie odprężony. Na jego kolanach leżał mały plik listów, które sądząc po nakładających się na siebie pocztowych hieroglifach, ścigały go od pewnego czasu. Deszcz, zmieszany teraz z równomiernie padającymi kryształkami gradu, walił o okna przeszywająco jak w kotły, a pokój wypełniało zielonkawoszare, przygnębiające światło.

Obojętnie przerzucał pocztę.

Od kierownika wydziału na uczelni: „...i mam przyjemność zapowiedzieć znaczną podwyżkę pensji w przyszłym roku akademickim. Niemożliwe jest oczywiście przeliczenie na dolary wartości...”.

Tak, tak. Hop! Do kosza na śmieci!

Rachunek dotyczący domu. Hop!

„Administracja wyraziła zgodę na stworzenie specjalnego komitetu do spraw studenckich zamieszek, ze szczególnym naciskiem na skanalizowanie tej społecznej energii w produktywną...”

Hop! Nie trafił do kosza. Miał zasadę nigdy nie brać udziału w komitetach.

Rachunek dotyczący domu. Hop!

Czasopismo pilnie potrzebowało jego artykułu o Lautrecu. Hop!

I w końcu wolna od opłaty pocztowej urzędowa koperta z ambasady amerykańskiej w Bernie. Zawierała fotokopię zaszyfrowanej wiadomości od Dragona.

„Początek przekazu... Hemlock... stop... Wydział Śledczy nie miał szczęścia we wskazaniu pańskiego celu... stop... Działamy według kolejnego planu... stop... Szczegóły

podaje Clement Pope... stop... Plan będzie dla pana jasny jutro... stop... Czy można coś zrobić, by zmniejszyć zainteresowanie prasy pańską wspinaczką... znak zapytania... stop... Panna Brown pozostaje poza naszym zasięgiem... stop... pozdrowienia... stop, stop... Koniec przekazu”.

Hop!

Jonathan odprężył się w głębinach fotelu i patrzył na kryształki gradu odbijające się rykoszetem od parapetu. Dwa basowe huki grzmotów spowodowały, że wyteżył uwagę, by skupić się na odgłosach dochodzących poprzez stukot deszczu i gradu. Tak bardzo chciał usłyszeć mocne dudnienie lawiny schodzącej po ścianie, bo jeśli lawiny nie oczyszczą ściany z nagromadzonego śniegu i wiszącego rumoszu...

Musi podjąć jakąś stanowczą decyzję w sprawie Jemimy.

Wszystko się na niego zważyło.

Zrobił następnego skręta.

Jaki właściwie Dragon miał cel, powierzając Pope'owi zadanie wyznaczenia celu? Pomimo manier detektywa z drugorzędnych filmów Pope nie miał zbyt wybitnych osiągnięć w Wydziale Ścigania, a jednak Dragon uczynił z niego numer dwa w Wydziale Ścigania i Likwidacji.

To nagłe pojawienie się Pope'a na scenie było doprawdy niepokojące, ale że nie istniało żadne sensowne wyjaśnienie zawiłych zasad kontroli i podwójnej kontroli, podejrzliwości i nadmiaru, które według CII miały gwarantować bezpieczeństwo, więc Jonathan przestał na razie o tym myśleć.

Zsunął się w fotelu i zamknął oczy, czując, jak skręt przyjemnie go rozluźnia. Po raz pierwszy od momentu poznania pozostałych wspinaczy miał czas dla siebie, skorzystał więc z okazji, by przeanalizować reakcje każdego z nich. Nie zauważył najmniejszych oznak podejrzliwości lub strachu. Dobrze. Był całkowicie pewien, że Miles Mellough nie miał szansy na skontaktowanie się z celem przed wyprawą na pustynię, ale sprawiło mu ulgę, że ich zachowanie to potwierdza.

Dzwonek telefonu pomieszał mu myśli.

- Zgadnij, skąd dzwonię?

- Nie wiem, Gem. - Zaskoczony był zmęczonym brzmieniem swego własnego głosu.

- Z Berna. I jak?

- Co ty robisz w Bernie? - Był zarazem spokojny i dziwnie strapiiony.

- Nie jestem w Bernie. W tym właśnie rzecz. Jestem u siebie w kawiarni, jakieś piętnaście minut spacerkiem od twego hotelu. Co możesz potraktować jako zaproszenie,

gdyby ci przyszła na to ochota.

Jonathan czekał, zakładając, że udzieli mu wyjaśnień.

- Połączyli mnie przez Berno. Nie jest to dziwaczne?

- No, nie całkiem. - Jonathan miał doświadczenie ze szwajcarskimi systemami telefonicznymi, które rywalizują jedynie z francuskim w sprawności. - Cała sprawa opiera się na założeniu, że najmniejszą odległość między dwoma punktami wyznacza sześcian.

- No cóż, ja myślałam, że to dziwaczne.

Podejrzewał, że nie miała żadnego określonego powodu, by do niego dzwonić i wyczuł ton bezradnego zakłopotania w jej głosie.

- Postaram się jutro z tobą zobaczyć, Gem.

- W porządku. Ale jeżeli poczujesz gwałtowny popęd, by wpaść do mnie dzisiaj wieczorem, spróbuję tak ułożyć swoje plany, by... - Dała za wygraną. Potem, po przerwie, dodała: - Kocham cię, Jonathan. - Cisza, która nastąpiła po tym wyznaniu, wprost błagała o odpowiedź. Gdy nie było żadnej, zaśmiała się bez powodu. - Nie mam zamiaru ci się narzucać.

- Wiem, że nie.

- Wspaniale! - zapewniła ze sztuczną wesołością. - A więc do jutra?

- Do jutra. - Przez chwilę nie odkładał słuchawki, mając nadzieję, że ona zrobi to pierwsza. Gdy tak się nie stało, położył ją delikatnie na widelkach, jak gdyby łagodząc koniec rozmowy.

Przez szparę w chmurach błysnęło słońce i grad z deszczem, padając pod kątem, przybrały w promieniach słonecznego światła srebrny odcień.

Dwie godziny później pięciu mężczyzn siedziało wokół stołu stojącego na środku pokoju Bena. Pochylali się nad dużym powiększeniem zdjęcia Eigeru, którego rogi były przyciśnięte karabinkami. Karl pociągnął palcem wzdłuż białej linii, którą nazaczył atramentem na gładkiej powierzchni.

Jonathan dostrzegł na pierwszy rzut oka, że proponowany wariant był kombinacją drogi Seldmayera/Mehringera i drogi klasycznej. Mieli się wspinać w linii spadku, niemal zupełnie nie trawersując, co wystawiało ich na zwykle w tym wypadku przeszkody - nieustannie spadające odłamki kamieni i lodu, których tor upadku pokrywałby się z linią wyznaczoną przez Karla.

- Tu wejdziemy w ścianę - powiedział Karl wskazując na punkt oddalony trzysta metrów na lewo od Pierwszego Filaru - i pójdziemy prosto w górę do Stacji Eigernordwand. Wejście jest trudne: piątka, miejscami szóstka, ale możliwe.

- Pierwsze dwieście pięćdziesiąt metrów to otwarta przestrzeń - skrytykował Ben. Istotnie ten pierwszy odcinek był całkowicie wystawiony na kamienie i bryły lodu, spadające po ścianie co rano, gdy słońce zwyciężyło mróz, który podczas nocy pracowicie zlepił luźny rumosz z podłożem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział Karl. - Zbadałem wszystkie niebezpieczeństwa. Konieczne będzie przejść ten etap wczesnym rankiem.

- Mów dalej! - ponaglał Jean-Paul, znęcony wizją, że będzie jednym z grupy, która pierwsza przejdzie ścianę bezpośrednią drogą, prosto w linii spadku wierzchołka.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, założymy nasz pierwszy obóz tutaj. - Palec Karla dotknął przelotnie ciemnego miejsca na pokrytej skorupą śniegu ścianie tuż nad Stacją Eigernordwand. Była tam długa galeria, którą wyżłobiono w górze podczas budowy tunelu kolejki na Jungfrau. Została ona wydrążona dla wentylacji i wyrzucania gruzu z głównego tunelu i stała się ulubionym miejscem postoju dla turystów, którzy podchodzili do jej dobrze zabezpieczonej krawędzi i gapili się w zapierającą dech próżnię.

- Pierwszego dnia powinniśmy dojść na wysokość Biwaku Śmierci. - Palec Karla wskazał pofalowaną ciemną plamę, gdzie należało się spodziewać mieszaniny lodu i kamieni. - I od tego miejsca podążymy drogą klasyczną. - Freytag zdawał sobie sprawę, że pominął część ściany, po której dotychczas się nie wspinało, rozejrzał się więc po siedzących w kole mężczyźni, gotowy, by przeciwstawić się zarzutom.

Anderl pochylił się nad powiększoną fotografią i patrzył przez kilka minut na wąski poprzeczny pas poniżej okna Stacji Eigernordwand. Pokiwał bardzo powoli głową.

- To może wyjść. Ale będziemy musieli omijać lód i trzymać się skały. To rynna, Karl. Założę się, że woda leje się tamtędy przez cały dzień. I jest to jakby stworzona przez naturę niecka dla lawin. Nie miałbym ochoty stać tam i kierować ruchem jak policjant, kiedy z rumorem będzie schodzić taka lawina.

Śmiech, który towarzyszył temu obrazowi, brzmiał nieco głucho. Jonathan odwrócił się od stołu i spojrzął na zamgloną łąkę pod oknem.

- Nikt jeszcze nie był na tej połaci ściany - powiedział Ben powoli. - Nie mamy pojęcia, jak to wygląda. A co, jeśli skała nie puści? Co, jeśli zostanieie zepchnięci na dół w sam środek rynny?

- Nie jestem zainteresowany samobójstwem, Herr Bowman. Jeżeli tędy nie puści, wycofamy się i podążymy szlakiem Seldmayera/Mehringera.

- Szlakiem, który zaprowadził ich do Biwaku Śmierci - uściślił Ben.

- Pogoda ich zabiła, Herr Bowman! Nie droga!

- Zawarł pan pakt o pogodzie z Bogiem?

- Proszę, proszę - wtrącił Jean-Paul. - Gdy Benjamin podaje w wątpliwość twój wariant, Karl, nie atakuje cię osobiście. Jeśli chodzi o mnie, szlak wydaje mi się ciekawy. - Odwrócił się do Jonathana, stojącego przy oknie. - Nic nie mówisz, Jonathanie? Jakie jest twoje zdanie?

Mgła opadła ze ściany i Jonathan odpowiedział, patrząc na górę, jakby się do niej zwracał:

- Muszę się upewnić co do paru rzeczy, Karl. Przyjmując, że dotrzemy do Trzeciego Pola Lodowego, tak jak planujesz, pozostała część wspinaczki odbędzie się drogą klasyczną, zgadza się? W górę przez Rampę, dalej przez Trawers Bogów do Pająka, potem przez Rysy Wyjściowe na pola podszczytowe?

- Właśnie.

Jonathan pokiwał głową i wyłuskał wzrokiem każdą z charakterystycznych nierówności na ścianie. Następnie spojrzał na ukośną rynnę Karla.

- Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że twój szlak nie nadaje się do odwrotu, gdyby nas coś wyżej zatrzymało.

- Planowanie odwrotu uważam za oznakę słabości.

- A ja nieplanowanie za objaw głupoty.

- Głupoty! - Karl starał się opanować. Następnie wzruszył ramionami, zirytowany, poddając się. - Dobrze. Pozostawiam planowanie powrotnej drogi doktorowi Hemlockowi. Ostatecznie ma większe doświadczenie w wycofywaniu się niż ja.

Ben zerknął na Jonathana, zaskoczony, że zareagował jedynie uśmiechem.

- Mogę więc uważać, że mój wariant został przyjęty? - zapytał Karl.

Jonathan pokiwał głową.

- Pod warunkiem, że polepszy się pogoda i zmrozi świeży śnieg. Bez tego żaden szlak nie będzie się nadawał do wspinaczki jeszcze przez kilka dni.

Jean-Paul zadowolony, że osiągnięto porozumienie, przyglądał się wraz z Karlem szczegółowo jeszcze raz szlakowi, podczas gdy Jonathan odciągnął na bok Anderla i spytał go, co sądzi na temat wspinaczki.

- Zabawnie będzie spróbować tę diagonalną rynnę. - To był jedyny komentarz Anderla.

Ben okazywał wyraźnie niezadowolenie z drogi, z zespołu, z całego pomysłu wspinaczki. Jonathan podszedł do niego.

- Postawić ci piwo?

- Nie, dziękuję.

- Co się dzieje?

- Nie mam ochoty na piwo. Mam ochotę rzucić to wszystko!

- Potrzebujemy ciebie.

- Ale mnie się to nie podoba.

- Jaka jest prognoza pogody?

Ben przyznał niechętnie, że zapowiedzi na trzy dni są naprawdę bardzo dobre: wysokie ciśnienie i spadek temperatury. Jonathan podzielił się tymi dobrymi wiadomościami z grupą i w zasadzie pełni ufności rozeszli się, obiecując sobie zjeść wspólnie kolację.

W porze kolacji pogoda w kotlinie poprawiła się w sposób odczuwalny, spadła temperatura i rozchmurzyło się. Na śniegu odbijało się światło księżyca i można było liczyć gwiazdy na niebie. Ta nieoczekiwana zmiana i pewne błędy ortograficzne w karcie stały się tematami rozmowy towarzyskiej na początku kolacji, ale niebawem konwersacja szóstki nie była już tak jednolita.

Jean-Paul i Karl rozmawiali po francusku, wyłącznie o wspinaczce i związanych z nią problemach. Karla cieszyła dokładność, z jaką rozważał każdą stronę zagadnienia, a Jean-Paul odczuwał przyjemność mogąc okazać zrozumienie.

Anna skupiła uwagę na Anderlu, przemieniając swój zwykły znudzony wyraz twarzy w swawolny i dyskretnie dając do zrozumienia, że docenia i interesuje się rozmówcą - strategią znana wszystkim doświadczonym kobietom: wkrótce też pobudziła go tak, że dał z siebie maksimum tego, na co było go stać w towarzyskich układach. Jonathan zauważył, że Anderl jest tylko parawanem dla jej pozamałżeńskiego flirtu, ale z przyjemnością patrzył, jak zazwyczaj małomówny Austriak dobrze się bawi, niezależnie od tego, czy podobał mu się powód tej zabawy.

Ben nie ukrywał, że ma stracha. Rozbabrał jedzenie, nie okazując ani głodu, ani zainteresowania tym, co na talerzu. Emocjonalnie nie czuł się związany z wspinającymi: nie stanowił już części zespołu, choć miał wykonywać swe obowiązki w sposób odpowiedzialny.

Jonathan włączał się to do jednej rozmowy, to do drugiej, wypowiadając swoje zdanie jedynie wtedy, gdy chwila milczenia lub spojrzenie współtowarzyszy zdawały się to prowokować. Ale wkrótce zamknął się w sobie, nie zauważony i nie oplakiwany przez nikogo. Martwił się wiadomością od Dragona. Wydział Ścigania nie ustalił jeszcze nazwiska jego celu. Co będzie, jeśli nie uda im się go wskazać do czasu rozpoczęcia wspinaczki? Czy będzie możliwe wykonanie zadania na ścianie?

I który to z nich? Najciężej przyszłoby mu zabijać Anderla, najłatwiej Karla. Ale nie tak zupełnie łatwo. Zawsze przed akcją dostaje się nazwisko wraz z mało ciekawą informacją Wydziału Ścigania dotyczącą nawyków i codziennych zajęć ofiary. Nigdy dotąd nie widział

wcześniej twarzy człowieka niż na kilka minut przed likwidacją.

- ...nie interesuje cię aż tak bardzo? - spytała Anna z rozbawieniem w oczach.
- Bardzo przepraszam. - Jonathan otrząsnął się z zadumy.
- Przez cały wieczór nie powiedziałeś dwudziestu słów. Czy aż tak cię nudzimy?
- Nie. Po prostu nie mam nic stosownego ani zabawnego do powiedzenia.
- I dlatego nic nie mówisz? - Karl zaśmiał się szczerze. - Zupełnie jakbyś nie był Amerykaninem!

Jonathan uśmiechnął się do niego, myśląc, jak straszliwie Karl czuł potrzebę, by być pierwsza klasa. Cecha Niemców - naród potrzebujący świetności.

Ben wstał i przeprosił, mamrocząc pod nosem, że jeśli pogoda się utrzyma - a nie może być co do tego pewności przed jutrzejszym dniem - wspinaczka zacznie się za dwadzieścia dziewięć godzin, w związku z czym sugeruje, by każdy wyspał się najdłużej, jak może, i przejrzał po raz ostatni osobisty ekwipunek. Po czym odszedł bezceremonialnie od stołu, a reporterów, którzy nagabywali go w holu, potraktował szczególnie oschle, klnąc i używając wulgarnych zwrotów.

- To, co powiedział Herr Bowman jest prawdą. Jeśli pogoda się utrzyma, powinniśmy wyruszyć stąd pojutrze o trzeciej nad ranem. - Karl wstał.

- Więc dzisiejsza noc jest naszą ostatnią? - Anna spojrzała na niego spokojnie, po czym przeniosła wzrok po kolei na wszystkich, poświęcając każdemu tyle samo czasu.

- Niekoniecznie ostatnia - stwierdził Jonathan. - Może uda nam się wrócić.
- Kiepski dowcip - oświadczył Karl.

Jonathan życzył rozchodzącej się grupie dobrej nocy, po czym usiadł jeszcze na chwilę, by w samotności wypić kawę i brandy. Znow owładnęły nim ponure myśli. Dragon miał tylko dwadzieścia cztery godziny na wskazanie celu.

Szczyt, cel i Jemima. A za tym wszystkim - jego dom i obrazy; to, co miało znaczenie.

Zauważył, że jest spięty, więc przesłał trochę uspokajających impulsów swemu systemowi nerwowemu, by zmniejszyć i opanować napięcie. Ale jego ramiona pozostały sztywne, musiał też popracować nad mięśniami twarzy, by pozbyć się marsowego wyrazu.

- Mogę się przysiąc? - Zdanie było pytające, ale nie jego intonacja.

Karl usiadł, zanim Jonathan odpowiedział. Zapadło krótkie milczenie, podczas którego Jonathan dopił brandy. Freytag czuł się skrępowany, nie siedział też tak wyprostowany jak zwykle.

- Przyszedłem, by zamienić z tobą słowo.
- Tak przypuszczałem. Słucham.

- Chciałbym ci podziękować za dzisiejsze popołudnie.

- Podziękować mi?

- Oczekiwałem, że nie zaakceptujesz mojej drogi... mojego przewodnictwa. Gdyby tak się stało, pozostali przyłączyliby się do ciebie. Herr Bowman jest w rzeczywistości przecież twoim człowiekiem. A Bidet idzie, skąd wiatr zawieje. - Karl spuścił wzrok, nie zmieniając swej wykrzywionej w łuk postawy. - Wiesz, to jest dla mnie ważne. Prowadzenie tej ekspedycji jest dla mnie ważne.

- Na to wygląda.

Freytag podniósł łyżkę i ostrożnie położył ją z powrotem na miejsce.

- Herr Doktor? - powiedział nie podnosząc wzroku. - Nie lubisz mnie zbytnio, prawda?

- Nie. Nie za bardzo.

Karl pokiwał głową.

- Tak myślałem. Wydaję ci się... niesympatyczny? - Spojrzał na Jonathana, męźnie próbując się uśmiechnąć.

- Niesympatyczny, tak. A także niewyrobiony towarzyszko i strasznie niepewny siebie.

- Ja? Niepewny siebie? - Karl zaśmiał się chrapliwie.

- Uhm. W ów charakterystyczny sposób, który cechuje typowego Niemca, kompensującego sobie w ten sposób uzasadnione poczucie niższości.

- Czy zawsze ludzie wydają ci się typowo tacy lub inni?

- Jedynie typowi.

- Życie musi być dla ciebie zupełnie nieskomplikowane!

- To nie życie, to większość ludzi, których poznaję, jest taka.

Freytag delikatnie poprawił wskazującym palcem łyżkę.

- Ładnie z twojej strony, że jesteś ze mną szczery, Herr Doktor. Teraz ja powinienem być z tobą szczery. Chciałbym, żebyś zrozumiał dlaczego kierowanie tą wspinaczką tyle dla mnie znaczy.

- To niepotrzebne.

- Mój ojciec...

- Naprawdę, Karl. Nie obchodzi mnie to.

- Mój ojciec nie wykazuje zrozumienia dla mego zainteresowania alpinizmem. Jestem ostatnim z rodu i jego życzeniem jest, bym poszedł w jego ślady i działał w biznesie. Wiesz, co wytwarza nasza korporacja?

Jonathan nie odpowiedział; był zaskoczony i czuł się niezręcznie słuchając łamiącego się głosu Karla; nie chciał być powiernikiem tego chłopaka.

- Nasza rodzina produkuje środki owadobójcze. - Karl spojrział przez okno w kierunku łańcuchów śniegu fluoryzujących w świetle księżyca. - I jest to poniekąd zabawne, jeśli uświadomisz sobie, że w czasie wojny produkowaliśmy... produkowaliśmy... - Karl zagryzł górną wargę, a jego oczy zmatowiały.

- Miałeś tylko pięć lat, gdy się skończyła wojna, Karl.

- Chcesz przez to powiedzieć, że to nie była moja wina?

- Chcę powiedzieć, że nie masz prawa udawać tragedii, którą z przyjemnością odgrywasz.

Karl spojrział na niego z goryczą, po czym odwrócił głowę.

- Mój ojciec myśli, że jestem niezdolny... zbyt niepoważny, by brać na siebie odpowiedzialność. Ale wkrótce będzie musiał mnie podziwiać. Powiedziałeś, że wydaję ci się niesympatyczny i niewyrobiony towarzyszko. Dobrze, pozwól mi coś powiedzieć. Nie muszę się bawić w towarzyskie finezje, by osiągnąć... to, co chcę osiągnąć. Jestem wspaniałym wspinaczem. Zarówno dzięki darowi natury, jak i intensywnemu treningowi. Lepszym od ciebie. Lepszym od Anderla. Gdy będziesz ze mną na linii, to zobaczysz. - Jego oczy były wielkie. - Któregoś dnia wszyscy będą mówić, że jestem wielkim wspinaczem. Tak! - Pokiwał krótko głową. - Tak. A mój ojciec będzie się mną chwalił przed swymi kumplami z biznesu.

W tym momencie Jonathan poczuł złość na chłopaka. Teraz przeprowadzenie akcji będzie trudne, bez względu na to, który to z nich.

- To wszystko, co mi chciałeś powiedzieć, Karl?

- Tak.

- Więc lepiej idź sobie. Przypuszczam, że pani Bidet czeka na ciebie.

- Powiedziała ci...?

- Nie. - Jonathan odwrócił się i spojrział na zewnątrz przez okno tam, gdzie góra znaczyła swą obecność dużym bezgwiezdnym obszarem na tle nocnego nieba.

Po chwili usłyszał, jak młody mężczyzna wstaje i wychodzi z restauracji.

KLEINE SCHEIDEGG

10 lipca

Jonathan obudził się późno, słońce błyszczało już w oknie i ogrzewało swymi promieniami jego pościel. Nie spieszyło mu się ze wstawaniem. Z restauracji wrócił późno; siedział tam i zerkał w stronę ciemnego prostokąta okna, za którym znajdował się niewidoczny Eiger. Jego myśli błądziły od wspinaczki do likwidacji i do Jemimy. Gdy w końcu zmusił się, by pójść do swego pokoju, żeby się przespać, natknął się w holu na Annę; zamykała właśnie drzwi do pokoju Karla.

Nie miała potarganych włosów ani pomiętej sukienki i stała patrząc na niego spokojnie, niemal pogardliwie, pewna jego dyskrecji.

- Mogę ci zaproponować szklaneczkę whisky przed snem? - zapytał, otwierając drzwi do swego pokoju.

- Z przyjemnością. - Weszła przed nim.

Popijali laphroaig w milczeniu. Osobliwa koleżeńska więź między nimi zrodziła się ze wspólnej świadomości, że nie stanowią dla siebie zagrożenia. Nigdy nie mieli pójść ze sobą do łóżka; cechowało ich oboje zachowywanie uczuciowego chłodu i wykorzystywanie ludzi, co zarazem chroniło ich nawzajem przed sobą.

- Błogosławieni niech będą potulni - dumiała Anna na głos - i powinniśmy ich naśladować.

Jonathan uśmiechnął się, przyznając jej rację, ale nagle spoważniał i zaczął nadsluchiwać odległego dudnienia.

- Burza? - zapytała.

Jonathan potrząsnął głową.

- Lawina.

Dudnienie dwa razy jeszcze przybrało na sile, a potem ustało. Jonathan dopił whisky.

- Musi to być przerażające tam na górze - powiedziała Anna.

- Tak, to jest przerażające.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego Jean-Paul upiera się wspinać w jego wieku.

- Nie możesz?

- Dla mnie? - Spojrzała na niego jakby wątpiać.

- Przecież dobrze wiesz.

Opuściła gęste rzęsy i zajrzała do szklanki z whisky.

- *Pauvre être* - powiedziała spokojnie.

Zmiany w stanie emocjonalnym całej szóstki były widoczne już przy śniadaniu. Benowi minął strach i powróciło typowe dla niego ciężkie poczucie humoru. Rzeźkie powietrze i bardzo wysokie ciśnienie, które nadeszło z północy, zwiększyły jego nadzieje na powodzenie wspinaczki. Świeży śnieg na wyższych polach lodowych nie zdążył zlodowacieć i przekształcić się w firn i dopóki pogoda miała się utrzymać, dopóty nie groziła większa lawina.

- Chyba że nadejdzie fen - osadził Bena Karl markotnie.

Prawdopodobieństwo nadejścia fenu kołacze gdzieś w głębi umysłu każdego alpinisty, ale po co o tym mówić! Nikt nie może ani przewidzieć, ani uchronić się przed tymi błakającymi się wirami ciepłego powietrza, które z rzadka nawiedzają Wyżynę Berneńską. Fen sprowadza na ścianę szalejące burze, a cieplejsze powietrze powoduje, że śnieg się zmienia i zaczynają schodzić lawiny.

Karl był także w zupełnie innym nastroju niż poprzedniego wieczoru. Rozdrażnienie, któremu pofolgował, zastąpiła teraz nerwowa agresja. Jednym z powodów, jak sobie wyobrażał Jonathan, było ubolewanie, że tak dał się ponieść emocjom w obecności Jonathana. A drugim - przespanie się z Anną, ciężar, z którym następnego ranka jego nasycona poczuciem grzechu protestancka moralność nie mogła się uporać na widok męża.

A Jean-Paul był naprawdę niedostępny tego ranka. Spięty i nerwowy, wyładowywał swój gniew na niezbyt roztropnym kelnerze. Jonathan wiedział, że Jean-Paula nękają wewnętrzne wątpliwości dotyczące wieku i zręczności, teraz gdy moment wspinaczki zbliżał się nieubłaganie.

Anderl, z twarzą wykrzywioną w szyderczym uśmiechu, wykazywał spokój niemal typowy dla jogi. Jego oczy patrzyły nie widząc, skoncentrował się całkiem na swoim wnętrzu. Jonathan odgadywał, że przygotowywał się emocjonalnie do wspinaczki, od której dzieliło ich osiemnaście godzin.

Przywołując całą swą ogładę towarzyską Jonathan i Anna przyjęli na siebie ciężar prowadzenia rozmowy. Anna nagle przerwała w połowie zdania, coś przy wejściu do jadalni zwróciło jej uwagę.

- Dobry Boże - powiedziała cicho, kładąc dłoń na ramieniu Jonathana.

Odwrócił się i zobaczył światowej sławy parę aktorów filmowych, którzy przybyli poprzedniego dnia, dołączając do Ptaków Eigeru. Stali w wejściu, szukając długo wolnego

stolika w częściowo pustej sali, dopóki nie stwierdzili z zadowoleniem, że wszystkie co ważniejsze osobistości zauważyły ich obecność. Kelner, drżący z usłużności, pośpieszył do nich i zaprowadził ich do stołu obok wspinaczy. Aktor ubrany był w białą marynarkę w stylu Nehru, miał też paciorki, kontrastujące z jego nalaną, naznaczoną krostami twarzą faceta w średnim wieku. Jego włosy były zmierzwione w artystycznym nieładzie. Żony nie można było nie zauważyć, gdyż ubrała się w luźne spodnie we wschodni wzór i szeroką bluzkę w ostro kontrastujących ze sobą kolorach; obszerność bluzki przyczyniała się walnie do stonowania jej pulchnych kształtów, a głęboki dekolt zaprojektowano tak, by natychmiast przyciągał oko ku tej jedynej mile widzianej obfitości. Między jej piersiami zwiślał olbrzymich rozmiarów diament. Oczy natomiast miała ciągle jeszcze piękne.

Kobieta usiadła, dopasowując się do krzesła, mężczyzna zaś podszedł do wspinaczy i nachylił się nad Jonathanem, jedną dłonią opierając się o ramię Anderla, drugą o Bena.

- Chciałbym wam życzyć, chłopcy, największego szczęścia na tym świecie! - powiedział, jak mógł najszczerzej i pamiętając o nienagannej dykcji. - Z wielu względów wam zazdroszczę. - Czyste niebieskie oczy były pełne niewypowiedzianego smutku. - Jest to coś, co powinienem był robić... kiedyś. - Następnie piękny uśmiech przepędził smutek. - No, trzymajcie się! - Ścisnął dłońmi ich ramiona. - Jeszcze raz, powodzenia! - Wrócił do żony, która wymachiwała niecierpliwie firką z nie przypalonym papierosem, a kiedy podał jej z opóźnieniem ognia, nie raczyła podziękować.

- Co to było? - zapytał Ben towarzystwo ścisłym głosem.

- Przypuszczam, że udzielił nam błogosławieństwa - odrzekł Jonathan.

- W każdym razie - powiedział Karl - odwróć od nas na jakiś czas uwagę reporterów.

- Gdzie, u diabła, podziewa się ten kelner! - pytał Jean-Paul gderliwie. - Ta kawa była zimna, już jak ją przyniósł!

Karl mrugnął znacząco.

- Anderl. Pogroź kelnerowi swoim nożem, to zaraz przybiegnie na jednej nodze.

Anderl zarumienił się i odwrócił wzrok, a Jonathan zrozumiał, że Freytag, wysilając się na humor, popełnił gafę. Zakłopotany nagłym chłodem przy stole, spowodowanym jego faux pas, Karl brnął dalej z typowo niemieckim instynktem naprawiania błędów, co w efekcie tylko je pogłębiało.

- Nie wiedziałeś, Herr Doktor? Meyer zawsze nosi przy sobie nóż. Mogę się założyć, że ma go teraz pod marynarką. Pokaż go nam, Anderl.

Anderl potrząsnął głową i odwrócił wzrok. Jean-Paul usiłował złagodzić brutalną inwigilację Freytaga, wyjaśniając szybko Jonathanowi i Benowi:

- Faktem jest, że Anderl wspina się w wielu częściach świata. Zazwyczaj sam. A wieśniacy, z których korzysta jako tragarzy, nie zawsze są godnymi zaufania ludźmi, szczególnie w Ameryce Południowej, co zresztą wiesz z własnego doświadczenia. Otóż, jednym słowem, w zeszłym roku biedny Anderl wspinał się sam w Andach i coś się przydarzyło tragarzowi, który kradł jedzenie... no... w każdym razie tragarz zginął.

- Obrona własna nie jest faktycznie zabijaniem - powiedział Ben, by coś powiedzieć.

- Nie zaatakował mnie - przyznał szczerze Anderl. - Po prostu kradł zapasy.

- I uważasz, że kara śmierci jest odpowiednia za złodziejstwo? - Freytag znowu włączył się do rozmowy.

- Nie rozumiesz. - Anderl spojrzał na niego ze szczerym zakłopotaniem. - Byliśmy sześć dni w górach. Bez żywności nie byłbym w stanie się wspinać. To nie było przyjemne. Prawdę mówiąc, czułem się bardzo źle. Ale inaczej nie miałbym szans w górach. - Najwyraźniej uważał to za wystarczające usprawiedliwienie.

Jonathan złapał się na myśli, w jaki sposób Anderl, będąc tak biednym, zebrał pieniądze na udział we wspinaczce na Eiger.

- No, Jonathan - powiedział Jean-Paul, wyraźnie tylko po to, by zmienić temat - miałeś dobrą noc?

- Spałem bardzo dobrze, dziękuję. A ty?

- Nie całkiem dobrze.

- To przykre! Może powinieneś odpocząć trochę po południu. Mam tabletki nasenne, jeśli chcesz.

- Nigdy z nich nie korzystam - powiedział oschle Bidet.

- Korzystasz z tabletek do spania w obozie, Herr Doktor? - spytał Karl.

- Zazwyczaj.

- Dlaczego? Niewygodna? Strach?

- Obie rzeczy.

Karl zaśmiał się.

- Interesująca taktyka. Przez to, że tak spokojnie przyznajesz się do strachu, robisz wrażenie człowieka bardzo roztropnego i odważnego. Muszę sobie to zapamiętać.

- Aha. Będziesz tego potrzebował?

- Prawdopodobnie nie. Ja także nie śpię nigdy dobrze w obozie. Ale u mnie to nie jest spowodowane strachem. Jestem za bardzo podekscytowany wspinaczką. A weźmy Anderla! Jest naprawdę zdumiewający! Przykleja się do stromej ściany i zasypia, jak gdyby związał się w kłębek pod pierzyną w domu.

- Czemu nie? - zapytał Anderl. - Zakładając najgorsze, jakie ma znaczenie czuwanie podczas upadku. Po to by rzucić ostatnie przelotne spojrzenie na krajobraz?

- Ach! - wykrzyknął Jean-Paul. - W końcu nasz kelner znalazł dla nas chwilę w swym przepełnionym harmonogramie!

Ale kelner przyszedł z liścikiem dla Jonathana na małej srebrnej tacy.

- To od tamtego pana - powiedział kelner.

Jonathan zerknął we wskazanym kierunku i żołądek mu się ścisnął.

Clement Pope. Siedział przy sąsiednim stole w sportowej marynarce w kratkę z żółtym fularem pod szyją. Pomachał ostentacyjnie Jonathanowi, w pełni zdając sobie sprawę, że tym samym zdradza jego tożsamość. Obronny, delikatny uśmiech pojawiał się powoli we wzroku Jonathana, w miarę jak opanowywał skurcz żołądka. Spojrzał na pozostałych członków grupy próbując odczytać z ich twarzy najmniejszy sygnał, dający mu do zrozumienia, że został rozpoznany, lub choćby ślad obawy w ich wzroku. Nie dostrzegł nic. Otworzył liścik, rzucił na niego okiem, po czym skinął głową i podziękował kelnerowi.

- Proszę także przynieść panu Bidetowi świeży dzbanek kawy.

- Nie, nie potrzeba - powiedział Jean-Paul. - Już nie mam na nią ochoty. Chyba wrócę do pokoju i odpocznę, jeśli pozwolicie. - Wypowiedziawszy to odszedł energicznym, gniewnym krokiem.

- Co się dzieje z Jean-Paulem? - zapytał Jonathan cicho Annę.

Wzruszyła ramionami; nie troszczyła się o to specjalnie akurat teraz.

- Znasz tego mężczyznę, który przysłał ci liścik? - zapytała.

- Może gdzieś się z nim spotkałem, ale go nie rozpoznaję. Dlaczego pytasz?

- Jeżeli kiedykolwiek jeszcze się z nim spotkasz, powinieneś napomknąć coś na temat ubierania się. Chyba że chce być brany za piosenkarza z musicalu lub Amerykanina.

- Zrobię to. Jeśli się z nim kiedyś znowu spotkam.

Uwagę Anderla pochłonęły dwie młode idiotki, do których mrugał poprzedniego dnia; przechodziły za oknem i machały do niego. Wzruszył ramionami i z wyrazem fatalistycznej nieuchronności na twarzy, przeprosił i wyszedł, by do nich dołączyć.

Natychmiast potem Karl zaprosił Annę, by towarzyszyła mu na spacerze do miasteczka.

I w ciągu trzech minut od pojawienia się Pope'a towarzystwo skurczyło się do Jonathana i Bena. Przez jakiś czas siedzieli milcząc i popijali zimną kawę. W pewnym momencie Jonathan, rzuciwszy przelotne spojrzenie, zauważył, że Pope zniknął.

- Hej, staruszkule? Co wstąpiło w Johna-Paula? - Ben zmienił błędną wymowę opartą na pisowni na równie błędną, ale opartą na słuchu.

- Sądzę, że po prostu jest zdenerwowany.

- Cóż, nerwowość to wspinała zaleta u alpinisty. Ale on jest bardziej niż zdenerwowany. Jest na coś wkurwiony! Nabijałeś jego żonę na pal?

Jonathan nie mógł powstrzymać śmiechu z powodu tak bezpośredniego pytania.

- Nie, Ben. Nie nabijałem.

- Jesteś pewien?

- Wiedziałbym o tym.

- Też tak myślę. Ostatnią rzeczą jakiej, chłopaki, potrzebujecie to porachunki. Widzę już was w ścianie, jak rzucacie w siebie czekanami.

Jonathan także mógł sobie wyobrazić ten obraz.

Ben zamyślił się na chwilę, nim powiedział:

- Wiesz, gdybym wspinał się na ten pagórek z kimkolwiek... oprócz ciebie, oczywiście, chciałbym być związany liną z Anderlem.

- To zrozumiałe. Ale lepiej trzymaj się z daleka od tego miodu.

- Aha! Zauważyłeś, że odkąd zdecydował się wspinać na tę górę, nie marnuje czasu?

- Zdecydowanie! - Jonathan wstał. - Idę do swojego pokoju. Do zobaczenia na kolacji.

- A na obiedzie?

- Nie. Będę w miasteczku.

- Czy jakaś kruszynka czeka tam na ciebie?

- Tak.

Jonathan usiadł przy oknie w swoim pokoju i patrzył przez okno na górę, porządkując myśli. Zuchwałe pojawienie się Pope'a było zaiste niespodzianką; przez chwilę nawet wyprowadziło go to z równowagi. Nie miał czasu, by się zastanawiać nad powodami Dragona, dla których tak bezceremonialnie ujawnił jego tożsamość. Ponieważ Dragon był przykuty na stałe do swej ciemnej, antyseptycznej celi w Nowym Jorku, osobę Clementa Pope'a powszechnie uważano za tę, która stoi na czele Wydziału Ścigania i Likwidacji. Istniał tylko jeden powód, dla którego w sposób tak jawny się z nim skontaktowano. Jonathan nie posiadał się ze złości, gdy to do niego dotarło.

Usłyszał pukanie, na które oczekiwał, więc podszedł do drzwi i otworzył je.

- Jak leci, Hemlock? - Pope wyciągnął swą szeroką rękę biznesmena, ale Jonathan zignorował ten gest i zamknął za nim drzwi. Pope usiadł, pochrzając, na krześle, które Jonathan Wcześniej zajmował. - Ładnie tu. Zaproponujesz mi drinka?

- O co chodzi, Pope?

Śmiech Pope'a pozbawiony był radości.

- W porządku, przyjacielu, jak chcesz tak grać, to się zabawimy. Porzućmy etykietę i przejdźmy do sedna sprawy. W porządku?

Wyciągnął mały plik kartek z wewnętrznej kieszeni swej marynarki, a Jonathan przy tej okazji zauważył, że Pope zaczyna przybierać na wadze. Wprawdzie dzięki temu, że uprawiał sport w szkole, choć powolny i masywny, nadal był silny, ale Jonathan jednak ocenił, że mógłby się go zupełnie łatwo pozbyć. I miał najszerszy zamiar, by się go pozbyć, tyle że nie wcześniej niż wyciągnie z niego przydatne informacje.

- Zaczniemy wpierrw od płotek, Hemlock, a oczyścimy w ten sposób przedpole.

- Dalej, Pope, rozwijaj te metafory! - Jonathan skrzyżował ręce i oparł się o ścianę przy drzwiach.

Pope spojrział na pierwszą kartkę.

- Nie ma pan żadnych wiadomości o miejscu pobytu agenta 365/55, niejakiej Jemimy Brown, zgadza się?

- Zgadza.

- Lepiej byłoby powiedzieć prawdę, przyjacielu. Pan Dragon będzie naprawdę po męsku wkurwiony, gdy odkryje, że wyrządził jej pan krzywdę. Wykonywała tylko nasze polecenia. A teraz znikła.

Jonathan pomyślał, że Jemima jest w miasteczku i że za godzinę ma się z nią spotkać.

- Wątpię, czy kiedykolwiek pan ją znajdzie.

- Nie zakładaj tego, dzieciно. Wydział ma długie ręce.

- Następna kartka.

Pope wsunął wierzchnią kartkę na spód pliku i spojrział na następną.

- Ach, tak. Narobiłeś nam kłopotów, dzieciно.

Jonathan uśmiechnął się, zachowując chłodny, opanowany wyraz oczu.

- Już dwa razy nazwał mnie pan „dzieciną”.

- To jest ta wesz, co cię gryzie, zgadza się?

- Tak. Właśnie - przyznał Jonathan z pokorną szczerością.

- No cóż, tak to już jest, przyjacielu. Dni, kiedy musieliśmy się martwić o pańskie uczucia, dawno minęły.

Jonathan wziął głęboki oddech, by się opanować, po czym zapytał:

- Mówił pan coś o kłopotach?

- Tak... Całe zespoły ludzi starały się dowiedzieć na tej pustyni, co się stało.

- I udało się im?

- Drugiego dnia natknęliśmy się na samochód i na tego typu. którego pan sprzątnął.

- A co z drugim?

- Milesem Melloughem? Musiałem wyjechać, zanim go znaleźliśmy. Ale gdy opuszczałem Nowy Jork, przekazano mi, że jeden z naszych zespołów go zlokalizował.

- Martwego, przypuszczam.

- Sztywnego na wieki. Słońce, głód, pragnienie. Nie wiedzą, co z tego stało się bezpośrednią przyczyną śmierci. Ale był *beaucoup* martwy. Pochowali go na pustyni. - Pope prychnął. - Zdziwiająca sprawa!

- Zdziwiająca?

- Musiało mu naprawdę brakować jedzenia na koniec!

- Tak?

- Tak! Zjadł psa!

Jonathan spuścił wzrok.

- Pan wie, ile nas to kosztowało? - kontynuował Pope. - Poszukiwania? I utrzymać całą rzecz w tajemnicy?

- Nie. Ale przypuszczam, że pan mi powie.

- Akurat nie powiem. To zbyt poufne. Ale trochę już nas zmęczyło to, jak wy, nieetatowi, marnotrawicie forszę.

- I to jest ta wesz, co ciebie gryzie, Pope? Fakt, że ludzie tacy jak ja zarabiają więcej za jedno zadanie niż ty w ciągu trzech lat.

Pope uśmiechnął się szyderczo, jego twarz wydawała się jakby stworzona dla tego wyrazu.

- Przyznaję, że byłoby oszczędniej - powiedział Jonathan - gdybyście wy, etatowi pracownicy, sami wykonywali wyroki. Ale ta robota wymaga zręczności i trochę fizycznej odwagi. A tych cech nie ma na rządowych formularzach.

- Nie jestem wkurwiony z powodu pieniędzy, które zarabia pan przy tych szczególnych robotach. Tym razem zresztą będziesz miał je okazję uczciwie zarobić, dziecińco.

- Miałem nadzieję, że okrężną drogą dojdzie pan i do tego tematu.

- No to zgadł pan... taki wielki profesor uniwersytecki powinien już to dawno zgadnąć do tej pory.

- Cieszę się, słysząc tę ocenę od pana.

- Wszystko, co pan zechce! Każdy ma to, co ma. - Błyskawicznie sięgnął po następną kartkę. - Wydział Ścigania nie miał szczęścia do pańskiego celu. Wiemy, że jest tutaj. I jest z panem na tej wspinaczce. Ale nie mamy pewności kto to.

- Miles Mellough wiedział.
- Powiedział panu?
- Proponował. Cena była zbyt wysoka.
- Czego chciał?
- Życ.

Pope podniósł wzrok znad kartki. Starał się wyglądać na opanowanego, gdy kiwał głową z umiarkowanym zrozumieniem. Ale kartki spadły mu z kolana i musiał schyliwszy się zgarniać je ręką.

Jonathan patrzył na niego z niesmakiem.

- Tak więc wystawiliście mnie, by cel sam się zdradził, zgadza się?
- Nie inaczej, braciszku. Wyobrażaliśmy sobie, że cel rozpozna mnie z widzenia. A teraz już się zorientował, że jesteś człowiekiem Wydziału Likwidacji. I to on musi cię dopaść, zanim ty dopadniesz jego. A gdy to zrobi, będę wiedział, kim jest.

- A kto dokona morderstwa, jeśli on mnie dopadnie? - Jonathan spojrział na Pope'a przeciągle. - Pan?

- Nie wierzy pan, żebym sobie poradził?
- W zamkniętej na klucz szafie? - Jonathan uśmiechnął się. - Może! Granatem!
- Lepiej się o to nie zakładaj, przyjacielu. W końcu możemy przysłać innego człowieka z Wydziału Likwidacji, by wykonał robotę.

- Przypuszczam, że to był pański pomysł?
- Dragon na niego przystał, ale wyszło to ode mnie.

Jonathan uśmiechnął się odrobinę wyzywająco.

- I oczywiście to nic nie znaczy, że ujawnił mnie pan, teraz gdy zdecydowałem nie pracować już dla was więcej.

- Cóż, to się zawsze właśnie tak układa. - Pope cieszył się tą chwilą zwycięstwa po tylu latach bolesnego odczuwania nie ukrywanej pogardy ze strony Jonathana.

- Co by się stało, gdybym po prostu odszedł i zapomniał o całej sprawie?
- Nie ma jak, przyjacielu. Nie weźmiesz swoich stu tysięcy; stracisz dom; skonfiskujemy twoje obrazy, no bo przecież zajęłoby ci trochę czasu, gdybyś chciał je przemycić gdzieś w głąb kraju. Jakie to jest uczucie znaleźć się w potrzasku, przyjacielu?

Jonathan przeszedł na drugą stronę pokoju, by wlać sobie laphroaiga. Zaśmiał się głośno.

- Dobra robota, Pope. Naprawdę bardzo dobra! Chce pan drinka?

Pope nie bardzo wiedział, jak się zachować wobec tej nieoczekiwanej serdeczności.

- No, wreszcie zaczął się pan zachowywać jak przystało na cywilizowanego człowieka, Hemlock! - Zaśmiał się biorąc szklaneczkę. - Hej, właśnie powiedziałem, że zachowuje się pan jak cywilizowany człowiek. Założę się, że ta Jemima Brown nigdy panu tego nie mówiła. Zgadza się?

Na twarzy Jonathana pojawił się pełen uroku uśmiech.

- Nie. Rzeczywiście nie.

- Hej, niech mi pan powie. Jaki jest ten czarny towar? Dobry, co?

Jonathan wypił połowę zawartości szklaneczki, usiadł na krześle stojącym naprzeciwko Pope'a i pochylił się ku niemu konfidencjonalnie.

- Wie pan co, Pope, właściwie powinienem był panu powiedzieć na początku, że mam zamiar zrobić z pana mały użytek. - Mrugnął żartobliwie. - Nie będzie pan miał nic przeciwko w tym przypadku, prawda?

- Zrobić ze mnie użytek? Co pan ma na myśli?

- Och, to po prostu żargon z West Side. Cóż, na wypadek gdyby Dragon wolał, żebym to ja wykonał wyrok, a przypuszczam, że tak jest, powinien mi pan udzielić trochę informacji. Wróćmy wspólnie do sprawy z Montrealu. Było dwóch mężczyzn zamieszanych w napad na tego... jak mu tam było?

- Wormwood. Był dobrym człowiekiem. Etatowy. - Pope przewertował szybko kilka kartek i rzucił pośpiesznie okiem na jedną. - Zgadza się. Dwóch mężczyzn.

- Jesteście tego pewni? Nie mężczyzna i kobieta?

- Jest napisane dwóch mężczyzn.

- W porządku. A jesteście pewni, że Wormwood zranił jednego z mężczyzn?

- Tak jest w raporcie. Jeden z nich kulał, gdy opuszczał hotel.

- Ale czy macie pewność, że został ranny? Czy mógł doznać obrażeń wcześniej? Może w górach?

- Raport mówi, że kulał. Czemu pan pyta? Czy jeden z tych ludzi doznał obrażeń w jakimś wypadku?

- Karl Freytag mówi, że uszkodził sobie nogę, kiedy odpadł od skały w zeszłym miesiącu.

- Więc Freytag może być pańskim człowiekiem.

- Możliwe. Co jeszcze ludzie z Wydziału Ścigania wyszperali o naszym człowieku?

- Prawie nic. Nie mógł być zawodowcem. W przeciwnym wypadku znaleźlibyśmy już do tej pory o nim jakieś poufne informacje.

- Mógł być tym, który rozciął Wormwooda?

- Może. Cały czas przypuszczaliśmy, że to właśnie Kruger go rozciął. To w jego stylu. Ale sądzę, że mogło być inaczej. Dlaczego pan pyta?

- Jeden ze wspinaczy jest zdolny zabić człowieka nożem. Bardzo niewielu ludzi potrafi to zrobić.

- To może to jest pański człowiek? Ktokolwiek to był, ma słaby żołądek.

- Wymioty na podłodze?

- Tak.

- Mogła to zrobić kobieta.

- Jest w tym jakaś kobieta?

- Żona Bideta. Może miała na sobie męskie ubranie. A to, że kulą to mogło być coś nieistotnego, na przykład... zwichnęła kostkę schodząc po schodach.

- Masz tu całą furę robactwa, dziecino.

Z jakiejś przewrotnej przyczyny Jonathana bawiło prowadzenie Pope'a przez labirynt domysłów, po którym sam błądził przez ostatnie dwie noce.

- Och, jest tego więcej, niż pan myśli. Cała ta sprawa kręci się wokół wojny drobnoustrojów i wzięwszy to pod uwagę, ciekawe jest, że jeden z tych mężczyzn posiada zakłady produkujące opakowania do aerozoli.

- Który?

- Bidet.

Pope pochylił się do przodu i zacisnął powieki, by się skoncentrować.

- Może jest pan na tropie.

- Może. - Jonathan uśmiechnął się do siebie. - Ale z drugiej strony, inny z nich zajmuje się produkcją środków owadobójczych, istnieje więc podstawa, by sądzić, że podczas wojny jego fabryka wytwarzała bardziej plugawe rzeczy.

- Jeden z nich dwóch, tak? Tak właśnie sobie pan wyobraża? - Pope spojrział nagle do góry, w oczach błysnęła mu jakaś myśl. - Albo może obaj!

- To jest możliwe, Pope. Ale z kolei: po co? Żaden z nich nie potrzebuje pieniędzy. Mogli wynająć kogoś do wykonania tej roboty. A trzeci wspinacz, Meyer, jest biedny. I potrzebował pieniędzy na tę wspinaczkę.

Pope pokiwał znacząco głową.

- Meyer mógłby być pańskim człowiekiem. - Spojrzął w oczy Jonathana i zaczerwienił się ze złości, uświadamiając sobie, że tamten naigrawa się z niego. Wypił duszkiem resztę drinka. - Kiedy pan uderzy?

- Och, myślałem, że poczekam, dopóki nie dowiem się, który z nich jest celem.

- Będę kręcił się w pobliżu hotelu, aż sprawa zostanie załatwiona.

- Nie, nie będzie pan. Wróci pan natychmiast do Stanów.

- W żadnym wypadku, przyjacielu.

- Zobaczymy. Jeszcze jedna sprawa, nim pan wyjdzie. Mellough powiedział mi, że to pan zapłacił mu za zlikwidowanie Henriego Baqa. Czy to prawda?

- Dowiedzieliśmy się, że przez niego przepływały informacje w obu kierunkach.

- Ale to pan go wystawił?

- Taka jest moja praca, przyjacielu.

Jonathan pokiwał głową. Zapatrzył się w przestrzeń.

- Cóż, przypuszczam, że to wszystko. - Wstał, by pokazać Pope'owi drzwi. - Powinien pan być z siebie zadowolony. Nawet jeśli jestem w potrzasku, nie mogę nie podziwiać zręczności, z jaką mnie pan wystawił.

Pope stanął na środku pokoju i przyjrzał się bacznie Jonathanowi, próbując rozeznaczyć, czy znowu z niego drwi. Doszedł do wniosku, że nie.

- Wiesz co, przyjacielu? Może gdybyśmy dali sobie wzajemnie szansę, zostalibyśmy naprawdę przyjaciółmi?

- Kto wie, Pope?

- A! Co do pańskiej broni. Czeka na pana w recepcji. Standard CII bez numeru seryjnego i z tłumikiem. Jest w pudełku cukierków, opakowanym w papier ozdobny.

Jonathan otworzył drzwi, a Pope wyszedł, ale odwrócił się jeszcze, rozłożył ręce po obu stronach framugi i oparł na nich ciężar całego swego ciała.

- Co miało oznaczać, że zrobi pan ze mnie użytek?

Jonathan zauważył, że Pope wsadził palce w szczelinę drzwi. To musi zboleć.

- Naprawdę chce pan wiedzieć?

Wyczuwając, że Jonathan znowu się z niego naigrawa, Pope przybrał jak najsurowszy wyraz twarzy.

- Lepiej żeby pan wbił sobie do głowy jedną rzecz, dziecińco. Jeśli o mnie chodzi, to od czasu wynalezienia środków antykoncepcyjnych nic nie zużywa się łatwiej niż wy, nieetatowi.

- Dobra.

Dwa palce Pope'a złamały się, kiedy Jonathan zamknął gwałtownie drzwi. Gdy je nagle otworzył, w oczach Pope'a odbijał się krzyk bólu, który nie zdążył przedostać się przez jego gardło. Jonathan chwycił go za pasek i szarpnął do przodu, podnosząc kolano. To był trafny strzał. Jonathan poczuł, że zrobił mu marmoladę z jąder. Pope zgiał się wpół, sapnąwszy

przez nos, co wyrzuciło smarka na jego brodę. Jonathan chwycił kołnierzyk jego marynarki i pchnął go do pokoju, głową na ścianę. Pope zgiął kolana, ale Jonathan podniósł go na równe nogi i zsunął mu z ramion sportową marynarkę w kratkę. Pope zemdlał, Jonathan tak pokierował jego ciałem, by przewrócił się w poprzek łóżka, twarzą ku materacowi, z ramionami unieruchomionymi po bokach przez marynarkę. Jonathan usztywnił kciuki, gdy dostrzegł miejsce tuż poniżej żeber, gdzie mógłby uszkodzić mu nerki.

Ale nie wbił kciuków.

Zatrzymał się, zmieszany i nagle pusty. Pozwoli Pope'owi odejść. Wiedział, że tak zrobi, mimo że trudno było mu w to uwierzyć. Pope zaplanował śmierć Henriego Baqa! Pope wystawił go jako przynętę! Pope powiedział nawet coś na temat Jemimy.

A on pozwoli mu odejść! Spojrzał na powyginany kształt, na idiotyczną sportową marynarkę, na zwisające bezwładnie, zwrócone do środka stopy omdlałych nóg; nie czuł w ogóle chłodnej nienawiści, która zazwyczaj pomagała mu w walce. Najwyraźniej coś z niego uszło.

Przewrócił Pope'a na grzbiet i poszedł do łazienki, gdzie zanurzył ręcznik w klozecie, trzymając go za jeden koniec, dopóki nie namókł. Gdy wrócił do pokoju, wyjął ręcznik nad twarzą Pope'a, a wstrząs, spowodowany zetknięciem z zimną wodą, prowokował odruchowe konwulsje w nieświadomym ciele. Następnie Jonathan nalał sobie małą porcję laphroaiga i usiadł na krześle, czekając, aż Pope oprzytomnieje.

Z nieludzkim stłumionym jękiem Pope w końcu wrócił do przytomności. Dwa razy próbował usiąść, nim ostatecznie mu się to udało. Ból pulsował - w palcach, pachwinach, głowie - tak, straszliwie, że nie mógł podciągnąć marynarki. Zsunął się z łóżka i usiadł na podłodze, oszołomiony.

- Wszystko będzie dobrze, Pope - powiedział Jonathan spokojnie. - Przez kilka dni może będzie pan chodził trochę dziwnie, ale przy odpowiedniej opiece lekarskiej dojdzie pan do siebie. Tutaj już na nic się pan nie przyda. Wróci pan więc do Stanów tak szybko, jak to możliwe. Rozumie pan?

Pope patrzył na niego wybałuszonymi oczyma, z których wyzierało niezrozumienie. Nadal nie wiedział, co mu się stało.

- Wraca pan do Stanów - powtórzył powoli Jonathan. - Teraz. I już nigdy więcej pana nie zobaczę. Zrozumiał pan?

Pope przytaknął ociężale.

Jonathan pomógł mu wstać i właściwie go niosąc, doprowadził do drzwi. Pope przytrzymał się ich kurczowo; chciał się podeprzeć. W Jonathanie odezwał się nauczyciel.

Wykańczanie, jak: rozrywanie na kawałki, wyrządzanie krzywdy, zadawanie bólu jest karalne.

Pope odchodząc wczepiał się w ścianę i Jonathan zamknął drzwi.

Potem otworzył futerał swej przenośnej maszyny do pisania i wyciągnął tytoń i bibułę, by zrobić sobie skręta. Usiadł wygodnie na krześle, przytrzymując dym tak długo, jak się dało, w górnej części płuc, zanim go wypuścił. Henri Baq był przyjacielem. A on pozwolił Pope'owi odejść!

Jemima siedziała naprzeciwko niego w ciemnym wnętrzu kafejki, milczeli już co najmniej kwadrans, a jej oczy badały jego twarz i malujący się na niej zimny, niejasny wyraz.

- To nie milczenie mnie niepokoi - powiedziała w końcu. - To grzeczność.

Jonathan powrócił myślami do teraźniejszości.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

- To właśnie mam na myśli. - Uśmiechnęła się smutno.

- Przepraszam. - Jonathan wziął głęboki oddech i spróbował się skoncentrować. - Moje myśli wybiegają naprzód, do jutrzejszego dnia.

- Przez cały czas mówisz mi takie rzeczy jak przepraszam, słucham i proszę, podaj mi sól. A wiesz, co mnie naprawdę niepokoi?

- Co?

- Nawet nie mam soli.

- Jest pani fantastyczna, madame - zaśmiał się Jonathan.

- Tak, ale co z tego mam? Tylko te przepraszam, wybac mi, przykro mi.

- Masz rację. - Uśmiechnął się. - Stanowię marne towarzystwo. Ja...

- Powiedz przepraszam, a kopnę cię w nogę!

Dotknął jej palców. Jej żartobliwy nastrój natychmiast się ulotnił. Pod stołem ścisnęła jego nogi swoimi.

- Co ze mną zrobisz, Jonathanie?

- Co masz na myśli?

- Jestem do twojej dyspozycji! Mógłbyś mnie pocałować lub uściskać dłoń, kochać się ze mną albo ożenić, powiedzieć coś do mnie lub uderzyć mnie, lub... kiwasz powoli głową to w jedną, to w drugą stronę, co oznacza, że nie masz zamiaru ani mnie uderzyć, ani kochać się ze mną, ani zupełnie nic, tak?

- Chcę, żebyś wróciła do domu, Gem.

Spojrzała na niego, a jej oczy błyszczały dumą i bólem.

- Niech cię cholera weźmie, Jonathanie Hemlock! Jesteś Bogiem czy co? Wymyśliłeś sobie swój dekalog zasad i jeśli ktoś cię zrani lub oszuka, to ty go przeganasz, jakbyś był maszyną do wykonywania wyroków! - Była zła, ponieważ w jej oczach pokazały się niechciane łzy. Otarła je grzbietem dłoni. - Nie ma dla ciebie żadnej różnicy między taką osobą jak Miles Mellough a taką jak ja... która cię kocha. - Nie podniosła głosu, ale w wyraźnie wypowiedzianych słowach można było wyczuć gniew.

- Posłuchaj! - odpowiedział Jonathan tak samo stanowczym tonem. - Nie miałbym z tym tutaj do czynienia, gdybyś mnie nie okradła. Przyprowadziłem cię do mego domu. Pokazałem ci moje obrazy. Nawet kochałem cię przez krótki moment. A ty co zrobiłaś? Umożliwiłaś Dragonowi wpędzenie mnie w tę sytuację, w której mam cholernie małą szansę przeżycia. Opowiadaj mi więc dalej o miłości!

- Ale... ja ciebie w ogóle nie znałam, gdy przydzielono mi zadanie!

- Wzięłaś pieniądze rano. Potem.

Cisza, która zapadła, podkreśliła jeszcze znaczenie słów. Po jakimś czasie próbowała się tłumaczyć, ale szybko tego zaniechała.

Podszedł kelner z dzbankiem kawy i jego obecność zmroziła ich ostatecznie. Ochłonęli podczas tej chwili niezręcznego milczenia. Gdy kelner odszedł, Jemima powściągnęła swe emocje, wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się.

- Przepraszam, Jonathanie!

- Powiedz jeszcze raz przepraszam, a kopnę cię w nogę. Ostrość konfliktu zniknęła.

Wypiła mały łyk kawy.

- Czy to poważne? Ta sprawa na górze?

- Mam nadzieję, że nie będzie miała miejsca na górze.

- Ale czy to poważne?

- Mokre.

Zadrżała.

- Zawsze nienawidziłam tego zwrotu: mokra robota. Czy jest coś, co mogłabym zrobić?

- Zupełnie nic, Jemimo. Po prostu trzymaj się od tego z daleka. Jedź do domu.

Gdy się odezwała, jej głos był suchy: po prostu rozważała sytuację, bezstronnie i z dystansem.

- Chyba damy sobie z tym spokój, Jonathanie. Ludzie tacy jak my rzadko kiedy się zakochują. To nawet śmieszne, myśleć o ludziach jak my: zakochani. Tyle że to się zdarzyło i zakochaliśmy się. I byłoby szkoda... byłoby cholernie szkoda... - Wzruszyła ramionami i spuściła wzrok.

- Gem. Coś się ze mną dzieje. Ja... hmm... - Niemal się wstydził to powiedzieć: - Pozwoliłem dzisiaj Pope'owi odejść. Nie wiem dlaczego. Po prostu... było mi wszystko jedno.

- Co masz na myśli mówiąc, że pozwoliłeś Pope'owi odejść?

- Szczegóły nie są ważne. Ale coś niesamowitego... niepokojącego... dzieje się. Może za kilka lat...

- Nie!

Zaskoczyła go ta natychmiastowa reakcja.

- Nie, Jonathanie! Jestem dorosłą, atrakcyjną kobietą. I nie widzę siebie siedzącej i czekającej na ciebie, dopóki dostatecznie nie dojrzejesz lub dostatecznie się nie zmęczysz, by zapukać do mych drzwi.

Rozmyślał o tym przez chwilę, zanim odpowiedział.

- To się trzyma kupy, Gem.

Pili kawę w milczeniu. Następnie podniosła na niego wzrok, a w cętkowanych oczach widać było, jak narasta w niej świadomość tego faktu.

- Jezu Chryste! - szepnęła zdumiona. - To naprawdę tak jest! Zaprzepaścimy to! Powiemy sobie do widzenia. I to będzie wszystko!

- Czy możesz dzisiaj polecieć do Stanów? - zapytał łagodnie Jonathan.

Skoncentrowała się na serwetce leżącej na jej kolanach, wygładzając ją dłońmi wciąż na nowo.

- Nie wiem. Myślę, że tak.

Jonathan wstał, dotknął jej policzka zewnętrzną stroną palców i opuścił kafejkę.

Ostatni wspólny posiłek wspinacze spożywali w napięciu; nikt nie jadł dużo prócz Anderla, który nie znał uczucia strachu, i Bena, ale on przecież nie miał się wspiąć. Jonathan obserwował każdego ze swych towarzyszy, spodziewając się wytropić jakieś ślady reakcji na przybycie Clementa Pope'a; zauważył wszelkie oznaki niepokoju, ale przecież były one naturalne, i zważywszy zbliżającą się wspinaczkę, co czyniło niemożliwym rozwikłanie ich przyczyn. Bidet zamienił zły humor, który demonstrował rano, na opanowaną sztywność; Anna zaś postanowiła trwać przy swojej zwykłej obronnej pozie - rozbawieniu. Karl potraktował nałożoną na siebie odpowiedzialność zbyt poważnie, by pozwolić sobie na respektowanie towarzyskich szablonów. Pomimo butelki szampana przysłanej na stół przez greckiego handlowca przy posiłku zalegała co chwila cisza, której zrazu nikt nie zauważał, ale wreszcie zaczęła ciążyć wszystkim coraz bardziej, więc starali się do niej nie dopuścić,

prowadząc nadmiernie wesołą rozmowę, na którą składał się potok niedopowiedzianych zdań i bezsensownych werbalnych zawilości.

Chociaż pomieszczenie wypełnione było Ptakami Eigeru, jak zawsze krzykliwie się zachowującymi, słychać było wyraźną zmianę w tonie ich rozmów. Brakowało jej prawdziwej energii. Czasem wybuchał dziewczęcy śmiech *allegro vivace sforzando* niósł się pośród typowego dla średniego wieku monotonnego męskiego *ponderoso*. Ale podstawowy ton stanowiło *basso ostinato* zniecierpliwienia. Kiedy zacznie się wspinaczka? Spędzili tu już dwa dni. Był interes do załatwienia i przyjemność do zaliczenia. Kiedy to nastąpi? Czy Bóg o tym zapomniał?

Aktor i jego pstrokato upierzona towarzysząca przyszli do jadalni późno, jak to było w ich zwyczaju, i szeroko pomachali wspinaczom, mając nadzieję wywołać wrażenie, że są przez nich faworyzowani.

Posiłek zakończył się wręcz urzędowo, a to z powodu zbędnych poleceń Karła, by każdy poszedł spać jak najszybciej. Zapowiedział wspinaczom, że na dwie godziny przed świtem będzie chodził po pokojach, budząc każdego, aby mogli się wymknąć, zanim goście i reporterzy dowiedzą się, że już poszli.

W pokoju Jonathana światło było zgaszone. Odbijający się od śniegu blask księżyca za oknem powodował, że nakrochmalona pościel łóżka żarzyła się własną fosforescencją. Usiadł w ciemności; na jego podolku leżał rewolwer, który zostawił mu Pope, ciężki i niezgrabny, z tłumikiem, który nadawał mu wygląd ledwo przypominający wyrób z żelaza. Gdy odbierał paczkę (prezent w postaci cukierków podarowywany przez jednego mężczyznę drugiemu wywołał zdziwienie u pracownika recepcji), dowiedział się, że Pope wyjechał do Stanów jak tylko udzielono mu pierwszej pomocy po - jak to sam z wyobraźnią określił - serii poślizgnięć w wannie.

Chociaż potrzebował snu przed wspinaczką, Jonathan nie odważył się wziąć tabletki. Ta noc była ostatnią szansą dla celu, by wykonał swój obronny ruch - chyba że postanowił poczekać, aż znajdą się w górach. Co prawda atak na tak niebezpiecznej górze może narazić na szwank wszystkich związanych liną, ale za to z pewnością nie zostawi żadnych dowodów. Jonathan zastanawiał się, jak zaciekły był cel; i jak sprytny?

Ale zdręczanie się nie miało sensu. Wstał z fotela i rozłożył śpiwór na podłodze naprzeciwko drzwi, skąd mógł zobaczyć każdego, kto wchodził obrysowanego światłem z korytarza. Wśliznął się do śpiwora, odbezpieczył rewolwer i odciągnął kurek - dwa dźwięki, których nie będzie słychać później, gdy każdy odgłos może mieć znaczenie. Położył broń na podłodze obok siebie i spróbował zasnąć.

Nie pokładał wielkiej wiary w tego rodzaju przygotowaniach. Były dokładnie takie, jakie zawsze czyniły cele jego likwidacji, oczywiście daremnie. Jego brak zaufania do tych metod nie był bezpodstawny. Okazało się bowiem, że w trakcie przewracania się i układania do snu, przekręcił się na broń i przesunęła się pod śpiwór, stając się dla niego niemal niedostępna.

Musiał zasnąć, ponieważ gdy nagle się ocknął, nie otworzywszy jeszcze oczu, zdał sobie sprawę, że do pokoju wtargnęło światło i ktoś się w nim porusza.

Otworzył oczy. Drzwi były uchylone i jakiś mężczyzna - Bidet! - stał obramowany złotym prostokątem. Broń w jego dłoni błysnęła srebrem na tle czarnych drzwi, gdy ukradkiem zamykał je za sobą. Jonathan nie ruszał się. Czuł ucisk swej własnej broni pod krzyżem i przeklinał złośliwość losu, który ją tam wsunął. Ciemna, masywna postać zbliżyła się do jego łóżka.

Mimo że odezwał się cicho, wydawało się, że głos Jonathana wypełnia ciemny pokój.

- Nie ruszaj się, Jean-Paul.

Bidet zastygł, skonfundowany kierunkiem, z którego doszedł dźwięk.

Jonathan natychmiast uświadomił sobie, jak powinien to rozegrać. Musi utrzymać ciche, autorytatywne, monotonne brzmienie swego głosu.

- Widzę cię doskonale, Jean-Paul. Zabiję cię z całą pewnością, jeśli wykonasz najmniejszy nierozważny ruch. Rozumiesz?

- Tak. - Odpowiedział Bidet po dłuższym milczeniu, ochryplym, pełnym strachu głosem.

- Zaraz po twojej prawej stronie jest nocna lampka. Wyciągnij ku niej rękę, ale nie zapalaj, dopóki ci nie powiem.

Dosłyszał szelest, gdy Bidet wykonywał ruch.

- Dotykam jej - powiedział.

Jonathan nie zmienił hipnotyzującej monotonii swego głosu, ale instynktownie wyczuł, że nie ma już sensu przedłużać tego blefu.

- Zapal lampę. Ale nie odwracaj się do mnie. Patrz na światło. Zrozumiałeś? - Jonathan bał się wykonać zbyt gwałtownego ruchu, jakiego wymagało wyciągnięcie ręki i wsadzenie jej pod śpiwór po broń. - Rozumiesz, Jean-Paul?

- Tak.

- A teraz zrób to powoli. Teraz. - Jonathan wiedział, że to nie wyjdzie!

Miał rację. Bidet zrobił, co mu kazał, ale nie powoli. W momencie gdy pokój zalało migoczące światło, obrócił się w stronę bezsensownie uwięzionego w puchowym kokonie

Jonathana i podniósł broń. Ale nie wystrzelił. Utkwił pełen przerażenia i złości wzrok w Jonathanie.

Jonathan bardzo wolno podniósł dłoń w śpiworze i wycelował palec w Bideta, który z trudem przetykał ślinę; zdał sobie sprawę, że wypukłość wymierzona jest w jego dołek pod piersiami. Żaden z nich nie ruszał się przez kilka sekund. Jonathan czuł bolesny ucisk broni pod barkiem. Ale uśmiechał się.

- W moim kraju nazywają to meksykańskim patem. Nieważne kto z nas strzeli pierwszy, zginiemy obaj.

- Jak zazwyczaj rozwiązuje się takie sytuacje w twoim kraju?

Jonathan podziwiał opanowanie Bideta.

- Konwenans przewiduje, że obaj mężczyźni składają broń i omawiają sprawę. W ten sposób wiele śpiworów uratowano przed uszkodzeniem.

Bidet zaśmiał się.

- Nie miałem zamiaru cię zastrzelić, Jonathanie.

- Przypuszczam, że zmylił mnie twój rewolwer, Jean-Paul.

- Chciałem tylko wyrzucić na tobie wrażenie. Może przstraszyć cię. Nie wiem. To był idiotyczny pomysł. Rewolwer nie jest nawet nabity.

- W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko temu, by rzucić go na łóżko.

Przez chwilę Bidet nie ruszał się, potem opuścił ramiona i wypuścił rewolwer na łóżko. Jonathan powoli uniósł się na łokciu, cały czas trzymając palec wycelowany w Jean-Paula, podczas gdy drugą rękę wsunął pod śpiwór i odzyskał broń. Gdy Bidet zobaczył ją wyłaniającą się spod nieprzemakalnego materiału, wrzucił ramionami z galijskim gestem fatalistycznego uznania.

- Jesteś bardzo odważny, Jonathanie!

- Nie miałem w rzeczywistości innego wyboru.

- W każdym razie jesteś bardziej pomysłowy. Ale to nie było potrzebne. Jak już powiedziałem, nawet nie naładowałem broni.

Jonathan z wysiłkiem wy dostał się ze śpiwora i przeszedł do fotela, na którym usiadł, trzymając przez cały czas broń wycelowaną w Bideta.

- Dobrze, że nie zdecydowałeś się strzelać. Czuję się głupio poruszając w jedną i drugą stronę palcem i mówiąc bang, bang.

- Czy to nie jest tak, że obaj mężczyźni powinni odłożyć broń według zasad meksykańskiego, jak mu tam?

- Nigdy nie wierz gringowi. - Jonathan był odprężony i pewny siebie. Miał pewność:

Jean-Paul to amator. - Przyszedłeś, zdaje się, w określonym celu?

Jean-Paul przypatrzył się swej dłoni, pocierając jej linie kciukiem.

- Chyba wrócę do swego pokoju, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Już wyszedłem na głupka w twoich oczach. Nic nie zyskam, pogłębiając to wrażenie.

- Myślę, że należy mi się jakieś wytłumaczenie. Twoje wejście do mojego pokoju było... powiedzmy: nieprzepisowe.

Bidet usiadł ociężale na łóżku, nagle pozbawiony sił, odwrócił wzrok i wydawał się tak bardzo wypompowany, że Jonathana nie niepokoił nawet rewolwer znajdujący się teraz w zasięgu ręki tamtego.

- Nie ma nic bardziej komicznego na świecie, Jonathanie, niż obrażony rogacz. - Uśmiechnął się smutno. - Nigdy nie myślałem, że przyłapię się na graniu Pantalone.

Jonathan doświadczył owej nieprzyjemnej kombinacji litości i odrazy, którą zawsze odczuwał wobec słabych emocjonalnie, a szczególnie tych, co nie umieli panować nad swym uczuciowym życiem.

- Ale już nie mogę być bardziej śmieszny w twoich oczach - ciągnął Bidet. - Wyobrażam sobie, że znasz moje fizyczne ograniczenia. Anna zazwyczaj opowiada o tym swojej stadninie. Z jakichś powodów inspiruje ich to do większych wyczynów ku jej korzyści.

- Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji, wymagającej ode mnie przyznania się do niewinności, Jean-Paul.

Jean-Paul spojrzał na Jonathana z nieszczerym obrzydzeniem w oczach.

- Nie musisz się mną przejmować!

- Muszę. Będziemy się razem wspinać. Pozwól mi powiedzieć to wprost: nie spałem z Anną i jestem pewien, że wszelkie moje starania w tej materii zostałyby przyjęte przez nią ze wzgardą.

- Ale ostatniej nocy...

- Co ostatniej nocy?

- Była tutaj.

- Skąd o tym wiesz?

- Brakowało mi jej... Szukałem jej... Podśluchiwałem pod twoimi drzwiami. - Odwrócił wzrok. - To podłe, prawda?

- Prawda. Anna była tu ostatniej nocy. Spotkałem ją na korytarzu i zaproponowałem drinka. Nie kochaliśmy się.

Jean-Paul podniósł swój rewolwer, myślami błądząc gdzie indziej, i bawił się nim,

podczas gdy mówił. Jonathan wiedział, że nie ma niebezpieczeństwa; przestał uważać Bideta za potencjalnego mordercę.

- Nie. Kochała się ostatniej nocy. Dotykałem jej później. Wnioskuje to z...

- Nie chcę o tym słuchać. Nie przejawiam klinicznej ciekawości, nie jest to też konfesjonał.

Jean-Paul bawił się małym włoskim rewolwerem automatycznym.

- Nie powinienem był tu przychodzić. Moje zachowanie jest w złym guście, jeszcze gorsze niż Anny, która zachowała się jedynie niemoralnie. Pozwól mi to przypisać stresowi spowodowanemu wspinaczką. Wiązałem wielkie nadzieje z tą wspinaczką. Myślałem, że jeżeli Anna zobaczy, jak wspinam się na górę, do której bardzo niewielu ludzi odważyłoby się nawet zbliżyć... to może w jakiś sposób... Nie wiem. Cokolwiek sądziłem, była to bezsensowna nadzieja. - Spojrzał na Jonathana przybity. - Gardzisz mną?

- Mój podziw dla ciebie nie ma granic.

- Ładnie się wyrażasz. No ale masz tę umysłową przewagę, że nic cię nie wzrusza.

- Wierzysz mi co do Anny?

- Nie, Jonathanie. - Jean-Paul uśmiechnął się smutno. - Nie wierzę ci. Jestem rogaczem, ale nie głupkiem. Jeśli nie miałeś powodów, by mnie się obawiać, to dlaczego leżałeś tam na podłodze, oczekując mojej zemsty?

Nie mógł wyjaśnić, więc nawet nie próbował.

Jean-Paul westchnął.

- Dobrze, wróć do swego pokoju, by wstydzić się na osobności, a ty będziesz zwolniony z obowiązku litowania się nade mną i nienawidzenia mnie. - W geście dramatycznej determinacji pociągnął za suwak rewolweru i nabój wyskoczył z komory, uderzył o ścianę i upadł na dywan. Obaj mężczyźni patrzyli na błyszczący mosiądz z zaskoczeniem. Jean-Paul zaśmiał się bezradośnie.

- Dałem się oszukać jeszcze łatwiej, niż myślałem. Przysięgłbym, że ten rewolwer nie był nabity.

Wyszedł, nie mówiąc dobranoc.

Jonathan zapalił papierosa i łyknął tabletkę nasenną, zanim ułożył się ponownie do snu, tym razem w łóżku, uznał je bowiem już teraz za bezpieczne, opierając się na tej samej przesądnej wierze, która skłania pilotów bombowców do wpadania w zasłonę przeciwlotniczą lub drwali do szukania schronienia przed burzami pod rozłupanymi piorunem drzewami.

EIGER

11 lipca

Ciche odgłosy ich mozolnego marszu i syk alpejskiej trawy pod ich podeszwami, mokrej i śliskiej od rosy, były jedynymi dźwiękami, jakie dawały się słyszeć, gdy szli gęsiego w stronę podstawy góry. Jonathan szedł na końcu; podniósł wzrok na górskie gwiazdy, świecące zimnym blaskiem i jeszcze całkiem dobrze widoczne, pomimo groźby przytłumienia ich blasku, którą niósł świt. Wspinacze szli nie obarczeni ciężarem plecaków, liny i sprzętu. Ben i trzech młodych wspinaczy z tych, którzy rozlokowali się w namiotach na łące, poszli przodem, niosąc ciężary aż do stóp piargowego zbocza.

Cisza, wczesna godzina, doniosłość celu wzbudziły w zespole poczucie nierealności i emocjonalnej nierównowagi; tak zresztą zwykle bywa przy poważniejszej wspinaczce. Jak zawsze tuż i przed wspinaczką Jonathan wprost chłonał fizyczne bodźce. Czuł i mrowienie w ciele i uniesienie wywołane oczekiwaniem. Wspaniale przygotowane do ciężkiej wspinaczki nogi, połykały płaski grunt bez najmniejszego wysiłku. Orzeźwiający muśnięcia poprzedzającego świt wiatru na karku, zapach trawy, fizyczna gęstość ciemności wokół niego - Jonathan skupiał się po kolei na każdym szczególe, delektował się doznaniem, odwołując się raczej do tego, co przechowywały w pamięci jego zmysły niż do intelektu. Nieodmiennie dziwiło to odczucie niezwyklej doniosłości pospolitych doznań tuż przed ciężką wspinaczką. Choć przecież wiedział, że to zwracanie uwagi na szczegóły jest związane ze zmiennością świata zmysłów. I wiedział, że to nie wiatrowi, nie trawie, nie nocy groziła śmierć, lecz rozumnemu zwierzęciu. Ale nigdy nie zastanawiał się nad tym dłużej.

Jean-Paul zwolnił kroku i odwrócił się do Jonathana, który oczywiście miał mu za złe to wtargnięcie w jego święty kontakt ze zwykłymi doznaniem.

- Jonathan, co do ostatniej nocy...

- Nie myśl o tym!

- Zapomnisz mi to?

- Oczywiście!

- Wątpię!

Jonathan wydłużył krok, zostawiając Jean-Paula ze sobą.

Zbliżyli się do migających jak robaczki świętojańskie świateł, które prowadziły ich, gdy szli przez łąkę, do Bena oraz jego grupy ochotników, rozkładających i sprawdzających sprzęt

w świetle latarek. Karl jako prowadzący uznał za niezbędne udzielenie paru zbytecznych wskazówek, w czasie gdy grupa sprawnie porządkowała sprzęt. Ben psioczył mocno na zimno i wczesną porę, oczywiście tylko po to, by nie dopuścić do zalegnięcia ciszy. Czuł się pusty i niepotrzebny. Skończył się jego udział we wspinaczce; wróci na Kleine Scheidegg, by stawić czoło reporterom i obserwować postępy wspinaczy przez teleskop. Włączy się ponownie aktywnie do wyprawy, jeśli cokolwiek się zdarzy i będzie musiał zorganizować pomoc.

Stojąc blisko Jonathana, ale patrząc w kierunku góry, która rysowała się głębszą czernią wśród ciemności, Ben potarł swój szeroki nos, po czym wciągnął głęboko powietrze.

- A teraz słuchaj mnie, starszku. Albo zejdziesz z tego pagórka w jednym kawałku albo kopnę cię w tyłek.

- Ben, jesteś rozmamłanym sentymentalistą.

- Tak, chyba tak. - Ben odszedł. Gdyby byli młodszy i bardziej spontaniczni, z pewnością uściskałby dłoń Jonathanowi, a tak tylko burkliwie nakazał ochotnikom, by wracali z nim do hotelu.

Wspinacze ruszyli w ciemności, przedzierając się przez osypisko na skalny rumosz u podstawy. Zanim dotknęli właściwej ściany, pierwsze światło zaznaczyło kształty czarnej bryły. W tym nikłym oświetleniu skała i łąty śniegu wydawały się tworzyć jedną brudną szarość. Normalnie skała Eigeru jest po prostu szara, barwą utworzoną przez równomierne połączenie uzupełniających się kolorów, a nie brudnoburą mieszanką czerni i bieli. A śnieg w rzeczywistości przecież był świeży, nie okopcony, nie wydziobany przez roztopy. To światło było brudne i plamiło wszystko, co oblewało.

Związali się linami; tak jak planowali mieli niższą partię ściany pokonać w dwóch oddzielnych zespołach idących równolegle. Freytag i Bidet razem i oczywiście Freytag wpiął sobie większość ich haków do pasa; zamierzał prowadzić przez cały czas. Jonathan i Anderl podzielili się żelastwem, ponieważ zawarli, nie potrzebując zresztą słów, umowę, że będą prowadzić na zmianę. Oczywiście tym sposobem poruszali się dużo szybciej.

Była dziewiąta rano i słońce padało, jak to się zwykle działo dwukrotnie w ciągu dnia i zawsze na króciutko, na wklęsłą ścianę Eigeru. Głównym tematem rozmów między Ptakami Eigeru w jadalni był figiel, jaki ostatniej nocy spletał grecki handlowiec swym gościom podczas przyjęcia. Zmoczył w wodzie wszystkie rolki papieru toaletowego. Jego amerykańska żona z wyższych sfer stwierdziła, że kawał był w złym guście, co więcej, niepotrzebnym marnotrawstwem pieniędzy.

Benowi przerwał śniadanie krzyk z tarasu, na którym podekscytowane Ptaki Eigeru rzuciły się do teleskopów. Dostrzeżono wspinaczy. Finansowa maszyna hotelu, którą tak starannie przygotowano, poszła w ruch. Umundurowany personel pojawił się natychmiast przy każdym przyrządzie (oprócz tego, który zarezerwował sobie za ogromną cenę grecki handlowiec). Z typową szwajcarską sprawnością i przezornością w sprawach pieniężnych, personel zaopatrzone w bilety - w innym kolorze dla każdego teleskopu - na których wydrukowano cenę za korzystanie z aparatu przez trzy minuty. Była ona dziesięciokrotnie wyższa od normalnej ceny tych działających po wrzuceniu monety urządzeń, mimo to kilometrowe kolejki zaczęły się natychmiast tworzyć wokół każdego teleskopu. Bilety sprzedawano z zastrzeżeniem, że kierownictwo nie zwraca pieniędzy w wypadku niepogody lub gdyby chmury zakryły wspinaczy.

Ben poczuł narastający gorzki posmak obrzydzenia w gardle na widok tych trajkoczących nekrofilów, ale ulżyło mu także, że wspinacze zostali wreszcie zauważeni. Teraz będzie mógł ustawić swój własny teleskop na otwartej łące poza hotelem i nie spuszczać opiekuńczego oka z grupy.

Wstawał właśnie od kawy, gdy pół tuzina reporterów precyzyjnie się do jadalni pod prąd podekscytowanego ludzkiego strumienia, by go otoczyć i zarzucić pytaniami dotyczącymi wspinaczki i wspinaczy. Postępując zgodnie z wcześniej przyjętym planem, Ben rozdał krótkie, napisane na maszynie biografie członków wyprawy. Przygotował je, by nie dać dziennikarzom pola do uciekania się do ich własnej bujnej wyobraźni. Ale te wyciągi, zawierające jedynie miejsce urodzenia i daty, zawody i wyliczenia alpinistycznych sukcesów członków ekspedycji, były bezużyteczne dla ludzi, którzy przecież starając się zainteresować publiczność, gonili za sensacją, toteż zaatakowali Bena, zadając napastliwe pytania. Zabrał ze sobą piwo ze śniadania, zacisnął zdecydowanie usta i zaczął się przez nich przepychać, ale amerykański reporter złapał go za rękaw i zatrzymał.

- Jest pan naprawdę pewien, że ta ręka nie przyda się panu do innych celów? - zapytał Ben i został natychmiast uwolniony.

Poszli za nim, nie odstępując go na krok, gdy przechodził przez hol energicznym, podskakującym krokiem, i zanim zdołał dojść do windy angielska felietonistka w tweedowym kostiumie, - uparta, żylasta i bezpłciowa, szybko się wysławiająca, stanęła między nim a windą.

- Niech mi pan powie, panie Bowman, pańskim zdaniem ci mężczyźni wspinają się w potrzebie dowiedzenia swej męskości czy raczej starają się zrekompensować kompleks niższości? - Trzymała ołówek nad notatnikiem, gdy Ben udzielał odpowiedzi.

- Czemu nie pójdzie się pani upić? Naprawdę dobrze by to pani zrobiło.

Zaczęła pisać pierwsze słowa, a kiedy sens wiadomości zatrzymał jej rękę w powietrzu, Ben uciekł do windy.

Jonathan i Anderl znaleźli płytki występ dokładnie na zachód od rynny, którą Karl uważał za klucz do nowej drogi. Wbili haki i wpięli się w nie, oczekując na przybycie Karla i Jean-Paula.

Mimo że wystające nad nimi urwisko pełne było wody z topniejącego lodu, ochraniało ich przed spadającymi kamieniami, które przeszkadzały im we wspinaczce przez ostatnie pół godziny.

W momencie gdy układali pod sobą zwoje liny, by ochronić się przed zmoknięciem, kawałki kamieni i lodu oderwały się od czubka urwiska i przeleciały z gwizdem mniej więcej metr od nich, rozlatując się na skałach poniżej z głośnym hukiem i rozrzucając odłamki górskiego szrapnela.

Wstęp był tak wąski, że musieli siedzieć dotykając się biodrami, a ich nogi zwisały nad próżnią. Wspinaczka była szybka i wspaniała, a widok zapierał dech. Anderl wyciągnął baton twardej czekolady z kieszeni kurtki i podzielił się nią z Jonathanem; dodało im to animuszu i poczuli radość pogryzając ją w milczeniu.

Jonathan zwrócił uwagę na odgłos, który towarzyszył im w górskiej ciszy. Przez ostatnią godzinę, gdy zbliżali się do wylotu rynny, z prawej strony szum rwącej wody stawał się coraz głośniejszy. Choć tego nie widział ze swojego miejsca, Jonathan miał wrażenie, że rynna tworzyła coś w rodzaju katarakty dla spływającej wody. Wspinał się już przez wodospady jak ten (położony wyżej na drodze klasycznej Wąż Lodowy był nie byle jakim przykładem), ale te wcześniejsze doświadczenia nie zagłuszały jednak poczucia zagrożenia.

Rzucił okiem na Anderla, by zobaczyć czy jego także to zaniepokoiło, ale błogi, niemal bezmyślny uśmiech na twarzy Austriaka jasno dowodził, że znalazł się, szczęśliwy, w swoim żywiole. Niektórych ludzi przypisano górcom i gdy są pośród chmur, dolina dla nich nie istnieje, poza tym że stanowi centralny punkt tej uporczywej i stałej siły ciężkości, z którą walczą. Jonathan nie podzielał beztroski Anderla. Jak długo się wspinał, jego świat zawężał się do liny, skały, punktów asekuracyjnych i rytmów ciała. Ale teraz zajmował bezpieczną pozycję i miał czas na myślenie, powróciły więc do niego przyziemne problemy.

Na przykład, mógł to być Anderl. Mógł być celem. I łowcą w jednej osobie w tej chwili. Przynajmniej pół tuzina razy przez ostatnie trzy godziny mógł przeciąć linę i nieznacznie nią szarpnąć, a Jonathan nie stanowiłby już zagrożenia. Fakt, że tego nie zrobił, w

żadnym wypadku nie wykluczał go jako ewentualnego celu. Byli za blisko podstawy; znaleziono by dowody, a obcięta lina wygląda zupełnie inaczej niż zerwana. A poza tym prawdopodobnie przez cały czas ich obserwowano. Z daleka, z tarasu miniaturowego hotelu zabawki, patrzyły na nich przez wypukłe szkła prawdopodobnie dziesiątki oczu.

Jonathan stwierdził, że może spokojnie odpoczywać. Jeżeli to się stanie, będzie miało miejsce wyżej, tam wysoko, gdzie odległość uczyni z nich małe kropki, ledwo dostrzegalne przez najmocniejsze szkło. Może wtedy gdy chmury i mgła opadną, by ukryć ich wszystkich. Wysoko, gdzie ciała i urwanej liny nie znajdzie się miesiącami, nawet latami.

- O czym tak dumasz? - zapytał Anderl.

Jonathan zaśmiał się.

- Niezdrowe myśli. O spadaniu.

- Ja nigdy o tym nie myślę. Po co? Jeżeli ma się to zdarzyć, moje myślenie na nic się nie przyda. Ja myślę o wspinaczce. To wymaga myślenia. - Zaakcentował tę prostą filozofię wpychając resztkę czekolady do ust.

Była to najdłuższa przemowa Anderla, jaką Jonathan kiedykolwiek słyszał. Bezspornie był człowiekiem, który żyje pełnią życia jedynie w górze.

Najpierw ujrzeli rękę Karla, potem głowę wynurzającą się spod niżej położonej wystającej skały i szybko znalazł się pod nimi, równomiernie ściągając linę, do której przywiązany był Jean-Paul, dopóki ten także nie wydzwignął się ponad krawędź, z czerwoną twarzą, ale triumfujący. Nowi przybysze znaleźli dla siebie wąski gzyms, wbili haki asekuracyjne i odprężyli się.

- Co teraz myślisz o mojej drodze, Herr Doktor? - krzyknął Karl.

- Jak dotąd w porządku. - Jonathan pomyślał o ryku spadającej wody nad nimi.

- Wiedziałem, że tak będzie!

Jean-Paul sięgnął pożądliwie po butelkę wody, po czym powierzył swój ciężar linie, krótko wpiętej do jego haka karabinkiem.

- Nie miałem pojęcia, że wy, panowie, mieliście zamiar wbiegać na ten pagórek! Zlitujcie się nade mną! - Zaśmiał się pośpiesznie, żeby nikt nie pomyślał, że to nie żart.

- Będiesz miał teraz czas na odpoczynek - powiedział Karl. - Zostaniemy tutaj przynajmniej przez godzinę,

- Godzinę! - zaoponował Jean-Paul. - Musimy tu przez i godzinę siedzieć?

- Odpoczniemy i zjemy małe śniadanie. Jest za wcześnie, by wspiąć się rynną.

Jonathan przyznał Karlowi rację. Człowiek wspinający się na Eiger musi być przygotowany na to, że stanie się celem regularnie spadających kamieni i lodu, ale nie było

przecież sensu stawiać czoło istnemu bombardowaniu, które ma miejsce w południe. Lód, który spoił ze skałą kamienie i górski tłuczeń w ciągu nocy, zaczyna tajać wskutek ciepłego dotyku porannego słońca, okruchy skalne wytapiają się, odrywają i spadają z ogromnego zbioru zmarzłych skamielin Pająka nad wspinaczami. Toteż droga klasyczna prowadzi wyraźnie na zachód od tej naturalnej linii ognia.

- Musimy pozwolić górze wyrzucić jej poranne śmieci, zanim spróbujemy się dostać do rynny - oświadczył Karl. - Tymczasem rozkoszujmy się widokiem i zjedzmy coś. Co wy na to?

Jonathan wyczytał z udawanej wesołości Karla, że on także przejął się rykiem wody spływającej w rynnie, ale było równie oczywiste, że nie przyjmie żadnej krytyki ani rady. Niemniej zaryzykował:

- Wydaje się, że się pomoczymy, Karl.
- Z pewnością nie masz, Herr Doktor, nic przeciwko porannemu prysznicowi...
- Z pewnością będzie nas to wiele kosztowało, nawet jeśli przejdziemy.
- Tak. Wspinaczka górską jest wymagająca.
- Gówniarstwo.
- Co?
- Nic.

Jean-Paul wziął następny łyk wody, po czym podał plastikowy bidon Karlowi, który zwrócił go, nie mając ochoty na picie. Gdy Jean-Paul schował z wysiłkiem butelkę do plecaka, spojrzał na dolinę z lękiem i podziwem.

- Piękne, prawda? Naprawdę piękne. Anna prawdopodobnie obserwuje nas w tym momencie przez teleskop.

- Możliwe - powiedział Jonathan, wątpiąc w to.

- Zrobimy rynnę we czterech na jednej linii - oświadczył Karl. - Ja będę prowadził, Anderl pójdzie na końcu.

Jonathan wsłuchał się znowu w szum wody.

- Ten szlak byłby łatwiejszy zimą.
- Proponujesz, żebyśmy czekali? - zaśmiał się Anderl.

Ben usłyszał podekscytowaną rozmowę dochodzącą z tarasu pod swym oknem i odróżnił wyraźny teksaski akcent w narzekaniu:

- Psiakrew! I co ty na to? Wykorzystałem bilety na patrzenie, jak oni siedzą na skale, a jak tylko skończył się mój czas, zaczęli coś robić. Hej, Floyd? Ile to wyniosło, przeliczając na

prawdziwe pieniądze?

Ben wybiegł z pokoju na łąkę położoną wystarczająco daleko od hotelu i Ptaków Eigeru. Dziesięć minut zajęło mu ustawienie teleskopu. Od początku ta długa ukośna rynna Karla martwiła go bardziej niż jakikolwiek inny odcinek wspinaczki. Odległa ściana nabrała ostrości, następnie rozmazała się, po czym pojawiła się ponownie w okularze, już wyraźna. Zaczął od dołu rynny i szedł w górę w prawo za ciemną szramą w urwisku ściany. Zobaczył mgiełkę pyłu wodnego przy wylocie rynny, co mu powiedziało, że musi tam być prawdziwa rzeka rwącej wody; wiedział, że wspinacze muszą przeć przez nią pod górę, a prąd będzie zmywał ich ze śliskich punktów oparcia, przez cały czas będą też wystawieni na spadające tym naturalnym kanałem kamienie. Miał wilgotne i zimne ręce, gdy wreszcie natrafił na najniżej znajdującego się wspinacza. Żółta kurtka: to musiał być Anderl. A wyżej, w górę ciankiej jak pajęcza przedza liny - biała kurtka: Jean-Paul. Nad nim zobaczył bladoniebieski skafander Jonathana. Karl pozostawał poza zasięgiem wzroku za załamaniem skały. Poruszali się nierówno i bardzo wolno. „Ta tryskająca woda i kawałki lodu muszą być piekłem - pomyślał Ben. - Czemu tego nie przerwą?” Zaraz też uświadomił sobie, że nie mają odwrotu. Raz już związawszy się we czterech liną, by precyzyjnie się przez napór rwącej wody, musieli iść naprzód. Najmniejsze zluźnienie, minimalne poddanie się idącemu w dół strumieniowi i zjechałoby korytem, by wylecieć przez mgiełkę pyłu wodnego w próżnię.

Na razie szli w górę, i to już było coś! Wspinał się pierwszy z nich, a reszta asekurowała narażonego na niebezpieczeństwo wspinacza. „Może Karl znalazł bezpieczne stanowisko poza zasięgiem wzroku? - pomyślał sobie Ben. - Może są bezpieczniejsi, niż się wydaje”.

Nagle sznur kolorowych kropek napiął się.

Już się nie poruszali. Doświadczenie odpowiedziało Benowi, że coś się stało.

Złorzeczył, że nie może lepiej widzieć. Nieznaczny niecierpliwy ruch teleskopem i zgubił ich. Przeklął głośno i odnalazł ich ponownie w okularze. Lina powyżej Anderla była poluzowana. Postać w białej kurtce - Bidet - wisiała do góry nogami. Spadł. Lina nad nim była naprężona i prowadziła wyżej, do niebieskiej kurtki - Jonathana, który leżał rozciągnięty na skale z rozwartymi ramionami i nogami. To oznaczało, że odpadł od ściany, wyrwany ciężarem Bideta.

- Gdzie, do cholery, jest Karl! - krzyknął Ben. - Niech go jasny szlag!

Jonathan zacisnął zęby i skoncentrował się całkowicie na utrzymaniu palców w szczelinie ponad sobą. Był zdany na siebie w tym strasliwym wysiłku i odizolowany przez

ogłuszający huk wody tuż po jego lewej stronie. Silny, paraliżujący strumień spływał po jego rękawach mroząc pachy i klatkę piersiową. Nie tracił sił na krzyk, pewien, że Anderl znajdujący się poniżej, zrobi to, co będzie mógł, miał też nadzieję, że niewidoczny nad nim Karl znalazł jakąś szczelinę na hak i pomoże im się utrzymać. Bezwładny ciężar Jean-Paula na linie zaciśniętej wokół jego pasa wyciskał z niego powietrze; nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma. Zerknąwszy szybko przez ramię zauważył, że Anderl gramoli się w górę bez asekuracji przez huczące koryto w kierunku Bideta, który nie poruszył się, od chwili gdy skalny okruc, świsnąwszy obok ucha Jonathana, uderzył go w ramię i strącił. Jean-Paul leżał głową do dołu pośrodku potoku i Jonathan pomyślał, że śmieszna byłaby śmierć przez utonięcie tu, na górze.

Nie czuł bólu w rękach, właściwie nie miał w nich zupełnie czucia. Nie był w stanie stwierdzić, czy trzyma się dostatecznie mocno, dlatego też zaciśnął ręce tak, aż zaczęły mu drżeć mięśnie przedramion. Jeżeli woda lub kamienie strącą Anderla, absolutnie nie utrzyma ich obu. Co robi, do diabła, Karl na górze!

Wtedy poczuł, jak luzuje się lina poniżej i fala rozprzestrzeniającego się bólu zastąpiła ucisk. Anderl dotarł do Jean-Paula i zaklinował swe ciało, przytrzymując Bideta tak, by dać Jonathanowi luz potrzebny do odzyskania pozycji.

Jonathan podciągnął się, ramiona drżały mu z wysiłku, aż po nie kończących się sekundach znalazł oparcie dla jednej nogi i dał wytchnienie rękom. Były pocięte, ale nie za głęboko, a strumień lodowatej wody łagodził ból. Nie zwlekając ruszył w górę po linie, aż za złamaniem skały znalazł Karla.

- Pomóż mi!

- W czym problem? - Karl znalazł wnękę i całkowicie nieświadomy wydarzeń, wcisnął się w nią, by asekurować wspinaczy znajdujących się poniżej.

- Ciągnij! - krzyknął Jonathan i z wielkim wysiłkiem podciągnęli Bideta w górę nad zaklinowanego ciała Anderla. Był po temu najwyższy czas; silne nogi Austriaka zaczęły już drżeć pod Bidetem.

Anderl ominął bezwładne ciało Jean-Paula i wspinał się na stanowisko do niedawna zajmowane przez Jonathana. Bidet był teraz bezpieczny, ubezpieczony z dwóch punktów asekuracyjnych.

Ani Jonathan, ani Karl nie mogli zobaczyć, co się dzieje poniżej, ale Anderl powiedział im później, że Jean-Paul miał komicznie dziwaczny wyraz twarzy, gdy odzyskał przytomność i zobaczył siebie zwisającego w pionowo spływającej rzece. Spadające kamienie nie wyrządziły mu prawdziwej szkody, ale uderzył mocno głową o ścianę, gdy spadał. Wspinał

się automatycznie, przewyciężając zawroty głowy. I wkrótce cała czwórka tłoczyła się w małej, bezpiecznej wnęce Karla.

Gdy ostatnia kurtka zniknęła w zagłębieniu skały u szczytu rynn, Ben odsunął się od teleskopu i wykonał pierwszy głęboki oddech od dziesięciu minut. Rozejrzał się w poszukiwaniu wysokiej trawy i zwymiotował.

Dwóch młodych wspinaczy, stojących beczynn timer, zaniepokojonych i bezradnych, odwróciło się, by nie przeszkadzać Benowi. Uśmiechnęli się do siebie z ulgą.

- Mokrzy i zziębnięci, ale nie za bardzo zmarnowani - postawił diagnozę Karl. - A najgorsze jest za nami. Naprawdę nie ma powodu, byś był taki posępny, Herr Doktor.

- Nie możemy wycofać się tą rynną - powiedział Jonathan kategorycznie.

- Na szczęście nie musimy.

- A jeśli trzeba będzie wracać...

- Masz mentalność Maginota, Herr Doktor. Nie będzie odwrotu. Po prostu będziemy się wspinać poza tą ścianą.

Jonathan poczuł gwałtowną złość wobec pyszałkowatości Karla, ale nic więcej nie powiedział. W zamian odwrócił się do Anderla, który trząsł się obok niego na półce.

- Dziękuję ci, Anderl. Byłeś wspaniały!

Anderl pokiwał głową, nie z zarozumiałości, ale z autentycznego uznania dla niezawodności i poprawności swych działań. Dokonał pozytywnej autooceny. Następnie podniósł wzrok na Karla.

- Nie wiedziałeś, że mamy problemy?

- Nie.

- Nie czuleś tego na linie?

- Nie.

- To niedobrze!

Ta szczerza ocena Anderla dotknęła Karla bardziej, niż gdyby go zaczął obwiniać.

Jonathan zazdrościł Anderłowi spokoju; siedział na krawędzi półki, patrzył w przepaść i dumał. Jonathan nie był spokojny. Trząsł się, przemoczony i zziębnięty, i czuł mdłości od nagłego wybuchu adrenaliny.

Bidet z kolei usiadł blisko Jonathana i delikatnie dotykał obolałej głowy. Nagle zaśmiał się głośno.

- To dziwne, prawda? Nic nie pamiętam od momentu, gdy trafił mnie kamień i spadłem.

To musiało być prawdziwe wydarzenie. Szkoda, że to przespałem.

- Oto człowiek! - powiedział Karl, lekko akcentując pierwsze słowo, by podkreślić jak różni się postawa Jean-Paula od postawy Jonathana. - Odpoczniemy tu przez chwilę i zbierzemy siły, a potem ruszymy! Według moich obserwacji następne czterysta metrów będzie dziecinną zabawą.

Każdą tkanką czuł Ben zmęczenie, wyczerpanie, napięcie i fizyczny stres, gdy tak starał się pomóc wspinaczom, kierując ich ruchami jak gdyby kinetyczną telepatią. Oczy go paliły, tak je wyteżał, a mięśnie twarzy ułożyły się w bruzdy niepokoju. Choć niechętnie, ale musiał pochwalić Karla, który gdy już minęli ściek wody w rynnie, prowadził w górę gładko i szybko po dziewiczej skale; minęli okna Stacji Eigernordwand i przeszli długi żleb pełen śniegu i lodu, który zaprowadził ich do wystającego ze skały filaru, oddzielającego Pierwsze Pole Lodowe od Drugiego. Pokonanie filaru zajęło dwie godziny rozpaczliwej wspinaczki. Po dwóch nieudanych próbach Karl pozbył się plecaka i zaatakował filar z taką akrobatyczną determinacją, że gdy w końcu udało mu się wejść, otrzymał i tak dla niego niesłyszalne oklaski z hotelowego tarasu. Asekurowani z góry pozostali wspinacze weszli na filar stosunkowo łatwo.

Jak to bywało z Elgerem, otoczyła go warstwa chmur i zakryła po południu wspinaczy na dwie godziny, podczas których Ben dał wypocząć swym zgarbionym plecocom i odpowiedział na pytania natarczywych reporterów pomrukami i jednozgłoskowymi przekleństwami. Te Ptaki Eigeru, które zostały pozbawione możliwości łypania okiem i przeżywania dreszczyku emocji, choć przypadła im kolejka, skarżyły się gorzko, ale kierownictwo hotelu trwało nieugięte w swej decyzji o niezwracaniu pieniędzy, tłumacząc z niespodziewaną pokorą, że postępowanie Boga jest poza kontrolą ludzką.

Poruszając się szybko, by wykorzystać światło dzienne, ekspedycja wspiwała się wśród mgły lodowym żlebem, który łączył Drugie i Trzecie Pole Lodowe. Gdy warstwa chmur podniosła się, Ben zobaczył, jak przygotowują obóz w miejscu wyglądającym na bezpieczne, choć niewygodne, trochę na lewo od Żelazka, poniżej Biwaku Śmierci. Upewniwszy się, że dzień wspinaczki się skończył, Ben przerwał obserwację alpinistów. Był zadowolony. Ponad połowa ściany za nimi. Co prawda inni dochodzili wyżej pierwszego dnia (Waschak i Forstenlachner wspinali się ścianą jednym ciągiem przez osiemnaście godzin przy idealnych warunkach pogodowych), ale nikt nie osiągnął lepszego rezultatu prowadząc nową drogę. Od

tego miejsca pójdą drogą klasyczną i Ben z większym optymizmem myślał o ich szansach - pod warunkiem że pogoda się utrzyma.

Nagle straciwszy całą energię i trochę źle się czując z powodu kwaśnej grudy zalegającej w żołądku, Ben złożył nogi teleskopu i przeszedł ociążale przez taras. Nie jadł nic od śniadania, chociaż pokrzepiał się sześcioma butelkami niemieckiego piwa. Nie zwracał uwagi na Ptaki Eigeru, które nadal skupiały się wokół teleskopów. Prawdę powiedziawszy, Ptaki odwróciły swą uwagę od wspinaczy, wydawało się bowiem, że nie będą już więcej ryzykować tego dnia, a więc i nie dostarczą żadnych podniet.

- Czyż nie jest to cudowne! - wykrzyknęła jedna z mocno umalowanych starszych pań do swego opłaconego towarzysza, który z obowiązku ścisnął jej dłoń i skierował swój włoski profil we wskazanym kierunku. - Te małe plamki chmur! - podniecała się kobieta. - Różowe i złote w ostatnich promieniach światła! Naprawdę są bardzo, bardzo ładne!

Ben podniósł wzrok i zastygł. Pofałdowane maślane chmury przesuwały się szybko z południowego wschodu. Fen.

Z desperacką wytrwałością, choć załamany nieznajomością niemieckiego, Ben zaatakował oporny szwajcarski system telefoniczny i w końcu zdołał się skontaktować z centrum meteorologicznym. Dowiedział się, że fen nadszedł nad Wyżynę Berneńską bez ostrzeżenia. Będzie się utrzymywał przez noc, przynosząc gwałtowne burze na Eiger i stopi większość śniegu i lodu swymi ciepłymi powiewami, ale zapewniono Bena, że wysokie ciśnienie nadchodzące z północy wyprze fen w połowie dnia. Z wysokim ciśnieniem, natomiast, miał nadejść wyjątkowy chłód.

Ben odłożył słuchawkę na widelki i zapatrzył się ślepo na mnemoniczne bazgroły w kabinie telefonicznej.

Burza i roztopy, a potem rekordowe zimno. Całą ścianę pokryje skorupa lodu. Wspinanie się będzie niemożliwe; odwrót szalenie trudny, a jeśli Trawers Hinterstoissera oblodzi się mocno - również niemożliwy. Zastanawiał się, czy wspinacze w swoim prowizorycznym obozie wiedzieli już, co im niesie Pogoda Eigeru.

Dwie małe półki, które znaleźli, nie były zbyt odpowiednie na biwakowanie, ale postanowili nie wspinać się wyżej mając w zapasie tylko pół godziny światła, w obawie że zanim znajdą schronienie złapie ich noc. Ulokowali się według takiej samej kolejności jak na linie: Karl i Jonathan zajęli wyższą półkę, Anderl i Jean-Paul niższą, trochę szerszą. Odkuwszy śnieg Czekanami i wbiwszy haki, z których zabezpieczyli siebie i sprzęt, zagnieździli się na tyle, na ile pozwalała wąska półka skalna. Gdy przygotowali biwak, na

ciemniejącym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Noc przyszła szybko i niebo usiały błyszczące, zimne, obojętne gwiazdy. Nie było żadnych oznak po tej północnej stronie, które by im powiedziały, że z południowego wschodu zbliża się fen.

Między Anderlem a Jean-Paulem na wąskiej półce stał składany palnik, na którym Anderl zaparzał kubek za kubkiem ciepławej herbaty, używając do tego celu wody, która wrzała, nim była naprawdę gorąca. Leżeli dostatecznie blisko siebie, by podawać sobie kubki i popijać napój ze smakiem w milczeniu. Każdy z nich zmusił się wprowadzić do przełknięcia kilku kęsów pożywienia, ale w ich suchych ustach stawało się kleiste i pozbawione smaku, tak że tylko herbata ich koła, zziębniętych i spragnionych. Parzenie zajęło godzinę; herbatę czasem zastępował kubek bulionu.

Jonathan z trudem wszedł do swego puchowego śpiwora i dopiero wtedy, zmusiwszy się do relaksu, mógł opanować szczykanie zębami. Czuł dojmujący chłód, poza tymi chwilami gdy się rzeczywiście wspinał; chłód, który ogarnął go po przemoczeniu w lodowatej wodzie rynny i sprawiał, że drżał spazmatycznie, tracąc energię i nadszarpując nerwy. Półka była tak wąska, że musiał podłożyć swój plecak, by móc się rozprostować, a i tak jego pozycja była prawie pionowa. Wpiął swoją uprząż w haki znajdujące się za nim dwiema oddzielnymi żyłami liny, na wypadek gdyby Karl próbował przeciąć jedną podczas jego drzemki. Ale chociaż podjął te środki ostrożności, to jednak sądził, że jest całkowicie bezpieczny. Mężczyźni znajdujący się poniżej nie mogli go osiągnąć zbyt łatwo, a ponieważ przyjął pozycję bezpośrednio nad nimi, to Karl musiał sobie zdawać sprawę, że gdyby go stracił lub odciął linę, Jonathan spadając pociągnąłby za sobą tamtych dwóch. Było wątpliwe, by Karl chciał zostać sam na ścianie.

Poza własnym bezpieczeństwem Jonathan niepokoił się najbardziej Jean-Paulem, który wykonał jedynie kilka niezbędnych ruchów w poszukiwaniu wygody. Powierzył swój ciężar hakom i patrzył w czarną dolinę, przyjmując podawane kubki herbaty w milczeniu. Jonathan wiedział, że dzieje się z nim coś bardzo niedobrego.

Lina łącząca dwóch ludzi na ścianie to coś więcej niż nylonowe zabezpieczenie: przekazuje ledwo uchwytnie informacje o ruchach i dyspozycji jednego człowieka do drugiego; jest to przedłużenie zmysłu dotyku, psychiczna więź, przewód, poprzez który przebiegają prądy łączności. Jonathan wyczuwał energię i zacieklą determinację Karla nad sobą oraz niewyraźne i chaotyczne ruchy Jean-Paula pod sobą - dziwne, mianiakalne, pełne siły drgnienia przemieszane z niemal podświadomymi pociągnięciami, spowodowanymi niepewnością i zakłopotaniem.

Gdy zapadła noc, ich ciała pozostające w fizycznej beczynności ogarnął przejmujący

chłód. Anderl wyrwał Jean-Paula ze stanu lękowego i pomógł mu wejść do śpiwora. Jonathan poznał po troskliwości Anderla, że on także wyczuł przez linę, która łączyła i jego system nerwowy z systemem Jean-Paula, że dzieje się coś nienormalnego i dziwnego.

Jonathan przerwał milczenie krzycząc:

- Jak leci, Jean-Paul?!

Jean-Paul obrócił się w swojej uprzęży i spojrzał w górę z optymistycznym uśmiechem. Krew sączyła się z jego nozdrzy i uszu, a tęczęwki oczu były zwężone. Poważniejsze wstrząśnienie mózgu.

- Czuję się świetnie, Jonathan. Ale to dziwne, prawda? Nic nie pamiętam od momentu, gdy trafił mnie kamień i spadłem. To musiało być prawdziwe wydarzenie. Szkoda, że to przespałem.

Karl i Jonathan wymienili spojrzenia. Karl miał właśnie powiedzieć coś Jonathanowi, gdy nagle przerwał mu Anderl.

- Spójrzcie! Na gwiazdy!

Kłębowisko chmur pędziło między nimi a gwiazdami, na przemian odsłaniając i zakrywając ich światło w dziwnie falujący sposób. Wkrótce gwiazdy nagle zniknęły.

Grozę pogłębiał fakt, że na ścianie nie wyczuwało się wiatru. Po raz pierwszy jak Jonathan sięgnął pamięcią, powietrze na Eigerze stało nieporuszone. I co gorsza, było ciepłe.

Nikt nie przerwał milczenia. Ta zmienność nocnego nieba przypomniwała Jonathanowi tajfuny na chińskim Morzu Południowym.

Wkrótce usłyszeli z początku cichą, potem coraz głośniejszą wibrację zbliżoną do odgłosu prądnicy dużych rozmiarów. Wydawało się, że wydobywa się z głębi skał. Czuć było słodko-gorzki zapach ozonu. Jonathan złapał się na tym, że patrzy na głowicę swojego czekanu, znajdującego się jedynie o pół metra od niego. Otaczało go zielonkawe kółeczko ogni świętego Elma, które zamigotały i zadrgały, nim uderzyły z błyskiem w skałę.

Wierne do końca swej germańskiej skłonności do podkreślania tego, co oczywiste, usta Karla wypowiedziały jedno słowo: fen. Akurat w chwili gdy zagłuszyło je pierwsze uderzenie pioruna.

EIGER

12 lipca

Ben wyrwał się z płytkiej drzemki, sapiąc jak człowiek tonący we własnej nieświadomości. Daleki huk lawiny stał się pomostem między jego chaotycznym snem a jasnym, nierealnym hotelowym holem. Przymrużył oczy i rozejrzał się, próbując odnaleźć się w czasie i przestrzeni. Trzecia nad ranem. Dwóch rozczochranych reporterów spało w fotelach, rozwalonych bezwładnie jak porzucone manekiny. Nocny portier przepisywał dane z listy do akt; ruchy miał ospałe i automatyczne. Skrobanie jego pióra niesło się po całym pomieszczeniu. Ben odkleił się od fotela; spocił się tak, że plecy i pośladki przywarły mu do plastikowego obicia. Pomieszczenie nie było przegrzane; spocił się przez sny.

Wyprostował zgarbione plecy. Z oddali dochodziły odgłosy grzmotów, zwielokrotnione przez dudniący dźwięk śnieżnej lawiny. Przeszedł przez hol i spojrzał na taras, wymarły w ukośnie padającym przez okno świetle niczym opustoszała scena. W dolinie przestało już padać. Burza zesłała do wklęsłego amfiteatru Eigeru. Ale nawet tam traciła na sile - wypierały ją nadciągające z północy zimne fronty. O świcie będzie już bezchmurnie i ukaże się ściana - tylko czy będzie na niej coś do zobaczenia?

Drzwi do windy otworzyły się z hałasem, dźwięk był nadzwyczaj głośny, ponieważ nie tłumiły go żadne odgłosy dnia. Ben odwrócił się i zobaczył Annę idącą w jego kierunku, jej stan ducha zdradzał nie zmywany od trzydziestu godzin makijaż.

Stała blisko niego i popatrzyła przez okno. Nie było żadnych powitalnych grzeczności.

- Chyba się trochę przejaśnia - powiedziała.

- Tak. - Ben nie miał ochoty rozmawiać.

- Dopiero co dowiedziałam się, że Jean-Paul miał wypadek.

- Dopiero?

Odwróciła się w jego stronę.

- Tak, dopiero - powiedziała gniewnie, niezwykle jak na nią gwałtownie. - Od młodego człowieka, z którym byłam. Oburza to pana? - Była zgorzkniała i najwyraźniej usiłowała wymierzyć sobie karę.

Ben dalej gapił się posepnie w noc.

- Nie obchodzi mnie, z kim się pani pieprzy, proszę pani!

Opuściła rzęsy i westchnęła zmęczona, biorąc głęboki oddech.

- Czy Jean-Paul został mocno okaleczony?

- Nie! - Głos Bena mimowolnie złagodniał.

Anna przypatrzyła się jego szerokiej, mocno poranej twarzy.

- Oczywiście pan kłamie.

Kolejny, już bardziej odległy huk grzmotu odbił się od góry. Ben poklepał się po karku i odwróciwszy od okna poszedł przez hol. Anna ruszyła za nim.

Ben zapytał recepcjonisty, czy mógłby sprzedać mu parę butelek piwa. Pracownik ubolewał wylewnie, ale niestety, o tej porze nie ma takiej możliwości, a to z powodu rygorystycznych instrukcji, zabraniających wyświadczenia tego typu przysług.

- Mam w pokoju brandy - zaproponowała Anna.

- Nie, dziękuję. - Ale kiedy podniósł głowę i spojrzał na nią, powiedział: - Dobrze.

Wspaniale.

W windzie Anna odezwała się:

- Nie odpowiedział pan, gdy stwierdziłam, że pan kłamie. Czy to oznacza, że upadek Jean-Paula był poważny?

Zmęczenie spowodowane długim czuwaniem nagle wkradło się w jego ciało.

- Nie wiem - przyznał. - Po upadku szedł dziwnie. Nie tak, jakby coś złamał, ale właśnie dziwnie. Odniosłem wrażenie, że jest ranny.

Anna otworzyła drzwi do swojego pokoju i weszła przed Benem, zapalając po drodze światło. Ben zawahał się przez chwilę, zanim wszedł.

- Proszę wejść, panie Bowman. Czy coś jest nie tak? Ach, rozumiem. - Zaśmiała się sucho. - Spodziewał się pan ujrzeć młodego człowieka, o którym wspomniałam. - Naląła szczerze brandy i wróciła z trunkiem do niego. - Nie, panie Bowman. Nigdy w łóżku, które dzielę z moim mężem.

- Wytycza pani granicę w dziwnych miejscach. Dziękuję. - Wypił drinka do dna.

- Kocham Jean-Paula.

- Aha.

- Nie powiedziałam, że jestem mu wierna fizycznie; powiedziałam, że go kocham. Niektóre kobiety mają potrzeby przekraczające wydajność swoich mężczyzn. Są godne współczucia, jak alkoholicy.

- Jestem zmęczony, moja pani.

- Czy pan myśli, że próbuję pana uwieść?

- Mam jądra. Wygląda na to, że nie potrzeba niczego więcej.

Anna zaśmiała się. Ale zaraz potem spoważniała.

- Wróć żywi, prawda?

Brandy szybko wykończyło ten suchy knot, którym było wymęczone ciało Bena. Walczył ze wzrastającym odprężeniem.

- Nie wiem. Może... - Odstawił kieliszek. - Dziękuję. Do zobaczenia. - Zaczął iść w kierunku drzwi.

- Może już nie żyją. - Wypowiedziała wreszcie to, o czym myślała, niesamowicie beznamiętnym tonem.

- Możliwe.

Gdy Ben poszedł, usiadła przy toalecie, leniwie podnosząc i opuszczając na przemian szklany korek z rżniętego szkła od flakonu perfum. Miała co najmniej czterdzieści lat.

Cztery postaci trwały nieruchomo jak ściana, do której przywarły. Ich ubrania były sztywne od kruchej skorupy lodu, tak samo jak skała oszklona powłoką zamrożonego deszczu i roztopów. Jeszcze nie nadszedł świt, ale czerń nocy rozjaśniała się już na wschodzie. Jonathan z trudem radził sobie z zeskorpiałymi od lodu fałdami nieprzemakalnych spodni. Zwinięty w kłębek przez wiele godzin, utkwiał ślepo wzrok w swoim kolanie, od chwili gdy burza straciła na sile i mógł otworzyć oczy. Pomimo przenikliwego zimna, które nastąpiło po burzy, nie poruszył nawet jednym mięśniem. Pozostawał skulony od momentu, gdy zaczął szaleć fen. Zgiął się na tyle, na ile pozwalała mu pozycja, wystawiając się jak najmniej na działanie żywiołów.

Dopadło ich to znienacka i nie sposób było obliczyć jak długo trwało - przedłużający się w nieskończoność moment panicznego strachu i chaosu spowodowanego zacinającym deszczem i dokuczliwym gradem oraz porywistym wiatrem, który szalał wokoło, wciskając się między nich i skałę i starając się ich rozdzielić. Na przemian oślepiające błyskawice i całkowita ciemność, dokuczliwy ból wywołany kurczowym przytrzymywaniem się skały i odrętwienie z zimna. Ale najgorsze były dźwięki: bliski, ogłuszający trzask grzmotów, przeraźliwy gwizd wiatru, huk i hałas lawin spadających na prawo i lewo, przelatujących w dziwacznych formach ponad skalnym okapem, który ich ochraniał.

Teraz był spokój. Burza minęła.

Nadmiar wrażeń wyjałowił całkowicie umysł Jonathana, ale zdolność myślenia wracała powoli, w szczątkowej postaci. Powiedział sobie prostymi słowami, że patrzy na swoje spodnie. Spostrzegł, że są pokryte skorupą lodu. Na koniec zrozumiał, że ból, który odczuwa, to zimno. I właśnie wtedy, jeszcze nie całkiem tego pewien i ze zdziwieniem, ale bez

podniecenia, stwierdził, że żyje. Najwyraźniej - tak.

Nawałnica się skończyła, ale ciemność i ziąb wciąż trwały w jego podświadomości, a doznania bólu i burzy stopniowo przechodziły w uczucia zimna i spokoju. Jego ciało i nerwy pamiętały o gwałtowności burzy; zmysły mówiły mu, że już przeszła, ale nie mógł przypomnieć sobie ani jej końca, ani nawet momentu, w którym zrobiło się spokojnie.

Poruszył ramieniem i usłyszał chrzęst, gdy ten ruch złamał skorupę lodu na rękawie. Zaciskał i rozprostowywał pięści i przyciskał stopy do podeszwy butów, pompując stężoną krew do swych kończyn. Odrętwienie przeszło w mrowienie, potem w rwący ból, ale nie były to doznania nieprzyjemne, ponieważ stanowiły dowód na to, że żyje. Rozjaśniło się na tyle, że mógł rozróżnić zgięte i nie poruszające się plecy Karla kilkadziesiąt centymetrów od niego, ale nie zastanawiał się nad stanem, w jakim tamten się znajdował; całą uwagę skupił na własnym powrocie do życia.

Usłyszał tuż pod sobą jakiś odgłos.

- Anderl? - Głos Jonathana był zduszony i suchy.

Anderl poruszył się delikatnie, jak człowiek, który sprawdza, czy wszystko jeszcze funkcjonuje. Skorupka lodu na nim rozleciała się w kawałki na skutek tego ruchu; spadły z brzękiem po ścianie.

- Mielśmy burzę w nocy. - Jego głos był cierpko wesoły. - Zauważyłeś chyba?

Wraz ze zbliżającym się świtem nadszedł wiatr, porywisty, suchy i bardzo zimny. Anderl spojrział na altymetr na nadgarstku.

- Wskazuje czterdziestometrowy niż - oświadczył trzeźwo.

Jonathan pokiwał głową. Czterdziestometrowy niż. To oznaczało, że ciśnienie barometryczne było dwie kreski wyżej niż normalnie. Znajdowali się pośrodku ostrego, zimnego frontu, który mógł trwać Bóg wie jak długo.

Zobaczył Anderla przemieszczającego się ostrożnie wzdłuż półki, by zająć się Jean-Paulem, który jeszcze się nie poruszył. Niedługo potem Anderl zaczął parzyć herbatę na maszynie, którą oparł dla równowagi o nogę Jean-Paula.

Jonathan rozejrzał się. Ciepłe powietrze fenu stopiło wierzchnią warstwę śniegu, który ponownie zamarzł wraz z przybyciem zimnego frontu. Lód o grubości dwóch, trzech centymetrów pokrył śnieg skorupą - śliską i świeżą, ale niedostatecznie solidną, by wytrzymała ludzki ciężar. Na skałach leżała warstwa zamarznętej wody, która oblała urzeźbienie skały lodowym szklivem, zbyt cienkim, by wbić weń ostrze czekana, a tym bardziej osadzić śrubę. W coraz jaśniejszym świetle mógł oszacować panujące warunki. Były najbardziej niebezpieczne z możliwych.

Karl się poruszył. Nie spał, ale jak Anderl i Jonathan schronił się przed rzeczywistością w podświadomość. Wyszedłszy z tego stanu spokojnie i z profesjonalizmem zajął się sprawdzaniem haków, które zabezpieczały jego i Jonathana, następnie wykonał ćwiczenia izometryczne, by przywrócić krążenie krwi swym dłońmi i stopom, po czym zaczął pozornie proste, w rzeczywistości wymagające dużego nakładu pracy czynności - wyciągnął jedzenie z plecaka: zamrożoną czekoladę i suchy prowiant. Przez cały ten czas nic nie mówił. Był pokorny i wyraźnie wstrząśnięty po doświadczeniach nocy. Przestał przewodzić wyprawie.

Anderl obrócił się i wychynął ze swego zagłębienia, na ile pozwalała mu długość autoasekuracji, by podać Jonathanowi kubek letniej herbaty.

- Jean-Paul...

Jonathan wypił do dna jednym haustem.

- Co z nim? - Podał z powrotem na dół metalowy kubek i oblizał usta w miejscu, gdzie przykleiły się do niego i popękały.

- Nie żyje. - Anderl ponownie napełnił kubek i podał Karlowi. - Musiał umrzeć podczas burzy - dodał spokojnie.

Karl odebrał herbatę i przytrzymał ją w swoich dłoniach, cały czas patrząc na pomarszczony i oblepiony lodem kształt, którym był Jean-Paul.

- Wypij to - nakazał Jonathan, ale Karl się nie ruszył.

Oddychał krótko i płytko ustami tuż nad kubkiem i kłęby pary mieszały się z oparami unoszącymi się znad herbaty.

- Skąd wiesz, że nie żyje? - zapytał nienaturalnie głośnym, bezbarwnym tonem.

- Widziałem go - powiedział Anderl napełniając mały dzbanek kawałkami lodu.

- Zobaczyłeś, że nie żyje! I zająłeś się przygotowaniem herbaty!

Anderl wzruszył ramionami. Nie zwracał sobie głowy odrywaniem wzroku od pracy, którą miał wykonać.

- Wypij herbatę - powtórzył Jonathan. - Albo podaj ją tutaj, żebym ja wypił, zanim będzie zimna.

Karl rzucił mu spojrzenie pełne oburzenia, ale wypił herbatę.

- Doznał wstrząsu mózgu - powiedział Anderl. - Burza to już było za wiele. Nie miał siły, by bronić się przed śmiercią.

Przez następną godzinę przetykali, co tylko mogli, wykonując ćwiczenia izometryczne, by zwalczyć zimno i łagodząc nieprzemijające pragnienie kubkami herbaty i bulionu. Byli w stanie pochłonąć każdą ilość płynów, ale nadszedł czas, gdy trzeba było się ruszyć, więc Anderl wypił resztkę wody ze stopionego lodu i włożył z powrotem menażkę i składaną

maszynkę do plecaka.

Gdy Jonathan przedstawił propozycję działania, Karl nie przeciwstawił się zmianie lidera. Stracił ochotę do podejmowania decyzji. Wiele razy odwracał swą uwagę i skupiał wzrok na martwym człowieku przymarzniętym poniżej. Jego doświadczenie górskie nie obejmowało jeszcze śmierci.

Jonathan nakreślił ich sytuację w kilku słowach. Zarówno skałę, jak i śnieg pokrywała lodowa skorupa, co powodowało, że dalsze wspinanie się nie wchodziło w rachubę. Zimny front, tak jak ten, katujący ich przenikliwym chłodem, mógł trwać wiele dni, a nawet tygodni. Nie mogli nic wskórać tam, gdzie się znajdowali. Musieli się wycofać.

Rynna Karla nie wchodziła w rachubę jako możliwa droga zejścia. Była z pewnością zalana lodem. Jonathan zaproponował, by spróbowali dostać się do miejsca tuż nad Oknem Stacji Eigemordwand. Najprawdopodobniej okaże się, że będą mogli zjechać stamtąd na linie, pomimo groźnego nawisu. Ben, oczekując i obserwując ich z dołu, zrozumie ich zamiary i będzie czekał z pomocą w Oknie.

Jonathan mówiąc czytał z twarzy Anderla, że ten nie pokłada dużych nadziei w szansie zjechania na linie znad Okna Stacji, ale nie oponował, zdając sobie sprawę, że muszą się ruszyć, choćby tylko ze względu na stan ich ducha. Nie mogli pozostać w obozie i ryzykować zamaznięcia na śmierć, jak wiele lat wcześniej Seldmayer i Mehringer, sto metrów nad nimi.

Jonathan przygotowywał zamaznięte liny. On poprowadzi zejście, powoli rąbiąc wydạtne stopnie w zeskorupiałym śniegu. Karl pójdzie drugi na linie. Dodatkowe, oddzielne żyły będą utrzymywać między nimi bryłę Jean-Paula. W taki sposób Karl, opuszczając oblodzone zwłoki ze swego stanowiska, będzie jednocześnie asekurował Jonathana, a ten naprowadzi je, chroniąc jedynie przed zaklinowaniem wśród występów. Jako najsilniejszy w zespole Anderl, ostatni na linie, skoncentruje się jedynie na zakładaniu pewnych stanowisk do asekuracji, w razie gdyby upadek obciążył go ciężarem całej trójki.

Mimo że ryzyko zejścia zwiększało się przez transportowanie ciała Jean-Paula, nikt nie pomyślał o pozostawieniu go. Tradycją górską było zabieranie swego zmarłego ze sobą. Nie mieli też zamiaru sprawiać przyjemności Ptakom Eigeru pozostawiając w urwisku przerażającą pamiątkę, która tygodniami lub miesiącami wywoływałaby uczucie mrowienia i radości przy teleskopach, dopóki ciała nie zdjęłaby ekipa ratownicza.

Podczas pakowania się i związywania odgrywającego rolę sań śpiwora, do którego włożyli Jean-Paula, Karl narzekał bez przekonania na pecha, który uniemożliwił im dojście do szczytu. Anderl nie miał nic przeciwko odwrotowi. Przy takich warunkach równie trudno było iść w górę co na dół, a dla niego istotę wszystkiego stanowiło wyzwanie, jakie rzucała

wspinaczka.

Obserwując obu przygotowujących się mężczyzn Jonathan zrozumiał, że nie ma się czego obawiać ze strony ewentualnego celu likwidacji, którykolwiek z nich by to był. Jeżeli mają dotrzeć na dół żywi, muszą ze sobą współpracować, wykorzystując całą swą zręczność i siłę. Rozwiązanie nastąpi pewnie w dolinie, o ile oczywiście dotrą do płaskiego terenu cali i zdrowi. Właściwie to przydzielone mu przez Wydział ŚiL zadanie przypominało nierealną, dziwną operetkę, graną w scenerii groźnej góry.

Schodzenie było powolną katorgą. Zamarznięta skorupa śniegu sprawiała, że w jednym miejscu raki nie mogły się wbić, w drugim noga zapadała się w nieco miększym podłożu i łatwo było stracić równowagę. Nachylenie śnieżnego pola przekraczało 50° i Jonathan po każdym kroku schylał się nisko, by pracowicie czekaniem wyrąbać następny stopień. Nie mógł poprzestać na tych finezyjnych małych oparciach dla nóg, które powstawały po dwóch zręcznych zamachach czekaniem; musiał wyłupywać przestronne otwory, dostatecznie duże, by utrzymały go, kiedy się wychylał.

Te skomplikowane działania pochłaniały wiele energii. Jonathan schodził sam na długość liny, asekurowany od góry przez Karla, którego z kolei ubezpieczał Anderl. Następnie wyrąbywał specjalnie głębokie stanowisko skąd ostrożnie nakierowywał ciało Jean-Paula do siebie, podczas gdy Karl opuszczał stopniowo ciężar, przez cały czas napięty, tak by nie wypuścić oblodzonej liny z rąk, gdyby bowiem zwłoki poleciały w dół, pociągnęłyby ich wszystkich za sobą. Gdy płócienny toból docierał wreszcie do Jonathana, zabezpieczał go jak mógł najlepiej, wbijając czekan Jean-Paula w skorupę lodu. Teraz Karl schodził do niego, poruszając się w miarę szybko dużymi krokami. Trzecia faza zejścia była najbardziej niebezpieczna. Anderl poruszał się praktycznie bez asekuracji, nie licząc „psychicznej liny”, która zwisała luźno w dół do wybierającego ją Karla. Każde jego poślizgnięcie mogło wyrwać współtowarzyszy ze stanowiska, powodując upadek wszystkich do podnóża ściany, a nawet gdyby Jonathan i Karl wytrzymali impet Anderla, on sam miałby małe szanse wyjść cało z tak długiego lotu. Musiał w ten sposób pokonać ponad połowę odległości między nimi i znalazłszy oparcie na jakimś lepszym stopniu, założyć solidne stanowisko do asekuracji w następnym cyklu odwrotu. Zdawał sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności i ruszał się z wielką ostrożnością, mimo że cały czas pokrzykiwał do nich wesoło, psiojąc na tempo wspinaczki lub pogodę, lub na cokolwiek, co mu akurat przyszło na myśl.

Chociaż posuwali się wolno, dla Jonathana, który musiał wyrąbywać każdy stopień, a odpocząć mógł jedynie wtedy, gdy pozostali schodzili, było to rozpaczliwie męczące.

Trzy godziny - dwieście pięćdziesiąt metrów.

Sapał z wysiłku; zimne powietrze wypełniało mu płuca; jego ramię było ciężkie od wymachiwania czekanem. A gdy zatrzymywał się, by przejść Jean-Paula i umożliwić zejście pozostałym, jedne męki zastępowały drugie. Przy każdym odpoczynku atakował go lodowaty wiatr, zmrażając na jego ciele pot i wywołując męczące dreszcze. Płakał z bólu spowodowanego zmęczeniem i zimnem, a łzy zamarzały na jego nie ogolonych policzkach.

Ich cel - urwisko nad Stacją Eigemordwand - znajdował się zbyt daleko, by o nim myśleć. Skoncentrował się na tym, co w zasięgu ludzkich możliwości: jeszcze jedno machnięcie czekanem, jeszcze jeden stopień do wyrąbania. A potem ruch.

Pięć godzin - trzysta dwadzieścia pięć metrów.

Zmniejszyli tempo. Musieli odpocząć.

Jonathan wymuszał na swym ciele działanie. Jeszcze jeden stopień i będziesz mógł odpocząć. Dobrze. Dobrze. Teraz jeszcze tylko jeden stopień.

Postrzępione brzegi lodowej skorupy wokół każdego głębokiego stopnia przecinały jego nieprzemakalne spodnie, gdy się nachylał. Przecinały też jego narciarskie spodnie. I ciało; na szczęście ziąb przytępił ból.

Jeszcze jeden stopień i będziesz mógł odpocząć.

Ben pojawił się na łące, jak tylko zaczęło świtać i skrupulatnie przyjrzał się ścianie przez teleskop. Młodzi wspinacze, którzy ofiarowali się pójść z pomocą, zgromadzili się wokół niego, a ich spięte twarze wyrażały niepokój. Żaden nie mógł sobie przypomnieć takiego zimna w pełni sezonu i ściszonymi głosami rozważali, jak to jest tam, na górze.

Ben przygotował się psychicznie, że zobaczy tylko ścianę. W myślach wyobrażał sobie, jak spokojnie wraca do hotelu i wysyła telegramy do klubów alpinistycznych sponsorujących wspinaczy. Potem będzie czekał w swoim pokoju, może wiele dni, póki pogoda nie złagodnieje, a wtedy zorganizuje ekipę do odnalezienia ciała. Obiecał sobie jednego kozła ofiarnego, by dać upust emocjom. Zdzieli kogoś: reportera, a jeszcze lepiej jakiegoś Ptaka Eigeru.

Przesuwał teleskop w tę i z powrotem po ciemnym pasie skał na lewo od Żelazka, gdzie tuż przed zapadnięciem zmroku zobaczył ich zakładających obóz. Nic. Ich ubrania musiały zostać pokryte lodem, a oni sami zlali się z zamarzniętą skałą.

Na hotelowym tarasie Ptaki Eigeru już się ustawiły w kolejce do teleskopów, drepcząc dla ogrzania się i przyjmując duże filiżanki parującej kawy od uwijających się kelnerów. Pierwsze wieści, że nic nie widać na ścianie, ożywiły turystów. Spragnione sensacji i

pragnące dać dowody, jak głęboka jest ich sympatia dla ludzkiego rodu, samice Eigeru mówiły jedna do drugiej, że to wszystko jest straszne i że miały w nocy przecucia, że tak będzie. Jedna z tych idiotek, z której Anderl zrobił użytek, wybuchnęła nagle płaczem i pobiegła do hotelu, nie bacząc na pocieszających ją przyjaciół. Wzięli to na serio i zostawili ją samą w pustym holu na całe dwadzieścia minut, znalazła więc w sobie siłę, by wrócić na taras, z czerwonymi oczyma, ale dzielnie.

Samce Eigeru kiwały do siebie znacząco głowami, mówiąc, jak to od początku wiedzieli, że tak się stanie. Gdyby któryś ze wspinaczy miał na tyle oleju w głowie, by zapytać ich o radę, powiedzieliby im, że pogoda wydaje się brzydka i zmienna.

Opatuleni i całkowicie chronieni przed zimnem, otoczeni zatroskanym towarzystwem, grecki handlowiec i jego amerykańska żona przeszli przez tłum, który ucichł i cofnął się, by dać im wolną drogę. Kłaniając się na lewo i prawo, wzięli na siebie role głównych żałobników i każdy widział, jak wyjątkowo ciężkie musi to być dla nich. Ich namiot ogrzewały przez noc dwa przenośne piecyki gazowe, ale mimo to musieli znieść surowość chłodnego wiatru, gdy przechodzili po skończonym śniadaniu do zarezerwowanego dla ich osobistego użytku teleskopu, by pilnie obserwować górę.

Ben stał na łące jakby nieobecny, popijając kawę z blaszanego kubka, który jeden z młodych wspinaczy wcisnął mu niepostrzeżenie do ręki. Usłyszał najpierw pomruk i zaraz potem pisk dochodzący z tarasu. Ktoś wypatrzył oznaki ruchu.

Wypuścił kubek na oszronioną trawę i w jednej chwili znalazł się przy okularze. Było ich trzech, poruszali się wolno na dół. Trzech - i coś jeszcze. Toból. Gdy w końcu znaleźli się na śniegu, mógł rozróżnić kolory ich skafandrów. Niebieski - Jonathan - szedł na czele. Poruszał się w dół bardzo wolno, najwyraźniej wyrąbując szerokie stopnie, co pochłaniało czas i energię. Posuwał się pracowicie, oddalony prawie na całą długość liny dzielącej go od drugiego mężczyzny - czerwony skafander, Karl - który właśnie zaczął spuszczać do niego coś szarozielonego - jakąś bryłę. Dokonawszy tego, zjechał, stosunkowo szybko dołączając do Jonathana. Ostatni skafander - żółty, Anderl - zszedł ostrożnie, zatrzymując się za połową wyciągu, by założyć stanowisko. Za Anderlem nie było nikogo.

Tobółkiem musiał być Jean-Paul. Ranny... lub martwy.

Ben był w stanie wyobrazić sobie, jak to musiało wyglądać po roztopiającym fenie i srogim mrozie. Zdradliwa skorupa lodu, która mogła oderwać się od śniegu znajdującego się pod nią w każdej chwili.

Przez dwadzieścia minut Ben tkwił przy teleskopie, jego mocno napięte ciało wyrывało się, by zrobić coś użytecznego, ale nie wiedział, co zamierzają wspinacze. W końcu

wyprostował się i nakazał sobie zaniechanie dręczących domysłów i oczekiwań; Przy ich straszliwie wolnym tempie miną godziny, nim nabierze pewności, w jaki sposób będą próbowali dokonać odwrotu.

Wolał czekać w swoim pokoju, gdzie nikt nie zauważy opanowującego go strachu. Mogą próbować długiego trawersu w prawo od drogi klasycznej. Lub mogą cofnąć się do miejsca, któredy się wspinali, nie bacząc, że rynna Karla jest teraz oblodzona.

Istniała trzecia możliwość i Ben modlił się, by Jonathan miał na tyle wyobraźni, aby ją wybrać. Mogliby spróbować przedostać się przez urwisko znajdujące się nad Oknem Stacji Eigemordwand. Było mało prawdopodobne, by człowiek mógł zjechać na linie do tej bezpiecznej bocznej galerii. Nikt nigdy tego nie próbował, ale jednocześnie to rozwiązanie wydawało się najlepszą ze wszystkich złych możliwości.

- Dobry dzień! Będzie pan korzystał ze swego teleskopu?

Ben odwrócił się i zobaczył pewny siebie chłopięcy uśmiech aktora, żarzący się w jego stronę. Mocno wymalowana żona aktorka stała obok niego, obwisłą szyję obwiązała błyszczącym jedwabnym szalikiem, a jej ciało dygotało w szykownym kombinezonie narciarskim, który był specjalnie tak zaprojektowany, by wyglądała na wyższą i mniej pękata.

- Pani niechętnie wróciłaby do domu, gdyby nic nie zobaczyła, ale naprawdę nie możemy pozwolić jej stać w kolejce z tymi tam ludźmi. Pan to na pewno rozumie. - Aktor doprawdy wspaniale modulował głos.

- Chciecie skorzystać z mojego teleskopu? - zapytał Ben niedowierzając.

- Powiedz mu, że zapłacimy za to, kochanie - wtrąciła żona, po czym spojrzała na młodych wspinaczy swymi pięknymi oczyma.

Aktor uśmiechnął się i zaserwował swe najśłodsze tony.

- Oczywiście, że zapłacimy. - Wyciągnął rękę w stronę urządzenia, uśmiechając się przez cały czas swym efektownym, rozbrajającym uśmiechem.

Wbrew późniejszym doniesieniom Ben w ogóle go nie uderzył.

Aktor zareagował na nagły ruch ręki Bena i cofnął się z zadziwiającą szybkością. Kosztowało go to utratę równowagi i upadek na plecy na zamarznąłą ziemię. Żona, krzyknąwszy, rzuciła się na leżącego małżonka, by ochronić go przed dalszą brutalnością. Ben chwycił ją za włosy i pochyliwszy się nad nimi powiedział szybko, ścisłym tonem:

- Idę do swego pokoju i zostawiam teleskop tu, gdzie jest. Jeśli któreś z was, pieprzonych potworów, dotknie go, wasz doktor będzie miał co robić.

Odszedł przy odgłosach śmiechu młodych wspinaczy i powodzi wulgarnych przekleństw aktorki, która dowiodła znajomości większości wariantów aktów seksualnych.

Ben przeszedł przez taras energicznym, podskakującym krokiem, nie zbacząc nawet na centymetr ze swej drogi pośród zbitego tłumu i z przyjemnością wymierzając karzące kukuksańce, które niejednego Ptaka Eigeru wprowadziły w oszołomienie i przestraszyły. W opustoszałym barze zamówił trzy butelki piwa i kanapkę. Gdy czekał, przecisnęła się do niego przez tłum na tarasie Anna. Nie miał ochoty z nią rozmawiać, ale barman był powolny.

- Czy z Jean-Paulem wszystko dobrze? - zapytała podszedłszy.

- Nie! - Chwycił brzęczące butelki między palce jednej ręki, a kanapkę w drugą i opuścił bar, udając się do swego pokoju.

Jadł i pił, siedząc przygnębiony na brzegu łóżka. Następnie położył się, splótł pod głową palce i patrzył w sufit. Potem podniósł się i zaczął chodzić dookoła pokoju, zatrzymując się przy oknie przy każdym okrążeniu. Znowu się położył. I znowu wstał. Spędził w ten sposób dwie godziny, aż ostatecznie poniechał myśli o odpoczynku.

Stojąc znowu na łące przy teleskopie Ben był prawie pewien, że wspinacze kierują się na urwisko znajdujące się nad oknem stacji. Byli blisko krawędzi skalnej, oddzielającej pole lodowe od małej półki śniegu nad oknem. Byli na wyciągnięcie ręki od bezpiecznego miejsca, ale Ben wiedział, że pokonanie tego odcinka oznacza godziny pracy i ryzyka. I słońce zachodziło. Poczynił kroki, by specjalna kolejka zębata, która przechodzi przez środek góry, przewiozła ekipę ratowniczą. Mieli wyruszyć, kiedy przyjdzie po temu odpowiednia pora i oczekiwać w oknie na wspinaczy.

Pochylił się nad teleskopem, próbując wzrokiem przekazać im dodatkową energię.

Zatrząsł się konwulsyjnie, gdy zobaczył zsuwającego się Anderla.

Rozległ się jakiś zgrzytliwy huk i Anderl uświadomił sobie, że powierzchnia pod nim się rusza. Ogromny kawał zaskorupiałego śniegu obluzował się i zaczął zsuwać, z początku wolno, z nim pośrodku tej zgubnej wyspy. Nie miało sensu wbijać czekana; byłoby to, równoznaczne z trzymaniem się kurczowo spadającego głazu. Zareagował automatycznie - gramolił się w górę, szukając związanego śniegu. Wtedy zaczął staczać się bokiem. Rozrzucił kończyny, by powstrzymać to śmiertelne zjeżdżanie i wbił swój czekan w lodową powierzchnię, przykrywając go własnym ciałem. Ale pomimo to zsuwał się w dół bokiem, pozostawiając nad sobą głęboką koleinę wrytą czekanem.

Jonathan, wkopany ciasno wraz z Karlem i Jean-Paulem w głęboki stopień, który właśnie wyrąbał, utkwiał wzrok w leżącym przed nim śniegu; miał pustkę w głowie i drżał konwulsyjnie, jak zwykle po każdym wyciągu. Na krzyk Karla nagły strumień adrenaliny przerwał natychmiast drżenie i Jonathan zmęczonymi oczyma patrzył z otępiąłym spokojem

na zbliżającą się ku nim lawinę.

Karl pchnął Jonathana na zawinięte zwłoki i osłonił swoim ciałem, zaciskając palce wokół czekana, dzięki któremu byli asekurowani. Usłyszeli huk lawiny nad sobą, ogłuszającej i dudniącej, usiłującej ich porwać; wciskała się pod nich, próbując wyrzucić ich ze stanowiska.

I nagle nastąpiła dzwoniąca w uszach cisza, i było po wszystkim.

Jonathan wydostał się na wierzch spod zwiotczącego nagle ciała Karla i wygarnął świeży śnieg ze stopnia. Następnie wygramolił się, sapiąc, Karl. Jego dłonie krwawiły; skóra przywarła do zimnego czekana. Ciało Jean-Paula częściowo przykryte śniegiem, wciąż jeszcze tam było.

- Nie mogę się ruszyć! - Głos dochodził z bliskiej odległości.

Anderl leżał z rozpostartymi rękami i nogami na śniegu, jego stopy znajdowały się mniej niż trzy metry od krawędzi urwiska. Lawina pociągnęła go ku przepaści, po czym kapryśnie obróciła na bok, nad współtowarzyszami, i zostawiła leżącego twarzą w dół; pod sobą nadal trzymał czekan, który zatrzymał jego zsuwanie się. Nie był ranny, ale każda próba poruszenia się powodowała, że zjeżdżał w dół kilka centymetrów. Spróbował dwa razy, po czym ocenił, że powinien pozostać nieruchomy.

Znajdował się poza zasięgiem ich rąk, a świeżo odkryty śnieg był zbyt niepewny, by się po nim poruszać. Lina, która łączyła Karla z Anderlem, została pogrzebana w zwałach śniegu i tylko jej końce widać było na wierzchu.

Anderl ześliznął się kilka centymetrów, choć tym razem nie próbował się ruszać.

Jonathan i Karl pociągali i szarpali za linę, starając się rozpaczliwie wygrzebać ją spod śniegu. Nie mieli odwagi ciągnąć jej z całej siły w obawie, by nie uwolniła się nagle i nie straciła ich ze ściany.

- Głupio się czuję! - krzyknął Anderl. I zsunął się jeszcze niżej.

- Cicho bądź! - warknął Jonathan. Nie było jak umocować haka, więc pośpiesznie wbił swój i Karla czekan głęboko w miękki śnieg, a następnie przełożył linę Anderla wokół obu stylisk czekanów.

- Połóż się na tym - nakazał i Karl bez słowa wykonał polecenie.

Jonathan odwiązał się i zaczął przesuwając w górę wzdłuż zasypanej liny Anderla, to trzymając się jej kurczowo, to znów wyciągając ją spod śniegu. Za każdym razem gdy miał choć trochę luzu, kładł się nieruchomo na stromej powierzchni, podczas gdy Karl ściągął luzną linę wokół czekanów. Wyjątkowo ważne było to, by w momencie uwolnienia się liny zostało jak najmniej luzu.

Dotarł do miejsca, gdzie lina zaczynała skręcać w dół w stronę Anderla i wiedział, że musi poruszać się szybko, powinien bowiem znaleźć się jak najbliżej Anderla w chwili uwolnienia się liny. Tyle że poruszać się było coraz trudniej, a poziom adrenaliny, napędzającej ciało Jonathana, obniżał się, oddając pole mdłościom. Owinął linę wokół nóg i wybrał, wiedząc, że w każdej chwili może się zsunąć na Anderla.

Stało się to w momencie, kiedy znajdowali się w odległości jedynie trzech metrów od siebie. Los był im przychylny. Lina wysunęła się powoli spod śniegu i ześliznęli się łagodnie bokiem, Jonathan na Anderlu, aż znaleźli się tuż nad Karlem, pod osłoną dużego stopnia, a ich stopy wystawały znad krawędzi skalnego urwiska. Wgramolili się z nie lada trudem.

W momencie gdy osunął się do niemal pionowej śnieżnej jamy, Jonathan opadł z sił. Skulił się obok ciała Jean-Paula, drżąc w niepohamowany sposób, osłabiony zmęczeniem.

Anderl był pogodny i gadatliwy, a Karl posłuszny. Wspólnymi siłami poszerzyli otwór i Anderl zajął się przygotowaniem herbaty.

Pierwszy kubek podał Jonathanowi wraz z dwiema małymi czerwonymi tabletkami pobudzającymi akcję serca.

- Naprawdę czułem się tam śmiesznie. Chciało mi się śmiać, ale wiedziałem, że ruch spowoduje zsuwanie się, więc zagryzłem wargi. Wymyśliłeś wspaniały sposób na uratowanie mnie, Jonathanie. Ale w przyszłości życzyłbym sobie, żebyś nie robił ze mnie sań. Wiem, po co to robiłeś. Popisywałeś się przed ludźmi na tarasie. Prawda? - Paplał, parząc herbatę i podając ją jak troskliwa austriacka ciotka.

Środek pobudzający akcję serca i herbata zaczęły przepędzać zmęczenie Jonathana. Miał okazję ćwiczyć opanowywanie drżenia, kiedy popatrzył na brązowy wyciek krwi wokół rozdarcia w spodniach. Wiedział, że nie będzie w stanie znieść następnej nocy w nie osłoniętym obozie. Musieli iść dalej. Wydychał powietrze ze skowytem - sygnał, że to ostatnie stadium zmęczenia. Nie był pewien, jak długo będzie mógł włączyć czekanie. Mięśnie przedramion miał twarde i sztywne, a jego uchwyt przypominał rdzewiejący metal. Mógł całkiem ścisnąć pięści lub zupełnie je rozluźnić, ale nie miał kontroli nad pośrednimi ruchami.

Doskonale wiedział, że w tym stanie nie powinien prowadzić. Ale nie odważył się przekazać tego zadania żadnemu z nich dwóch. Karl popadł w depresję, a hałaśliwe trajkotanie Anderla nosiło niepokojące znamiona hysterii.

Zebrali się do dalszej drogi. Gdy Anderl odbierał metalowy kubek, przyjrzał się szarozielonym oczom Jonathana jakby widząc je po raz pierwszy.

- Wiesz, Jonathan, jesteś bardzo dobry. To była dla mnie przyjemność wspinać się z

tobą.

Jonathan zdobył się na uśmiech.

- Wszystko będzie dobrze!

Anderl uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie, nie wydaję mi się. Ale musimy zachować fason.

Do urwiska dotarli szybko, zjeżdżając na dwóch żyłach. To co Ptakom Eigeru wydawało się oszałamiająco odważnym posunięciem, było w rzeczywistości dużo mniej obciążające niż mozolenie się przez pola śnieżne. Nadchodził wieczór, więc nie tracili czasu na ściąganie liny Anderla.

Wiele miesięcy później można było ją jeszcze zobaczyć zwisającą tam i częściowo zetlałą.

Jeszcze jedno pole śnieżne do przejścia i znajdą się nad oknami stacji. Brutalny cykl znowu się zaczął. Teraz, gdy słońce zaszło, zrobiło się chłodniej. Jonathan zacisnął szczęki i skoncentrował się. Wyrąbywał stopień za stopniem, uderzenia czekaniem wędrowały przez drżące ramię bezpośrednio do karku. Uderzenie czekaniem. Krok w dół. Pochylić się. Uderzenie czekaniem. I konwulsyjne drgawki, gdy tamci się zbliżali. Minuty były niemiłosiernie długie, a godziny poza granicą ludzkiego czasu.

Czas dłużył się także Benowi; znalazłby ukojenie w działaniu, ale opanował swój impuls aż do czasu, gdy nabrał pewności co do ich drogi zejścia. Gdy zobaczył ostatniego mężczyznę zsuwającego się z urwiska i opuszczającego po ostatnim stosunkowo wąskim polu śnieżnym, odsunął się od teleskopu.

- W porządku - powiedział spokojnie - idziemy.

Ekipa ratownicza przeszła do dworca kolejowego, omijając szerokim łukiem hotel, by nie wzbudzić nadmiernego zainteresowania reporterów i gapiów. A jednak kilku dziennikarzy zostało powiadomionych przez ludzi uważających się za rzeczników władz kolejowych i czekało na peronie. Ben miał już ich zupełnie dosyć, toteż bez wdawania się w zbędną dyskusję, dał im wyraźnie do zrozumienia, co z nimi będzie, gdy staną mu na drodze.

Pomimo wcześniejszych ustaleń musieli stracić czas na przekonywanie urzędników szwajcarskich, że koszty dodatkowego pociągu zostaną na pewno pokryte przez organizacje sponsorujące wspinaczkę. W końcu jednak wyruszyli; młodzi ludzie siedzieli milcząco obok siebie w wagonie, który podskakiwał i kołysał się, zanurzając w ciemnościach tunelu. Dojechali do celu w ciągu trzydziestu minut.

Brzęk sprzętu do wspinaczki i szuranie butów odbijały się echem w sztucznie

oświetlonym tunelu, gdy szli od peronu Stacji Eigernordwand lekko opadającą boczną galerią, która prowadziła do punktów obserwacyjnych. Nastrój grupy był taki, że nawet reporterzy zrezygnowali z zadawania idiotycznych pytań i zaoferowali się nieść dodatkowe zwoje liny.

Porozumiewając się tylko wtedy, gdy było to konieczne, zabrali się do pracy. Czekanami wyrwali drewniane balustrady na końcu galerii (oczywiście pracownicy kolei nie omieszkali przypomnieć Benowi, że trzeba będzie za to zapłacić), po czym pierwsi młodzi ludzie weszli na ścianę, by założyć stanowisko. Skulili się po zetknięciu ze strumieniem lodowatego powietrza. Wiedzieli, jak taki ziąb wyczerpuje siły ludzkie.

Ben oddałby wszystko, by pokierować akcją ratowniczą, ale doświadczenie podpowiadało mu, że ci młodzi mężczyźni ze swoimi zdrowymi stopami i młodzieńczymi rezerwami energii wykonają zadanie lepiej od niego. Mimo to musiał walczyć z chęcią czynienia co chwila drobnych korygujących uwag, ponieważ wydało mu się, że na każdym kroku popełniają błędy.

Gdy młody prowadzący zbadał sytuację na ścianie, wczuł się z powrotem do galerii. Jego relacja nie była uspokajająca. Skalę pokrywała warstwa szkliva o grubości półtora centymetra - zbyt cienka i krucha, by utrzymała się w niej śruba lodowa, ale dostatecznie gruba, by zalać szczeliny nadające się do wbicia haków, jakie z pewnością w normalnych warunkach wspinacze znaleźliby na ścianie. Będą musieli odkuwać lód czekanami, by odsłonić skalę. A to z pewnością pójdzie wolno.

Ale najbardziej niepokojącą wiadomością było to, że będą w stanie zbliżyć się do wspinaczy jedynie o dziesięć metrów. Wyżej skalna ściana wywiesza się przybierając formę okapów nie do przebycia. Wyglądało to tak, że wprawny mężczyzna mógłby przejść trzydzieści metrów na prawo lub lewo od krawędzi okna, ale nie w górę.

Młody człowiek, przekazując te informacje poklepywał dłońmi kolana, by przywrócić krążenie krwi. Był na ścianie jedynie przez dwadzieścia minut, a już chłód spowodował, że palce mu zeszywniały i skostniały. Wraz z zachodem słońca w tunelu galerii coraz mocniej odczuwało się zimno. Tej nocy miał zostać pobity rekord niskiej temperatury.

Po zainstalowaniu punktów asekuracyjnych tuż za oknem nie pozostawało nic innego jak czekać. Istniało dalekie prawdopodobieństwo, że wspinacze przypadkowo zjadą po linie bezpośrednio nad okno. Ale nawet gdyby przyjąć takie założenie, to i tak człowiek na górze nie mógłby dokładnie wiedzieć, gdzie okno się znajduje. Ponadto, zważywszy wysięg dachu, ten kto zjedzie pierwszy, będzie wisiał kilka metrów od ściany. Będą musieli posuwać się do niego centymetr po centymetrze, w jakiś sposób podać mu linę i ściągnąć go. Gdy lina

zostanie już uwiązana, łatwiej będzie uratować pozostałych... o ile mają jeszcze siły na zejście... o ile mają dosyć liny na zjazd przez uskok... o ile zimno ich nie otępiło... o ile ich lina poręczowa się nie zaklinowała... o ile ich stanowisko zjazdowe nad skrajem urwiska wytrzyma.

Co kilka minut jeden z młodych ludzi wychodził na zewnątrz i krzyczał, jodłując. Ale nie było odpowiedzi. Ben chodził tam i z powrotem po galerii; reporterzy rozsądnie przyłgnęli do ścian skały, by nie stawać mu na drodze. W pewnym momencie przeklął i wspinał się sam na ścianę, nie przewijając się liną, trzymając się któregoś z haków jedną ręką i wychylając odważnie jak za dawnych lat.

- Pośpiesz się, Jon! - krzyknął. - Rusz swój tyłek z tej górki!

Żadnej odpowiedzi.

Ale coś innego wydało się Benowi zastanawiające. Jego głos miał anormalny wyraźny rezonans. Nie było na Eigerze wiatru. Panował zadziwiający spokój, a chłód osaczał ich i stawał się coraz bardziej dotkliwy. Nasłuchiwał w tej tajemniczej ciszy, przerywanej od czasu do czasu przez artyleryjski strzał kamieni, odpadających od skały gdzieś na górze i roztrzaskujących się o podstawę daleko w dole.

Gdy wgramolił się z powrotem do okna galerii, osunął się plecami po ścianie tunelu i usiadł skulony między czekającymi ratownikami, obejmował swe kolana, dopóki nie przestał się trząść i lizał dłoń w miejscu, gdzie zeszła skóra, przykleiwszy się do metalowego haka.

Ktoś zapalił przenośną maszynkę i zaczęto podawać niezastąpioną, przywracającą do życia herbatę.

Temperatura spadała w miarę, jak światło dzienne znikalo i na końcu galerii robiło się coraz mroczniej.

Jeden z młodych ludzi przy wylocie tunelu zajodłował, przerwał i zajodłował znowu.

Usłyszeli z góry odpowiedź!

W galerii rozległ się pomruk podekscytowania, po czym zapadła nagła cisza, gdy młody wspinacz zajodłował raz jeszcze. I znowu otrzymał wyraźną odpowiedź. Reporter spojrzął na zegarek i szybko zapisał coś w notesie, a Ben podszedł do krawędzi okna z trzema wyselekcjonowanymi ludźmi, którzy mieli nawiązać kontakt ze wspinaczami. Znowu nastąpiła wymiana okrzyków. W bezwietrznej ciszy stało się niemożliwe określenie odległości, z jakiej nadchodziły wołania. Jodłujący spróbował znowu i głos Anderla odpowiedział ze szczególną wyrazistością:

- Co to jest? Konkurs?

Młody Austriak w ekipie ratowniczej uśmiechnął się szeroko i trącił łokciem

mężczyznę znajdującego się obok. To Anderl Meyer do ciebie! Ale Ben wyczuł w brzmieniu głosu Anderla ogromną desperację zrozpaczonego, dumnego, wyczerpanego człowieka. Podniósł rękę i ci, co byli z nim na krawędzi, uciszyli się. Usłyszeli odgłos szurania na górze, na lewo. Ktoś obniżył się po wybrzuszonej skale, daleko z lewej strony, jakieś czterdzieści metrów od bezpiecznego miejsca. Z brzęku karabinków Ben wywnioskował, że ten ktoś zjeżdżał w zaimprovizowanym z nich przyrządzie. Następnie pojawiły się buty i Jonathan, który zjeżdżał kręcąc się na linie w odległości około trzech metrów od ściany. Zmrok zapadał szybko. Gdy tak obracał się w powietrzu, trzech ratowników rozpoczęło trawers ku niemu, odłupując zdradliwą skorupę lodu w miejscach, gdzie spodziewali się znaleźć szczeliny na haki. Ben stał na krawędzi okna, kierując działaniami trójki. Na zewnątrz nie było miejsca dla pozostałych, choć mieli wielką ochotę pomóc.

Ben nie wymagał od Jonathana odwagi. Zorientował się po opadającym ciełe w uprząży, że Jonathan jest u kresu wytrzymałości po tym, jak od świtu wyznaczał dla ich trójki drogę, nie ma nawet siły, by rozmawiać. Ben modlił się, by Jonathan nie uległ temu emocjonalnemu załamaniu, tak częstemu u wspinaczy, gdy meta jest już o koński łeb.

Trzech młodych mężczyzn nie mogło się poruszać szybko. Ściana była prawie pionowa i miała jedynie kilkucentymetrową pokrytą lodem listwę na stopy. Gdyby nie mieli doświadczenia we wspinaniu się trawersem, nie byłiby w stanie w ogóle tego przejść.

Nagle Jonathan zatrzymał się w połowie drogi. Spojrzał w górę, ale nie mógł nic zobaczyć powyżej krawędzi uskoku.

- Co się tam dzieje?! - krzyknął Ben.

- Lina...! - odkrzyknął Anderl, zgrzytając zębami. - Zaklinowana!

- Możesz się z nią uporać?

- Nie! Czy Jonathan może dohuścić się do ściany i dać trochę luzu?

- Nie!

Jonathan nie mógł nic zrobić, by sobie pomóc. Obrócił się wokół liny, pod nim ziało sto osiemdziesiąt metrów próżni. Czego pragnął najbardziej - to snu.

Mimo że był dużo poniżej nich, Ben usłyszał głosy Karla i Anderla w stojącym lodowatym powietrzu. Nie mógł rozróżnić słów, ale wyglądało to na burzliwą naradę.

Trzech młodych ludzi posuwało się dalej; znajdowali się w połowie drogi do Jonathana i ryzykowali wiele, wbijając haki rzadziej, by zwiększyć szybkość.

- Dobrze! - krzyknął Anderl. - Zrobię, co będę mógł.

- Nie! - wrzasnął Karl. - Nie ruszaj się!

- Tylko trzymaj mnie!

- Nie mogę! - zapiszczał. - Anderl, nie mogę!

Ben zobaczył jak znad krawędzi urwiska najpierw spada śnieg, piękny złoty pył w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Automatycznie przyłgnął plecami do ściany. W jednej chwili, zupełnie jakby to była wstawka w filmie, zobaczył dwie ciemne lecące postacie; mijały go, okryte pyłem spadającego śniegu i lodu. Jeden z nich uderzył o krawędź okna straszliwie je obryzgując. I zniknęli.

Śnieg nadal spadał z gwizdem, wreszcie przestał.

Na ścianie zaległa cisza.

Trzej młodzi ludzie byli bezpieczni, ale zastygli na swych stanowiskach z powodu tego, czego byli świadkami.

- Ruszajcie się! - powiedział Ben warkliwie i opanowali swe emocje, spełniając rozkaz.

Pierwsze uderzenie obróciło Jonathana w uprząży i wisiał głową w dół, mocno się kołysząc. Jego myśli błądziły w półświadomości. Znów to coś uderzyło go i krew trysnęła mu z nosa. Chciał spać, nie chciał, by to uderzyło go znowu. Jedyne, czego pragnął od życia - spać. Ale zderzył się z tym czymś po raz trzeci. Dostał uderzenie z odbicia i liny splątały się. Instynktownie Jonathan chwycił linę i przyciągnął ją do siebie. To było ciało Jean-Paula, do połowy pozbawione swej osłony zrobionej ze śpiwora, sztywne, martwe, zimne ciało. Ale Jonathan przyłgnął do niego.

Gdy Anderl i Karl spadali, ich ciężar przerwał linę między nimi a zwłokami, które stoczyły się z krawędzi i runęły na Jonathana. To uratowało go przed upadkiem, wytworzyła się bowiem przeciwwaga dla jego ciężaru na łączącej ich linie, która wpięta była w znajdujący się wyżej karabinek z hakiem. Kołysali się obok siebie w ciszy.

- Podnieś się!

Jonathan dosłyszał z daleka głos Bena, cichy i nierealny.

- Podnieś się!

Jonathanowi nie przeszkadzało, że zwisa do góry nogami. Był gotów odejść. Doszedł do kresu. „Dajcie mi spać. Po co się podnosić?”

- Podciągnij się, do cholery!

„Nie zostawię mnie w spokoju, dopóki nie zrobię tego, czego chcę. Jakie to ma znaczenie? - Spróbował podciągnąć się na linie Jean-Paula, ale nie mógł zacisnąć palców. Nie miał czucia. - Jakie to ma znaczenie?”

- Jon! Na miłość boską!

- Zostaw mnie - wymamrotał. - Idź sobie. - Dolina poniżej była ciemna i nie czuł już zimna. Nie czuł zupełnie nic. Będzie spał.

„Nie, to nie spanie. To coś innego. Dobrze, spróbuj się odwrócić. Może wtedy zostawią cię w spokoju. Nie mogę oddychać. Nos zatkany krwią. Spać”.

Jonathan powoli próbował, ale drżały mu palce, spuchnięte i nieprzydatne. Sięgnął do góry i owinał ramię wokół liny. Z wysiłkiem podniósł się do połowy, ale dłonie mu się ześliznęły. Z rozmachu próbował zbliżyć się do ciała Jean-Paula, dopóki nie owinał wokół niego nóg, dzięki czemu był w stanie podciągnąć się. Poczul uderzenie liny w czoło.

„Już. Jestem w pionie. Teraz dajcie mi spokój. Idiotyczna gra. Bez znaczenia!”

- Postaraj się to złapać!

Jonathan zmrużył oczy, by zobaczyć ich wyraźniej. Trzech ludzi. Zupełnie blisko. Przyczepieni do ściany. „Czego, u diabła, znowu chcą? Czemu nie dadzą mi spokoju?”

- Złap pętlę i wepnij się!

- Spływaj! - mruknął.

Głos Bena huczał z oddali.

- Wepnij się, do cholery!

„Nie mogę wkurwiać Bena. Staje się podły, gdy jest wkurwiony. - Osłabiony Jonathan z trudem wpiął pętlę w swoją uprząż. - No masz. Nie żądaj niczego więcej. Daj mi zasnąć. Przestań wyciskać ze mnie to cholerne powietrze!”

Jonathan usłyszał młodego człowieka, krzyżącego z trwogą do Bena:

- Nie możemy go wciągnąć! Ma za mało liny!

„Dobrze. W takim razie zostawcie mnie w spokoju”.

- Jon? - Głos Bena nie był gniewny. Przymiłał się jak do dziecka. - Jon, masz czekan koło nadgarstka.

„No i co?”

- Przetnij linę nad tobą, Jon.

„Ben oszalał. Chyba potrzebuje snu”.

- Przetnij linę, staruszk. To będzie tylko krótkie omsknięcie. Mamy cię.

„No, zrób to. Nie odczepią się, dopóki tego nie zrobisz”. Zaczął ciąć na ślepo nylonową linę nad sobą. Wielokrotnie, słabymi uderzeniami, które rzadko trafiały dwa razy w to samo miejsce. Po jego odrętwiałej głowie przemknęła nagła myśl i zatrzymał się.

- Co on powiedział?! - krzyknął Ben do ratujących.

- Powiedział, że Jean-Paul spadnie, jeśli przetnie linę.

- Jon? Posłuchaj mnie. Wszystko jest w porządku. Jean-Paul nie żyje.

„Nie żyje? Ach, pamiętam. On jest tutaj i jest martwy. Gdzie jest Anderl? Gdzie Karl? Są gdzie indziej, ponieważ nie umarli jak Jean-Paul. Zgadza się? Nie rozumiem. Tak czy

owak, to nieważne. Co ja robiłem? Ach, tak. Przecinałem tę pieprzoną linę”.

Ciął raz za razem.

I nagle pękła. Przez chwilę oba ciała spadały razem, po czym Jean-Paul zniknął. Jonathan zemdlał z bólu spowodowanego pęknięciem żeber, gdy pas piersiowy przeniósł szarpnięcie. I na szczęście, ponieważ nie czuł zderzenia ze skałą.

ZURYCH

6 sierpnia

Jonathan leżał w łóżku w sterylnej izolacji w kompleksie nowoczesnego szpitala w Zurychu, przypominającym labirynt. Było mu strasznie nudno.

- ...siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście w dół; na jeden, dwa, trzy, cztery, pięć...

Cierpliwie i pilnie wypatrywał otworów znajdujących się w każdym kwadracie wyciszających płytek w suficie. Sumując cyfry w pamięci zaczął liczyć płytki wszerz i wzdłuż, po czym pomnożył to przez siebie. Uzyskany wynik miał zamiar pomnożyć przez liczbę otworów w każdej płytce, by dowiedzieć się, jak ogromna musi być liczba dziur w suficie.

Naprawdę było mu strasznie nudno. Choć trwało to tylko kilka dni. Przez większą bowiem część hospitalizacji skupiał uwagę na strachu, bólu i wdzięczności, że pozostał przy życiu. Raz podczas powrotnej drogi z Okna Galerii miał przebłysk świadomości i doświadczył dantejskiego przemieszania światła i ruchu, gdy pociąg kołysał się i stukotał podczas jazdy tunelem. Przed oczami stanęła mu twarz Bena i Jonathan powiedział niewyraźnie, narzekając:

- Nic nie czuję od pasa w dół.

Ben wydał jakieś uspokajające dźwięki i znikł.

Gdy następnym razem Jonathan nawiązał kontakt ze światem, Dante ustąpił miejsca Kafce. Lśniący sufit defilował nad nim i ktoś bezdusznym głosem wywoływał lekarzy po imieniu. Nakrochmalony biały dziwaczny kobiecy tułów nachylił się nad nim i potrząsnął dziwną przysadkowatą głową, a potem przyspieszyli kroku. Sufit przerwał swój zawrotny pęd, a męskie głosy gdzieś obok rozmawiały z nie lada prędkością. Chciał im powiedzieć, że nie czuł nic od pasa w dół, ale nikt nie wydawał się tym zainteresowany. Obcięli sznurówki jego butów i ściągnęli mu spodnie. Pielęgniarka mlasnęła językiem i powiedziała ze współczuciem, a zarazem z gorliwością:

- Może trzeba będzie amputować.

Nie! Słowo przyszło mu szybko do głowy, ale zemdłał, nim zdążył powiedzieć, że wolałby raczej umrzeć.

Ostatecznie uratowali nogę, co do której mieli wątpliwości, ale dopiero gdy Jonathan przetrwał dni bólu, przywiązany do łóżka pod plastikowym namiotem, który kąpał jego

przemrożone kończyny w czystym tlenie. Jedynym ukojeniem w tym zżerającym kości bezruchu było codzienne obmywanie watą nasączoną spirytusem. Ale nawet to zawierało w sobie element poniżenia, gdyż pielęgniarka o męskim typie, która wykonywała tę czynność, zawsze chwyciła jego genitalia jak jakieś bezwartościowe graty, pod którymi trzeba odkurzyć.

Miał rozległe obrażenia, ale nie poważne. Poza poparzeniami i odmrożeniami, miał złamany nos po tym, jak uderzyły w niego zwłoki Jean-Paula i dwa pęknięte żebra po tym, jak zacisnął się pas uprząży; a jego zderzenie ze ścianą skończyło się łagodnym wstrząśnięciem mózgu. Z tego wszystkiego najdłużej goił się nos. Nawet gdy zlikwidowano namiot tlenowy i mógł się już ruszać, a żebra zrosły się na tyle, że dokuczał mu bardziej plaster niż ból, szeroki bandaż przechodzący przez zgarbienie nosa ciągle stanowił jego utrapienie. Nie mógł nawet czytać, ponieważ jego skupienie rozpraszał biały kawałek materiału, który zmuszał go do patrzenia zezem.

Ale największym utrapieniem była nuda. Nie przyjmował gości. Ben nie towarzyszył mu do Zurychu. Został w hotelu, by opłacić rachunki i zająć się odzyskiwaniem i przewozem ciała. Anna także została i kochała się z Benem kilka razy.

Tak wielką czuł nudę, że doprowadziła go do ukończenia artykułu o Lautrecu. Ale gdy przeczytał go następnego ranka, burknął coś i cisnął do kosza obok łóżka.

Wspinaczka skończyła się. Ptaki Eigeru poleciały na południe do swoich wyszczelanych gniazd, z zaspokojonym na razie głodem sensacji. Reporterzy kręcili się przez parę dni, ale gdy stało się oczywiste, że Jonathan przeżyje, wyjechali z miasta, robiąc wokół siebie szum, jak sępy, którym przeszkadza się w spożywaniu dopadniętej padliny.

W końcu tygodnia wspinaczka zeszła ze stron gazet, a wkrótce uwaga prasy skierowana została na najbardziej rozreklamowane wydarzenie dekady. Stany Zjednoczone osadziły dwóch szczerzących zęby rolników na Księżycu, dzięki któremu to osiągnięciu państwo miało aspirację wprowadzić wspólnotę ludzką w erę Nowej Uniżoności wobec odległości kosmicznej i amerykańskiej technologii.

Za całą korespondencję dostał kartkę od Cherry, której jedną stronę pokrywały znaczki i stemple, wskazujące, że szła z Long Island do Arizony, do Long Island, na Kleine Scheidegg, na Sycylię, na Kleine Scheidegg, do Zurychu. Sycylia? Pismo było okrągłe i duże na początku, potem stopniowo coraz mniejsze i bardziej zbite, gdy brakowało już miejsca.

Cudowna wiadomość!!! Zostałam uwolniona od tego ciężaru (he, he), który nosiłam tyle czasu! Uwolniona i jeszcze raz uwolniona! Fantastyczny mężczyzna! Spokojny, delikatny, opanowany, dowcipny - no i mój (mój!) kochanek. Stało się to tak (wyobraź sobie

pstryknięcie palcami!). Spotkanie. Ślub. Partnerstwo. I w tej kolejności! Do czego ten świat zmierza? Straciłeś swoją szansę. Będziesz rozpaczliwie płakał. Boże, jest cudowny, Jonathan! Mieszkamy u mnie. Przyjdź nas odwiedzić, gdy wrócisz. To mi przypomniało, że wpadłam raz do twego domu, by się upewnić, że nikt go nie okradł. Nikt. Ale mam jedną złą wiadomość. Pan Monk odszedł. Dostał stałą pracę w Parku Narodowym. Jak Arizona? Uwolniona, powiedziałam! Opowiem ci wszystko, gdy wrócisz.

Dobrze, a jak Szwajcaria?

Cisnął ją do kosza.

Jonathan leżał, patrząc w sufit.

Pierwszego dnia po tym jak zniesiono ograniczenia wobec gości odwiedził go mężczyzna z amerykańskiego konsulatu. Niski, pulchny, z długimi włosami krzyżującymi się na łysej głowie, z czarnymi oczami mrugającymi za okularami w stalowej oprawce - nie rzucający się w oczy typ, jakiego CII rekrutował szczególnie chętnie, ponieważ nie odpowiadał on powszechnemu obrazowi szpiega. CII z tak ogromną konsekwencją wykorzystywał podobnych ludzi, że już dawno temu stali się stereotypowi, a każdy obcy agent mógł ich wyróżnić z tłumu na pierwszy rzut oka.

Gość zostawił mały magnetofon nowego wzoru à la CII, który miał głowice „Startu” i „Kasowania” ułożone odwrotnie, obie działające po wciśnięciu „Startu”, tak że informacja kasowała się w momencie odtwarzania jej. Uznano ów model za znaczne ulepszenie jego sekretnego poprzednika, który kasował jeszcze przed odtworzeniem.

Jak tylko został sam, Jonathan otworzył pokrywkę magnetofonu i znalazł kopertę przyklejoną do jej odwrotnej strony. Zawierała potwierdzenie z banku zdeponowania stu tysięcy dolarów na jego koncie. Zmieszany wcisnął „Start” i głos Dragona, jeszcze cieńszy i bardziej metaliczny niż zazwyczaj, przemówił do niego przez mały głośnik. Wystarczyło tylko zamknąć oczy, by zobaczył mieniającą się twarz w kolorze kości słoniowej, wyłaniającą się z ciemności, i różowe oczy pod krzaczastymi, białymi brwiami.

Mój drogi Hemlock... Do tego czasu otworzył już pan kopertę i odkrył - z zaskoczeniem i przyjemnością, mam nadzieję - że postanowiliśmy zapłacić pełną sumę, pomimo naszej wcześniejszej pogroźki, że odliczymy sobie najbardziej wygórowane z pańskich szaleństw... Rozważyłem, że to będzie uczciwe, zważywszy niewygody i wydatki, jakie musiały spowodować pańskie obrażenia... Wydało nam się oczywiste, że ponieważ nie był pan w stanie sprawić, by cel się ujawnił, wybrał pan pewną, choć bezlitośnie nieoszczędną drogę

ukarania wszystkich trzech mężczyzn... Ale pan zawsze był rozrzutny... Przypuszczamy, że morderstwo na panu Bidecie zostało popełnione podczas pierwszej nocy na ścianie, pod osłoną ciemności... Jak pan zdołał zabić pozostałych dwóch mężczyzn, nie jest dla nas jasne, ani nie interesuje nas to szczególnie... Jak pan pamięta, wyniki są dla nas ważniejsze niż metody.

A teraz, Hemlock, naprawdę powinienem udzielić panu nagany za odesłanie Clementa Pope'a w takim stanie... Uniknął pan mojego gniewu jedynie dlatego, że od początku planowałem go ukarać, na co sobie zresztą zasłużył... Więc dlaczego by nie pańskimi rękami?... Wydział Śledczy przydzielił Pope'owi zadanie zlokalizowania pańskiego celu i nie udało mu się zidentyfikować tego człowieka... Kiedy zostało mu już tylko jedenaście godzin, użył pewnego fortelu: przyszło mu na myśl, by wystawić pana jako przynętę... Było to rzeczywiście niezbyt błyskotliwe myślenie, a wyszło od przestraszonego i nieudolnego człowieka, ponieważ nie mieliśmy innego wyboru... Wierzyłem, że przetrzyma pan tę - zdaniem wszystkich - napiętą sytuację i jak pan widzi, miałem rację... Pope został usunięty z wydziału i przydzielono mu mniej wymagające zadanie pisania przemówień dla wiceprzewodniczącego... Po tym, co pan mu zrobił, jest dla nas prawie bezużyteczny... Cierpi na coś, co u dobrze polującego psa można by nazwać bojaźliwością przed bronią.

Z wielkim bólem serca włożyłem pańskie akta do „nieaktywnych”, choć muszę się panu zwierzyć, że panna Cerberus nie podziela mojego smutku... Prawdę mówiąc, gdzieś głęboko w duszy mam przecucie, że niebawem będziemy znów pracować razem... Wziąwszy pod uwagę pańskie zamiłowania, te pieniądze wystarczą nie dłużej niż na cztery lata, po czym - kto wie?

Gratulacje w związku z pańskim pomysłem przewycięzeniem kryzysu i szczęścia w pańskiej świątyni na Long Island.

Koniec taśmy trzepotał, gdy szpula jeszcze się obracała. Jonathan wyłączył urządzenie i odsunął je. Powoli poruszył głowę i powiedział do siebie bezradnie:

- Och, Boże. Zobaczmy teraz. Było czterdzieści dwa w dół na jeden, dwa, trzy, cztery...

Ben miał trudności z trafieniem do drzwi. Przeklął i kopnął je ze złością, gdy wchodził; w ramionach trzymał ogromny kosz owoców owinięty celofanem.

- Masz! - powiedział burkliwie i wyciągnął pomarszczony ciężar w kierunku Jonathana, który śmiał się niepohamowanie od momentu wtargnięcia Bena.

- Co to za cudowna rzecz, którą mi przynosisz? - zapytał między wybuchami śmiechu.

- Nie wiem. Owoce i tego typu gówno. Zrobili to na dole w holu. Co cię tak cholernie

śmieszny?

- Nic. - Jonathan osłabł ze śmiechu. - To najślodsza rzecz, jaką kiedykolwiek ktoś dla mnie zrobił, Ben.

- Ach, odpieprz się!

Łóżko zatrzęsło się od nowego ataku śmiechu. Choć było prawdą, że Ben wyglądał głupio, wyciągając tak owinięty pięknie kosz w swojej szerokiej łapie, śmiech Jonathana nosił znamiona hysterii, spowodowanej nudą i zamknięciem.

Ben postawił kosz na podłodze i usiadł ociężale na krześle obok łóżka, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, jakby demonstrując nieco zrędliwą wyrozumiałość.

- Naprawdę cieszę się, że cię tak rozweseliłem.

- Przepraszam. Słuchaj! Już dobrze. - Ostatni suchy, cichy śmiech wydał nosem. - Dostałem twoją kartkę. Ty i Anna?

- Zdarzają się najdziwniejsze rzeczy! - Ben zrobił szeroki gest ręką.

Jonathan pokiwał głową.

- Czy znaleźliście...

- Tak. Ojciec Anderla postanowił pochować go na łące niedaleko ściany.

- Dobrze.

- Tak. Dobrze.

I nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia. Była to pierwsza wizyta Bena w szpitalu, ale Jonathan rozumiał to. Nie ma o czym rozmawiać z chorym człowiekiem.

Po chwili Ben spytał, czy ma dobrą opiekę. I Jonathan odparł, że tak. A Ben stwierdził, że to dobrze.

Ben wspomniał o szpitalu w Valparaiso, gdzie wracał do siebie po amputacji palców po wejściu na Aconcaguę, kiedy to ich role były odwrócone. Jonathan pamiętał o tym i nawet udało mu się wymienić parę nazwisk i miejsc, nad którymi obaj pokiwali energicznie głowami, by znów uciec w milczenie.

Ben przeszedł przez pokój i spojrzał przez okno.

- Jakie są pielęgniarki?

- Nakrochmalone.

- Zaprosiłeś którąś?

- Nie. Są raczej nieatrakcyjne.

- To bardzo źle!

- Tak.

Ben ponownie usiadł i strzepnąwszy ręką spodnie, zakomunikował Jonathanowi, że ma

zamiar wrócić po południu z powrotem do Stanów.

- Powinienem być w Arizonie jutro rano.
- Uściśnij ode mnie George.
- Zrobię to.

Ben westchnął i wyciągnął się energicznie, po czym powiedział, by Jonathan uważał na siebie, i wstał, by odejść. Gdy podniósł kosz owoców i postawił go blisko łóżka, Jonathan znowu zaczął się śmiać. Tym razem Ben postanowił to przetrzymać. To było lepsze niż długie milczenie. Ale po chwili zaczął się czuć głupio, więc postawił koszyk i skierował się ku drzwiom.

- Och, Ben!
- Co?

Jonathan otarł łzy ze śmiechu.

- Jak zostałeś wmieszany w tę sprawę w Montrealu?

Ben stał przez dłuższą chwilę przy oknie, czołem opierając się o framugę i obserwując ruch na bezbarwnej ulicy, obsadzonej wzbudzającymi radość młodymi drzewami. Gdy w końcu odezwał się, jego głos był matowy i przytłumiony.

- Naprawdę wyprowadziłeś mnie z równowagi.
- Przygotowywałem się do tego, gdy leżałem tutaj, licząc dziury w suficie.
- I naprawdę ci wyszło, staruszk. Jak długo o tym wiesz?

- Od paru dni. Na początku to były tylko domysły. Próbowałem wyobrazić sobie kulejącego mężczyznę z Montrealu i żaden ze wspinających się mężczyzn nie odpowiadał w pełni obrazowi. Pozostawałeś ty. Później wszystko znalazło jakby swoje miejsce. Jak na przykład spotkanie Mellougha w twoim hotelu. To był niby zbieg okoliczności. A dlaczego George Hotfort wstrzyknęła mi pół dawki? Miles by tego nie zrobił. On już znał moją odpowiedź. I dlaczego George miałaby to zrobić dla Milesa? o ile wiem, istnieje tylko jedna rzecz, która ją naprawdę interesuje, a Miles nie mógłby jej tego ofiarować. Ale może zrobiła coś takiego dla ciebie? A ty chciałeś tego, bo było ci na rękę, bym zabił szybko Milesa, tak żeby nie zdążył ujawnić mi nazwiska człowieka uwikłanego w morderstwo w Montrealu.

Ben pokiwał fatalistycznie głową.

- Budziłem się spocony, wyobrażając sobie, że Mellough powiedział ci to tam, na pustyni, a ty grasz ze mną w kotka i myszkę.

- Nie dałem szansy Milesowi, by powiedział mi cokolwiek.

Jonathan przerwał milczenie, które zaległo po jego ostatniej wypowiedzi.

- Jak się z nim związałeś?

Ben nadal patrzył przez okno na ruch uliczny. Nadchodził wieczór i zaświeciły się pierwsze latarnie.

- Wiesz, że próbowałem odnieść sukces tą małą szkołą wspinaczki, kiedy już nie mogłem się więcej wspinać. Otóż, nie miałem z niej żadnych zysków. Nie przyjeżdżało dużo ludzi, a ci co przyjeżdżali, jak ty... to byli w większości starzy kumple ze wspinaczek, od których nienawidziłem pobierać opłat. Nie ma zbyt wielu ofert pracy dla żylastych byłych wspinaczy. Przypuszczam, że znalazłbym jakąś pracę w biurze od dziewiątej do piątej, ale to nie dla mnie. Sądzę, że wiesz, co mam na myśli, biorąc pod uwagę twój sposób zdobywania pieniędzy.

- Już nie będę tego robił. Skończyłem z tym.

Ben spojrział na niego poważnie.

- To dobrze, Jon. - I wrócił do obserwowania intensywnego ruchu na ciemniejących ulicach. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał sucho. - Pewnego dnia ten Miles Mellough pojawił się znikąd i powiedział, że ma dla mnie propozycję. Dał mi elegancki ośrodek z małą szkołą wspinaczki na uboczu i jedyne, co miałem robić, to pozwolić jego ludziom przyjeżdżać i wyjeżdżać bez pytań. Wiedziałem, że to musi być bezprawne. Prawdę mówiąc, Mellough nigdy nawet nie udawał, że jest inaczej. Ale miałem dosyć spory dług i... - Jego głos stawał się coraz niższy, aż zamilkł.

Jonathan wsadził rękę pod brązowy celofan i wyjął z kosza jabłko.

- Miles był wielkim głupkiem. Mam wrażenie, że twój ośrodek spełniał funkcję obozu wypoczynkowego dla masy jego kochasiów, a zarazem był miejscem postoju na trasie wschód-zachód.

- Zgadza się. Ciągnęło się to parę lat. I przez ten cały czas w ogóle nie wiedziałem, że ty i Mellough jesteście wrogami. Nie wiedziałem nawet, że się znaliście.

- Dobrze. Tyle masz wspólnego z Melloughem. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego pojechałeś do Montrealu.

- Nie sprawia mi zbyt wiele przyjemności mówienie o tym.

- Myślę, że należy mi się wyjaśnienie. Nie wspinałbym się nigdy na ten szczyt, gdybyś mi wcześniej powiedział.

Ben prychnął.

- Nie! Zabiłbyś mnie i zainkasował pieniądze.

- Nie wydaje mi się!

- Chcesz mi powiedzieć, że zrezygnowałbyś ze swojego domu i obrazów, i w ogóle ze

wszystkiego?

Jonathan milczał.

- Nie jesteś pewien, prawda, Jon?

- Nie. Nie jestem pewien.

- Szczerść to jeszcze nie wszystko, Jon. Tak czy owak, wierz albo nie, ale wiele razy próbowałem wyperswadować ci wchodzenie na tę górę. Nie chciałem umierać, ale nie chciałem też, byś ty umierał tam z mojego powodu.

Jonathan nie dał mu zboczyć z tematu:

- Powiedz mi, jak się znalazłeś w Montrealu.

- Och - Ben westchnął hałaśliwie - popełniłem kilka głupstw, staruszk. Z rodzaju, jakich doświadczona dłoń, jak twoja, nigdy by nie zrobiła. Wysyłałem pewne rzeczy... tego typu głupstwa. Potem moja... - Zaciśnął powieki i wcisnął kciuk i palec wskazujący w oczodoły. - Potem moja córka weszła w świat narkotyków i... Mellough zaopiekował się nią. Wziął ją do ośrodka, gdzie zrobili z nią porządek. No i miał mnie już w swych rękach. Byłem jego dłużnikiem.

- Twoja córka, Ben? - Jonathan zmarszczył brwi.

- Tak. - Ben spojrzał na niego chłodnym wzrokiem. - Tego nie wiedziałeś, doktorze. George Hotfort jest moją córeczką.

Jonathan przypomniał sobie, jak się z nią kochał, a potem jak ją uderzył. Spuścił wzrok na nie nadgryzione jeszcze jabłko i zaczął je powoli pocierać o prześcieradło.

- Masz rację. Tego nie wiedziałem.

Ben nie miał zamiaru rozwodzić się nad George.

- Przez cały czas Mellough wiedział oczywiście, że ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Polował na okazję, by wpędzić mnie w trudną sytuację, tak aby wydać mnie w zamian za wykreślenie go z twojej listy, a wtedy wreszcie mógłby oddychać swobodnie.

- Tak wyglądała jego śmiałość. Zawsze wszystko robił okrężną drogą.

- I właśnie sprawa w Montrealu dawała mu szansę uwikłania mnie w taką sytuację. Powiedział, że muszę przyjechać. Miałem towarzyszyć jakiemuś łajnu o nazwisku Kruger przy odzyskiwaniu papierka czy czegoś. Nie wiedziałem, że ktokolwiek zostanie zabity. Ale nawet gdybym wiedział, nie miałem dużego wyboru.

- Ale nie miałeś nic wspólnego z zabijaniem, co?

- Sądzę, że nie możesz tak mówić. Nie przerwałem tego, prawda? Po prostu stałem tam i patrzyłem, co się dzieje. - Mówił zgorzkniałym głosem, czując wstręt do siebie. - A gdy Kruger zaczął go rozcinać, ja...

- Zwymiotowałeś.

- Tak, zgadza się. Przypuszczam, że nie nadaję się na zabójcę. - Odwrócił się do okna. - Nie tak jak ty, staruszk.

- Oszczędź mi tych komentarzy! W teorii nie masz nic przeciwko zabijaniu. Całkiem świadomie chciałeś, bym zabił dla ciebie Mellougha. Po prostu nie możesz tego sam zrobić.

- Tak sądzę.

Jonathan wrzucił z powrotem jabłko do kosza. To był prezent od Bena.

- Powiedz mi. Dlaczego wszedłeś w ścianę i ściągnąłeś mnie? Gdybym zginął z pozostałymi, byłbyś wolny.

Ben uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie uwierzysz, ale nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad tym, staruszk.

- Bo nie jesteś typem zabójcy?

- Właśnie i miałem też dług wobec ciebie za to, że ściągnąłeś mnie z Aconcagui. - Ben odwrócił się bokiem do Jonathana. - Co teraz?

- Nic.

- Nie zakapowałbyś starego kumpla, prawda?

- Ludzie z CII są przekonani, że dostali swego człowieka. I nie widzę żadnego powodu, by wyprowadzać ich z błędu. Szczególnie, że mi już zapłacono.

- A co z tobą? Wiem, co robisz z przyjaciółmi, którzy cię zawiedli.

- Nie mam żadnych przyjaciół, którzy by mnie zawiedli.

Ben zastanawiał się przez chwilę.

- Rozumiem. Powiedz mi, staruszk. Czy w ogóle masz jakichś przyjaciół?

- Twoja troskliwość jest wzruszająca, Ben. O której leci twój samolot?

- Powinienem już się zbierać.

- Wspaniale.

Ben zatrzymał się przy drzwiach.

- Dbaj o siebie, staruszk.

- Dziękuję za owoce.

Gdy za Benem zamknęły się drzwi, Jonathan patrzył na nie jeszcze przez kilka minut.

Czuł wewnętrzną pustkę. Od kilku dni wiedział, że już nigdy więcej nie będzie się wspinał. Stracił odwagę. I Ben odszedł. I Jemima odeszła. I był zmęczony liczeniem otworów w suficie.

Zgasił lampę i granatowe światło późnego wieczoru wypełniło pokój. Zamknął oczy i spróbował zasnąć.

Co, u diabła! Nie potrzebował ich! W ogóle niczego nie potrzebował! Jak wróci do Stanów, to sprzeda ten cholerny kościół!

Ale nie obrazy!